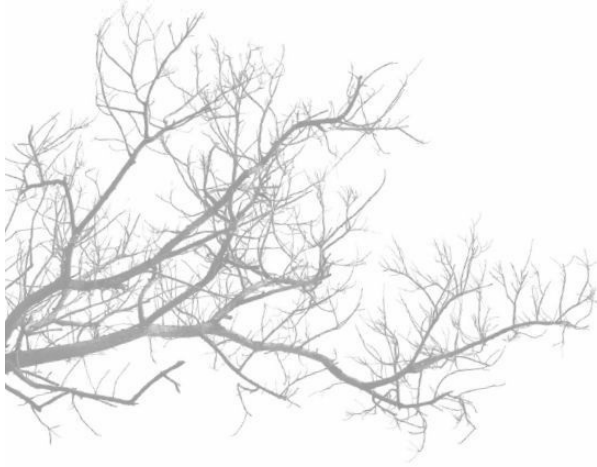


A young boy is seen from behind, climbing a light-colored wall. He is wearing a dark sweater over a light-colored long-sleeved shirt, dark shorts, and a dark beanie. His hands are on the top edge of the wall, and his feet are also on the wall. The background is a dense forest of bare trees, and the sky is a pale blue with several birds flying. The overall color palette is dominated by blues and greys, with a soft, ethereal light. The text 'Chloë Mayer' is written in a light blue, cursive font, and 'chłopiec ze śniegu' is written in a smaller, white, sans-serif font below it.

Chloë Mayer
chłopiec ze śniegu



Chloë Mayer
chłopiec ze śniegu



Przełożyła Magdalena Słysz

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2017

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Kent, 1944](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)

[Rozdział dwudziesty drugi](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci](#)

[Rozdział dwudziesty czwarty](#)

[Rozdział dwudziesty piąty](#)

[Rozdział dwudziesty szósty](#)

[Rozdział dwudziesty siódmy](#)

[Rozdział dwudziesty ósmy](#)

[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)

Rozdział trzydziesty

[Kent, 1945–1947](#)

[Rozdział trzydziesty pierwszy](#)

[Rozdział trzydziesty drugi](#)

[Rozdział trzydziesty trzeci](#)

[Rozdział trzydziesty czwarty](#)

[Rozdział trzydziesty piąty](#)

[Rozdział trzydziesty szósty](#)

[Rozdział trzydziesty siódmy](#)

[Rozdział trzydziesty ósmy](#)

[Rozdział trzydziesty dziewiąty](#)

[Rozdział czterdziesty](#)

[Rozdział czterdziesty pierwszy](#)

[Rozdział czterdziesty drugi](#)

[Od tłumaczki](#)

[Przypisy końcowe](#)

Tytuł oryginału:
THE BOY MADE OF SNOW

Redakcja językowa: Mirosław Grabowski
Projekt okładki: Katarzyna Bućko
Zdjęcia na okładce: © andreiuc88 / Shutterstock, © Mark Owen / Trevillion Images
Korekta: Beata Wójcik
Redaktor prowadzący: Małgorzata Głodowska

Copyright © 2017 by Chloë Mayer
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-545-9

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Z *Królowej Śniegu* Hansa Christiana Andersena:

„...To był zły czarownik! Jeden z najgorszych, sam diabeł. Pewnego dnia wpadł w świetny humor, zrobił bowiem lustro, które posiadało tę właściwość, że wszystko dobre i ładne, co się w nim odbijało, rozpływało się na nic, a to, co nie miało żadnej wartości i było brzydkie, występowało wyraźnie i stawało się jeszcze brzydsze. Najpiękniejsze krajobrazy wyglądały w tym lustrze jak gotowany szpinak, najlepsi ludzie byli szkaradni albo stali na głowach bez tułowia. Twarze w tym lustrze były tak wykrzywione, że nie można ich było rozpoznać; ten, kto miał piegi, mógł być pewien, że pokryją mu cały nos i policzki. Diabeł zaś uważał, że to było ogromnie zabawne. Skoro tylko przez głowę człowieka przeleciała jakaś zacna, dobra myśl, już twarz w lustrze wykrzywiała się, a diabeł-czarownik śmiał się ze swego sprytnego wynalazku. Wszyscy, którzy chodzili do szkoły diabła, gdyż założył czarcią szkołę, opowiadali na prawo i lewo, że stał się cud; uważali, że dopiero teraz będzie można dowiedzieć się, jak naprawdę wygląda świat i ludzie. Biegali wszędzie z lustrem i w końcu nie było ani jednego człowieka, ani jednego kraju, który by nie został w nim opacznie odbity. Przyszło im do głowy, by polecieć do nieba i zabawić się kosztem aniołów i Pana Boga. Im wyżej lecieli z lustrem, tym bardziej wszystko się wykrzywiało, zaledwie mogli je utrzymać, lecieli wyżej i wyżej, coraz bliżej aniołów i Boga; wtedy lustro zadrżało tak strasznie, że wypadło im z rąk na ziemię, gdzie rozprysło się na tysiące milionów, bilionów i jeszcze więcej okruchów. Teraz dopiero wyrządzili o wiele większą krzywdę niż przedtem, gdyż niektóre kawałki były mniejsze od ziarnka piasku i pofrunęły daleko w świat; gdy wpadły komuś do oka, tkwiły w nim, i wtedy człowiek ten widział wszystko na odwrót albo spostrzegał tylko to, co było w danym przedmiocie złe, gdyż każdy odłamek lustra miał tę właściwość co całe lustro; byli ludzie, którym taki odłamek wpadł do serca, i wtedy działo się coś okropnego: serce stawało się jak kawałek lodu” ¹.

Kent, 1944

Rozdział pierwszy

„Posłuchajcie! Zaczynamy. Kiedy bajka się skończy, będziemy wiedzieli więcej, niż wiemy teraz...
Pośród wielkiego miasta, gdzie jest tyle domów i tyle ludzi, że nie ma dość miejsca, aby każdy miał swój
mały ogródek, i dlatego większości ludzi musi wystarczyć doniczka
z kwiatami, mieszkało dwoje biednych dzieci”.
– z *Królowej Śniegu*

„Kiedy miała dwanaście lat, czarownica zamknęła ją w wysokiej wieży znajdującej się w głębi lasu.
Do wieży tej nie było ani drzwi, ani schodów,
miała ona tylko małe okienko...”
– z *Rozpunki*

Annabel zbierała płatki magnolii z trawnika od frontu, kiedy dostrzegła na ulicy dziwną procesję.

Nie mogła znieść widoku przekwitłych kwiatów; leżały na trawie w wilgotnym blasku wiosennego słońca jak wyrzucone na brzeg morza martwe białe ryby. Wyszła więc z domu – jak codziennie podczas krótkiego kwitnienia drzewa w maju – żeby je pozbiierać.

I właśnie wtedy, stojąc przed swoim domkiem, z garściami płatków mięsistych niczym z materiału, uniosła głowę, by ujrzeć grupę idącą ulicą w jej kierunku.

Patrzyła na nią przez chwilę, ale szybko odzyskała panowanie nad sobą i pospieszyła do domu, żeby – sama będąc niewidoczna – przyjrzeć się jej lepiej przez okno wykuszowe.

Przecinając trawnik, wciąż spoglądała na zbliżających się mężczyzn. Było ich siedmiu i mieli na sobie mundury. Niemieccy żołnierze, i tak po prostu szli ulicą.

Eskortowało ich dwóch brytyjskich oficerów, więc nie musiała się obawiać, że to jakaś inwazja. Wiedziała z radia, że w większości miast, na obrzeżach, znajdują się obozy jenieckie, i słyszała, że we wsi, a konkretnie na farmie starego pana Dawsona, też taki powstał. Dziwiło ją jednak, dlaczego pierwsza partia Niemców przybywa na piechotę.

Wpadła przez otwarte drzwi frontowe do środka, a potem do salonu, gdzie stanęła przy oknie, oparta płasko o ścianę. Potem wychyliła się lekko, częściowo zasłonięta przez mur, a częściowo przez firanki, i wyjrzała na ulicę.

Żołnierze znajdowali się jeszcze trochę za daleko, żeby można było zobaczyć ich twarze, ale Annabel zmrużyła oczy przed słońcem, licząc, że coś dojrzy. Ze strachu i podniecenia, które stanowiły odurzające połączenie, serce boleśnie zabiło jej w piersi. Czuła się nie w porządku, jakby robiła coś złego, ale pragnęła choćby zerknąć na jeńców, gdy będą przechodzić.

Można by odnieść wrażenie, że urzędnicy państwowi dowiedzieli się o istnieniu wsi dzięki wojnie. Najpierw do Bambury nieprzerwanym strumieniem wysyłano ewakuowane dzieci, a teraz ekspediowano tu szkopów. Czy powinna się ich bać? Teraz, gdy Reggie walczył na froncie, była w domu sama z dziewięcioletnim synem. A farma Dawsona leżała nie tak daleko. Zastanawiała się, czy staruszek się nie martwi, że ma tylu fryców w pobliżu domu na farmie,

w którym mieszkał, odkąd jego żona zmarła na raka.

Po wsi oczywiście krążyły plotki. Ludzie się bali, że Niemcy będą uciekać, a potem zaszyją się gdzieś, aby ciemną nocą, gdy miejscowi zasną, podrzynać im gardła. Kiedy jednak przed paroma tygodniami zaczęto wznosić pierwsze baraki z blachy falistej, sprzeciw był słaby. Może ludzie byli patriotami i widzieli w tym jeszcze jedną ofiarę, którą trzeba ponieść.

Annabel nie zwracała wielkiej uwagi na tę gadaninę, ale teraz patrzyła jak urzeczona.

Zbliżali się... tak... jeszcze moment...

Uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech; mieli przejść tuż przed jej oknem od frontu!

Wyteżała wzrok, aż ze smugi, jaką stanowiły twarze, powoli wyłoniły się ich rysy.

Właśnie mijali jej dom, w odległości zaledwie kilku stóp od miejsca, w którym się kryła. Dwaj Brytyjczycy sprawiali wrażenie odprężonych; idąc, machali rękami przy bokach. Annabel nie była pewna, co spodziewała się wyczytać z twarzy Niemców, ale ich twarze nie zdradzały emocji, a kilku nawet nonszalancko ze sobą gawędziło. Żaden nie miał skutych rąk.

Wyobraziła sobie, że nawet gdyby nie byli w mundurach, określiłaby ich jako mieszkańców kontynentu. Coś w zarysie ich szczęk, oczach, zachowaniu wydawało się obce, w jakiś sposób egzotyczne. Ludzie o dziwnych nazwiskach, z odległych miejsc. Gdyby nie butelkowozielone epolety, ich szare bluzy mogłyby niemal uchodzić za zwykłe blezery; nosili je rozpięte, jakby wybrali się na przyjemny spacer.

Kiedy jeden z jeńców – wyższy od pozostałych, o ciemnoblonde włosach – przypadkiem spojrział w jej stronę, Annabel gwałtownie cofnęła się za ścianę i odwróciła twarz w stronę pokoju. Odczekała chwilę, zanim wznowiła obserwację. Czy inne kobiety też patrzyły, ukryte za firankami?

Wciąż mocno biło jej serce. Czowała się dziwnie niezakotwiczona i próbowała się odnaleźć, patrząc na swoje zwykłe otoczenie, jak gdyby ten ładny salon – kanapy, biurko, barek – stanowił bezpieczny port.

Nie mogąc dłużej się powstrzymać, ponownie odwróciła się do okna. Niemcy już przeszli. Patrzyła z rodzajem niechętniej fascynacji, jak idą dalej drogą, skręcają i znikają z pola widzenia.

W pewnej chwili do pokoju musiał wejść Daniel i kiedy się odezwał, aż podskoczyła.

– Co robisz?

Zerknęła na niego, a potem znowu wyjrzała na ulicę. Ten chłopak wciąż się do niej podkra-
dał.

– Nic. Przyjechali jacyś jeńcy i właśnie przechodzili. Już ich nie ma.

Z okrzykiem podbiegł do okna i odsłonił firankę. Ale widział tyle co ona; ulica była pusta, nic nie świadczyło, że w Bambury dzieje się coś niezwykłego. Tylko niewinne domki w wiejskiej scenerii, ładne i nijakie, jak rysunek na pudełku krówek.

– Nikogo nie ma – odparł zawiedziony, puszczając firankę.

Annabel spojrzała na dziecko, jego bladą buzię pod ciemną czupryną i duże niebieskie oczy patrzące na nią z wyrzutem.

Oparła się o ścianę – tak roztrzęsiona, jakby biegła. Zdała sobie sprawę, że nadal ściska w dłoniach płatki magnolii, zmięte już i zawilgocone od potu.

Rozdział drugi

„Była piękna... cała z lodu... oczy patrzyły jak dwie jasne gwiazdy, ale nie było w nich spokoju ani wytchnienia”.
– z *Królowej Śniegu*

Ruszyłem za nią, kiedy wyszła z salonu, żeby wyrzucić śmieci do kubła za domem. W głowie, niczym gumowe piłki w pudełku, tłukły mi się pytania:

Co to znaczy „jeniec”? Czy to naprawdę byli Niemcy? Jak ich złapano? Czy kogoś zabili? Jak długo zostaną? Czy znają Hitlera? Czy mówią po angielsku? Co będą tu robić? Czy są niebezpieczni? Gdzie będą mieszkać? Kiedy zostaną odesłani?

– Mamo...?

Ale ona, zeskrobując do kubła białą maź z palców, burknęła tylko:

– Nie teraz, Danielu!

Potem poszła do kuchni, żeby opłukać ręce w zlewie. Stałem więc i patrzyłem na jej plecy w ładnej kwiecistej sukience i brązowe loki na ramionach, gdy powiedziała, że albo pójdę do ogrodu, albo na górę, żeby poczytać, bylebym tylko nie pętał jej się pod nogami.

W normalnych okolicznościach poszedłbym poczytać, ale tego dnia powędrowałem na tyły ogrodu i wspiąłem się na wielkie drzewo, licząc, że jeszcze zobaczę z niego tych jeńców idących Bóg wie dokąd. Ale nie zobaczyłem. Prawdę mówiąc, nie było aż takie wysokie.

Po chwili wyszła, spojrzała na mnie i powiedziała:

– Nie musisz bać się tych ludzi. Bo nie ma czego. W porządku? Więc nie mówmy o tym więcej.

Już miałem się odciąć, że mam dziewięć lat, więc na pewno się nie boję, gdy odwróciła się na pięcie i zniknęła z powrotem w domu, zamykając za sobą drzwi.

Przez dłuższy czas tkwiłem więc na dworze i próbowałem wymyślić jakiś plan, aż w końcu wstąpiłem do domu, aby ją zawiadomić, że idę się pobawić. Siedziała na kanapie ze szklistym wzrokiem. Słuchała leżącej z radia piosenki Tommy’ego Dorsey’a, a na kolanach miała rozłożone czasopismo. W dłoni trzymała papierosa. Na bocznym stoliku stała szklanka z wodą sodową, która robiła się oleista od jednego ze specjalnych drinków mamy. Musiało upłynąć wystarczająco dużo czasu – albo zupełnie zapomniała o tych jeńcach – bo nawet nie odpowiedziała.

To dobrze, bo chociaż było już po szkole, do wieczora i do zmroku pozostało jeszcze kilka godzin. A u nas nie przestrzegano się już pór posiłków.

Poszedłem w kierunku, w który wcześniej patrzyła; tam musieli pójść. Ale ponieważ na ulicy nie było żywej duszy, zatoczyłem kółko i wspiąłem się na wzgórze, skąd mogłem zobaczyć więcej.

Po drodze nie zauważyłem nic ciekawego z wyjątkiem żołnierza, który naprawiał zepsutego wojskowego dżipa. To pewnie nim przywieziono do wsi tych jeńców. Myślałem, żeby się zatrzymać i zapytać, gdzie są, ale uznałem, że będzie większa zabawa, jeśli sam ich wytropię.

Zachmurzyło się, przeszedł krótki deszcz i trochę mnie zmoczył, ale nie było zimno. Na niebieskiej bluzie od szkolnego mundurka miałem tylko kilka kropli wielkości główki od szpilki, które zostawiły granatowe ślady.

Kiedy dotarłem na szczyt wzgórza, pomyślałem, że tropiąc jeńców, mógłbym zapolować na smoki. Znalazłem w trawie gałąź, która świetnie nadawała się na miecz. Wziąłem ją i patrzyłem, jak drewno zamienia się w ostrą srebrną głownię i złotą, wysadzaną rubinami rękojeść. Tego dnia jednak nie było w pobliżu żadnych smoków i niedługo potem mój miecz znowu zamienił się w patyk. Chłostałem nim wysoką trawę rosnącą po obu stronach ścieżki, która prowadziła na pagórek nad torami kolejowymi.

To naprawdę był pech, że przeoczyłem tych jeńców.

Zszedłem po stoku w stronę torów, bo uznałem, że fajnie będzie położyć patyk na szynach i zobaczyć, co się z nim stanie, kiedy przejedzie pociąg. Koła go zmiażdżą, czy tylko złamią na pół? A może powloką za sobą, tak że wkręci się w jakieś tryby i spowoduje awarię?

Pociągi nie kursowały już normalnie, słyszałem jednak, jak nasz wychowawca, pan Finlay, mówił, że obowiązuje szkieletowy rozkład jazdy. Miałem nadzieję, że gdy taki pociąg będzie przejeżdżał, dojrzę przez okna szkieletowego maszynistę i szkieletowego konduktora.

To naprawdę będzie zabawa patrzeć, jak mój patyk pęka pod kołami. Mógłbym prowadzić eksperymenty, umieszczając na szynach także inne przedmioty. Pensa, kamyk, robaka. Robaka! Tak, robaka!

Te pomysły poprawiły mi humor.

Trawiasty stok był tu i tam stromy, więc musiałem po nim zjechać. Wetknąłem patyk w zęby i próbowałem trochę unieść się na rękach, żeby chronić szorty na tyłku. Chociaż posiłki o ustalonych porach się skończyły, podobnie jak regularne sprzątanie, mama wciąż robiła pranie – inni by zauważyli, gdybyśmy chodzili w brudnych ubraniach – i na pewno natarłaby mi uszu, jeśli by zobaczyła na materiale zielone smugi.

Mój patyk posłużył teraz do wykrywania robaków; obracałem nim kamienie i liście, rozchylałem trawę. Liczyłem, że znajdę dziesiątki rozmaitych żyjątek – deszcz równa się dżdżownicy – a tymczasem nie mogłem znaleźć ani jednego. Przeskoczyłem nad szyną i poszedłem środkiem torów, szukając dalej.

Przed sobą widziałem tunel z czerwonej cegły, wcinający się we wzgórze. Pełniło ono jednocześnie funkcję wiaduktu, bo przebiegała po nim droga. Ale była to jedna ze spokojniejszych dróg, jakie wychodziły ze wsi, i nie prowadziła do Londynu ani żadnego innego ekscytującego miejsca. Czasami lubiłem patrzeć z niej w dół jak król spoglądający na swoje królestwo.

Może znajdę robaki po drugiej stronie? Musiałbym przebiec przez tunel; nigdy wcześniej tego nie robiłem.

Ziemia pod moimi stopami była wysypana żwirem z niewielkimi jasnymi kamieniami, więc patrzyłem pod nogi, bo byłoby niedobrze, gdybym zamiast na podkład stąpnął na kamień. Jeden podkład, jeden krok, taka była zasada.

Krok, podkład.

Krok, podkład.

Kiedy podniosłem głowę, nagle wyrósł przede mną wlot tunelu i zobaczyłem, że w środku jest bardzo ciemno. Może żeby nie iść przez tunel, powinienem wdrapać się na wzgórze, przeciąć drogę na wiadukcie i zejść po drugiej stronie? W stok wbudowano drewniane stopnie, żeby pracownicy kolei mogli dostać się na drogę, więc bez trudu wszedłbym na górę.

Byłem już jednak u wlotu do tunelu i nie chciałem wyjść na tchórza.

– Nie jestem maminsynkiem! – (Jednak powiedziałem to szeptem, żeby moich słów nie porwało echo i nie rzuciło mi ich z powrotem w twarz, jakby przedrzeźniał mnie duch).

Kolejny krok, kolejny podkład.

I znalazłem się w środku.

Myślałem, że w tunelu nagle zrobi się ciemno choć oko wykol. Ale nie, nie od razu. Słońce za moimi plecami wciąż świeciło pełnym blaskiem. Przed sobą, po drugiej stronie, u wylotu tunelu, też widziałem światło słoneczne.

Stawiając jednak pierwszy krok, wiedziałem, że wkraczam do zupełnie innego świata. W miarę jak zagłębiałem się w tunel, robiło się coraz chłodniej i nawet dźwięk jakoś się zmienił.

Ale powiedziałem na głos, że nie jestem maminsynkiem, więc czy miałem wybór? Szedłem dalej; zapomniałem, żeby stąpać tylko na podkłady, zapomniałem o pechu.

Nie podobał mi się odgłos moich kroków i mroczna wilgoć na skórze. Przyspieszyłem, żeby prędzej dotrzeć do wyjścia. Dziwne, ale byłem za bardzo zdenerwowany, żeby biec. Czułem, że przyznanie się do strachu byłoby dużym błędem. Gdybym rzucił się do biegu, coś zaczęłoby mnie gonić. Był to też powód, dla którego nie mogłem zawrócić, bo gdybym się obrócił, zobaczyłbym, co czeka na mnie w ciemności. Tymczasem zbliżałem się już do połowy tunelu; byłem najdalej, jak można, od obu wyjść.

I wtedy ujrzałem to legowisko.

Tak mnie to zaskoczyło, że przystanąłem. Znajdowało się obok torów, pod półkolistą ceglana ścianą. Panował mrok, ale widziałem je całkiem wyraźnie.

To legowisko było jak najstraszniejszy koszmar z najstraszniejszych koszmarów. Częściowo zostało zrobione z ludzkich rzeczy – brudnej zniszczonej kołdry, koców i kawałków drewna, pustych butelek, strzępów ubrań, zatłuszczonych gazet cuchnących przegniłym jedzeniem. Ale reszta była całkiem zwierzęca. Brud, smród. Fetor z toalety. Odór rzygów, zgnilizny.

Legowisko. Na wpół ludzkie, na wpół zwierzęce. Pod wiaduktem.

Och! Domyśliłem się, kto tu mieszka.

Znalazłem kryjówkę trolla.

Jesienią, niedługo przed tym, jak skończyłem dziewięć lat, natknąłem się na martwego ptaszka. Pod daszkiem sali parafialnej, na tyłach budynku, leżało różowe łyse pisklą. Musiało wypaść z gniazda pod krokwiami. Jego żółty dzióbek był otwarty, otwarty, otwarty. Miało wielkie czarne wyłupiaste oczy i skórę tak cienką, że niemal można było przeniknąć ją wzrokiem na wylot; widziałem ciemniejsze z jego drobnych czerwonych żył i trzewia. Przez dłuższy czas patrzyłem na tego ptaszka. Nawet przykucnąłem, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Brzydził mnie jego widok, to, że nie żył, ale nie mogłem się od niego oderwać.

Tak samo się czułem, gdy odkryłem kryjówkę trolla. Kiedy zrozumiałem, kto tu mieszka, strach, który mi towarzyszył, odkąd wszedłem do tunelu, nagle stał się czymś twardym w moim brzuchu. Ale przystanąłem, żeby się jej przyjrzeć, tak jak przyjrzałem się martwemu ptaszкови z całą jego obrzydliwością.

Moje serce zaczęło bić szybciej, a oddech stał się urywany i nierówny. Próbowałem go wstrzymać; bałem się, że złamię jakieś zaklęcie, i wolałem nie wdychać tego smrodu z obawy przed zatruciem. Chciałem tylko popatrzeć.

Cieszyłem się już na myśl, że opowiem o tym swojemu przyjacielowi Harry'emu – mimo że mieszkał daleko i nie wiedziałem, czy jeszcze się z nim zobaczę. Byłem pewny, że wyjdę na strasznie odważnego, nawet na bohatera.

Ta perspektywa dodała mi odwagi; czując się jeszcze większym bohaterem, oddaliłem się od torów i zbliżyłem do legowiska. Zatkaną nos palcami. Gdybym nie był tak pochłonięty rozważaniem, jak daleko do wyjścia, pewnie wyczułbym to legowisko, zanim je zobaczyłem.

Byłem ciekaw, czy ktokolwiek z pasażerów pociągu wygląda w tym miejscu przez okno. Czy też, gdy wjeżdża on w ciemność, zawsze odwracają się od szyby, myśląc, że nie ma nic do oglądania. Gdyby pociąg jechał szybko, czy ktoś w ogóle zauważyłby tę kupę śmieci pod murem? A gdyby nawet zauważył, czy wiedziałby, co to jest? Większość dorosłych nie myśli w ogóle o trollach.

Pewnie mają dostatecznie dużo zmartwień, zwłaszcza gdy ryzykują jazdę szkieletowym składem; nie mówiąc już o tym, że jest wojna. Wzdrygnąłem się i przypomniałem sobie, żeby nasłuchiwać sapania nawiedzonego pociągu.

Jedną ręką wciąż zatykając nos przed smrodem, drugą zacząłem dźgać patykiem legowisko, z odrazą i podnieceniem jednocześnie.

Wsunąłem koniec patyka pod zatłuszczoną kołdrę, która leżała rozłożona na ziemi, odwróciłem jej róg i zobaczyłem wyblakły kwiatowy deseń, bardzo już ubrudzony. Nadziałem na patyk jakieś ubrania i odrzuciłem na bok, a wtedy owionął mnie smród potu i zapach whisky jak z karafki u dziadka.

Zacząłem dźgać stos koców, początkowo lekko, potem coraz mocniej. Obrzydliwe brudy! W końcu podniosłem patyk i z odrazą smagnałem koce.

Patyk jednak złamał się na pół i w tej samej chwili ze stosu dobiegł okrzyk bólu, zaskoczenia czy wściekłości. To wycie odbiło się od oślizgłych ścian tunelu i okropnie mnie przeraziło – obudziłem potwora! Cały czas krył się pod tymi kocami.

Troll usiadł i potoczył wokół przerażającymi czarnymi oczami, żeby zobaczyć, co się dzieje. Stałem na wprost niego, ale początkowo chyba mnie nie widział. Cofnąłem się ze strachu, wciąż dzierżąc kawałek patyka, którym go dzieliłem.

Próbował się pozbierać i wstać. Czy nie widziałem go już kiedyś? Tak – pewnego razu we wsi: zebrał o pieniądze. Jak to się stało, że nie dostrzegłem w nim trolla? Gdy zaczął się podnosić, przybierając postać potwora, gwałtownie wciągnąłem powietrze. Na pewno zaraz mnie złapie i zje – pomyślałem.

– Auuuuuu!

Wrzask nie ustawał. Pochlipując, próbowałem się wycofać. Mogłem się poruszać, ale uświadomiłem sobie, że nie robię tego dość szybko, jak w snach, w których nie mogłem uciec przed niebezpieczeństwem. To jednak działało się naprawdę i posuwałem się do tyłu tak powoli, jakbym brnął przez ruchome piaski.

Wtedy się przewróciłem i bezradnie machając rękami w powietrzu, upuściłem patyk. Początkowo sądziłem, że to troll podstawił mi nogę albo użył jakichś czarów, ale potem dotarło do mnie, że potknąłem się o szynę. Upadłem płasko na plecy i patrzyłem na trolla, który trzymając się za głowę, rzucał się z boku na bok.

Kiedy próbowałem się odsunąć, odjął ręce od swojej włochatej twarzy i spojrzał na mnie po raz pierwszy. Zrobił krok w moją stronę, a ja się obróciłem, próbowałem wstać i uciec. Zacząłem biec, pędziłem przed siebie, nie oglądając się, bo ruszył za mną, gonił mnie, chciał złapać i zabić...

– Przeklęte gówniarze, przeklęte gówniarze, przeklęte gówniarze...!

Zacząłem rozróżniać słowa ginące we wrzasku, który stał się jeszcze głośniejszy, odkąd troll mnie zobaczył. Do wściekłego ryku dołączył nowy, wyższy krzyk – mój własny, jak sobie

uświadomiłem.

Ale światło przede mną było już blisko; poza tunelem wciąż panował dzień. Wiedziałem, że jeśli tylko zdołam się wydostać z ciemności, nic mi nie będzie.

Przedemną spadł kamień i tak mnie to przestraszyło, że niemal się zatrzymałem, ale po chwili zrozumiałem, co się stało. Troll podniósł go z torów i próbował mnie trafić.

Obok ucha świsnął mi drugi, trzeci i czwarty kamień. Jeden trafił w moje ramię i znowu krzyknąłem – już myślałem, że troll mnie złapał. Nie słyszałem jego kroków za plecami, a z powodu echa nie mogłem się zorientować, czy jest blisko, czy daleko. Przyszło mi do głowy, że przestał mnie gonić, że się zatrzymał, aby pozbierać kamienie, którymi mógłby dalej we mnie rzucać. Nie zwolniłem jednak ani się nie odwróciłem, żeby zobaczyć, co robi.

Wydostać się na światło, wydostać się na światło! Tylko to mogłem uczynić, żeby ujść z życiem.

Wypadłszy wreszcie na słońce, nadal biegłem przed siebie.

Gdy w końcu pałący ból w piersi stał się nie do wytrzymania, zatrzymałem się na torach i odwróciłem. Pochylony, opierając dłonie na kolanach, dyszałem ciężko. Troll był za mną, ale nie wyszedł poza wylot tunelu. Stał oparty o półkolistą ceglana ścianę. Pomyślałem, że boi się słońca, jak książkę Drakula. Ale może po prostu także łapał oddech, bo przypomniałem sobie, że przecież widziałem go we wsi w blasku dnia.

Patrzyliśmy na siebie, oceniając nawzajem swoje siły.

Po chwili mogłem się znowu wyprostować; oparłem dłonie na biodrach, podczas gdy bicie mojego serca i oddech nieco zwolniły. Uszedłem przed śmiercią z rąk trolla! Zacząłem się śmiać, bo go przechytryłem; stłukłem patykiem, a teraz byłem bezpieczny poza jego zasięgiem.

Zobaczył, że się śmieję, i znowu ryknął:

– Przeklęte gówniarze...!

To wystarczyło, żeby uśmiech zniknął mi z twarzy; pospiesznie zszedłem z torów i wdrapałem się po stoku na ścieżkę prowadzącą do domu. Wiedziałem, że na mnie patrzy, bo czułem na plecach jego okropny wzrok, ale biegłem dalej i stopniowo krzyki ucichły.

Rozdział trzeci

„Niech to nie będzie śmierć, lecz stuletni głęboki sen,
w jaki królowna zapadnie”.
– ze *Śpiącej Królowny*

„– Czy Królowa Śniegu może tutaj przyjść? –
zapytała mała dziewczynka.
– Niech tylko spróbuje! – powiedział chłopiec. –
Wtedy posadzę ją na gorącym piecu i roztopi się”.
– z *Królowej Śniegu*

Annabel patrzyła niewidzącym wzrokiem przez okno, na niebo, które powoli stawało się granatowe, tak że w pokoju zrobiło się smutno. Gin się skończył i czuła spokój.

Myślała o jeńcach w barakach z blachy falistej. Czym się zajmowali? To musi być dziwne spać w obcym kraju w niewoli. Czy się bali? Czy planowali ucieczkę i zemstę?

Drgnęła na dźwięk otwieranych drzwi frontowych. Nie zdawała sobie sprawy, jak jest późno, nie zauważyła, że zaszło słońce, i teraz siedziała na krześle w ciemności. W drodze do kuchni, gdzie zastała chłopca jedzącego łyżeczką sardynki z puszki, wyłączyła radio. Zaciągnęła zasłony, bo obowiązywało zaciemnienie, i oboje zamrugali, kiedy zapaliła światło. Wciąż nie wiedziała, która jest godzina. Zegar w kuchni dawno przestał chodzić.

– Pora spać... – powiedziała. Zabrzmiało to trochę bełkotliwie.

– Dobrze.

Usłyszała szuranie krzesła na wykładzinie i łoskot wrzucanej do kosza puszki.

Gdy ruszyła schodami na piętro do jego pokoju, poszedł za nią. Tam zasłona była zaciągnięta na stałe, więc Annabel włączyła żółtą lampę z frędzelkami, stojącą w kącie, i powiodła wzrokiem po grzbietach książek na regale. Tyle bajek.

Daniel położył się do łóżka – tak, w ubraniu, ale później, po jej wyjściu, mógł przebrać się w piżamę; albo nie, jeśli chciał zaoszczędzić sobie wysiłku i obudzwszy się rano, zamiast znowu się ubierać, od razu pójść do szkoły.

Annabel przesunęła palcem po książkach i wyjęła *Śpiącą Królowną*. Usiadła w swoim białym wiklinowym fotelu, w kącie.

– „Dawno, dawno temu...”

– Czy najpierw... – nieśmiało przerwał jej chłopiec.

Podniosła głowę.

– Czy najpierw mogłabyś opowiedzieć mi o Pupilkach?

Westchnęła.

Zamknęła książkę, złożyła na niej dłonie i pochyliła się do przodu. Prosił, żeby mu opowiedziała którąś historię ze swojego dzieciństwa – ale tak naprawdę chciał usłyszeć bajkę.

– Kiedy byłam małą dziewczynką – zaczęła – miałam piękną kolekcję lalek. Och, szmacianych, porcelanowych i gumowych. Brałam je na ręce i nosiłam ze sobą. Nazywałam je wszystkie Pupilkami.

Chłopiec wydał przeciągłe westchnienie, opadając z powrotem na poduszki.

– Tak – powiedział.

– Nigdy nie zobaczyłbyś mnie bez co najmniej jednej z Pupilek przy piersi! – Uśmiechnęła się na to wspomnienie. – Tak bardzo je kochałam.

Naciągnął brzeg kołdry niemal na oczy i słuchając, ułożył się w jej fałdach. Patrzył na nią, czuła to, chociaż pograżona we wspomnieniach zapatrzyła się w dal.

– Moja niania, pani Joan, czytywała mi bajki, więc większość z nich znałam na pamięć... dlatego, zanim jeszcze sama nauczyłam się czytać, w łóżku przed zaśnięciem opowiadałam je swoim Pupilkom szeptem do porcelanowych uszek. Pupilki były dla mnie jak własne ukochane dzieci.

Odłożywszy *Śpiącą Królownę* na poduszkę, wstała i podeszła do regału, żeby znowu popatrzeć na grzbiety książek.

– To nie te same bajki, które miałam, ale opowiadają te same historie.

Zdjęła z półki zbiór i przerzuciła kartki, żeby obejrzeć ilustracje. Lasy, zamki i ptaki, oddane w kojących pastelowych kolorach.

– Marzyłam, żeby mieć dziecko, kiedy sama nim jeszcze byłam. A kiedy zaszłam w ciążę...

– Ze mną!

– Byłam taka szczęśliwa. Zawsze chciałam być matką.

Pokręciła głową. Ponownie spojrzała na ilustracje.

– Gdy uświadomiłam sobie, że będę miała dziecko, pierwsze, o czym pomyślałam... zanim jeszcze oczami wyobraźni ujrzałam czapeczki, grzechotki i dziecięce łóżeczko... więc pierwsze, o czym pomyślałam, to o bajkach, które będę mu czytała. Zamierzałam być prawdziwą matką i wiedziałam, jak się do tego zabrać. Zaczęłam więc zachodzić do księgarni.

– I kupować wszystkie książki, jakie tam mieli! – Usłyszała szelest, kiedy lekko podniósł głowę, tylko na chwilę, zanim znowu przyłożył policzek do kołdry.

Wstawiła książkę z powrotem na miejsce, ale nie odwróciła się od regału. Oparła czoło o drewno.

Pamiętała, jak liczyła, że inny klient zauważy ją buszującą w dziale książek dla dzieci, i będzie mogła mu się zwierzyć, że jest przy nadziei. Teraz nie rozumiała, dlaczego sądziła, że kogoś to w ogóle zainteresuje. Wzdrygała się na myśl, że tak się puszyła i czuła taka ważna.

– Chciałam, żeby ludzie w księgarni zagadywali mnie o dziecko, nie wiem dlaczego. Wciąż jednak kupowałam bajki i ich stos rósł, dopóki tata nie kupił na nie regału.

Znowu zamilkła, wspominając.

Chłopiec jednak zaczął się niecierpliwić i próbował ją ponaglić.

– Ale kiedy się urodziłem, nie mogłaś mi czytać... ze względu na nerwy...

Annabel mocniej przycisnęła czoło do półki i zamknęła oczy.

W szpitalu podczas porodu wyła jak zwierzę. Coś się z niej wydobywało, przedzierało przez jej ciało, żeby wydostać się na zewnątrz.

Była ledwie przytomna, kiedy podali jej noworodka. Zanim zemdląca, zdążyła jeszcze zauważyć, że jest czerwony, pomarszczony i pokryty obrzydliwym śluzem.

Następnego dnia tylko na niego patrzyła, jak leżał w łóżeczku przy jej szpitalnym łóżku. Nie czuła pragnienia, żeby przytulić go do piersi ani szeptać mu bajki do uszek w kolorze porcelany.

Czy to było jej dziecko? Szaleńczo płakało, ze złości machając grubymi piąstkami.

Gdy Reggie zabrał ją do domu, wyczerpanie było jeszcze gorsze. Nie mogła wstać z łóżka. Nie myła włosów ani zębów i czuła, jak śmierdzi pod kołdrą – był to wilgotny, trochę mleczny odór – ale nie miała siły, żeby powlec się do łazienki. A pod tym wszystkim kryło się bolesne poczucie winy i wstydu, bo coś było z nią nie tak i nie czuła nic z tego, czego się spodziewała.

Rodzice i teściowie mówili jej na różne sposoby, żeby wzięła się w garść, a Reggie robił wszystko, by pomóc – brał dziecko, kiedy płakało, i przytykał jej do piersi. Ono ssało wariacko jak zwierzątko, raniąc sutki tak, że aż płakała, i zawsze później, żeby dojść do siebie, musiała przewrócić się na drugi bok i przespać.

Tamten pierwszy rok był tak straszny, że większość czasu spędziła w łóżku – dopóki jakieś osiem miesięcy po urodzeniu dziecka nie usłyszała wściekłych szeptów za drzwiami sypialni. Reggie opierał się próbom wysłania jej do sanatorium, które podejmowali jego rodzice.

Wtedy zdała sobie sprawę, że musi udawać. Oczywiście ona sama i Reggie – i prawie na pewno dziecko – wiedzieli, jak jest naprawdę. Że jej nie ma. Nie ma już prawdziwej Annabel. Zmuszała się jednak, żeby się ubierać, chodzić i mówić, co wszyscy zainteresowani uznali za znaczną poprawę. Widząc, że żona zachowuje pozory, Reggie poczuł taką ulgę, iż nie wnikał za bardzo w jej emocje; nie chciał budzić złego. Annabel udawała coraz lepiej i po jakimś czasie przypomniała sobie o książeczkach w pokoju dziecięcym.

– Kiedy się urodziłem, nie mogłaś mi czytać z powodu nerwów – ponaglił ją znowu chłopiec.
– Ale gdy skończyłem rok...

– Tak – podjęła Annabel, otwierając oczy i podnosząc głowę. – Po raz drugi w życiu nauczyłam się tych wszystkich bajek na pamięć.

Chłopiec zaśmiał się z zachwytem.

– Tak jak ja się uczę!

To była prawda. Gdy synek dorastał, słowa, które przenikały do jego głowy, zanim jeszcze nauczył się formułować własne, już tam zostały, gotowe, aby któregoś dnia zostać wypowiedziane.

Annabel czasami czuła, że czytając te historie, ożywia je, sprowadza do pokoju, i że ich bohaterowie, magia, zapadają w nich dwoje: w matkę i dziecko.

Mijały miesiące, te zamieniały się w lata, a Annabel nadal czytała synkowi co wieczór. Okazało się, że nie tyle wie, jak być prawdziwą matką, ile – jak ją odgrywać. W końcu w dzieciństwie wychodziło jej to doskonale.

I sama uwielbiała te opowieści.

Identyfikowała się z zagubionymi młodymi kobietami, które wędrowały samotnie przez las albo tkwiły uwięzione w swoich skromnych chatkach, zamkach albo wieżach.

Annabel nie szeptała bajek Danielowi do uszka. To byłoby krępująco intymne. Zamiast tego siadała na fotelu w kącie pokoju, podczas gdy on leżał w łóżku albo przykucał u jej stóp, i rozkładała książkę, a łamany grzbiet trzeszczał jak dawniej.

Niedługo przed tym, jak chłopiec zaczął chodzić do miejscowej podstawówki, zasugerowała Reggieemu, natknąwszy się na niego w salonie, że ich syn chyba wyrósł już z bajek.

– Wiesz, Danielu – zwróciła się do chłopca – wkrótce będziesz mógł sam czytać książki, jak duży chłopiec.

On jednak tylko popatrzył na ojca poprzez szeregi ołowianych żołnierzyków, które ich dzieliły, ustawione na dywanie.

Przeszła przez pokój do barku i żeby odzyskać spokój, zabrała się do przyrządzania ginu

z tonikiem. Poczwała na plecach czyjś wzrok, a odwróciwszy się, zobaczyła, że Reggie i chłopiec patrzą na nią z niemą prośbą na twarzach.

Szybko wróciła do swojego zajęcia.

Reggie najwyraźniej postanowił przemówić Danielowi do rozumu.

– Czy to nie brzmi fajnie, co? Jak myślisz?

Chłopiec nie odpowiedział.

– Nie? Będziesz mógł czytać w czasopiśmie tylko dla chłopców ekscytujące historie o takich samych urwisach jak ty.

Ale milczenie Daniela – a także, jak się domyślała, wyraz rozpaczy w oczach – musiało poruszyć serce Reggiego, bo z jego ust czym prędzej wyszło zapewnienie, że synek będzie mógł słuchać bajek, jak długo zechce.

Tak więc ich czytanie się nie skończyło.

Może Reggie miał rację. Były to zabawne, przewrotne historie. Niektóre naprawdę mroczne. Gdzieś czytała – pamiętała to – że w pierwotnych opowieściach ludowych postaci złych opiekunek były wzorowane na prawdziwych matkach. Jednak z upływem lat – zapewne przed publikacją bajek w czasach wiktoriańskich – fabuły ulegały zmianie i powołano do życia „złą macochę”. Uznano za zbyt przerażające i nienaturalne, żeby matka nie kochała własnego dziecka.

Początkowo Annabel utożsamiała się ze smutnymi młodymi kobietami, które pędziły samotny żywot w wieżach. Teraz identyfikowała się z matkami i uważała, że te opowieści nie są wobec nich sprawiedliwe; z pewnością nie uwzględniają ich punktu widzenia. Potrafiła zrozumieć, dlaczego chora matka oddaje swoją córeczkę sąsiadce (*Roszpunka*), zdesperowana jest gotowa sprzedać nienarodzone dziecko (*Rumpelszyk*), a głodująca postanawia porzucić potomstwo w lesie (*Jaś i Małgosia*).

Mężowie z tych opowieści zawsze wspierali żony w tych zamiarach, ale jakoś nie byli relegowani do kategorii „złych” ani nawet „ojczymów”. Jeśli matki przedstawiano jako wcielenie zła, najgorsi ojcowie byli tylko słabego charakteru. Zastanawiała się dlaczego.

Podniósłszy głowę wyżej, zobaczyła różne rzeczy, umieszczone wysoko na regale, żeby nie zawadzały. Stare, wysłużone ubrania trzymane na łąty, choć nigdy niczego nie cerowała ani nie łątała, nieładne bibeloty otrzymane w prezencie i inne bezużyteczne starocie, które zbierały się latami. Było tam też kilka sfatygowanych Pupilek. Czasami jej odpowiadało, że słuchają co wieczer, jak czyta bajki, ale tego dnia nagle odniosła wrażenie, że z niej szydzą tam, na półce. Powinna je wszystkie zebrać i wyrzucić. To tylko rupiecie.

– A teraz bajka – poprosił chłopiec, przywołując ją do rzeczywistości.

Annabel wróciła i wzięła książkę z poduszki. Usiadła na fotelu i zaczęła czytać *Śpiącą Królową* od miejsca, w którym przerwała. I opowieść się rozwinęła.

Rozdział czwarty

„Biedny Kaj! Do jego serca wpadł także taki odłamek.
Za chwilę to serce przemieni się w grudkę lodu”.
– z *Królowej Śniegu*

Kiedy mama skończyła czytać bajkę i wyszła, przez długi czas leżałem w łóżku bezsennie. W końcu jednak wstałem, żeby przebrać się w piżamę.

Raz po raz dochodził z dołu brzęk butelek. Nie mogłem zasnąć. Chyba dlatego, że wciąż byłem przejęty znalezieniem kryjówki trolla w Bambury. Trochę uspokoiła mnie opowieść mamy o Pupilkach, o których zawsze lubiłem słuchać. Najbardziej podobało mi się to, że tak bardzo je kochała, bo chciała mieć dziecko. Chciała mnie.

Miło było to wiedzieć. W szufladzie biurka w salonie leżały sekretne listy, które czasami czytywałem. Chociaż w jednym było coś tak strasznego, że aż zapierało mi dech, i za pierwszym razem myślałem, że od tego umrę. Pewnie głupio z mojej strony, że się bałem – jestem pewny, że to, co napisano w liście, to tylko pomyłka. Ale jeśli te słowa stanowiły dla mnie truciznę, to historia Pupilek była odtrutką. W bajkach zawsze występuje odtrutka – należy tylko ją znaleźć; książkę na przykład musiał znaleźć wodę życia dla swojego ojca króla albo pocałować Śnieżkę po tym, jak zjadła zatrute jabłko. Opowieść o wytęsknionym dziecku była jak taki pocałunek; pocałunek mamy złożony na moim policzku.

Nadal jednak nie mogłem zasnąć, nie mogłem zasnąć, nie mogłem zasnąć. Miałem w ciemności otwarte oczy, mimo że musiało być już po północy. Wciąż czułem w nozdrzach smród trolla. I tamten kamień! Dostałem nim w ramię! Mógł mi rozbić głowę i mnie zabić.

Wstałem i cicho przemknąłem do łazienki, aby mama nie wiedziała, że jeszcze nie śpię. Powoli, bardzo powoli zamknąłem za sobą drzwi i zapaliłem światło. Chciałem w małym lustrze nad umywalką obejrzeć sobie ramię. Rozpiąłem bluzę od piżamy i wdrapałem się na jasnoróżową krawędź, żeby zobaczyć ślad po uderzeniu kamieniem.

Z zadowoleniem ujrzałem siniaka; wiedziałem, że następnego dnia zrobi się fioletowy, a może nawet czarny. Moja rana wojenna. Odznaka honorowa za walkę z potworem. Nie wiadomo który raz pożałowałem, że nie mam w Bambury przyjaciela, któremu mógłbym to pokazać – byłby pod wrażeniem mojej odwagi! Oczywiście przyjaźniłem się z Harrym, który mieszkał obok moich dziadków w Great Yarmouth, ale nie wiedziałem, kiedy następnym razem do nich pojedziemy. Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby opowiedzieć tę historię mamie; tylko przestraszyłaby się trolla albo zezłościła na mnie, że szedłem po torach. Nie, nie musiała o niczym wiedzieć, dopóki nie wymyśliłbym sposobu, jak uratować ją i całą wieś. Wtedy byłaby zadowolona. I na pewno bardzo ze mnie dumna.

Właściwie, gdy tak się nad tym zastanowiłem, uratowanie mamy przed trollem byłoby jak wybawienie damy z opaków. W bajkach to najlepszy sposób, żeby zdobyć czyjąś miłość – wypełnienie jakiegoś niebezpiecznego zadania, jak, powiedzmy, zabicie smoka czy coś w tym

rodzaju. To zawsze wzmacniało uczucia. Na miłość trzeba sobie zasłużyć. Każdy to wie.

Biedna mama. Nie podejrzewała nawet, co jej grozi, ale mając mnie za obrońcę, nie musiała się niczego bać. Trolle najbardziej lubią dzieci, ale porywają i pożerają każdego, kto im się trafi. Wzdrygnąłem się na myśl, co by było, gdyby troll odebrał mi mamę. Zostałbym całkiem sam.

Rozważałem, czy nie napisać do taty i nie powiadomić go, co się dzieje. Ale uznałem, że lepiej utrzymać to w tajemnicy nawet przed nim; ma własne potwory, z którymi musi walczyć.

Kolejny raz pomyślałem o kryjówce w ciemnym tunelu i przypomniałem sobie, jak troll przystąpił do natarcia. Odtwarzałem w głowie tamte chwile. Jak ryknął, a mnie ogarnął mdlący strach, gdy rzuciłem się do ucieczki, umykając przed ostrymi pazurami i zębiskami; te jego przerażające groźby! Jak taki potwór śmiał mnie zaatakować!

Trudno było pogodzić ze sobą wspomnienie tego przyczajonego w ciemności stwora z obrazem żebraka wyciągającego przed budynkiem poczty puszkę na pieniądze. Ale to jeszcze bardziej mnie zezłościło. Jak śmiał udawać kogoś, kim nie był? Zapałałem żądzą zemsty. Wykręcając szyję, żeby obejrzeć gołe plecy w lustrze, postanowiłem zapolować na bestię jak łowca na zwierzynę. Po wyjściu z łazienki znalazłem mamę leżącą na półpiętrze. Pomogłem jej wstać i pójść do toalety, a potem zamknąłem za nią drzwi. Po jakimś czasie wyszła i gdy wsparła się na mnie, zaprowadziłem ją, potykającą się, do łóżka.

Następnego dnia, czyli w sobotę, wróciłem na tory, żeby oficjalnie rozpocząć obserwację trolla. Po drodze wyrwałem z ziemi kilka marchewek na śniadanie i przez cały dzień, ukryty na szczycie wzgórza, patrzyłem, jak potwór wychodzi z tunelu i do niego wchodzi. Wiele się dowiedziałem.

Troll rzeczywiście trochę przypominał człowieka. Przypominał go pod tym względem, że miał dwoje oczu, dwie ręce i dwie nogi. Ale poza tym był obrzydliwy i na pewno, na pewno nie należał do istot ludzkich. Twarz miał porośniętą szczecinę, a na głowie sterczały mu kępkami grube zmierzwione włosy z szarymi pasmami tu i tam. Gdy przechodziłem obok niego wtedy we wsi, zauważyłem, że od nosa w kształcie rzepy rozchodzą mu się po policzkach popękane cienkie żyłki, zupełnie jak robaki. Zastanowiłem się przelotnie, po co mu pieniądze, ale pewnie trolle są równie chciwe jak ogry.

Gdy szedł wzdłuż torów w stronę stopni po drugiej stronie wzgórza, wyteżyłem wzrok, żeby zobaczyć jego twarz. Miał przerażające, zaczerwienione oczy, czarne, bez dna – nie widziałem ich za dobrze z takiej odległości, więc częściowo to moje domysły, co nie znaczy, że nieprawdziwe. Nie wiem, jak to się stało, że nie zwróciłem na nie uwagi wtedy, gdy żebrał. Nosił brązowozielone łachmany. Miał wielkie brudne łapy o poczerniałych długich pazurach.

I był wielki. Wielki jak niedźwiedź.

Przez następne dwa tygodnie codziennie po szkole kontynuowałem obserwację. Troll opuszczał swoją kryjówkę i do niej wracał.

Często wkładał wełnianą czapkę, którą naciągał na swoje olbrzymie ślepie, mimo że w miarę jak wiosna przechodziła w lato, robiło się coraz cieplej. Kiedyś zauważyłem, że miał na sobie zniszczoną tweedową marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach. Musiał ją komuś ukraść. Wyglądał śmiesznie, jak zwierzę udające cywilizowanego, kulturalnego człowieka.

Przyglądałem mu się zza drzewa wysoko na wzgórzu nad torami. Od czasu do czasu przebiegałem przez drogę na wiadukcie i sprawdzałem, czy nie wychodzi z tunelu drugą stroną. Nosiłem przy sobie notes, trzymałem go w kieszeni szortów. Miałem także ogryzek ołówka i szczególnie notowałem nim swoje obserwacje.

Pewnego dnia troll zniknął i już napawałem się słodkim poczuciem zwycięstwa; musiałem samą swoją obecnością wypędzić go ze wsi. Jednak po kilku dniach znowu go zobaczyłem; wrócił. Nie wiedziałem, gdzie się podziewał, ale ogarnęły mnie złość i rozczarowanie. Przeszedłem na wzgórze akurat w chwili, gdy wchodził do tunelu.

Oparłem się o swoje drzewo i spojrzałem w dół, żeby mieć na oku jego kryjówkę. Musiałem lepiej się postarać.

Pomyślałem, że notatki, które trzymałem w kieszeni, zawierają jakąś wskazówkę, więc wyjąłem je i przekartkowałem; może coś przeoczyłem. Kiedy troll próbował mnie złapać, uznałem, że nie wyjdzie z tunelu na światło dzienne, ale to oczywiście było błędne założenie. Zanotowałem też, że rzucił za mną kamieniem, bo nie chciał mnie gonić, co mogło świadczyć, że nie potrafi zbyt szybko biegać. Być może co do tego również się myliłem.

Chociaż wtedy dał za wygraną, gdy znalazłem się poza tunelem, i w końcu udało mi się przed nim uciec, przypuszczałem, że – mimo nieporadnych, ślamazarnych ruchów – mógł, gdy chciał, biec szybciej niż pantera. Już sobie wyobrażałem jego wielką, zwalistą, włochatą postać mknącą przez las niczym zwierzę i wypatrującą martwym wzrokiem małych dzieci do zjedzenia. Mając przed oczami tę jego nadnaturalną szybkość, wiedziałem, że się nie mylę.

Zadrzałem. Więc umiał szybko biegać. Pomyślałem, że będę musiał go przechytrzyć.

Zapisałem w notesie, co właśnie odkryłem:

7 maja 1944, 15.45 (mniej więcej, brak zegarka): biega szybciej od pantery. Uwaga!

Postukałem ołówkiem w zęby. Ciekawe. Musiałem pamiętać, żeby zawsze trzymać się w pewnej odległości od niego. Nie mogłem więc wejść ponownie do tunelu, nie mając absolutnej pewności, że przez długi czas nie wróci. Schowałem notes i ołówek do kieszeni i pochyliłem się do przodu, żeby dosięgnąć ręką miejsca, gdzie uderzył mnie kamieniem. Nic już tam nie było – siniak dawno zniknął – ale obaj wiedzieliśmy, że mnie zranił. I zostałyby mi po tym ślad w sercu, gdybym nie zemścił się za krzywdę.

Znowu oparłem się o swoje drzewo. Poznawałem zwyczaje trolla. I wiedziałem, że obmyślę jego zgubę. Był potężnym przeciwnikiem, ale Jaś ściał pęd fasoli i pokonał olbrzyma, a mała Gerda wystąpiła przeciwko Królowej Śniegu i sprowadziła Kaja z powrotem.

Więc tak, wyzwanie nie należało do łatwych, ale teraz, gdy taty i innych mężczyzn nie było, tylko ja mogłem je podjąć; postanowiłem, że zostanę bohaterem, który wypędził trolla ze wsi.

Pomyśleć tylko, jak poczuje się mama, gdy ją uratuję! Oczywiście, zamierzałem uratować także pozostałych, ale przede wszystkim ją. Jak to przyjmie? Zrozumie, że jestem dzielny i silny. Weźmie mnie za rękę jak Gerda Kaja. Nazwie mnie swoim Pupilkiem i będzie to wciąż powtarzać.

Rozdział piąty

„Złożyła swoją rączkę w jego dłoni, ale rzekła: – Chętnie poszłabym z tobą, ale nie wiem, jak się wydostać z wieży”.
– z *Rozspunki*

Pana Dawsona nie było w domu, kiedy Annabel zapukała do drzwi, więc oboje z Danielem krążyli kilka minut po gospodarstwie, aż zobaczyli go na betonowym placu pośrodku zabudowań i magazynów. Tego ranka padał deszcz i na betonie powstały błotniste kałuże z pasmami siana.

Annabel pomachała ręką na przywitanie i ciągnąc za sobą wózek, pospieszyła przez małe podwórko w kierunku farmy, a chłopiec podreptał, żeby za nią nadążyć.

Pan Dawson, rumiany mężczyzna ze złamanym przed laty nosem, był albo bardzo staro wyglądającym sześćdziesięcioletnim, albo czerstwym osiemdziesięcioletnim. Żywioły nie służyły jego cerze, a życiowe zajęcia – ciału. Różne wypadki na farmie, zarówno ze zwierzętami, jak i z maszyną, okaleczały go na przestrzeni czasu, a jeden pozbawił palca wskazującego u prawej dłoni. Dawson wydawał się tak sterany latami pracy i obrażeniami, że w końcu zwolnił tempo; nic dziwnego – pomyślała.

– Dzień dobry! – zawołał, gdy podeszła bliżej.

– Dzień dobry. – Posłała mu lekki, uprzejmy uśmiech i przystanęła. – Widziałam pańskie ogłoszenie w sprawie drewna. Na ulicy.

Obejrzała się, licząc, że zobaczy jakichś jeńców. Ale zapuszczone podwórko było opustoszałe.

Całe to miejsce sprawiało wrażenie zaniedbanego i opuszczonego. Gospodarstwo, które Dawson kiedyś prowadził, jakby go zmogło; tak jest już od kilku lat – uświadomiła sobie Annabel – od śmierci jego żony.

Bez pomocy pani Dawson nie mógł dłużej pozwolić sobie na zatrudnianie młodych ze wsi – którzy tak czy owak poszli na wojnę – i farma podupadła jeszcze bardziej. Większość pól leżała odłogiem, a krowy zostały sprzedane na aukcji.

Jednak Annabel zauważyła, że gospodarz wygląda jakoś zdrowiej niż kilka tygodni wcześniej, kiedy przyszła kupić od niego jajka. Wydawało się, że napływ młodych jeńców z obozu przy drodze przywrócił mu energię. Annabel miała nadzieję, że usłyszy kilka plotek o jego nowych „pracownikach”.

– A tak, drewno! – Farmer wyraźnie się ucieszył. – Całkiem dobry pomysł, zwłaszcza przy braku węgla. Uznałem za nieszczęście, kiedy wszystkie jabłonie opanowała zaraza i uschły. Ale teraz możemy je ściąć i porąbać na drewno do pieca, a na ich miejsce zasadzić coś nowego. To pokazuje, że nic nie dzieje się bez powodu.

– Tak, pewnie tak – potwierdziła, patrząc na jego wymizerowaną starą twarz.

– Proszę się nie martwić, moja droga... Postaram się, żeby dostała pani dobrą cenę.

Spojrzał na stojącego przy niej chłopca.

– Zwłaszcza że nie ma pana Pattersona i tak dalej. Niełatwo wychowywać syna samej.

Annabel mu podziękowała, ale wiedziała, że kłamał w sprawie ceny. Prawie wszyscy mężczyźni przebywali na froncie. Pozostali tylko starcy, kobiety i dzieci. Niczym się od nich nie różniła, więc dlaczego cena za drewno miałyby być dla niej inna? Ale nadchodziło lato i wieczory nie były już takie chłodne jak jeszcze niedawno, toteż liczyła, że do jesieni nie będzie potrzebowała wiele opału.

– Pomagasz mamie w domu, chłopcze? – zagadnął małego farmer.

– Tak, proszę pana.

– Zuch!

O łydki farmera otarł się tłusty pręgowany kot; chłopiec pisnął i schylił się, żeby pogłaskać zwierzę.

– A co do drewna... – podjęła Annabel.

– Przepraszam, moja droga! Niech pani okrąży dom, potem pójdzie w stronę dużej stodoły po prawej. Jest tam ścieżka, która zaprowadzi panią do starego sadu. Będzie w nim szkop... przynajmniej powinien być. Da pani wiązkę. Nie mówi zbyt dobrze po angielsku, ale zapisze, ile pani wzięła. Będziemy się rozliczać pod koniec każdego tygodnia.

Annabel się zawahała.

– Dobrze.

Zerknęła w kierunku sadu.

– Ale będziemy tam tylko ja i ten Niemiec?

Dawson parsknął śmiechem.

– Rozumiem, co ma pani na myśli! Niech się pani nie boi. Nie jest żadnym hitlerowcem. Większość z nich to zwyczajni młodzi mężczyźni. Nie sprawiają kłopotów.

Annabel ściągnęła brwi. Nastąpiła chwila milczenia.

– Wie pani co? Pójdę z wami.

– Och, dziękuję, panie Dawson. Tak chyba będzie najlepiej.

Udawała, że nie widzi, jak farmer, wskazując ścieżkę, tłumi westchnienie. Oddychał ciężko, więc znowu próbowała ocenić jego wiek.

– Chodź – rzuciła do synka.

Zastanawiała się, czy gdyby zapłaciła dodatkowo, Dawson nie mógłby podrzucić jej drewna do domu. Zabrała ze sobą wózek, ale nie bardzo jej się uśmiechało, żeby ciągnąć wiązki, a chłopiec był za mały i za chudy, by pomóc. Zazdrościła swoim rodzicom niezawodnego ogrzewania elektrycznego. To właśnie oni zainstalowali je pierwsi, co sporo ich kosztowało. Żałowała, że nie ma kaloryferów z szeregiem gorących żeberek, które nie wymagały nawet czyszczenia, tylko odkurzania co jakiś czas. Niespodziewanie myśli o rodzicach wywołały w niej irytację; tego dnia znowu zadzwoniła matka. Posiadanie własnej linii uchodziło za luksus – niewielu ludzi ze wsi miało telefon, ale szczerze mówiąc, Annabel mogłaby się bez niego obyć. Co tydzień czy dwa Elizabeth dzwoniła do niej pod pretekstem pogawędki. Ale w gruncie rzeczy te rozmowy stanowiły serię upokarzających pytań: czy chodzisz po zakupy, co masz dla Daniela na kolację, nie nabierało ci się rzeczy do prania? Wiedziała, że chodzi o co innego; prawdziwe, niewypowiedziane pytania brzmiały: wszystko dobrze, radzisz sobie, nie powinnaś pójść do zakładu?

Ciężki oddech farmera przeszedł w napad kaszlu i Annabel chciała uderzyć go w plecy, ale machnęła ręką na znak, żeby dała spokój.

– Muszę po prostu sobie zapalić!

Zaczął robić skręta i chciał poczęstować Annabel. Ona jednak odparła, że woli swojego

papierosa, i wyjęła jednego z paczki w torebce na wózku. Dawson podał jej ogień, a potem zapalił skręta.

Puścił oko do chłopca.

– Nie jestem już taki młody jak ty, co?

Daniel uśmiechnął się nieśmiało, Annabel jednak zauważyła, że rozszerzyły mu się oczy, gdy spojrział w miejsce, gdzie mężczyzna powinien mieć palec. Musiał zauważyć jego brak już wcześniej. Patrzyła, jak mały się gapi, podczas gdy starszy pan palił papierosa, trzymając go między palcem środkowym a serdecznym. Próbowwała pochwycić spojrzenie chłopca, aby nakazać mu uprzejmość, ale nie zwracał na nią uwagi.

– Wie pani co – odezwał się Dawson do Annabel po długim, satysfakcjonującym zaciągnięciu się dymem – ma pani bliżej do starego sadu niż do mnie. Więc... gdy już pozna pani tego szwaba i przestanie się go obawiać... będzie pani mogła chodzić na skróty i załatwiać sprawy bezpośrednio z nim. Nazywa się Johannes. Nie musi pani wcześniej rozmawiać ze mną.

Annabel zacisnęła usta, ale milczała.

Dawson wypalił papierosa i najwyraźniej wzmocniony poprowadził ich dalej. Annabel omijała kałuże na ścieżce, chociaż farmer szedł przez nie śmiało w swoich wysokich butach. Rzuciła chłopcu ostrzegawcze spojrzenie, na wypadek gdyby także miał ochotę przemaszerować przez brudną deszczówkę. Została nieco z tyłu, puściwszy Dawsona przodem, bo nie chciała, żeby błoto ochlapało jej gołe łydki. Ciągnąc wózek za sobą, spojrziała w niebo, ale słońce przebijając się już przez chmury i nic nie wskazywało, żeby znowu rozpadał się deszcz.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Dawson, kiedy zbliżyli się do drewnianego ogrodzenia.

Odsunął zasuwę przy furtce i dał znak Annabel oraz chłopcu, żeby weszli do starego sadu.

– Mój człowiek powinien w głębi rąbać drewno.

– Prawdziwy drwal! – zawołał Daniel. – Nigdy dotąd nie widziałem na własne oczy prawdziwego drwala!

– No, widzisz! – odparł Dawson. – Dobrze się składa. Ten pochodzi z Niemiec.

– Jak oni wszyscy – odpowiedział chłopiec. – Na przykład ojciec Jasia i Małgosi. Był niemieckim drwalem... dlatego wiedział, w której części lasu ich zostawić.

– Aha – skwitował farmer. – Naprawdę?

– Tak. Prawda, mamo?

Annabel zmarszczyła czoło. Może Reggie miał rację i Daniel był już trochę za duży na bajki.

Słońce w końcu zatriumfowało nad gęstymi chmurami i oświetliło ciepłym blaskiem martwe jabłonie. Przyjemnie się szło pod ich koronami, wśród padających na ramiona cętek popołudniowego światła.

Daniel pobiegł w głąb sadu, gdzie jak widziała, przesuwał dłońmi po pniach drzew, które mijał. Chyba mamrotał coś do siebie, ale była zbyt daleko, żeby słyszeć jego słowa.

Po chwili usłyszeli odgłos rytmicznie rąbanego siekierą drewna.

– Wracaj! – zawołała do chłopca.

Wkroczyli na małą porębę; stał tam mężczyzna wsparty na trzonku siekiery. Oddychał ciężko i pot na jego skórze błyszczał w słońcu. Mimo chłodnego dnia i błotnistych kałuż u stóp był rozebrany do pasa. Jego koszula leżała niedaleko na pniu drzewa. Sprawiał wrażenie przestraszonego, kiedy się pojawili, i wyglądał, jakby chciał czym prędzej wrócić do rąbania drewna, aby pracodawca nie zarzucił mu, że się leni. Ale zmienił zamiar; pewnie uznał, że stosy drewna mówią same za siebie.

– Johannes... twoi pierwsi klienci – oświadczył farmer w ramach przywitania.

Niemiec się uśmiechnął i skinął głową. Należał do pierwszej partii jeńców, których przywieziono do Bambury, i to właśnie na niego Annabel zwróciła uwagę, kiedy rozglądał się, przechodząc koło jej domu.

Domyśliła się, że w dzieciństwie był blondynem, ale potem, gdy dorósł, włosy mu pociemniały, przybierając jaśniejszy odcień w lecie. Nie widziała, jakiego koloru były jego oczy, bo je mrużył, a ona miała za sobą słońce. Podniósł dłoń, żeby osłonić twarz, i powiedział:

– Ile pani potrzeba?

Jego wymowa, choć urywana jak u szydzących z Niemców aktorów, których można było usłyszeć w radiu, miała w sobie śpiewną nutę, co przydawało jej liryzmu. Nie zaciął się przy tym pytaniu, mówił szybko i naturalnie.

Miała odezwać się do prawdziwego niemieckiego żołnierza i chociaż prawdopodobnie był niewiele starszy od niej i wyglądał całkiem sympatycznie, ze strachu przełknęła ślinę.

Zerknęła na pana Dawsona, licząc na jakieś wsparcie z jego strony, po czym wskazała swój wózek z materiału w kratę, upstrzony w drodze błotem.

– Mam... to – odparła niepotrzebnie, ponieważ Niemiec już szedł, żeby go od niej wziąć.

Patrzyła, gdy przeszedł obok, zmierzając do stosu drewna za jej plecami, i usiłowała przyjrzeć mu się lepiej. Ale on już się pochylił, żeby załadować drewno do wózka, i na tle słońca zamienił się w ostro zarysowaną sylwetkę.

Rozdział szósty

„Młody król [...] wyruszał często na polowanie,
bo to była jego radość”.
– z *Dwóch braci*

Na farmie było niesamowicie; staremu farmerowi brakowało palca. Ale wszystko było tam ogromnie ciekawe; miałem nadzieję, że zobaczę jakieś zwierzęta: krowy, świnie, konie. Jednak jedynym stworzeniem, jakie ujrzałem, był stary przegowany kocur. Chciałbym mieć kota, żeby się nim opiekować.

Mama była zawiedziona, że farmer nie pójdzie dla niej po drewno. Lubiła, gdy inni ją wyręczali. Dlatego byłoby dobrze, gdybym przepędził trolla; ucieszyłaby się, gdyby usłyszała, że ją ocaliłem. Cieszylibyśmy się razem. Staralem się nie myśleć o tych nieprzyjemnych słowach, które wyczytałem – i czytałem wciąż od nowa – w jednym z listów taty w biurku.

Wcześniej padał deszcz, więc ścieżka była trochę błotnista, kiedy szliśmy – ja za mamą, a ona za farmerem – do sadu. Myślę, że była z tego niezadowolona. Miała na sobie ładną niebieską sukienkę w białe kwiatki i biały kardigan. Zakręciła też włosy. Kiedy przyszliśmy, widziałem, że farmer zauważył, jak mama ładnie wygląda. A potem maszerował przez kałuże, jakby ich w ogóle nie widział. Korciło mnie, żeby iść po jego śladach – musiałbym w tym celu sadzić susy – rozpryskując wodę. To byłoby zabawne, ale wiedziałem, że lepiej nie próbować.

– Mój człowiek powinien w głębi rąbać drewno – powiedział farmer Dawson.

I wtedy nagle mnie olśniło; z wrażenia aż zachłysnąłem się powietrzem.

– Prawdziwy drwal! Nigdy wcześniej nie spotkałem prawdziwego drwala!

Dotąd nie przyszło mi do głowy, że drewno na opał rąba drwal. Oczywiście robiły to też pewnie maszyny – ale chyba podczas wojny trzeba było oszczędzać paliwo. Zresztą to z jej powodu potrzebowaliśmy drewna; zanim wybuchła, używało się węgla.

Drwale zawsze odgrywali w bajkach szczególne, ważne role. Pomyślałem o człowieku z siekierą, który uratował życie Śnieżce. I o bohaterskim leśniku, który ocalił Czerwonego Kapturka, zabijając wilka. Rozciął mu brzuch, żeby dziewczynka mogła wyjść, a potem wypełnił go kamieniami i zaszył. W bajkach zwykle pomijano tę część, ale mogłem sobie wyobrazić, jak bym się czuł w wilczym brzuchu, czekając na ratunek. Byłoby tam ciemno i ciasno. A po rozcięciu brzucha na pewno zapanowałaby jatka. Fantastycznie!

Widziałem, że mama jest przestraszona, bo człowiek, z którym mieliśmy się spotkać, był niemieckim żołnierzem. Jednak mimo tego wszystkiego, co słyszałem w radiu i w szkole od pana Finlaya, i co czytałem w listach taty z frontu, wcale się nie bałem, bo ten Niemiec był jednocześnie drwalem, więc nie mógł być taki zły. Powiedziałem farmerowi o ojcu z *Jasia i Małgosi*.

Chociaż chciałem jak najszybciej poznać drwala, w sadzie oddaliłem się od dorosłych i wbiegłem między drzewa, żeby się przygotować. Zdjąłem sweter, zarzuciłem go na ramiona jak pelerynę i przemieniłem swoje nudne sznurowane brązowe półbuty w skórzane botki do kolan.

Byłem w lesie, gdzie żyły wiedźmy, potwory, wróżki i gadające zwierzęta. Gdy rozejrzałem się wokół, mizerne martwe jabłonie wystrzeliły w niebo, stając się olbrzymimi wiekowymi dębami.

Przeciągałem dłońmi po zaczarowanych pniach drzew i patrzyłem, jak moje palce suną po krawędziach twardego drewna. Te drzewa wiedziały, że już tu byłem. Splatające się nade mną gałęzie były jak wielkie sita, przepuszczały przez liście promienie słońca. W snopach światła tańczyły drobinki pyłu; lśniły jak gwiazdy tworzące Drogę Mleczną.

To było magiczne miejsce. W oddali – skądś to wiedziałem – była dolina, a w niej wioska. Małe dwuizbowe chaty, z dymem pogodnie wydobywającym się z kominów. Po brukowanych uliczkach jeździły z turkotem konne wozy, a dzieci i psy umykały spod kopyt. Kupcy sprzedawali swoje towary, szewcy szyli buty, gospodynie stawiały na parapetach wyjęte z pieca placki, żeby wystygły.

Lecz tu, w wiekowym lesie, panowała cisza i spokój. Wyobraziłem sobie, że widzę drewniane szałaszy między drzewami; mieszkali tam łowcy i drwale.

– Wracaj!

Głos był słaby; dochodził z daleka, bardzo daleka.

Obejrzałem się przez ramię. Trudno było przeniknąć wzrokiem świat, który stworzyłem, ale w końcu dostrzegłem dwie postacie. Jakby rozwiła się mgła, stopniowo przybrały kształty. Byli to mama i stary farmer Dawson.

Zawahałem się; niechętnie opuszczałem magiczną krainę, która jakimś sposobem wydawała się bardziej realna od prawdziwego świata, ale pobiegłem do nich. Nie wolno mi jednak było się oglądać. Stary czarodziejski las już zniknął i w miarę jak mój sen na jawie się rozwiewał, zacząłem dostrzegać na jego miejscu zwyczajny angielski sad. Spojrzałem na promienie słońca, bo miałem nadzieję, że zobaczę w nich konstelacje gwiazd, ale w powietrzu unosił się jedynie kurz. Chmura zasłoniła słońce i w jednej chwili cała magia uleciała. Został tylko sad. I powietrze. Wróciłem do rzeczywistości.

Wtedy usłyszałem odgłos rąbania drewna.

I to było jak cud. Bo nagle poczułem, że czarodziejski świat powraca. Kątem oka zauważyłem, że sad znowu zamienia się w wiekowy las. Drwal! Był przede mną, wiedziałem to, i czułem, że to będzie niezwykle spotkanie.

Usłyszałem charakterystyczny stukot, gdy świeżo porąbane drewno upada na ziemię. Potem zaległa cisza, chociaż w powietrzu brzęczały owady i śpiewały ptaki.

Kiedy weszliśmy na porębę, zobaczyłem, że drwal ma nagą pierś. Opuścił siekierę. Ostrze, które załśniło w słońcu, spoczęło na ziemi, ale on wciąż trzymał w dłoni długi trzonek. Pochylił się, żeby rozciągnąć plecy.

Potem się wyprostował; wyglądał tak, jak się spodziewałem. Był wysoki i przystojny, dzielny i szlachetny. Nie miał we włosach brylantyny ani przedziałka jak wszyscy normalni mężczyźni; kosmyki opadały mu swobodnie na twarz.

Drwal spojrzał na mamę i na mnie i uśmiechnął się do nas, kiedy dowiedział się od farmera, że jesteśmy jego pierwszymi klientami. Zadał mamie pytanie i po raz pierwszy usłyszałem jego głos. Brzmiał dokładnie jak u drwala. Był niski, z akcentem należącym do magicznego świata, który właśnie opuściłem.

Oniemiałem; miałem ochotę się schować, więc odruchowo stanąłem za matką, kiedy rozmawiali. Potem jednak się odprężyłem, wyszedłem z za jej pleców i powoli zbliżyłem się do drwala, żeby popatrzeć, jak ładuje drewno do wózka.

Spojrzał na mnie swoimi niebieskimi oczami i nie przerywając pracy, posłał mi uśmiech.

– Cześć – powiedział.

– Cześć – odparłem.

I dalej przyglądałem mu się w milczeniu. Prawdziwy drwal! Tak jak sądziłem, był całkiem autentyczny.

Chciałem zostać i przypatrywać mu się dłużej, ale kiedy wózek był pełny, farmer Dawson pokazał mamie i mnie dziurę w ogrodzeniu, którą mogliśmy wyjść prosto do lasu. Powiedział nam, że jeśli pójdziemy dalej, znajdziemy ścieżkę, którą zaprowadzi nas do domu.

Dawno temu przestaliśmy chodzić do kościoła, więc następnego dnia miałem dużo czasu i mogłem pomyśleć. Wspiąłem się na drzewo w głębi ogrodu, żeby rozważyć zagrożenie. Trolle były złe. Niemcy też byli źli – wszyscy jednak wiedzieli, że Niemiec z sadu jest drwalem, więc musi być dobry. Trudno było się w tym rozeznąć.

Ale wieczorem, kiedy po wysłuchaniu bajki, którą przeczytała mi mama, leżałem w łóżku, doszedłem do wniosku, że już rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi.

Toczyłem potajemną walkę z trollem, a tata walczył z Niemcami. I Włochami, którzy – jak mówił pan Finlay – wreszcie wzięli nogi za pas. Wszędzie było niebezpiecznie.

Troll nocami krążył w poszukiwaniu dzieci na pożarcie, może nawet teraz, gdy leżałem pod kołdrą.

Wiedziałem też, że mama boi się Niemców, więc byłem pewien, że w tej chwili nie śpi – tylko z przerażeniem myśli, że wszyscy oni rozpanoszą się w Bambury. I chociaż drwal, którego poznaliśmy, nie był zły, pewnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Bo są dobrzy Niemcy, jak drwal, i źli, jak hitlerowscy żołnierze.

Jednak niedaleko domu znajdowali się prawdziwi hitlerowcy i to był fakt.

Zacząłem się zastanawiać, czy nie powinienem się dowiedzieć, gdzie mieszkają te wszystkie szkopy, i nie wziąć ich pod obserwację tak jak trolla. Nie chciałem jednak dzielić swoich sił, zwłaszcza że składały się one tylko ze mnie. Uznałem więc, że lepiej będzie się skupić na niebezpieczeństwie, o którym nie wiedział nikt oprócz mnie. Wszyscy dorośli mieli taką obsesję na punkcie Niemców, że czasami stawało się to już nudne, a dałbym głowę, że kompletnie nie wiedzieli o trollu, który zagraża wsi. Próbowałem wymyślić plan, jak się go pozbyć.

Gdy tak myślałem o wypędzeniu trolla, nie mogłem zasnąć, więc długi czas leżałem bezsenne, aż w końcu zdałem sobie sprawę, że w pokoju zrobiło się jaśniej; nadszedł świt i słońce zaczęło się przeciskać przez szczeliny w zasłonach. W końcu usnąłem przy dźwiękach ptasiego chóru za oknem i śniło mi się, jak ratuję mamę (a ona to docenia).

Następnego dnia w szkole byłem senny. Może dlatego zabrakło mi refleksu.

Pan Finlay przekonywał klasę, jak ważne jest regularne czytanie.

– Wszyscy powinniście czytać w domu – mówił. – To nie tylko pozwala lepiej zrozumieć świat, chłopcy, ale też stanowi najlepszy sposób uczenia się gramatyki i interpunkcji.

Potem pytał każdego, jak często czyta, prawdziwe książki czy tylko komiksy, i tak dalej.

Niestety, zaczął od rzędu ławek po lewej stronie klasy. „Niestety”, bo tam właśnie siedziałem. Zwrócił się do Donalda Platta, który zajmował ostatnią ławkę, w kącie, tuż za mną.

– Platt – zapytał pan Finlay – jakie masz nawyki czytelnicze?

Jak reszta chłopców odwróciłem się, żeby spojrzeć na Donalda, który wiercił się w ławce i wyglądało na to, że zaraz złamie na pół ołówek, tak obracał nim w rękach.

– Sam nie wiem, proszę pana.

Miał żalowaną minę.

– No, Platt, chyba czasami coś czytasz!

Donald tylko pokręcił głową. Nie znałem go za dobrze; był z tych nowych, ewakuowanych z Londynu podczas bombardowań. Mieszkał tu prawie piąty rok i pewnie w innych szkołach po takim czasie już nie byłby „nowy”, ale nie w naszej.

– To jakie książki lubią czytać twoi rodzice? Jakie są w domu?

– U nas nie ma żadnych książek! – Trudno się było zorientować, czy jest zły, czy tylko zawstydzony, ale aż wciągnąłem powietrze, i nie tylko ja, bo podniósł głos na nauczyciela.

– Platt! – ryknął pan Finlay. – Chciałeś chyba powiedzieć, że nie ma u was „żadnych książek”? W co jednak trudno uwierzyć. Równie trudno, jak tolerować ton, którym właśnie się do mnie zwróciłeś! Chodź ze mną. Pójdziemy prosto do gabinetu pana Beechama i zobaczymy, co on na to powie!

Pan Finlay przeszedł między rzędami ławek, położył Donaldowi rękę na ramieniu i wyprowadził go z klasy. Gdy tylko znalazł się poza zasięgiem słuchu, pozostali zaczęli się śmiać.

– Wiedziałem, że jest biedny, ale nie wiedziałem, że aż tak!

– „U nas nie ma żadnych książek!” – powtórzył William McCarthy wysokim, zawodzącym głosem. Reszta wybuchnęła śmiechem, a on wstał, położył dłoń na piersi i udał, że płacze. – „U mnie nie ma żadnych książek!” ...ani jednej!

Ja także się zaśmiałem. Częściowo dlatego, że najlepiej zawsze dostosować się do większości. A częściowo – bo sam często stawałem się obiektem żartów i zdecydowanie warto było skorzystać z okazji, żeby znaleźć się po tej drugiej stronie. Ale głównie z tego powodu, że William McCarthy potrafił świetnie parodiować i naprawdę udatnie naśladował biednego Donalda.

Teraz szlochał, podczas gdy pozostali, chichocząc, pocieszająco klepali go po plecach.

– Chciałbym mieć chociaż jedną! – zawodził. – Ale moi rodzice – sam już nie mógł powstrzymać się od śmiechu – nie umieją czytać!

Koledzy na to zawyli ze śmiechu, a on usiadł. Też był nowy, ale – choć nigdy do końca nie dało się o tym zapomnieć – dzięki poczuciu humoru należał do najbardziej lubianych chłopców.

Pomyślałem, jakie tortury w następnych tygodniach będzie musiał znosić Donald. Wyobraziłem sobie, jak chłopcy podtykają mu pod nos książki i pytają, czy wie, co to jest. („Czy może nigdy nie widziałeś żadnych książek?”)

– To było rewelacyjne, McCarthy! – zawołał Martin Moore, gdy inni chłopcy też usiedli na miejsca. – Sam Platt wrócił do klasy!

William sprawiał wrażenie zadowolonego i z błyszczącymi oczami przyjął pochwałę.

Muszę uważać, żeby jego wzrok nie padł na mnie – pomyślałem.

Drzwi się otworzyły. Pan Finlay wreszcie wrócił i wszyscy skierowali ku niemu twarze; niektórzy jeszcze chrząkali, żeby opanować śmiech. Nauczyciel przybrał swoją ulubioną pozę, opierając się o duże drewniane biurko stojące pod tablicą, i kontynuował lekcję, jakby nic się nie stało.

– Twoja kolej, Patterson – zwrócił się do mnie.

– Och... – powiedziałem. – Ja uwielbiam czytać.

Skinął głową na znak, żebym mówił dalej.

– I rodzice też. Mamy w domu na półkach mnóstwo książek. Mama nawet co wieczór czyta mi bajki na dobranoc.

Byłem uradowany, że mogłem wszystkim o tym powiedzieć, nie wychodząc na chwalipiętę. Usiadłem na swoim miejscu, zadowolony. Musiałem uważać, żeby nie palnąć czegoś jak

Donald.

Wtedy jednak zobaczyłem te uśmieszki, przewracanie oczami. Usłyszałem tłumione chichoty. Coś jednak palnąłem i na myśl, co mnie czeka po zakończeniu lekcji, poczułem ściskanie w żołądku i świerzbiecie na głowie.

Na przerwie próbowałem ukryć się w szatni, ale pan Finlay wetknął tam głowę, szukając maruderów, i kazał mi zmykać. Gdyby Donald wyszedł pierwszy, miałbym z głowy, ale widocznie musiał czekać, żeby pan Beecham wymierzył mu chłostę, więc koledzy skupili się na mnie.

McCarthy i Matthew Lyme wykręcili mi ręce, a pozostali, z Martinem Moore'em włącznie, pomogli zawlec mnie w stronę wychodka w głębi podwórka. Mówili, że jestem odmieńcem, zarzucali mi, że mam się za mądrzejszego od wszystkich, a zwykły ze mnie maminsynek. Powtarzali, że jestem głupi, bo lubię bajki, i że matki czytają tylko smarkaczom. Dziesiątki rąk wepchnęły mnie do wychodka, a potem przytrzymały drzwi, żebym nie mógł wyjść.

Słyszałem, jak się kłóca, czy wsadzić mnie głową w dół do dziury w desce; ponieważ jednak nie mogli się zdecydować, odłożyli tę kwestię na inny, lepszy dzień. Wszyscy jednak się zgadzali, że należy mnie trzymać zamkniętego w wychodku, dopóki nie zmadrzeję, a ci, którzy będą chcieli skorzystać z wygódki, pójdą w krzaki. Albo załatwią się w mojej obecności.

Nie chciałem być z nimi na podwórku, ale w ciemności wpadłem w panikę; miałem wrażenie, że napierają na mnie ściany. Czułem się tak jak wtedy w tunelu, wiedziałem, że troll krąży w powietrzu i za pomocą czarów może zmaterializować się tuż obok. Zacząłem dobijać się do drzwi.

– Proszę! Proszę! – Usiłowałem się wydostać. – Żartowałem z tymi bajkami. Nie chciałem! Proszę!

Ale oni tylko się śmiali i wcale nie zamierzali mnie wypuścić.

W końcu zrozumiałem, że muszę przestać błagać, bo tylko pogarszam swoją sytuację.

– Dobrze! – zawołałem przez drzwi, zmuszając się, żeby się cofnąć i stanąć w mroku. – Dobrze.

Zacisnąłem powieki i pomyślałem, że w bajkach znajdę ratunek. Może zdołałbym sprawić, żeby otoczył mnie czarodziejski świat. Ale tego dnia magia nie była dość silna; wiedziałem, że gdy otworzę oczy, wciąż będę tkwił w brudnym, cuchnącym wychodku na podwórku szkolnym. Przypomniałem sobie o Jasiu, uwięzionym w klatce przez wiedźmę. Małgosia musiała użyć rozumu, żeby pokonać staruchę i ocalić brata, więc może mnie też udałoby się znaleźć jakieś rozwiązanie. Gdy myślałem o Jasiu i usiłowałem wykombinować, jak tu uciec, mój oddech i bicie serca stopniowo zwolniły i trochę się uspokoiłem.

W końcu jeden po drugim musieli się znudzić, podpierając tak drzwi, i odeszli. Po jakimś czasie się zorientowałem, że nikogo już nie ma, więc wymknąłem się z wychodka i poszedłem usiąść w swoim kącie podwórka, gdzie nikt mnie nie widział.

Rozdział siódmy

„Do tego pokoju – wchodzić ci nie pozwalam. Zabraniam ci tego srogo! A jeśli byś się ważyła pokój otworzyć, wpadnę w taki gniew, że możesz spodziewać się po mnie wszystkiego”.

– z *Sinobrodego*

Ta wiadomość wywołała u niej panikę: Reggie dostał dzień urlopu i miał przyjechać do domu.

Annabel wolałaby, żeby zawiadomiono ją z większym wyprzedzeniem. Czy takich spraw nie planuje się wcześniej? Na pewno tak było z jego poprzednimi wizytami w domu. Tak czy owak miała teraz mnóstwo do zrobienia i rozpaczliwie usiłowała przygotować wszystko na jego przyjazd.

Sytuacja na górze trochę wymknęła się spod kontroli. Czasopisma i gazety leżały tam, gdzie upadły, a na korytarzu i przy jej łóżku piętrzyły się stosy prania, brudne filizanki i talerze.

Nie chodziło o to, co pomyśli Reggie; teściowie, żeby pobyć z synem, zarezerwowali na czas jego urlopu pokój nad Royal Oak we wsi – a wiadomo było, że nie oprą się pokusie, żeby trochę powęszyc.

Od wyjazdu Reggiego Annabel ani razu nie weszła do jego pracowni – gdzie także sypiał, odkąd Daniel przyszedł na świat – więc tam nie było dużo roboty, wystarczyło tylko szybko odkurzyć. W pokoju unosił się nieco stęchły zapach i pościel pewnie wymagała zmiany, ale Annabel otworzyła okna na światło słoneczne, uznając, że świeże powietrze zrobi swoje.

Zszedłszy na parter, zebrała plik gazet z korytarza i wrzuciła do kominka, żeby wieczorem je spalić.

Mój Boże, ależ te wszystkie prace domowe były wyczerpujące! Potrzebowała odpoczynku i czegoś na wzmocnienie. Nalała sobie kapkę ginu i usiadła w swoim fotelu, żeby złapać tchu i wypalić papierosa. Głęboko zaciągnęła się dymem i wydmuchując go, próbowała rozeznaczyć się w swoich uczuciach.

Chłopiec oczywiście bardzo się cieszył na przyjazd ojca, ale ona przeczuwała, że dziwnie będzie z Reggie w domu. Chociaż na zewnątrz starała się zachować pozory – starannie zbierała płatki magnolii z trawnika i utrzymywała na dole jakiś taki porządek na wypadek wizyty niezapowiedzianych gości – to jednak w innych sferach nie była taka skrupulatna. I podobało jej się, że nie musi wstawać z łóżka, ubierać się czy sprzątać domu, jeśli nie ma na to ochoty. Pod pewnymi względami wreszcie mogła pozwolić sobie na odpoczynek, którego tak jej brakowało od narodzin chłopca.

Wstała i podeszła do biurka, żeby wyjąć plik listów od Reggiego. Cienkie koperty były sfatygowane i zmięte, bo przebyły długą drogę, ale w domu więcej nie ucierpiały, bo po pierwszym przeczytaniu ich zawartości już do nich nie wracała.

Usadowiwszy się w fotelu, wciąż z papierosem w prawej ręce, rozłożyła listy na kolanach. Trudno jej było nawet przywołać przed oczy postać męża. Ile to już czasu minęło od jego ostatniej wizyty? Osiemnaście miesięcy? Może zdoła go sobie przypomnieć, jeśli dopalając papie-

rosa, przeczyta kilka listów, które napisał.

Wybrała jeden ze spodu, z tych starszych, z okresu gdy Reggie jeszcze przebywał na szkoleniu Invicta Lines, w bazie wojskowej w Maidstone. Zauważyła pomiędzy kartkami liścik do Daniela – chyba zapomniała dać go chłopcu.

20 maja 1940

Kochana Annabel!

Jak się macie, Ty i Daniel? Mam nadzieję, że dobrze. U mnie wszystko w porządku, więc nie musisz się martwić. Jedzenie nie jest najlepsze, ale nie mogę narzekać!

Mamy dużo zajęć. To dość męczące – po pracy w banku cała ta aktywność fizyczna stanowi szok dla organizmu!

Mam nadzieję, że czujesz się dobrze.

Nie wiem, kiedy wyślą nas na front, ale krążą pogłoski, że będzie to w następnym miesiącu. Wciąż odbywamy szkolenie. Dziwnie jest umieć obsługiwać się bronią; dużo czasu spędzamy na strzelnicy.

Sypianie w jednym pomieszczeniu z kolegami z jednostki przypomina mi pobyt w internacie. Chociaż niektórzy mówią z akcentem klasy pracującej, więc jest pewna różnica! Ze względu na moją wymowę dali mi kilka dobrotliwych kuksańców! Cha, cha! Ale w większości to sympatyczni goście. Jest zaskakująco wesoło, biorąc pod uwagę powagę sytuacji.

Dostałem list od rodziców. Pisali, że byli u Ciebie. Wysłałaś do mnie jakieś listy? Wiem, że niedawno wyjechałem, ale nie mam od Ciebie żadnych wiadomości.

Mama pisze, że masz się dobrze. A co u Daniela? Mam nadzieję, że radzisz sobie z gotowaniem. Zawsze byłaś lepszą kucharką ode mnie, więc liczę, że to zajęcie znowu sprawia ci przyjemność. Czytasz mu jeszcze? Wiem, że bardzo to lubi. Załączam liścik do niego. Przeczytaj mu go.

Proszę, napisz, abym wiedział, że wszystko dobrze.

Wyrazy miłości –

Reggie

20 maja 1940

Kochany Danielu!

Jak się masz, synku? Jesteś dobry dla mamy? Wojaczka to bardzo ekscytujące zajęcie – jak nasze wspólne zabawy. Jestem już prawdziwym żołnierzem: szeregowy Reginald Patterson z Królewskiego Pułku West Kent. Kiedy przyjadę – a na pewno niedługo dostanę urlop – opowiem Ci o tym. I nauczę Cię kilku sztuczek!

Bardzo za Tobą tęsknię, ale trzeba być mężczyzną i służyć krajowi. Chciałbym więc, żebyś był dzielnym chłopcem – w końcu niebawem zaczniesz chodzić do szkoły – i mężczyzną w domu!

Byłoby wspaniale, gdybyś narysował ładny obrazek, przedstawiający Ciebie, mamę i mnie. Bardzo bym chciał go dostać.

Kocham Cię –

Tata

Annabel włożyła obie kartki do koperty. Nie było sensu dawać Danielowi tego liściku po tak długim czasie. Pozostałe mu przekazała.

Przeczytała jeszcze ze dwa listy i wyciągnęła z pliku kolejny. Ten został napisany parę lat po wyjeździe na front. Pamiętała, że go czytała i że różnił się od reszty; ton się zmienił, Reggie pisał zwięźle, wykorzystując każdy skrawek papieru. Przypominała sobie, że nie bardzo wiedziała, jak to rozumieć.

8 czerwca 1943

Kochana Annabel!

Chyba nie wszystkie Twoje listy dochodzą, bo dawno nie miałem od Ciebie żadnych wieści.

Może tu być ciężko, więc chciałbym wiedzieć, czy jesteście bezpieczni w Bambury i macie się dobrze.

Niepokoję się, gdy tak długo nie dostaję od Ciebie listów. Wiem jednak, że dobrze sobie beze mnie radzisz, i jestem z Ciebie bardzo dumny. Tak się o Ciebie martwiłem, kiedy wyjeżdżałem na szkolenie – sprawiałaś wrażenie przestraszonej, że nie będzie mnie w domu.

To nasze pożegnanie na stacji było okropne, prawda? Dużo o tym myślę. Ostatni dzień byłem cywilem w cywilnych ciuchach i choć minęło tyle czasu, wciąż nie wiem, co znaczy być żołnierzem.

Wyobrażałem sobie, że pożegnamy się spokojnie, a tam były setki przyszłych żołnierzy z rodzinami!

Panował chaos i pewnie Ty też zauważyłaś tę atmosferę – pełną wzruszenia i w pewnym sensie radosną – która ogarnęła tłumy rodziców, żon i dzieci, machających odjeżdżającym mężczyznom na pożegnanie.

Niemal żałowałem, że pożegnałem się z rodzicami w domu – miło byłoby też mieć ze sobą większą grupkę. Ale pewnie mieli rację, że Daniel mógłby popaść w przygnębienie, gdyby się zorientował, że jadę na wojnę. Choć nie mógł zdawać sobie sprawy z powagi sytuacji, nie sądzisz? Dał mi się zwyczajnie pocałować i przytulić, jakbym wychodził do pracy. Miał wtedy zaledwie pięć lat, był malutki, i dobrze.

Gdy zapowiedziano odjazd pociągu, widziałem, Annabel, że do oczu napłynęły Ci łzy – wszyscy wokół nagle zaczęli się obejmować i płakać. Była para, która pocałowała się w usta, pamiętasz, na oczach wszystkich! Sprawiałaś wrażenie zgorszzonej. Chyba żadne z nas nie wiedziało, jak się zachować.

Myślę o Tobie w tym Twoim ładnym kremowym kapeluszu, w jednej dłoni ściskającej chusteczkę, a w drugiej – torebkę. Tego dnia wyglądałaś na taką wystraszoną i bardzo młodą.

Wtedy ogarnął mnie strach, że Was opuszczam. Nagle się zaniepokoiłem, że nie dasz rady zadbać o siebie i Daniela, a mnie nie będzie, żeby nad wszystkim czuwać. Bałem się, że biedny Daniel nie zrozumie, będzie o mnie pytał, a to jeszcze bardziej wytrąci Cię z równowagi.

Chciałem powiedzieć: „Daj mu czas. To taki wspaniały dzieciak, sama się przekonasz. Skończy się na tym, że będziecie mogli ze sobą konie kraść!”. Ale tłoczny peron nie był odpowiednim miejscem na mówienie takich rzeczy.

Bardzo za Danielem tęsknię. Tak łatwo mi go kochać i czasami się zastanawiam, czy inni tu żywią podobne uczucia do swoich dzieci, bo w okopach nie mówi się o takich spr-

wach. Pamiętam, jak mi kiedyś powiedziałaś, że nic do niego nie czujesz. Miał wówczas zaledwie parę miesięcy. Pewnie teraz jesteś przerażona, że mogłaś pomyśleć coś podobnego, ale to uwaga, której nie da się tak po prostu zapomnieć. I zastanawiam się, czy nie próbowałam mu tego jakoś wynagrodzić.

Przepraszam, jeśli Cię ranię, Annabel, ale wtedy na stacji wpadłem w panikę. Nagle przyszło mi do głowy, że możesz znowu wpaść w taki stan jak po urodzeniu Daniela. Jak miałbym pomóc, zaopiekować się naszym synkiem, będąc mile dalej i nie widząc, co się dzieje?

W końcu tylko ścisnąłem Cię za ramię.

– Spokojnie, spokojnie – powiedziałem chyba. – Wszystko będzie dobrze.

Ale drżały Ci wargi i oczy miałaś pełne łez.

– Nie dam rady – odparłaś i pamiętam, że na końcu załamał Ci się głos. – Nie wytrzymam.

– Jakoś się ułoży – dodałem głośniejszym głosem, niż zamierzałem. Nie chciałem być szorstki, Annabel.

Ogłosili odjazd przez megafon, więc nie mogłem już nic więcej zrobić, oboje odwróciliśmy wzrok, spojrzeliśmy znowu na pociąg, zaczął napierać na nas tłum, bo wszystkich ogarnął pośpiech. Jeszcze raz uściśnąłem Cię w ramię i zostawiłem na peronie. Wsiadłem do pociągu i w wagonie przepchnąłem się do okna – chciałem Ci pomachać jak wszyscy inni mężczyźni – ale nie mogłem Cię wypatrzeć. Może już odeszłaś, może to było dla Ciebie za trudne – w porządku.

Gdy pociąg ruszył, pozostali pchali się do okna, machając i krzycząc, a ja poszedłem szukać miejsca. Usiadłem, żeby zapalić. W całym wagonie byłem jedynym siedzącym. Dotarło do mnie, że wyjeżdżam, i ze wstydem wyznaję, że mnie też zebrało się na płacz. Uświadomiłem sobie, że nie powiedziałaś, abym na siebie uważał, ani nic w tym rodzaju. Nie wyglądało na to, że martwisz się o mnie. Za to ja martwiłem się o Ciebie. O Ciebie i Daniela.

Cóż, od tego czasu upłynęły trzy lata i wiem, że świetnie się spisujesz, więc niepotrzebnie się niepokoiłem. Ale kiedy długo nie ma od Ciebie listu, wracają wszystkie te obawy, które ogarnęły mnie tamtego dnia na stacji Waterloo. Rozumiesz, Annabel?

I nie chodzi tylko o to, że martwię się o Was dwoje – wcale nie próbuję Cię kontrolować – lecz także o to, że Twoje listy podnoszą mnie na duchu.

Proszę, napisz szybko.

Kocham Cię –

Reggie

Annabel zgasiła papierosa w popielniczce, która stała na stoliku obok, i włożyła list do koperty, żeby już na niego nie patrzeć.

Żaden z jego listów, ani wcześniej, ani później, nie był taki. Coś w nim wydawało jej się trochę... cóż, niesmaczne – wszystkie te uczucia wyłożone kawa na ławę. Musiał przeczytać to cenzor! Z zażenowaniem pokręciła głową – w imieniu swoim i Reggiego.

Nie mogła sobie przypomnieć, co mu odpowiedziała. Prawdopodobnie, kiedy wreszcie się do tego wzięła, napisała jakieś zapewnienia – nic szczególnie emocjonalnego – twierdząc, że wszystko jest w zupełnym porządku. To było irytujące, jak bardzo Reggie – a razem z nim jego i jej rodzice – zupełnie nie pokładali w niej wiary.

Była wtedy na peronie, gdy pociąg z Reggie odjeżdżał; musiała pobiec do damskiej toalety, żeby się pozbierać, zanim samotnie ruszyła w podróż powrotną do Bambury.

Była jednak z siebie dumna, że nie rozplakała się przy ludziach. Uważała nawet, że całkiem spokojnie patrzyła Reggie w tę przystojną twarz – jego jasnoniebieskie oczy i starannie przycięte brązowe wąsy nagle wydały jej się swojskie i uspokajające.

Kiedy jechała metrem na dworzec Victoria, żeby złapać pociąg do Densford, gdzie miała kolejną przesiadkę, znowu się rozkleiła, więc odwróciła twarz do okna i nasunęła kapelusz na czoło, żeby pozostali pasażerowie nie widzieli jej oczu. Przez chwilę patrzyła na swoje odbicie w szybie i wówczas jej wzrok stracił nieco ostrość, tak że poprzez własną twarz ujrzała ciemny tunel.

Reggie stanowił orbitę, po której krążyli ona i dziecko – był siłą spajającą ich w coś, co choćby przypominało rodzinę.

Kiedy Annabel wróciła tamtego dnia do domu, było po wpół do dwunastej. Zanim weszła do środka, wzięła głęboki oddech.

Skupiła się na ciemnozielonej farbie, którą pomalowane były drzwi, a która zaczęła się łuszczyć nad małym witrażowym oknem. Będzie musiała wezwać kogoś, żeby pomalował drzwi od nowa. Zapisze to sobie na kartce i załatwi. Obejdzie dom, żeby sprawdzić, czy nie trzeba jeszcze czegoś zrobić. To nie wydawało się zbyt przerażające. Może jednak nie ma powodu, żeby tak się martwić nieobecnością Reggiego. Może to nawet okazać się całkiem wyzwalającym doświadczeniem.

Ale kiedy przeszła przez próg i odruchowo kilka razy wytarła buty o szorstką matę kokosową, znane obrazy i zapachy domowe od razu jej przypomniały, jaka jest bezużyteczna. Nie umiałyby skontaktować się z fachowcem i umówić z nim na różne dziwne naprawy.

Rodzice Reggiego czekali na nią w salonie i wiedziała, że zamilkli, kiedy usłyszeli, że drzwi się otwierają.

– Witaj, moja droga! – zawołała Moira.

– Zaraz przyjdę! – odpowiedziała głośno Annabel, zdejmując kapelusz przed lustrem w przedpokoju.

Przyglądała włosy, jeszcze raz odetchnęła głęboko, spojrzała na siebie w lustrze, żeby sprawdzić, że czerwone ślady po łzach zniknęły, potem odwiesiła kapelusz razem z płaszczem i poszła do teściów.

– Hej, mamusiu! – powiedział Daniel, patrząc na nią z dywanu, na którym bawił się kolorowymi drewnianymi klockami.

– Jesteś! – powiedziała Moira i wstała razem z Billem z kanapy, żeby się z nią przywitać.

Podeszła do synowej i na chwilę niezręcznie wzięła ją w objęcia, po czym się zreflektowała. Cofnęła się o krok i zerknęła na Daniela, który tymczasem wrócił do zabawy.

– Więc Reggie pojechał? – zapytał Bill.

– Tak, tak – potwierdziła. – Jest już w drodze.

– To dobrze. Cóż.

Pograżyli się w milczeniu i Annabel nie wiedziała, jak rozładować niezręczną atmosferę. W takich sytuacjach w rolę mediatora wcielał się zawsze Reggie.

– Właśnie mieliśmy napić się herbaty – oznajmił Bill, wskazując tacę z filiżankami na stoliku przed sobą.

– Och, cudownie...

Żadne z teściów nie siadało i nie była pewna, czy ma im to zaproponować, skoro są gośćmi

w jej domu. Ale przebywali tu już, gdy weszła, więc może powinna zaczekać, żeby to oni wystąpili z tą propozycją? Pamiętała, jak konspirowali razem z Reggie, żeby oddać ją do zakładu psychiatrycznego.

– Przyniosę ci filiżankę, moja droga – rzuciła Moira i Annabel weszła głębiej do pokoju, żeby przepuścić idącą do kuchni teściową.

Poczuła woń jej duszących lawendowych perfum. Moira robiła je sama i zawsze dawała Annabel małe fiołki, ona jednak wszystkie wyrzucała.

Herbata! To gospodyni ją podaje! Powinna była zaproponować im coś do picia, gdy tylko weszła. Już ten mały test sprawił, że zawiodła oczekiwania Moiry.

Teść usiadł z powrotem, podczas gdy Annabel przycupnęła na fotelu, wyłamując palce.

Chłopiec odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć.

– Zobacz, co zrobiłem!

Wskazywał prostopadłościenną konstrukcję, którą wzniósł z klocków.

– To zamek. Sam go zbudowałem.

W obecności Billa, który przysłuchiwał się rozmowie, poczuła się przy dziecku jeszcze niezręczniejsza niż zwykle.

– Uhm. – Próbowała odpowiedzieć pogodnie i nawet zmusiła się do uśmiechu.

– Zamek – powtórzył Daniel. – A ja jestem królem.

– I to wspaniałym, młody człowieku – potwierdził jego dziadek. – Może zbudujesz coś jeszcze, żeby nam pokazać, co potrafisz. Hm, mały architekt z ciebie, co?

Daniel pokiwał głową i zabrał się do zbierania rozrzuconych klocków.

Annabel uśmiechnęła się do teścia, który ze swoimi wąsami i sympatyczną twarzą był starszą wersją Reggiego. Tymczasem Moira wróciła z dzbankiem świeżo zaparzonej herbaty i nalała jej wszystkim do filiżanek, także do kubka na mleko dla chłopca.

– Przyjechałaś wcześniej, niż się spodziewaliśmy – zauważyła. – Jak było?

– Było... – Annabel urwała, nie bardzo wiedząc, jak rozumieć to pytanie. – Będę za nim tęskniła – odparła w końcu, chociaż nie była to do końca prawda. – Zrobi się tu dziwnie bez niego – dodała, co z kolei odpowiadało prawdzie. Bała się, że zdradzą ją oczy, ale udało jej się powstrzymać łzy.

– Wszyscy będziemy tęsknili – odrzekła gwałtownie Moira. – Najgorszy jest ten lęk, czyż nie? Codziennie będę się modlić, żeby nic mu się nie stało.

To Annabel zaskoczyło. Była tak zaniepokojona tym, z czym wiązał się dla niej wyjazd Reggiego, że się nie zastanawiała, co by było, gdyby został ranny albo zabity. Co by wtedy zrobiła?

– Nie myśl o tym wszystkim... to cię tylko przygnębia, Moiro – włączył się jej mąż.

– Co babcię przygnębia? – chciał wiedzieć Daniel.

– I pamiętaj, że te małe dzbanki mają wielkie uszy – dodał Bill.

– Nic takiego, kochanie – zwróciła się Moira do chłopca. – Piękny ten zamek.

Pijąc herbatę, wszyscy spojrzeli na dzieło chłopca i przytaknęli.

– Po herbacie chyba już pojedziemy – powiedział Bill. – Mamy przed sobą długą drogę.

Annabel skinęła głową.

– Oczywiście.

– O tej porze roku w Norfolk jest pięknie – dodał.

– O tak, na pewno.

Moira zaczęła się wiercić; odstawiła filiżankę na tacę i przyglądała kasztanowate włosy. W chwilach milczenia wydawała się bardziej skrępowana niż Annabel.

– Ile lat już tam mieszkamy, Bill? Dwa?

– Eee... chyba trzy.

Moira się zaśmiała.

– Ojej! Jak ten czas leci!

– Tak, rzeczywiście, prawda? – Annabel też się uśmiechnęła.

– Nie mogę powiedzieć, żebym tęsknił za Londynem... zwłaszcza teraz – ciągnął Bill. – Wszystkie te ulice zasypane gruzami. – Pokręcił głową. – Moira i ja byliśmy zawiedzeni, kiedy ty i Reggie przeprowadziliście się tutaj po ślubie, i wiem, że twoi rodzice zareagowali podobnie, bo wszyscy mieszkaliśmy niedaleko siebie, ale teraz jesteśmy zadowoleni.

Moira dopiła herbatę.

– Skończyłeś, Bill? Skoro tak... – Wstała ze swojego miejsca i spojrzała na Annabel. – Poradzisz sobie, moja droga?

Wreszcie.

– Tak... tak, dziękuję. Pewnie, że sobie poradzę. – Przełknęła ślinę i uśmiechnęła się słabo. – To znaczy oboje sobie poradzimy. – Znowu wszyscy zerknęli na chłopca. – W razie czego mam dobre połączenie kolejowe do rodziców.

– Daj nam znać, gdybyś czegoś potrzebowała – rzucił Bill.

– Oczywiście, dziękuję.

Uświadomiła sobie, że nawet nie tknęła herbaty, która tymczasem wystygła. Wypiła więc kilka łyków.

– Na pewno Bill jakoś przeżyłby beze mnie kilka dni, gdybyś chciała, żebym została... I zawsze możesz pojechać z nami do Norfolk.

– Nie, nie! – Annabel się przeraziła. – Naprawdę nie ma potrzeby. Nic nam nie będzie.

– Albo... Tak się właśnie zastanawiam. Może powinniśmy zabrać Daniela ze sobą. No, wiesz. Tylko na jakiś czas. Żebyś trochę odpoczęła. A my mielibyśmy trochę rozrywki, prawda, Danielu? Bawiłbyś się ze swoim przyjacielem Harrym. Pamiętasz go? Mieszka w sąsiedztwie.

Chłopiec, gdy rozmowa zeszała na niego, podniósł głowę z nagłym zainteresowaniem.

– Nie, proszę... ja... – Annabel przeniosła wzrok z Moiry na Billa. Czy to kolejny podstęp? – Naprawdę to nie jest konieczne.

– Hm, skoro tak uważasz... Jesteś pewna?

– O tak, całkiem pewna. Dziękuję wam za propozycję, ale naprawdę... Jak mówiłam... nie ma takiej konieczności.

Nie pozostało nic więcej do powiedzenia, więc Bill i Moira w końcu zebrali się do wyjścia.

– Mam ci pomóc pozmywać naczynia, moja droga? Zanim pojedziemy? – zagadnęła Moira.

– O nie, proszę je zostawić... Dziękuję.

Bill przykucnął obok chłopca, krzywiąc się, kiedy głośno strzyknęło mu w kolanie.

– No jak tam? Skończyłeś?

– Prawie. Tym razem zamek wyszedł nawet większy.

– Bardzo duży. O wiele większy od poprzedniego. Dobra robota.

Żartobliwie klepnął chłopca w ramię i wstał.

– Powiedz „do widzenia” – zwróciła synowi uwagę Annabel. – Babcia i dziadek jadą do domu.

Daniel się podniósł; wyraźnie nie miał ochoty na całusy Moiry, ale był zbyt grzeczny, żeby się od tego wymówić. Babcia zostawiła na jego policzku ślad szminki, który zaraz wytarł rękawem.

Bill zmierzwił mu włosy.

– Pa, Danielu.

Annabel odprowadziła teściów do drzwi frontowych.

– Dziękuję, że przyjechaliście.

– Nie bądź niemądra – odparła Moira, cmokając ją w policzek.

Annabel zapanowała nad odruchem, żeby zetrzeć wilgotną smugę pozostawioną przez teściową.

– Trzymaj się, dziewczyno – powiedział Bill, ściskając ją za ramię podobnym gestem jak jego syn jeszcze tego ranka.

– Odwiedzimy cię znowu za miesiąc albo dwa.

– Dziękuję, Moiro. Tymczasem do widzenia.

Daniel poszedł za Annabel do przedsionka i oboje pomachali na pożegnanie odjeżdżającym Pattersonom. Zatrokana twarz Moiry w oknie po stronie pasażera była ostatnim obrazem, jaki zobaczyła Annabel, zanim zamknęła drzwi. Nie spojrzała na łuszczącą się farbę.

To był ciężki dzień i teraz, cztery lata później, siedząc w salonie, Annabel nie miała wątpliwości, że drzwi jeszcze bardziej domagają się odmalowania. Postanowiła później sprawdzić, jak źle wyglądają; najpierw zamierzała napić się ginu i wypalić jeszcze jednego papierosa.

Jeden dymek i zajmie się porządkami domowymi. Poczynając od włożenia listów z powrotem do biurka.

Bezmyślnie sięgnęła po ostatni, leżący na wierzchu. Przyszedł zaledwie tydzień wcześniej – tego ranka, kiedy dostała odręczną wiadomość od dowódcy Reggiego, informującego, że jej mąż otrzymał dzień urlopu na wyjazd do domu. „Dobrze mu robi, gdy zobaczy swoją ładną żonę i syna!” – pisał.

10 maja 1944

Kochani Annabel i Danielu!

Przepraszam, że tak długo nie pisałem. Wszystko u mnie dobrze oprócz tego, że dzwoni mi w uszach i z tego powodu nie mogę spać.

Uściski –

Tata

PS Proszę, piszcie do mnie.

PPS Jak się macie?

– Tak się cieszę, że znowu napisał! Już się martwiłem – powiedział Daniel po przeczytaniu listu.

– Niepotrzebnie. Mówiłam ci.

– Pisz... dość krótko?

– Pewnie jest zajęty.

Ale rzeczywiście ton listu Reggiego był trochę nietypowy. Zdziwiło ją jednak, że chłopca jej odpowiedź nie zadowoliła.

– Natychmiast do niego napiszę! – oznajmił i wbiegł po schodach.

Sądziła, że też powinna to zrobić, ale zaraz potem dowiedziała się o przyjeździe Reggiego do domu. Uznała więc, że nie ma sensu odpisywać, skoro niebawem się zobaczą.

To przyniosło jej pewną ulgę; trudno jej było zapełnić całą kartkę wiadomościami o pogodzie, sytuacji z żywnością, chłopcu.

Złożyła ten ostatni list i wsunęła cały plik do szuflady biurka. Stojąc przy nim, dopaliła dru-

giego papierosa i dopiła drinka, a potem poszła na piętro z pastą z woskiem pszczelim, żeby wypolerować wszystko na błysk.

Pociąg Reggiego miał przyjechać na dworzec Victoria o dziesiątej dwanaście.

Moira i Bill przywieźli Annabel i Daniela do Londynu i teraz całą rodziną stali na peronie, czekając.

Annabel wygładziła zieloną spódnicę i obciągnęła zakiet od kompletu. Chciała się elegancko prezentować, ale jej kostium pomiał się w podróży. Moira jak zwykle wyglądała nieskazitelnie w różowej sukience z długimi rękawami, która ładnie podkreślała kolor jej włosów. Spryskała się swoimi lawendowymi perfumami jeszcze obficie niż zwykle i Annabel zbierało się na mdłości, gdy wdychała ich zapach w zamkniętej przestrzeni samochodu.

– Czy tata na pewno będzie pamiętał, jak wszyscy wyglądamy, dziadku?

– Tak, tak, oczywiście, że będzie. Ty pamiętasz, jak on wygląda, prawda?

– Eee... chyba tak.

– No ładnie!

– Czasami patrzę na zdjęcie ślubne jego i mamy. To w salonie.

Daniel stał między dziadkami, trzymając ich za ręce. Kiedy Annabel na niego spojrzała, właśnie pocierał butem łydkę drugiej nogi. Trochę się denerwował. Bill dopiero co zaprowadził go do toalety, więc miała nadzieję, że na razie chłopiec nie będzie musiał tam iść.

– Ale czasem ludzie na fotografiach wyglądają inaczej niż w rzeczywistości – ciągnął. – Czasem się uśmiechają, żeby wyglądać na zadowolonych, chociaż nie są zadowoleni, a czasami robią poważne miny, choć chce im się śmiać.

– Tak, chyba masz rację.

– A czasem możesz się uśmiechać i być szczęśliwy w chwili, kiedy robią ci zdjęcie, a zaraz potem coś ci się staje i zaczynasz płakać.

– Tak, to także prawda. Ale tata wygląda jak na fotografii w salonie. I bardzo się ucieszy na twój widok.

W końcu pociąg przyjechał i z wagonów zaczęli wysypywać się pasażerowie. Było wśród nich kilku mężczyzn w mundurach i rodzina zlustrowała ich twarze, szukając wśród nich Reggiego.

I ledwie go rozpoznali. Bill się mylił; Reggie wcale nie wyglądał jak na tamtej fotografii.

Annabel usłyszała, jak Moira gwałtownie wciąga powietrze, i podążyła za jej wzrokiem.

– O Boże – powiedziała.

Reggie bardzo schudł i jego oczy w pociągłej twarzy wydawały się wręcz ogromne. Widać w nich było oszołomienie, i początkowo, gdy powoli szedł z tłumem, jakby nie zauważył rodziny.

– Do diabła! – mruknął Bill.

– Dziadku, przekląłeś!

– Nie słuchaj, Danielu.

Annabel się zorientowała, że chłopiec jeszcze ojca nie dostrzegł; wciąż się za nim rozglądał.

– Reggie! Reggie! Tutaj! – zawołała Moira, ruszając w stronę syna.

Annabel nie widziała już twarzy teściowej, ale nie miała wątpliwości, że maluje się na niej promienny uśmiech. Sama usiłowała przybrać podobną minę.

Zrobiła kilka kroków do przodu, razem z Billem, który trzymał chłopca za rękę, a tymczasem Moira zdążyła już uściskać syna i teraz prowadziła go na spotkanie z resztą rodziny. Może to

w tym brązowozielonym mundurze wydawał się taki blady.

– Och! Witaj, Reggie!

W towarzystwie teściów czuła się stremowana, ale wspięła się na palce, żeby pocałować go w szorstki od zarostu policzek. Jego wąsy były niechlujne i prawie zlewały się z bokobrodami.

– To cholerne dzwonięcie w uszach – powiedział głośno, machając rękami przy skroniach. – Ledwie was słyszę.

Bill wystąpił do przodu.

– Wspaniale, że przyjechałeś do domu, synu. – Klepnął go w ramię i Annabel spostrzegła, że mąż się wzdrygnął.

Wtedy Reggie zauważył syna. Patrząc na niego, znieruchomiał.

– Mój Daniel.

Chłopiec do tej pory przyglądał mu się z niedowierzającą miną i przyciskał się do nogi dziadka. Teraz jednak musiał dojrzeć w ojcu coś znajomego, bo bez słowa wyciągnął ręce i Reggie wziął go w objęcia. Jeden wtulił twarz w szyję drugiego.

Podczas jazdy powrotnej do Kentu Moira usiłowała nawiązać z Reggie rozmowę, ale on siedział na przednim fotelu i mówił, że jej nie słyszy. Mimo to przez całą drogę do domu gawędziła wesoło – zapewne na użytek wszystkich innych, jak sądziła Annabel.

Zajechawszy przed dom, wysiedli z samochodu, żeby trochę odpocząć i wyjąć z bagażnika torbę Reggiego. Moira nalegała, żeby się ogolił, i teraz, ku uldze Annabel, bardziej przypominał dawnego siebie.

Widać było, że wojna go odmieniła. Choć wydało jej się to dziwne, gdy przypomniawszy sobie odprężonych, przynajmniej z pozorów, niemieckich jeńców, którzy przybyli do wsi. Pomyślała o tym wysokim, z jasnymi włosami, Johannesie, idącym ulicą pewnym krokiem.

A potem znowu znaleźli się w samochodzie; pojechali do hotelu Hillwood Grange w Densford, gdzie Bill zarezerwował stół na lunch. Posadzono ich w miłym miejscu przy dużym oknie. Wszyscy zamówili pieczeń wołową.

Gdy czekali na jedzenie, Reggie zaczął się wiercić; kręcił głową i wciąż spoglądał na sąsiednie stoliki.

– Wszyscy zachowują się normalnie. – Zachichotał nerwowo i z niedowierzaniem przeniósł wzrok na Moirę.

– Każdy musi jeść, Reggie – odparła jego matka. – To nie znaczy, że mniej przejmują się wojną niż ty.

Syn popatrzył na nią przeciągle i nastąpiła krępująca chwila milczenia.

– Zachowują się całkiem normalnie.

Kiedy siedzieli tam z Reggie w mundurze, Annabel rzeczywiście miała wrażenie, że dziwnie jeść lunch w restauracji, podczas gdy po drugiej stronie kanału giną ludzie.

Rozumiała, co mąż ma na myśli; ten posiłek, ta cała restauracja były niedorzeczne.

Dziwiło ją jednak, że Reggie tak zależy, aby wszyscy zdali sobie z tego sprawę. Jeśli nie liczyć tego jednego dziwnie emocjonalnego listu, w którym pisał o stanie jej nerwów po urodzeniu Daniela, zwykle, tak jak jego rodzice, udawał, że wszystko jest w porządku. Po kolejnej podróży samochodem, podczas której Reggie albo zagadkowo milczał, albo dla odmiany wybuchł, mówiąc o dzwonieniu w uszach, Moira najwyraźniej miała nerwy w strzępach. Nawet Bill wydawał się trochę sfrustrowany zachowaniem syna. Może czuli to samo co ona i w głębi ducha z ulgą myśleli, że rano Reggie wyjedzie.

Kelnerka nalala im do kieliszków kwaśnego białego wina, jeszcze raz przepraszając, że tego dnia nie ma w karcie czerwonego. Annabel pociągnęła parę łyków. Patrzyła na biały obrus, tak często krochmalony, że zaczął się przecierać w miejscu złożenia. Przesunęła palcem po materiale, wyczuwając, gdzie szorstka bawełna stała się gładka i wyświecona.

Napiła się więcej kwaśnego wina.

Daniel układał przed sobą sztucce w geometryczny wzór. Nikt nie zwraca mu uwagi, żeby grzecznie się zachowywał, bo przynajmniej siedział cicho. Jego muszka zaczęła obwisać. Jeśli wyczuwał ogólne napięcie czy zdenerwowanie ojca, nie dawał tego po sobie poznać.

Wróciła kelnerka z pomocnicą; przyniosły dania na tacach i zamaszystym gestem stawiały talerze przy każdym nakryciu.

Annabel nagle poczuła się straszliwie głodna; przyjemnie było dla odmiany zjeść ciepły posiłek. Przeważnie, gdy z chłopcem zgłodnieli, jadali kanapki, bo było to łatwiejsze niż kupowanie produktów i gotowanie.

Zastanowiło ją, skąd hotel bierze żywność.

Siedzący naprzeciwko niej Reggie żuł pracowicie, ale w końcu zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak z kawałkiem mięsa, który miał w ustach.

– Nie zjem tego.

– Słucham? – zapytała Moira.

– Tu są... no, nie wiem... jakieś chrząstki. Same kości. Zamaskowali je tym całym tłuszczem z cebulą. – Przesunął kęs pod policzek i spojrział kolejno na każde z nich.

– Nie połknę tego – oznajmił z paniką na twarzy. – Nie dam rady.

Moira zaczęła się śmiać.

– To wypluj!

Pokręcił głową.

– Nie mogę!

– Nie masz wyjścia! Zrób to dyskretnie, w serwetkę. Nikt nie zauważy.

Reggie także się zaśmiał, chociaż musiał trzymać usta zamknięte, żeby nie wypadł z nich kęs jedzenia.

Bill zaczął chichotać i po chwili dołączył do nich chłopiec. Annabel się uśmiechnęła, zadowolona, że napięcie zostało rozładowane.

Reggie wciąż się śmiał, z wymowną wypukłością na policzku. W końcu podniósł serwetkę do ust i wypluł w nią twarde mięso. Złożył ją, żeby ukryć tłuste plamy na materiale. Wszyscy chichotali i Reggie, który próbował się opanować, miał czerwone policzki. Starając się nie przyciągać uwagi, wszyscy siedzieli skuleni, z wyjątkiem Daniela, któremu podobało się to ogólne rozbawienie, choć Annabel nie była pewna, czy zrozumiał żart.

Reggie śmiał się tak, że aż się popłakał. I nie mógł przestać. Po policzkach płynęły mu łzy i Annabel z przerażeniem zdała sobie sprawę, że tłum szloch.

Początkowo trudno było się zorientować, kiedy w jego zachowaniu zaszła zmiana i co się takiego stało. Wszyscy śmiali się jeszcze jakiś czas, zanim zdali sobie sprawę, co się dzieje.

Annabel natychmiast oprzytomniała. Zobaczyła, że z twarzy teściów znikają głupie uśmiechy. Tylko chłopiec jeszcze chichotał.

Moira potoczyła zaniepokojonym wzrokiem po restauracji. Annabel także się rozejrzała; goście przy sąsiednich stolikach zerkali na nich i szeptali z dłońmi przy ustach.

– Dość tego – szepnął Bill. – Pozbieraj się, synu.

Reggie odwrócił się ku oknu, żeby ukryć oczy przed spojrzeciami przerażonej rodziny. Wciąż

gnął powietrze, starając się odzyskać panowanie nad sobą.

Annabel siedziała oniemiała. Miała coś powiedzieć? Pocieszyć go? Spojrzała na Moirę, szukając wskazówki, ale zobaczyła na jej twarzy tylko zażenowanie. Prawdę mówiąc, sama też była zażenowana i dziwnie przestraszona.

Takie zachowanie w miejscu publicznym! To było niewiarygodne. Ona sama nigdy nie urządziła sceny na oczach wszystkich – niezależnie od tego, jak była słaba, co działo się w domu, obcy nie mogli nic wiedzieć.

Zauważyła, że nawet chłopiec zamilkł; patrzył na ojca, świadom, że coś jest bardzo nie tak.

Reggie ukradkiem otarł oczy, żeby usunąć ślady upartych łez. Odwrócił głowę ku wszystkim, choć nie podnosił wzroku.

– Już w porządku.

Rozdział ósmy

„Najmłodszy przyniósł królowi swój kubek,
aby się z niego napił i wyzdrowiał”.
– z *Wody życia*

– Danielu?

Wciąż patrzyłem na tatę, który z kolei wbił zaczerwienione oczy w talerz przed sobą, więc dziadek potrząsał moim ramieniem, dopóki nie spojrzałem na niego – siedział tuż obok.

– Chodź, chłopcze, pójdziemy do łazienki.

Czułem, że płoną mi policzki; gdy szliśmy przez restaurację do toalety, spoglądali na nas inni ludzie. Dziadek tego nie zauważył, bo miał spuszczoną głowę.

– Dlaczego tata płacze?

– Co? Nie, wcale nie płacze. – Otworzył drzwi jednej z kabin. – Wejdiesz do środka?

– Płacze. Widziałem.

– E tam! To przez tę cebulę w sosie! Nie słyszałeś, że od cebuli się płacze?

Kiwnąłem niepewnie głową.

– No widzisz. Trochę wstydliva sprawa. Najlepiej już o tym nie wspominać... Przecież nie chcesz, żeby tata czuł się głupio. Damy mu chwilę. W towarzystwie kobiet. Kiedy wrócimy, znowu będzie sobą.

Biedny tata! Miałem nadzieję, że ja sam nie rozplączę się przez tę cebulę w sosie. Postanowiłem, że po powrocie do stolika zeszkrobię ją ze swojej porcji. Zeskrobałbym także z porcji taty, ale nie chciałem robić mu wstydu. Niech sam się tym zajmie.

Kiedy wróciliśmy do domu, tata powiedział, że musi się zdrzemnąć, więc poszedł na górę do swojego pokoju. Potem się zebraliśmy na herbatę w salonie, ale tata nie schodził, więc gdy zaczęło się ściemniać, dziadek i babcia powiedzieli, że pojedą już do siebie, do pubu.

– Ale zanim wyjdziemy, powinniśmy go obudzić, żeby się pożegnać – doszła do wniosku babcia. – Prawie się z nim nie widzieliśmy.

Mama już chciała wstać z fotela.

– Mam po niego pójść...?

– Nie, niech śpi – odezwał się dziadek. – To mu dobrze zrobi. Jest wykończony i tyle. Trochę... jak to mówią... zmęczony po walce. Gdy się wyśpi, będzie jak nowo narodzony.

Kiedy wyszli, zacząłem gmerać przy muszce, aż się rozwiązała, a mama włączyła radio i zrobiła sobie jednego ze swoich specjalnych drinków. Poszedłem na górę i zacząłem nasłuchiwać pod drzwiami pokoju taty. Ale w środku panowała cisza.

Pchnąłem drzwi i na palcach podkradłem się do jego łóżka. Przed pójściem spać przebrał się w piżamę, przez co wyglądał bardziej jak on; uznałem, że mimo wszystko nie podoba mi się ten jego zielony żołnierski mundur. Ciekawie było obserwować jego twarz, kiedy spał, bo śnił, wiedziałem to – miał lekko otwarte usta i drgały mu powieki. Nagle otworzył oczy, usiadł prosto

i wciągając powietrze, chwycił mnie za ramiona – co obu nas przestraszyło.

– Ach, Daniel! – Zaśmiał się słabo i położył z powrotem. – To ty. Co tu robisz?

Wzruszyłem ramionami.

Zastanawiałem się, czy mu powiedzieć, że w okolicach Bambury kręci się troll. Pomyślałem jednak, że lepiej nie będę go martwił, skoro z samego rana wyjeżdża.

– Opiekuję się mamą – odparłem w końcu.

Zaśmiał się znowu.

– Wiem. Widzę. Jesteś bardzo dobrym chłopcem.

– Uhm. – Ściszyłem głos. – Prowadzę wokół domu tajną działalność, żeby ją chronić.

– Bądź tak miły i mów głośnie! Tak mi dzwoni w uszach.

Powtórzyłem, co powiedziałem. Uśmiechnął się i potargał mi włosy.

– Świetnie. Dzielny chłopak.

Ziewnął i zapraszająco odchylił róg kołdry, więc pod nią wszedłem. Gdy przykrył nas obu i przytulił się do mnie, poczułem się jak w ciepłym kokonie. Byłem niczym zwinięty motyl. Wciąż miałem na sobie ubranie, więc zrobiło mi się trochę gorąco, ale przyjemnie było leżeć w jego objęciach. Wiedziałem, że jako dziewięciolatek jestem już za duży, aby z nim spać – ostatnio, kiedy z nim sypiałem, byłem bardzo mały i zdarzało się to tylko wtedy, gdy śniło mi się coś złego. Wyglądało jednak na to, że teraz tacie śni się coś złego, więc chętnie z nim zostałem, żeby się nie bał.

Trzymał nos tuż nad moją głową, więc łechtał mnie jego oddech, ale to też było miłe. Oddychał coraz głębiej i głębiej, aż w końcu znowu zasnął. Gdy leżałem w jego ramionach, ogarnął mnie taki spokój, że sam zasnąłem, i chociaż obudziłem się na chwilę, gdy mama szła do swojego pokoju, szybko znowu zapadłem w sen i tak spaliśmy objęci przez całą noc.

Z tatą w domu zawsze było lepiej, więc żałowałem, że musi tak szybko wyjechać. Obudziłem się dość wcześnie, zostawiłem go śpiącego i poszedłem do łazienki. Jeszcze nie mieliśmy okazji posiłować się ze sobą, pomyślałem w trakcie mycia zębów, i teraz, nawet gdyby nie dał mi forów, na pewno bym go pokonał. Dziadkowie jeszcze nie przyjechali, żeby zabrać nas do Londynu i odstawić tatę na pociąg, a mama spała w swoim pokoju, więc mielibyśmy chwilę czasu dla siebie.

Kiedy jednak wróciłem do pokoju, taty nie było w łóżku i nie mogłem go nigdzie znaleźć.

Pomyślałem, że gdzieś sobie poszedł, i zrobiło mi się smutno, bo mnie nie uprzedził. Potem przyszło mi do głowy, żeby zajrzeć do ogrodu.

Wtedy usłyszałem śmieszny dźwięk dochodzący ze schronu przeciwlotniczego. To brzmiało prawie jak szloch. Nasłuchiwałem chwilę, a potem zapukałem do drzwi.

– Tatusiu...?

Odgłos natychmiast ucichł, ale drzwi się nie otworzyły, więc po chwili odszedłem.

Rozdział dziewiąty

„Nie było dla niej większej przyjemności, jak słuchać opowiadania o ludziach. Babka po tysiąc razy musiała powtarzać wszystko, co sama wiedziała o świecie, o okrętach, miastach, ludziach i zwierzętach”.

– z *Syreny*

Annabel była tak wyczerpana wizytą Reggiego – i obecnością teściów – że po jego wyjeździe przeleżała w łóżku niemal dwa dni. Drugiego jednak poczuła wielką chęć zaczerpnięcia świeżego powietrza i postanowiła po południu wybrać się na High Street i zrobić zakupy.

Było słonecznie i ciepło, więc na kwiecistą sukienkę zarzuciła tylko kardigan. Kiedy wychodziła za drzwi frontowe z wiklinowym koszykiem, zobaczył ją chłopiec. Pomyślała, że musi mu być smutno po wyjeździe ojca, i poczuła się wobec niego winna. Zdecydowała, że weźmie go ze sobą. Otworzyła przed nim furtkę i gdy przez nią przechodził, pod wpływem niespodziewanej czułości położyła mu dłoń na głowie. Uśmiechnął się, patrząc jej w oczy.

Skierowała się do warzywniaka Sida Mitchella, żeby kupić na kartki trochę owoców i warzyw. Od czasu do czasu udawało jej się też dostać od niego gin spod lady. Zawsze mówiła, że to dla ojca, który lubi sobie chlapanąć. Kiedy weszli do sklepu, pan Mitchell właśnie rozprawił o obozie jenieckim ze swoim pomocnikiem, przyszczatym młodzieńcem.

Annabel podeszła do skrzynki z marchewkami i wybrała kilka sztuk; lunch w hotelu podsunął jej myśl, żeby ugotować ciepły posiłek.

– Ale kto ich pilnuje? – pytał nastolatek.

– Hm – zaczął pan Mitchell – za dnia chodzą po różnych gospodarstwach, więc pewnie farmerzy. Ale sam obóz, który znajduje się na polu należącym kiedyś do Raya Dawsona, podlega staremu wojskowemu, pułkownikowi z pierwszej wojny.

– Tylko jemu?

– Tylko jemu.

Annabel przesunęła się trochę, żeby widzieć rozmawiających. Pan Mitchell zapuścił z jednej strony swoje siwe włosy i zaczesywał je tak, żeby zakryć łysinę. Siedział na taborecie za ladą, podczas gdy młodzik stał oparty o półki i z uwagą słuchał szefa.

– Zapomniałem, jak ma na nazwisko... ten pułkownik – ciągnął. – Ale się tam nie przepracowuje... Z tego, co słyszałem, przez całe dni siedzi w baraku, czyta doniesienia z wyścigów i je zupy w proszku. Dwa razy dziennie musi odwalić apel i ma z głowy.

To wydawało się Annabel mało prawdopodobne. Przecież teren obozu powinien być strzeżony przez wojsko albo choćby członków Home Guard, obrony terytorialnej? To samo musiał pomyśleć pomocnik sprzedawcy, bo gdy zauważył, że wobec tego obóz „nie jest zbyt dobrze zabezpieczony”, w jego głosie brzmiał niepokój.

Annabel podeszła do ziemniaków, a chłopiec za nią.

– Och, nie martw się – uspokoił pomocnika sklepikarz. – W takim miejscu nie musi. Nie

przysyłają tu hitlerowców z wysokimi stopniami wojskowymi. Jasne, że nie. Tych przewożą w ścisłej tajemnicy Bóg wie dokąd. W jakieś dobrze strzeżone miejsce, gdzie mogą wydobyć od nich informacje. Najpewniej do Szkocji. Albo na jedną z tych śmiesznych wysepki niedaleko lądu. A może za granicę.

Annabel zauważyła, że chłopak, kiedy to usłyszał, wytrzeszczył oczy, lecz nie odezwał się ani słowem.

– Może Bambury jest dla ciebie całym światem, chłopcze, ale w gruncie rzeczy to tylko mała kropka na mapie. Możesz mi wierzyć, żaden z tych szkopów w obozie nie jest nikim znaczącym, to same płotki. A ponieważ mieszkamy na zapadłej prowincji, z dala od wszystkiego, nawet gdyby któryś uciekł z obozu, to gdzie by się ukrył?

Pomocnik sklepikarza już otwierał usta, żeby się sprzeciwić, jednak pan Mitchell jeszcze nie skończył.

– Poza tym nie przysyłają ich tu jak popadnie. Najpierw ustalają ich rangę i przesłuchują. Kiedy następnym razem zobaczysz kogoś we wsi, przyjrzyj mu się... będzie miał naszyty na tył koszuli romb z materiału. Czarny, jeśli to oficer wysokiej rangi albo zacięty hitlerowiec. Biały, jeśli antynazista. Reszta nosi szare. Wszyscy, których widziałem w Bambury, mają szare romby, bo ludzie w ogóle są w odcieniach szarości, nie sądzisz? Tak czy owak to zwyczajni Niemcy. Nie żadni tam naziści.

– Ale czy to niemożliwe, żeby...

– Nie, ci jeńcy nawet nie myślą o ucieczce i powiem ci dlaczego.

Pociągnął kilka łyków herbaty z kubka, robiąc dramatyczną przerwę. Annabel wzięła ziemniak i obracała go w dłoniach, jakby sprawdzała, czy jest bez skazy.

– Bo nikt o zdrowych zmysłach nie chciałby stąd odejść. – Pokiwał głową. – Zastanów się tylko: ci młodzi chłopcy mogą tu bezpiecznie przeczekać resztę wojny. Warunki mają dobre, są z daleka od frontu, nikt nie zamierza ich zabić i oni sami nie muszą nikogo zabijać. Są żywieni i owszem, wykonują prace fizyczne na farmach wokół wsi, ale później mogą grać w karty i siedzieć z podpartymi nogami w górze. Całkiem niezłe życie. Inni mają gorzej, tyle ci powiem. Jak mój Teddy na froncie.

Po tym sklepikarz dopił herbatę jednym łykiem i dla podkreślenia swoich słów głośno odstaawił kubek na ladę.

Spojrzał na Annabel.

– Dzień dobry, pani Patterson. W czymś pani pomóc, moja droga?

Annabel podskoczyła – wiedziała, że została przyłapaną na podsłuchiwanie – wskazała jednak ziemniaki i spytała o odmianę.

W drodze powrotnej zapowiedziała chłopcu, że zbczą trochę z drogi do domu – choć tak naprawdę mieli go minąć – żeby zerknąć na ten obóz jeniecki. Jeśli nie liczyć niemieckiego żołnierza, który rąbał drewno w sadzie, jeszcze nie widziała żadnego z jeńców, odkąd przybyli do Bambury, i poczuła ochotę, żeby zobaczyć, gdzie są trzymani.

Poszli dalej Ivy Lane, nie wstępując nawet do domu, żeby zostawić zakupy, a potem skręcili w lewo. Minęli farmę Dawsona i jeszcze przez dwadzieścia minut podążali drogą otoczoną z obu stron wybujałymi żywopłotami i polami, aż wreszcie dotarli na miejsce.

Annabel zesła z asfaltu na trawiaste pobocze, żeby spojrzeć za krzewy. Patrząc na obóz, oparła koszyk na biodrze. Chłopiec biegał wzdłuż żywopłotu w jednym i drugim kierunku, przykucając to tu, to tam, żeby przez niego zajrzeć.

W miejscu, gdzie zaledwie kilka tygodni wcześniej pasły się owce, stał obóz dla niemieckich

jeńców wojennych. Naliczyła dziesięć baraków z prefabrykatów, choć zmieściłoby się tam jeszcze dziesięć; sterty materiałów budowlanych wskazywały, że rzeczywiście w swoim czasie obóz się rozrośnie. Tylko w jednym baraku dostrzegła grube czarne zasłony w oknach; domyśliła się, że na razie tylko on jest zamieszkały.

Baraki z blachy falistej stanowiły bazę; były to konstrukcje z zaokrąglonymi dachami i bokami, jakby stanowiły kiedyś cylinder albo walec, który przecięto na pół. Stała zbyt daleko, żeby dojrzeć coś przez okna, ale wyobrażała sobie, jak pomieszczenia wyglądają w środku. Sądziła, że mieszczą ze czterdzieści prycz, i pod każdą ze ścian ujrzała dwadzieścia metalowych łóżek polowych z cienkimi materacami. Na skraju pola stało jeszcze kilka mniejszych baraków, ze zbiornikami na wodę na dachach, więc się domyśliła, że muszą to być prowizoryczne łazienki, z muszlą klozetową, umywalką i być może prymitywnym prysznicem.

Ogarnęła wzrokiem resztę obozu i zauważyła mniejszy, ale trochę solidniejszy budynek; uznała, że pewnie mieści on biuro i kwatery starego pułkownika, o którym wspominał pan Mitchell. Jedyne „strażnika” obozu.

Wydawało się trochę dziwne, że tylko ten starszy mężczyzna pilnuje czterdziestu niemieckich żołnierzy, a przecież miało ich przybyć więcej. A jeszcze dziwniejsze, że ci mogli swobodnie chodzić po okolicy, jakby w czasach pokoju szli do normalnej pracy, i pomagać farmerom.

Trudno jej było pogodzić spokojne podejście mieszkańców Bambury do niemieckich żołnierzy z widoczną nerwicą Reggiego. W takim kontekście wychodził trochę... cóż, na głupca.

Nie było żadnych doniesień o kłopotach z jeńcami we wsi i właściciel warzywniaka najwyraźniej sądził, że tak naprawdę nie różnią się oni od Brytyjczyków. Że to pechowcy, którzy przypadkiem znaleźli się nie w tej armii, nie po tej stronie.

Pomyślała o Johannesie, jeńcu, którego poznała, i zrobiło jej się go trochę żal; był zwykłym młodym mężczyzną przetrzymanym w niewoli w obcym kraju.

Może powinna zobaczyć się z nim znowu. Postanowiła, że kupi od niego nową partię drewna – i tym razem postara się być dla niego miła.

Rozdział dziesiąty

„Zobaczyłem niewielką chatkę. Paliło się przed nią ognisko i tańczył przy nim bardzo dziwny maleńki ludzik. Skakał na jednej nodze i śpiewał”.
– z *Rumpelsztyka*

Początkowo nie mogłem znaleźć na tyle dużego prześwitu, żeby zobaczyć cokolwiek po drugiej stronie. Niecierpliwie biegałem wzdłuż żywopłotu, wysoka trawa na poboczu drogi łaskotała mnie w nogi, ale musiałem wiedzieć, jak wygląda ten obóz jeniecki.

Myślę, że mama chciała osobiście sprawdzić, czy to więzienie jest bezpieczne. Strasznie bała się Niemców, zwłaszcza teraz, gdy po powrocie taty na wojnę znowu mieszkaliśmy sami.

Kiedy wreszcie znalazłem mały prześwit w żywopłocie i zobaczyłem obóz, zdziwiłem się, bo wyglądał znajomo – jakbym widział go już wcześniej.

– Och – powiedziałem zaskoczony.

Te dziwne półokrągłe budynki przypominały tajemnicze chaty rozrzucone między wielkimi dębami – te, które ujrzałem, gdy poznaliśmy drwala.

Stało się coś ważnego, coś dziwnego i magicznego. Tu, w tym miejscu, zeszyły się oba moje światy. I jakimś cudem drwal potrafił przechodzić z jednego w drugi. Był kluczem, nie miałem co do tego wątpliwości.

Po jakimś czasie mama się odwróciła i ruszyła z powrotem do domu. Zostałem jeszcze chwilę, a potem pobiegłem za nią.

Ja tam nie boję się Niemców – pomyślałem, gdy szliśmy drogą prowadzącą z wioski drwala na farmę Dawsona i do naszego domku. Wiedziałem, jacy są; żyją w czarodziejskim świecie, często mrocznym, w którym jednak dobro zawsze, ale to zawsze zwycięża. Tak i już.

Mimo to czasy były ponure, wszyscy tak mówili, a nie wiedzieli nawet, że wokół wsi krąży troll.

Nie chciałem, aby mama, oprócz wojny, martwiła się jeszcze tym niebezpieczeństwem – ale przecież nie musiała o nim wiedzieć; byłem całkowicie przygotowany, żeby jej bronić.

Patrzyłem na nią, idącą nieco przede mną; wiał tak silny wiosenny wiatr, że groził rozwianiem jej ciemnych włosów, których pasma smagałyby ją po twarzy, zamiast tkwić porządnie tam, gdzie powinny, nad ramionami, starannie ułożone żelazkiem w loki. Ostatnio lubiłem ją obserwować. W pewnym sensie szpiegować, ale tylko po to, żeby nad nią czuwać. Jak głosiły plakaty: „Zachowaj czujność przed wrogiem!”.

Często wychodziłem do ogrodu od frontu i zaglądałem przez okno salonu, żeby zobaczyć, co robi. Przeważnie siedziała w fotelu, słuchała radia i patrzyła w dal. Czasami potajemnie szedłem za nią, gdy wybierała się do wsi, i patrzyłem, jak stoi w kolejce do rzeźnika, pana Luptona, albo cierpliwie czeka przed sklepem spożywczym, żeby kupić na kartki cukier lub owoce konserwowe.

Trudno mi to określić, ale kiedy myślałem o naszym życiu we dwoje, miałem dziwne uczucie. Szkoda, że tata był na wojnie. Żałowałem, że nie mógł zostać dłużej w domu. Ale jak wszyscy bohaterscy wojacy z moich bajek musiał bronić naszego królestwa – a to oznaczało udział w walkach na obcej ziemi.

Ponieważ go kochałem, bałem się, że stanie mu się coś złego, ale bałem się także z tego powodu, że zawsze tak się dzieje. A moje życie z mamą było... Nie przychodziło mi do głowy odpowiednie słowo. Dziwaczne? A czasami nawet trochę straszne.

Na przykład ten list. Ten, od którego, kiedy go czytałem, zapierało mi dech i nie mogłem złapać powietrza, choćbym nie wiem jak bardzo się starał.

Znalazłem go przed rokiem, gdy przetrząsałem biurko w poszukiwaniu mapy, która zaprowadziłaby mnie do zakopanego pirackiego skarbu. Poznałem pismo taty, bo przysyłał mi liściki. Pisma mamy nie znałem, więc sądziłem, że będzie podobne do mojego. Ale nie było. Miałem wtedy jeszcze osiem lat i nie rozumiałem wszystkich słów. W listach do niej tata pisał mniej wyraźnie, łącząc poszczególne litery. Ale zdołałem przeczytać tamto zdanie. O tym, że nic do mnie nie czuła. Wtedy straciłem dech i myślałem, że już go nie odzyskam; poruszałem łapczywie ustami jak złota rybka w akwarium, tonąc w powietrzu.

Tata na pewno musiał się pomylić. Na pewno źle ją zrozumiał – nawet teraz miał kłopoty ze słuchem. Bo przecież tak lubiła czytać mi co wieczór bajki, była szczęśliwa, kiedy się dowiedziała, że urodzi dziecko – bo miałem być jej prawdziwym Pupilkim.

Doszedłem do wniosku, że muszę po prostu być dobrym chłopcem, i to wszystko. Jeśli będę się starał, musi mnie pokochać. Pokocha mnie, jak Gerda kochała Kaja; powędrowała przecież na koniec świata, na sam biegun północny, żeby wyrwać go z rąk Królowej Śniegu.

Czasami przyglądałem się innym chłopcom ze wsi, gdy z matkami wychodzili z domu. Patrzyłem, jak się zachowują, co mówią – co takiego robią, że matki ich kochają. Nie przyjaźniłem się z żadnymi kolegami ze szkoły, nie bywałem u nich w domach i nie wiedziałem, jak tam jest. Miałem jednak dziwne wrażenie, że nie tak jak u mnie w domu.

Chłopcy w szkole nie bardzo mnie lubili, ale miałem przyjaciela, Harry'ego – tego od sąsiadów moich dziadków. Poszedłem do niego pewnej soboty, kiedy się rozpadało i nie mogliśmy bawić się na dworze. Był wysportowany i mniej więcej w tym wieku co ja. Babcia dbała o to, żebyśmy się spotykali, kiedy przyjeżdżałem do nich z wizytą.

Tamtego deszczowego dnia Harry zabrał mnie na górę do swojego pokoju i bawiliśmy się kolejką, dość drogą. Jego rodzice zostawili otwarte drzwi do swojej sypialni i widziałem, że w środku jest czysto i porządknie. W pokoju Harry'ego też ładnie pachniało. Jego mama i tata byli na dole, śmiali się i żartowali.

Po jakimś czasie mama Harry'ego zawołała nas na herbatę. To było miłe z jej strony, że pozwoliła mi zostać na kolację, bo ludzie zwykle nie lubią dzielić się swoimi racjami żywnościowymi. Podała gotowaną szynkę i kapustę z mięsem i ziemniakami, a wcześniej, zanim usiedliśmy do stołu, kazała nam umyć mydłem ręce w kuchni. Patrząc na mnie, gdy stanęliśmy obok siebie z rękami pod kranem, Harry przewrócił oczami i ja zrobiłem to samo, ale tak naprawdę dobrze się bawiłem. Podczas kolacji wszyscy gawędzili pogodnie, a mama Harry'ego zadała mi kilka pytań o Bambury. Potem przyszła po mnie babcia. Po tych odwiedzinach przez godzinę czy dwie byłem trochę oszołomiony. Próbowałem sobie wyobrazić, jak by to było, gdybym zaprosił Harry'ego do naszego domku.

Na górze panował bałagan i czasami mama zapominała pójść po zakupy. A kiedy szukałem talerzy i szklanek, żeby pozmywać naczynia, to było jak zabawa w chowanego. Nieraz mama

wydawała się nieobecna, nawet kiedy przebywaliśmy w tym samym pokoju. Gdy jednak myślałem o swoich bajkach, dochodziłem do wniosku, że występujące w nich matki albo macochy nie są zbyt dobre dla swoich dzieci i w ich świecie nie stanowi to niczego dziwnego, więc uważałem, że powinienem się mieć za szczęśliwca, mieszkając ze swoją ładną mamą w małym domku w Bambury.

Wieczorem tego dnia, którego odkryłem, że obóz jeniecki to tak naprawdę czarodziejska wioska drwali, mama przeczytała mi bajkę o Rumpelsztyku. Mimo że była to opowieść o oddaniu dziecka i podstępnie, jej głos brzmiał kojąco jak kołysanka i zanim wyszła z pokoju, głęboko zasnąłem.

Może jednak ta historia zrobiła na mnie większe wrażenie, niż sądziłem, bo nagle ze snu wyrwał mnie jakiś hałas. Potoczyłem wzrokiem po pokoju, żeby zobaczyć, co mnie obudziło. Ale nic takiego nie zauważyłem, panowała cisza i ciemność, słychać było jedynie zwykłe nocne odgłosy domu. Radio na dole było wyłączone, więc mama musiała być już w łóżku.

Wtedy znowu to usłyszałem – jakiś brzęk. Trudno było się zorientować, skąd dochodzi, ale wydawało mi się, że nie z wnętrza domu. Podkradłem się do okna i odciągnąłem zasłonę, żeby wyjrzeć na dwór. Ścieżka ogrodowa w blasku księżyca była cicha i spokojna. Zlustrowałem ulicę. Może lis albo kot coś przewrócił?

Chwilę później kątem oka zauważyłem jakiś ruch i spojrzałem w stronę domu stojącego nieco dalej. W ogrodzie dostrzegłem ciemną postać, ciemniejszą niż nocne cienie. Kto to był? Jakby szedł; powoli skierował się ścieżką do furtki i ruszył ku domowi naprzeciwko.

Kiedy wkroczył na ulicę, zaparło mi dech w piersi. Był to troll, skradał się po wsi w środku nocy – w porze czarów. Odskokczyłem od okna. Czyżby szukał mnie? Skąd wiedział, że tata wyjechał i jesteśmy z mamą sami w domu? Ale choć trząsałem się ze strachu, znowu podszedłem do okna, żeby zobaczyć, co robi dalej. Tym razem jednak zaciągnąłem zasłonę, żeby mnie nie widział.

Myszkował w ogrodzie od frontu na wprost naszego domku i z przerażeniem patrzyłem, jak skrada się wąskim przejściem, w którym stał kubeł na śmieci. Tam na chwilę straciłem go z oczu, aż w końcu ukazał się znowu. Dosłownie obwąchiwał domy, żeby sprawdzić, kto jest w środku. Chciał mnie wywęszyć. A jeśli nie mnie, to kogoś innego, kto smakowicie pachniał. Trolle najbardziej lubią jeść dzieci, ale także piękne kobiety. Pomyślałem o mamie śpiącej obok w łóżku. Żeby tylko potwór nie próbował jej porwać. Przełknąłem ślinę, bo miałem wrażenie, jakby coś utkwilo mi w gardle.

Znowu ruch – troll wychodził! Na ulicę! Wstrzymałem oddech, gdy jego ciemna sylwetka przemknęła przez drogę – w kierunku naszego domku! Gdy ostrożnie uchylił furtkę do naszego ogródka, ze strachu zrobiło mi się niedobrze. Szedł do nas! Mogłem zawołać: „Mamo, obudź się!”, ale nie byłem w stanie się poruszyć.

Drżały mi nogi, mimo to stałem w miejscu jak skamieniały i patrzyłem, co się dzieje tam na dole. Zacząłem się modlić, żeby troll nie podniósł wzroku i nie dostrzegł moich oczu w szczelnie między zasłonami, widziałem jednak, że stara się pozostać niewidoczny, porusza się wolno i cicho jak zwierzę. Skierował się wzdłuż domu do miejsca, gdzie trzymaliśmy kubeł na śmieci i pojemnik na odpadki dla świń. Pod tym kątem nie widziałem, co robi. Ale usłyszałem brzęk metalu; z jakiegoś powodu musiał podnieść pokrywę.

Po kilku sekundach znowu pojawił się w polu mojego widzenia i opuścił nasz ogródek. Potem obszedł kolejne domy, po obu stronach ulicy; w jednym z ogrodów spędził nawet trochę czasu –

w tym, w którym urządzono warzywnik – i w końcu zniknął za rogiem. Niósł na plecach worek. Czyżby zabrał coś z kubłów na śmieci? Musiał gromadzić składniki do jakichś czarów – to było jedyne wyjaśnienie. I węszył, żeby wyczuć, kto jest w każdym domu.

Coś w jego ruchach sprawiło, że przypomniałem go sobie w tamtym innym miejscu, w którym kiedyś go widziałem – przed pocztą, wyciągającego pustą puszkę – ale po co trollowi pieńdże? Albo te składniki? Co takiego knuł?

Pobiegłem z powrotem do łóżka i naciągnąłem na siebie kołdrę, ale przestałem drzeć dopiero po dłuższym czasie. Sytuacja wymykała się spod kontroli; mama i ja byliśmy w coraz większym niebezpieczeństwie. Trzeba było coś zrobić i wiedziałem, że będę musiał obronić nas oboje.

Przez całą noc myślałem, co tu poradzić, i wreszcie przyszedł mi do głowy pewien pomysł – niczym szept do ucha.

Następnego ranka, przed pójściem do szkoły, poszperałem w szufladzie kuchennej, w której trzymaliśmy różne narzędzia. Bez trudu znalazłem potrzebną broń i nie miałem wątpliwości, że spełni swoje zadanie.

Przez cały dzień, gdy myślałem o zuchwałym ataku na trolla, który planowałem na popołudnie, dławiło mnie w gardle. Jednak zabawne łaskotanie w brzuchu, które zawsze czułem w Wigilię, wyraźnie świadczyło, że jestem także podniecony, nie tylko zdenerwowany. Kiedy więc w przerwie na lunch znowu zostałem wepchnięty do wychodka, prawie nie słyszałem, co zza zamkniętych drzwi krzyczą do mnie inni. Ich śmiechy – tym razem dlatego, że moje krótkie spodenki były za krótkie – przelatowały mi mimo uszu.

W ciemności oparłem się o ścianę. Niech sobie krzyczą! Ci głupcy nie mieli pojęcia, z kim mają do czynienia – kim jestem naprawdę. Te ich idiotyczne wyzwiska i nawet kuksańce nie robiły już na mnie wrażenia. W zamknięciu starannie zaplanowałem akcję przeciwko trollowi. A potem nad głowami moich prześladowców rozpętała się wiosenna burza, więc resztę przerwy spędziliśmy w auli szkolnej, co oznaczało, że jestem wolny. Skończyło się na kilku mniejszych guzach i siniaku pod brwią. Pan Finlay rozdał kartki i kredki woskowe, żebyśmy spokojnie spędzili czas na rysowaniu, więc narysowałem sobie naprzeciwko potwora, który podnosi rękę w geście poddania.

Po szkole McCarthy i jego banda rzucili się na mnie, żeby odegrać się za moją ucieczkę, więc znacznie później, niż zamierzałem, pobiegłem na tory i stanąłem na czatach. Ale miałem szczęście, bo kiedy przybyłem na miejsce, troll wdrapywał się po schodach przy tunelu. Przykucnąłem za drzewem i patrzyłem, jak znika w lesie po drugiej stronie.

Po kilku minutach uznałem, że już dostatecznie oddalił się od swojej kryjówki. Wiedziałem, że przyszedł czas. Teraz albo nigdy.

– Teraz albo nigdy – powiedziałem na głos. Ale jeszcze zwlekałem.

Mógł wrócić w każdej chwili. Przypomniałem sobie swoje spostrzeżenie, że może zmaterializować się jak książkę Drakula. Zapisałem kolejną uwagę w notesie:

30 maja, ok. 17.00 (brak zegarka). Ostrzeżenie: czy może zjawić się nie wiadomo skąd? Zbadać to!

Pozostałem w ukryciu, gotowy przeczołgać się w wojskowym stylu po wzgórzu i dotrzeć do wiaduktu.

Wtedy jednak zdałem sobie sprawę, że to całkiem spory dystans i czołgając się, łatwo go nie pokonam, więc w końcu wstałem i przebiegłem tę odległość pochylony. Było o wiele większe błoto, niż się spodziewałem, i obawiałem się, że ubrudzę sobie szkolne ubranie.

Kiedy znalazłem się wreszcie na wiadukcie, przykucnąłem i wystawiłem głowę za ceglany mur, żeby zerknąć w dół.

Oczywiście nie miałem co zobaczyć u wejścia do tunelu, bo troll dawno sobie poszedł.

– Teraz albo nigdy – mruknąłem znowu.

Podniosłem się na chwilę i oparty o mur przeanalizowałem jeszcze swój plan.

Ale wciąż czekałem. I czekałem.

Wiedziałem, co mam zrobić, ale się bałem. Więc nadal zwlekałem.

W panice zdałem sobie sprawę, jak dużo minęło czasu. Troll mógł już wracać stamtąd, dokąd poszedł. Prawdopodobnie wybrał się do wsi, żeby porwać jakieś dziecko na kolację. A jeśli mu się to nie udało, poszedł zapolować na kilka kóz.

Musiałem coś zrobić, i to szybko, zanim wróci.

Nie pobiegłem do schodów po drugiej stronie wiaduktu, ale wróciłem w miejsce, gdzie tkwiłem poprzednio, i jak zwykle zjechałem po stromym trawiastym zboczu na tory. Grunt nadal był wilgotny, więc ubrudziłem sobie ręce błotem i zgniecioną trawą.

Znalazszy się na torach, rozejrzałem się wokół i popatrzyłem w górę, na wypadek gdyby u szczytu schodów pojawiła się straszna postać trolla. Odczekałem z minutę albo dwie, ale nie dostrzegłem niczego oprócz szarzejącego nieba, bo nadchodził zmierzch.

Przyszła właściwy moment. Nie miałem wyboru, musiałem po raz drugi wejść do tunelu.

Zawahałem się, zanim wkroczyłem w mrok; potem jednak pomaszerowałem dalej, jakbym wraz z zachodem słońca pokonał strach i zostawił go na zewnątrz.

Tym razem czułem się odważniejszy i szedłem szybko, z konkretnym zamiarem: szukałem kryjówki trolla.

W końcu pochwyciłem smród. I zobaczyłem przed sobą stos szmat i kawałków drewna, z których składało się jego odrażające legowisko.

Serce mocno waliło mi w piersi pod koszulą; uroczyście sięgnąłem do kieszeni szortów i wyjąłem małe pudełko zapalek, które zabrałem z domu rano, wieki wcześniej. Z przodu widniał obrazek przedstawiający hotel w Densford. Musiało długo leżeć w kuchennej szufladzie; tata pewnie zabrał je stamtąd po kolacji któregoś wieczoru przed wieloma laty.

Palce mi drżały, kiedy próbowałem wyjąć zapalną.

Tatuś.

Coś przemknęło mi po stopie. Dostrzegłem szybki ruch i uświadomiłem sobie, że to szczur. Krzyknąłem, ale on już umykał. Zmusiłem się do zachowania spokoju. Nie chciałem, żeby troll dowiedział się o mojej obecności. Echo ucichło, więc znowu zacząłem gmerać w pudełku.

Zapalną rozjarzyła się z sykiem; uniosłem ją na wysokość twarzy, żeby spojrzeć w białe serce płomienia.

Nie wolno mi było bawić się zapalnymi.

Wsunąłem pudełko z powrotem do kieszeni. Potem przykucnąłem i – niczym Dziewczynka z zapalnymi – z podziwem pomyślałem, jak bardzo taki płomyczek rozjaśnia panujące w tunelu ciemności. Rzucił wokół moich zaciśniętych palców krąg żółtego światła i wydobywał z mroku obrzydliwe legowisko. Drugą ręką zatkałem nos, bo odór był już nie do wytrzymania. Troll musiał moczyć się do swojego łóżka jak dziecko; mnie nie zdarzało się to od lat.

Przytknąłem zapalną do rogu sztywnego z brudu brązowego koca. Przez chwilę myślałem, że nic z tego nie będzie, i przypomniałem sobie, jak dziadek chlustał resztkami whisky do kominka, żeby patrzeć, jak płomienie strzelają w górę. Pomyślałem, że powinienem być zabrać ze sobą trochę ginu, z którego mama robiła sobie swoje specjalne drinki. Wtedy jednak poczułem dziwny

chemiczny zapach i odniosłem wrażenie, że widzę smużkę dymu. Prosta drewniana zapalka zamieniała się pod wpływem ognia w pokręcony czarny patyczek. Musiałem ją rzucić, bo płomyk dotarł już prawie do moich palców. Wówczas, z odgłosem przypominającym cichy oddech, róg koca stanął w ogniu, który zdawał się lizać wełnę.

Wyobraziłem sobie, co ujrzałyby troll, gdyby wrócił i mnie zobaczył. W moich oczach odbijałby się ogień, a twarz jaśniałaby triumfem. Udało się! Kilka gazet zajęło się ogniem, który z każdą chwilą płonął mocniej i jaśniej. Podniosłem się i zrobiłem krok w tył. Następnie zapaliły się kawałki drewna, które trzaskały, syczały i iskrzyły. Znowu musiałem się cofnąć.

Gdy tak z zachwytem i przerażeniem patrzyłem na swoje dzieło, płomienie stawały się coraz wyższe i bardziej zachłanne. Już nie lizały, tylko pożerały z rykiem.

Może te rzeczy zostały wcześniej polane whisky. Poprzedniego razu, gdy znalazłem legowisko, miałem wrażenie, że ją czuję. To by tłumaczyło moc płomieni.

Przez cały czas się cofałem – znajdowałem się już po drugiej stronie torów – bo ogień się rozszerzał i zrobiło się tak jasno, że można byłoby przy nim czytać.

Pomyślałem, że powinienem uciekać. Troll...

Stałem jednak i patrzyłem. Odgłosy zniszczenia, trzaski i syki, ciepło na mojej twarzy, światło rażące mnie w oczy... Nie chciałem jeszcze odejść.

Kryjówka potwora płonęła, nie można już było tego powstrzymać. I to ja sprawowałem nad tym kontrolę, to było moje dzieło. Zacząłem się zastanawiać, co jeszcze mógłbym spalić, bo podobało mi się to uczucie. Chciałem patrzeć, jak płonie budynek – przez chwilę wyobraziłem sobie, jak podkładam ogień pod nasz dom – chciałem patrzeć, jak płonie wieś. Miałem ochotę tańczyć jak Rumpelszyk wokół swojego ognia.

Od dymu powietrze w tunelu stało się szare; kaszel i łzawiące oczy w końcu zmusiły mnie od odejścia. Ale straciłem w ciemności rozeznanie i wpadłem w panikę – nie wiedziałem, w którą iść stronę.

Wciąż wpadałem na ścianę. Gdziekolwiek skręcałem, miałem wrażenie, że ta ściana mnie otacza, aż wreszcie się pochyliłem i wymacałem tory. Pobiegłem wzdłuż nich skulony i metalowa szyna doprowadziła mnie do miejsca, skąd widziałem już przytłumione światło dochodzące z wylotu tunelu.

Kaszląc, zaczerpnąłem świeżego powietrza i przetałem podrażnione oczy. Nerwowo rozejrzałem się w poszukiwaniu trolla. Gdy wreszcie złapałem oddech, wdrapałem się na wzgórze, które – jak stwierdziłem ze zdziwieniem – wciąż było śliskie i chłodne. Świat na zewnątrz wydawał się całkiem normalny, jakby nic się nie zmieniło.

Dotarłszy na szczyt wzgórza, usadowiłem się w swoim zwykłym punkcie obserwacyjnym. Kucając – żeby nie przemoczyć spodenek – oparłem się drzewo. Czekałem na powrót trolla.

Wyjąłem z kieszeni hotelowe zapalki i zacząłem obracać w dłoni. Przyjemnie było je czuć. Z tunelu już uchodził dym, chociaż nie tak gęsty, jak bym chciał. Pragnąłem ujrzeć czarne kłęby, takie, jakie dobywają się – nie, wydobywają – z kominów pracującej pełną parą fabryki.

– Może teraz dwa razy się zastanowisz, trollu – powiedziałem głośno. Wetknąłem w usta źdźbło trawy, udając, że palę papierosa, i zmrużyłem oczy. – Lepiej ze mną nie zadzierać, co nie?

Zaśmiałem się pod nosem.

– Wiem, jak postępować z trollami. – Postukałem o nogę pudełkiem zapalek. – Znam twoje sztuczki... A teraz ty wiesz, co może się w tej okolicy przydarzyć takim jak ty.

W końcu wypłułem źdźbło, bo zmiękło mi w ustach. Wstałem, żeby rozprostować nogi,

i wysikałem się pod drzewem. Nadchodził zmrok, więc musiałem wracać do domu.

Zaryzykowałem i zbiegłem na dół, żeby zobaczyć, czy spowodowany przeze mnie ogień rozszerza się wzdłuż torów. Zacząłem się trochę niepokoić, co będzie, jeśli nadjedzie pociąg. Jednak nic w tunelu nie widziałem. Bałem się też, że troll wróci, ale pchała mnie ciekawość. Kiedy zbliżyłem się do dawnego legowiska, stanowiło już tylko stos popiołu ze smużkami dymu.

Spaliło się do cna.

Na ziemi pozostały zaledwie żwir i piach; ogień nie mógł specjalnie się rozprzestrzenić. Westchnąłem. Trudno. Przynajmniej pociąg nie będzie miał żadnych problemów z przejazdem, a przekaz był jasny i wyraźny: trollu, trzymaj się od nas z daleka, bo inaczej...

Pospiesznie wróciłem do swojego punktu obserwacyjnego na wzgórzu. Postanowiłem jeszcze trochę poczekać. Tak, byłem już lekko znudzony, ale chciałem zobaczyć, jak troll zareaguje na widok swojej spalonej kryjówki.

Znowu ogarnął mnie śmiech. Głupi troll!

Czy to...? To on...?

Tak! Ledwie dostrzegłem jego powłóczącą nogami sylwetkę, gdy szedł ścieżką w stronę schodów. Już prawie zapadł zmrok, ale słońce na tyle jeszcze świeciło na horyzoncie, żebym widział coś niecoś przed sobą.

Zakryłem ręką usta, żeby stłumić chichot. Potwór miał zaraz odkryć, że jego legowisko zostało spalone! I to przeze mnie! Przykucnąłem za drzewem i wyjrzałem zza sękatego starego pnia. Ból w nogach jakoś dało się znieść.

Troll ostrożnie szedł po stromych drewnianych stopniach, trzymając się obiema łapami metalowej barierki. Wydawał się stary. Ale przez to jeszcze bardziej przerażający.

Nie widziałem już, żeby z tunelu wydobywał się dym. Więc pewnie potwór nawet się nie domyślał, co zastanie w środku.

W pewnej chwili nawet się potknął i przewróciłby się na trawiasty stok, gdyby nie wyciągnął grubej kiełbaskowatej łapy, żeby się podeprzeć. Podniosłem drugą rękę do ust. Mimowolnie zasłaniałem dłońmi połowę twarzy. Spomiędzy moich palców dochodziły ciche sapnięcia, jak miauczenie.

Muszę być cicho. Bo inaczej mnie usłyszy! Och, nie mogłem już tego wytrzymać!

Wydawało się, że minęła wieczność, zanim troll wreszcie zniknął w tunelu. Zdałem sobie sprawę, że przestępuję z nogi na nogę i że znowu chce mi się siku. Nigdy w życiu nie zrobiłem niczego równie ekscytującego!

I co teraz? Ostrożnie wyszedłem zza drzewa, za którym się kryłem. Skąd miałem wiedzieć, co dzieje się tam, w tunelu? Czy powinienem zejść i zajrzeć do środka? A jeśli troll w ogóle się nie przejął, że jego kryjówka spłonęła?

Zrobiłem kilka kroków w dół zbocza, kiedy go usłyszałem. Z tunelu dobiegło wycie, które niosło się echem. Wychodził!

Pomknąłem z powrotem za drzewo.

– Uuuuuuuu!

Był już prawie u wylotu tunelu.

– Uuuuuuuu!

Jest! Wypadł na zewnątrz, potykając się i rozglądając w mroku. W łapach trzymał coś zwęglonego.

– Urrrrggghhhh, bachory! – wrzasnął zachrypniętym głosem. Usta stanowiły straszną czarną

dziurę w jego czarnej kosmatej twarzy.

Już się nie śmiałem.

Rzucił na ziemię to coś, co jeszcze niedawno stanowiło część legowiska, a teraz było czarnym strzępem i leżało u jego stóp, na torach.

Dyszał ciężko i rzęził; słyszałem to w miejscu, gdzie się kryłem. Wciąż okropnie chciało mi się siku, ale ani drgnąłem.

– Dajcie mi spokój... Dajcie mi spokój... Urrrrggghhhh!

Jego łamiący się głos brzmiał jak krzemień, gdy pociera się nim o kamień.

Zawodził tak przez długi czas. Czekałem, aż przestanie. Żeby odejść.

Niebo rozświetliła błyskawica niczym przepalona żarówka. Po chwili rozległ się grzmot. Zbliżała się burza. Na szarym niebie zbierały się gęste czarne chmury.

Troll wciąż ryczał tam w dole, na torach.

Wkrótce miała przyjść ulewa, a on nie miał schronienia.

Zrobiło mi się trochę niedobrze. Chciałem się wysikać, a potem wrócić do domu, posłuchać bajki i zapomnieć o tym wszystkim. Byłem już zmęczony długim pobytem na dworze, bałem się, że zmoknę, i z jakiegoś powodu straszliwie gniotło mnie w brzuchu.

Rozdział jedenasty

„Idź zaraz, póki nie ma wielkiego upału, a idąc,
nie biegaj i nie zbaczaj z drogi”.

– z *Czerwonego Kapturka*

– Okazało się, że mam w domu znacznie mniej drewna, niż myślałam – powiedziała Annabel do jeńca, zanim zdążył wyrazić zdziwienie jej ponownym, tak szybkim powrotem. Postanowiła wdrożyć swój plan, żeby okazać mu życzliwość. Co za zbieg okoliczności, tego ranka właśnie o nim myślała.

Chłopiec gdzieś się bawił, więc zrobiła, jak radził stary Dawson; przysłała krótszą drogą. Nie chodziło jej o to, żeby nikt jej nie widział – skorzystała ze skrótu i tyle.

– Dlatego znowu przyszłam... – dodała.

Zabrała ze sobą wózek, ale czuła się głupia i bezbronna, gdy tak go trzymała. Jako mała dziewczynka zjawiała się na przyjęciu urodzinowym koleżanki ze szkoły i stwierdziła, że zbyt odświętnie się ubrała i w porównaniu z innymi dziećmi przyniosła strasznie okazały prezent. Teraz ogarnął ją taki sam wstyd i poczucie, że zrobiła coś niewłaściwego.

– Ach, oczywiście, żaden kłopot. – Na jego twarzy pojawił się miły uśmiech.

Wziął od niej wózek i zaczął ładować do niego drewno. Czekając, przysiadła na bloku do rąbania – pniaku starego dębu – i przyglądała się Niemcowi. Był słoneczny dzień, choć jeszcze nie na tyle ciepły, żeby obywać się bez swetra, i przyjemnie siedziało się na dworze. Czuła, że przez cienką sukienkę wbijają jej się w uda szorstkie krawędzie pnia, ale nie sprawiało to bólu.

Wyjęła z torebki papierosa i zapalniczkę.

– Eee... Zapali pan? – Wyciągnęła paczkę.

Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć, i rozbawił ją, odchylając głowę do tyłu i składając ręce, jakby składał podziękowanie Bogu.

– Dzięki. – Podszedł do niej. – Minęły wieki!

Wziął od niej srebrną zapalniczkę, a ona włożyła papierosa do ust i pochyliła się, żeby mógł podać jej ogień. Gdy sam zapalił, g łęboko zaciągnął się dymem, przymykając z lubością oczy, co znowu ją rozśmieszyło.

– Ale rozkosz! – rzucił.

Uśmiechnęli się do siebie.

Był taki zabawny, że nie czuła się już przy nim onieśmielona ani speszona.

– Smakuje ci, Johannes?

– Hans.

– Skąd pochodzisz?

– Och, nigdy pani o tym miejscu nie słyszała. Z Mittenwaldu. To w Bawarii.

– Cóż, ty pewnie też wcześniej nie słyszałaś o Bambury.

Zaśmiał się i skinął głową, a ona poczuła zadowolenie ze swojej odpowiedzi.

- To prawda! – Znowu zaciągnął się papierosem. – A tu jesteśmy!
- Jesteśmy tu.

Zgięła nogi w kolanach i założyła jedną na drugą. Przelotnie pomyślała o Reggie – co było głupie, bo przecież nie robiła nic niestosownego. Miała na sobie długą, szeroką sukienkę, więc nie zachowywała się nieskromnie.

- Dobrze mówisz po angielsku.
- Dziękuję! – Wydawał się zadowolony. – Uczyłem się go na studiach.
- Jak jest w Mittenwaldzie?

Opowiedział jej o miasteczku, opisując ładne pastelowe domy i malowidła na budynkach; wspomniał też, że okolica słynie z wyrobu najpiękniej brzmiących skrzypiec.

Paliła, słuchając jego głosu.

- Musisz bardzo tęsknić za domem – zauważyła. – Wygląda na to, że jest tam ślicznie.

Uśmiechnął się i przydeptał niedopałek. Szybko wypalił swojego papierosa.

- Jeszcze jednego? – zaproponowała.

Znowu wykonał gest „dzięki Bogu”.

– Poczęstuj się. – Paliła jeszcze pierwszego papierosowa, więc dała mu znak, żeby sam wyjął paczkę i zapalniczkę z jej torebki, która stała na ziemi przy pniaku.

- Skąd się tu wzięłeś? – zagadnęła. – Jeśli mogę zapytać...

Zapalił papierosa i włożył zapalniczkę na miejsce.

- Och! To śmieszna historia!

– Śmieszna?

– Tak, śmieszna.

I opowiedział jej, jak dostał się do niewoli. Przedstawił to na wesoło i odegrał. Po tym, jak wszystkie inne jednostki niemieckie się wycofały, on i pozostali żołnierze z oddziału piechoty znaleźli się naprzeciwko brytyjskich czołgów uzbrojeni tylko w bagnety.

Wziął z ziemi siekiere, demonstrując, jak trzymał bagnet, potem wyszczerzył się w uśmiechu, opuścił ją i podniósł ręce do góry, a Annabel się śmiała.

Ta humorystyczna relacja sprawiła, że wojna wydała jej się całkiem cywilizowana. Wcale nie tak straszna, jak przedstawiał ją Reggie.

- I co potem? – zapytała.

Zaśmiał się, po raz ostatni zaciągnął się papierosem, zgasił go i rozłożył szeroko ramiona. Wyglądało na to, że wskazuje samego siebie i wszystko wokół.

– Co mam powiedzieć? To! Znalazłem się tutaj... jako jeniec. Resztę życia spędzę w sadzie, ścinając wyschnięte drzewa!

Z jakiegoś powodu zaczęła chichotać i go tym zaraziła; oboje śmiali się i śmiali z absurdów życia.

Ciepła, typowa dla początków czerwca pogoda nagle zamieniła się w deszczową i zimną, więc kilka dni później Annabel wróciła do sadu.

- Musieliśmy zużyć więcej drewna niż zwykle – wyjaśniła Hansowi.

– Proszę się nie tłumaczyć! Nie mamy zbyt wielu klientów. Zresztą pani jest moim ulubionym! Czuję się tu samotny.

- Tak, na pewno. Tak daleko od rodziny...

– Ale przynajmniej mam jedną przyjaciółkę. Dam pani więcej drewna.

Po tym się zorientowała, że jest dobry.

– Och, witaj znowu, Hans... skróciłam sobie drogę, bo muszę porozmawiać o czymś z panem Dawsonem...

– Ładną ma pani sukienkę, pani Patterson! Do twarzy pani w niej.

– Och... ja...

Po tym się zorientowała, że na nią patrzy.

– Ojej, Hans! Taszczysz to całe drewno! Robisz się coraz silniejszy od tego rąbania!

– Tak, chyba tak, pani Patterson!

– Och, mów mi „Annabel”. „Pani Patterson” brzmi tak... Idzie tego drewna, co? A podobno mamy lato!

– Annabel...

– Tak... Albo... Albo nawet „Annie”.

– Annie...

I tak się zorientowała, że wszystko będzie dobrze.

To dość niekonwencjonalne – pomyślała któregoś dnia, wracając z sadu – zaprzyjaźnić się z jeńcem wojennym.

Ale to było po prostu zbyt intrygujące – mieć cudzoziemca tak blisko domu, w Bambury, i nie próbować dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Był... cóż, egzotyczny. Gdy tak patrzyła na niego w sadzie, rąbiącego drewno, wydawał jej się zupełnie inny niż Reggie, urzędnik w banku, czy ojciec, księgowy – jedyni mężczyźni, których naprawdę знаła.

Owszem – i co z tego? – czasami wymyślała wymówki, żeby się z nim zobaczyć, ale co miała robić przez całe dni? Tak samo jak on. Oboje tkwili uwięzieni w Bambury, jeśli się nad tym zastanowić.

Widywała się z nim już tak często – prawie codziennie – że teraz zawsze szła przez las, aby dostać się do sadu od tyłu, bo to zmniejszało prawdopodobieństwo, że po drodze natknie się na kogoś ze wsi. Dawson sam to zasugerował tamtego pierwszego razu, kiedy poszła po drewno – przypomniała sobie z wdzięcznością. Oczywiście miała świadomość, ile drewna kupuje – wystarczyło rzucić okiem na rachunki – ale starszemu panu mogła to łatwo wytłumaczyć, a poza tym nie był plotkarzem. Bardziej się obawiała, że wpadnie na innych mieszkańców wsi – paru mężczyzn z Home Guard, jakieś kobiety czy starsze siostry Bishop, które uwielbiały plotkować.

Postanowiła od czasu do czasu zabierać ze sobą chłopca, żeby to wyglądało naturalnie. Prawdopodobnie nawet nie było powodu do obaw – zwłaszcza że tak naprawdę nie robiła nic złego.

Brała pod uwagę, żeby w ogóle nie chodzić ścieżką, ale uznała, że powinna się jej trzymać, bo na wzgórzach w lesie były stare, opuszczone szyby kopalniane, które uchodziły za niebezpieczne.

Czasami lepiej kryć się na widoku – pomyślała, bo trudniej byłoby wyjaśnić komuś swoją obecność w środku lasu, z dala od ludzkich spojrzeń, niż niewinny spacer ścieżką, z wózkiem na drewno. Na szczęście mało kto chodził po lesie, bo jeśli dobrze pomyśleć, nikt nie potrzebował znosić drewna codziennie – nawet w chłodnym na razie czerwcu.

W każdym razie jedyną osobą, którą czasami widywała na leśnej ścieżce, był stary włóczęga, w ostatnich miesiącach kręcący się w pobliżu wsi. Pewnie stracił gdzieś dom podczas nalotów bombowych. Nie miała powodu, żeby się go bać – komu mógł powiedzieć i kto by mu uwierzył? Poza tym za każdym razem, kiedy go spotykała, wycofywał się między drzewa.

Dni stawały się coraz cieplejsze i nie trzeba było już tyle drewna na opał. Mimo to Annabel chodziła do Hansa.

Jeńców przybywało, jak słyszała. Po operacji wojskowej o nazwie D-Day, w wyniku której alianci wzięli do niewoli dużą liczbę Niemców, obóz w Bambury został prawie zapełniony.

Chociaż wielu mieszkańców wsi nie ukrywało zaciekawienia tymi Niemcami – większość nigdy spotkała żadnego cudzoziemca – to prawie wszyscy, kiedy się z nimi stykali, okazywali im uprzejmość.

Annabel widziała nawet, jak siostry Bishop – za plecami gotowe obgadywać kogo tylko się dało – skłoniły głowy, mówiąc grzecznie „dzień dobry”, gdy mijaly na drodze Niemca w średnim wieku, który szedł z jednej farmy na drugą, niosąc w ręce wiadomość.

Innym razem Annabel była na poczcie, kiedy jeden z Niemców – sądząc po mnóstwie pryszczki na twarzy, musiał sobie odjąć kilka lat, żeby zaciągnąć się do wojska – załatwiał jakieś sprawy dla starego pułkownika nadzorującego obóz jeniecki. Zjawił się sam kierownik, żeby obsłużyć młodzika, i nawet pytał go, jak się nazywa i skąd pochodzi. Wydawał się zafascynowany niepewnymi, urywanymi odpowiedziami chłopca. Próbował nawet sklecić jedno czy dwa zdania po niemiecku – bo, jak wyjaśnił, podłapał kilka wyrażen podczas pierwszej wojny – ale tamten najwyraźniej nic z tego nie rozumiał i tylko powtarzał zawstydzony „przepraszam, przepraszam”. Kierownik poczty, starszy mężczyzna z reumatyzmem, który zaczął mu wykręcać proste palce i zamieniać je w sękate patyki, bardzo jednak się starał, żeby nawiązać kontakt. Sądząc po jego konspiracyjnym zachowaniu i szerokim uśmiechu, Annabel podejrzewała, że powtarzał jakieś sprośne wyrażenie, którego gdzieś się nauczył. W końcu, rozczarowany, pozwolił chłopcu odejść z papeterią, po którą ten został wysłany.

Niemniej jeńcy z obozu nie zawsze spotykali się z życzliwością. Niektóre dzieci – teraz wszystkie na wakacjach – ośmielone nawzajem, od czasu do czasu rzucały za nimi obelgi. Annabel wiedziała od Hansa, że młodzież ze wsi czasami przyjeżdża rowerami na farmę Dawsona i wykrzykuje napastliwe słowa pod adresem mężczyzn na polach, którzy używali staroświeckich pługów, bo brakowało paliwa. Kiedy Hans relacjonował, co mówili jego koledzy, Annabel wyobrażała sobie, jak jeńcy po stoicku zacinają usta i błyszczący od potu orzą twardą ziemię przy akompaniamencie szyderstw.

Potem któregoś dnia sama była świadkiem podobnego zdarzenia.

Robiła z synem zakupy przy High Street, gdy usłyszała odgłosy zamieszania. Właśnie wychodziła z wiklinowym koszykiem od rzeźnika, gdy odwróciwszy się, zobaczyła rudowłosego chłopca, który krzyczał ile sił w płucach.

– Zabiję was, do cholery! – wrzeszczał raz po raz.

Kiedy zdała sobie sprawę, co on mówi, gwałtownie zaczerpnęła powietrza i usłyszała za sobą w sklepie zgorzone szepty. Rozejrzała się, żeby zobaczyć, na kogo krzyczy ten chłopiec, i zauważyła nową grupę niemieckich jeńców wiezionych do obozu dżipem z przyczepą. Można było odnieść wrażenie, że cała ulica zamarła; zapanowała ciężka cisza, słychać było jedynie ochryple krzyki dzieciaka i warkot samochodu, który przejechał wzdłuż sklepów, nim w końcu zniknął za zakrętem. Niemcy milczeli i tylko dziwnie patrzyli na chłopca.

Annabel nie pamiętała jego imienia (Mark? Martin?), ale знаła trochę jego matkę. Nazywała się Evelyn Moore i okazywała jej sympatię. Przed kilkoma dniami dostała telegram z wiadomością, że jej mąż Simon zginął we Francji.

Syn Evelyn widocznie wpadł w szal, kiedy bawiąc się z kolegami ze szkoły, zobaczył na ulicy niemieckich żołnierzy.

Chociaż wielu mieszkańców wsi ze zdumieniem patrzyło, co się dzieje, żaden nie podszedł do chłopca i nie powiedział mu, żeby się opanował; zajęli się nim przerażeni koledzy – chłopcy w jego wieku – którzy próbowali odciągnąć go na bok, kiedy dżip z jeńcami skręcał za róg. Jeden chwycił biedaka za szyję i pociągnął do tyłu, podczas gdy pozostali złapali go za ubranie. On jednak szarpał się z nimi; potargany, z włosami opadającymi na twarz, chciał pobiec za dżipem. Ale koledzy mu na to nie pozwolili – gdy prowadzili go do domu, do zrozpaczonej matki, jego płaczliwe piskliwe krzyki niosły się echem po ulicy.

Kiedy przechodzili obok, Annabel cofnęła się w głąb sklepu, a Daniel stanął za nią, jakby chciał się schować.

Rzeźnik, pan Lupton, wyszedł zza lady i stanął na progu obok Annabel i dwojga innych klientów.

– Ojej – jęknęła Annabel.

– Biedny chłopak. – Rzeźnik westchnął i wrócił na swoje miejsce. – Ale miał racje, no nie?

Annabel spojrzała na niego dziwnie – co też on mówi? Nie wiedziała jednak, co odpowiedzieć, więc milczała.

– To był porządny człowiek... Simon Moore. – Wziął mięso od szynki i zaczął je rąbać. – Niektórzy z tych szkopów chodzą po wsi, jakby byli u siebie. Lepiej by uważali.

Skinęła grzecznie głową i wyszła na ulicę, która nagle wróciła do życia.

Trudno było zrozumieć, skąd u niektórych osób ze wsi wzięła się taka wściekłość, no i strach. Może to nie tylko współczucie, ale także wsparcie dla jego postawy sprawiły, że chłopiec tak się zachował.

Annabel pomyślała, jakie to niepokojące – zetknąć się z podobną nienawiścią wobec jeńców. W końcu byli to tylko szeregowi żołnierze w mundurach polowych, nie żadni wysoko postawieni naziści w czerni. Niektórzy z miejscowych nie potrafili zrozumieć, że jeńcy w Bambury są zwykłymi ludźmi, jednostkami. Nie zdawali sobie sprawy, że ktoś taki jak Hans może być uczynny, zabawny, sympatyczny.

Chciała go chronić.

Rozdział dwunasty

„Kto to tak stuka po moim moście?! – ryknął troll”.
– z *Trzech koziołków*

Pewnej soboty, parę tygodni po wypędzeniu trolla, czytałem w salonie *Trzy koziołki*, gdy usłyszałem, że mama krząta się w przedsiönku. Niedawno skończyła rozmawiać przez telefon z babcią, co zawsze było dla mnie nudne, bo jedyne, co mówiła, to: „Tak, wszystko w porządku”, „Tak... tak, oczywiście, że gotuję”, „Tak... oczywiście, że tak”. Siedziałem bokiem na fotelu, z nogami przewieszonymi przez poręcz, więc wstałem, żeby zobaczyć, co robi.

Stała przed lustrem i starannie wiązała pod brodą jedwabną chustkę. Ładną chustkę. Jasnożółtą w blade róże. Miała inne, piękne, w różne desenie, we wzorki i kwiaty, ale od wybuchu wojny nosiła tylko te skromniejsze, podobnie jak ubrania. Ludzie nie chcieli się stroić. Co było głupie, bo przecież mieli te ładne stroje z dawnych czasów – nie kupili ich teraz. Z radością więc zobaczyłem, że mama znowu nosi ładniejsze rzeczy. Miała na przykład jedwabny zielony szal w czerwone różyczki i zielone pędy wina. Bardzo go lubiłem. Zawsze kojarzył mi się z gęstymi pnączami wokół zamku Śpiącej Królowej.

Wyjęła z torebki na wieszaku szminkę i dla oszczędności nakładając ją palcem, pomalowała usta na czerwono.

– Dokąd idziesz?

Przyjrzała się sobie w lustrze i poprawiła jeszcze usta. Wyglądała ślicznie.

– Na High Street, a potem po drewno, żebyśmy mieli zapas, gdy lato się skończy.

Zastanowiłem się, czy nie pójść za nią potajemnie; to była niezła zabawa. Ale zamiast tego zapytałem:

– Mogę pójść z tobą?

– „Czy mógłbym pójść z tobą?”

– Czy mógłbym pójść z tobą?

Wreszcie odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć. Wyprostowałem się odruchowo. Zawsze lubiłem z nią wychodzić, a teraz jeszcze miałbym okazję znowu spotkać drwala.

– Jesteś gotowy do wyjścia?

– Tak. Muszę tylko włożyć buty.

Lekko skinęła głową, co oznaczało, że się zgadza.

Czekałem na nią, kiedy we wsi robiła zakupy na kartki. Przed kilkoma dniami skończyła nam się herbata i wciąż parzyliśmy ostatnią porcję suszu. Z zadowoleniem patrzyłem więc, że uzupełnia zapasy. Nie mieliśmy w domu zbyt dużo jedzenia. Mama nigdy się tym specjalnie nie przejmowała. Jadła niewiele, a kiedy była głodna, zadowalała się czymkolwiek. Jednak ginu w butelce ubywało i nie wiadomo było, co robi, kiedy i on się skończy.

A jeżeli w domu nie było w ogóle nic do jedzenia, mama jakby się bez niego obydwała. Kiedyś usłyszałem, jak mówi dziadkom, że mam nienormalnie duży apetyty, i to musiała być prawda, bo

często dokuczał mi głód. Gdy któregoś razu byliśmy u nich na obiedzie – to musiało być poprzedniego lata – dziadek się śmiał, kiedy jeden za drugim pochłaniałem kotlety schabowe, i mówił, że tyle jem, bo rosnę. Zawstydziłem się, ponieważ zaledwie kilka dni wcześniej pożarłem twarde kawałek sera – głównie skórę – który znalazłem na podłodze w głębi spiżarni. Często też podkradałem gruszki albo śliwki z drzew w cudzych ogrodach. Zarumieniłem się na myśl, że mama pewnie ma rację i że nie jestem normalny. Na wspomnienie posiłków u dziadków zaburczało mi w brzuchu, więc kiedy mama robiła zakupy, zaproponowałem, że potrzymam kartki żywnościowe – i w miarę jak posuwaliśmy się High Street, wskazywałem, ile przysługuje nam mięsa czy masła.

Cieszyłem się, że znowu zobaczę drwała. Choć w tajemnicy chodziłem za mamą i patrzyłem, jak powoli się ze sobą zaprzyjaźniają, sam miałem się z nim spotkać dopiero drugi raz. Mówiła, że potrzebujemy więcej drewna, chociaż wiedziałem, że mamy go w piwnicy na węgiel całe sterty.

Spotkanie było fajne, ale nie dowiedziałem się o drwalu wiele więcej. On i mama gawędzili o nieciekawych sprawach, na przykład o tym, co politycy mówią przez radio o wojnie. Chociaż osobiście nie rozmawiałem z drwalem, w pewnym momencie, gdy przyglądałem się, jak rąbie drewno, puścił do mnie oko. Pomyślałem wtedy, że fajnie byłoby wrócić tam któregoś dnia i porozmawiać z nim samemu, bez mamy.

Kiedy załadował nam drewno do wózka, mama powiedziała, że pójdzie na farmę załatwić sprawy z panem Dawsonem. Ale nie zastaliśmy nikogo w domu i orzekła, że nie chce jej się go szukać i ciągnąć ze sobą wózka, więc wróciliśmy do sadu. Byłem rad, że zobaczymy się z drwalem jeszcze raz.

Szliśmy wśród jabłonek, gdy zobaczyłem przed nami dwie panie. Musiały nadejść drogą i zmierzały w stronę wycięcia, żeby kupić drewno.

– Popatrz, mamó – powiedziałem.

– Ojej – mruknęła i przystanęła. – To siostry Bishop.

Wyraźnie się zawahała, a potem rozejrzała dookoła.

– Nie idźmy przez sad. Musi być inna droga do lasu.

Ruszyłem za nią do płotu, ale nie było w nim furtki ani żadnej dziury. Mama wyglądała na poirytowaną i cmoknęła z niezadowoleniem, a potem podciągnęła spódnicę i przelazła przez ogrodzenie jak chłopczyca, co bardzo mnie rozśmieszyło.

– Będziesz musiał podać mi wózek – powiedziała.

Był ciężki od drewna, więc się namęczyłem. Gdy wzięła go ode mnie i postawiła na ziemi, poleciła:

– Dobra, przechodź, tylko szybko.

Przelazłem przez ogrodzenie.

– Dlaczego wracamy tędy?

– Proszę, przestań zawracać mi głowę pytaniami!

Ale tak naprawdę nie miałem nic przeciwko tej trasie. Nawet chciało mi się śmiać – co za śmieszna wspólna przygoda!

Gdy wkroczyliśmy do lasu, mama przyspieszyła kroku, więc musiałem wyciągać nogi, żeby za nią nadążyć. Zdałem sobie sprawę, że idziemy skrótem w stronę ścieżki, która ma zaprowadzić nas do domu – z dala od poręby drwała. Mama szarpała się z wózkiem. W kółka wplątywała się ściółka leśna. Kiedy przestały się obracać, musiała wlec go za sobą. Stawała się coraz bardziej czerwona na twarzy i coraz bardziej rozdrażniona, ale mnie nasza przygoda się podobała.

Wciąż starałem się ukryć szeroki uśmiech, kiedy mama nagle wydała dziwny odgłos, prawie krzyk. Stałem jak wryty i niemal wpadłem na wózek. Rozejrzałem się, żeby zobaczyć, co ją tak przstraszyło, i znieruchomiałem na widok trolla, który stał ze trzy metry przed nami, blokując drogę.

Przeraziłem się tak, że nie mogłem nawet wydobyć głosu. Ogarnął mnie okropny strach i spościłem się jak mysz. Czułem się, jakbym był chory i miał zaraz zwymiotować na leśne runo; zacząłem się trząść.

Głos mamy, kiedy się odezwała, brzmiał dziwnie piskliwie; zorientowałem się, że też jest w strachu. Ale ku mojemu zdziwieniu przywitała się uprzejmie.

– Eee... dzień dobry – powiedziała.

Przypomniałem sobie, jak chełpiłem się w duchu, że zdołam obronić ją przed niebezpieczeństwem. Teraz jednak, kiedy było ono tuż-tuż, w tym lesie, przed nami, uświadomiłem sobie, że jestem tylko dzieckiem. Małym chłopcem. Bezradnym wobec trolla. Co gorsza, tak samo jak ona.

Zacząłem się naprawdę trząść. Jak mogła obronić mnie przed trollem? Nie była wcale odważna.

Zapragnąłem, żeby był z nami tata.

Wtedy przypomniałem sobie o silnym drwalu z błyszczącą w słońcu siekierą. On – pomyślałem – niech to będzie on. Proszę, niech przybędzie nam na ratunek.

Troll powoli przeniósł wzrok na mnie. Otworzył ohydne owłosione usta i wysunął język. Oblizwał się, jakby był głodny.

Dostrzegłem po lewej stronie rozpalony ogień – który czekał na mnie.

Wiedziałem – nie miałem co do tego wątpliwości – gdzieś tam musi być wielki żelazny gar. Troll warzył w nim swoje czarodziejskie napary, a teraz zamierzał ugotować i zjeść mnie – a po zjedzeniu wypluć moje kości.

Dostrzegłem także inne rzeczy. Urządził sobie w lesie nową kryjówkę i żeby chronić ją przed deszczem, rozciągnął nad nią płótno. Miał tam połamane meble, które znalazł albo ukradł. Całkiem wygodnie sobie żył. Zabijał czas, cierpliwie czekając, aż się pojawię.

Skąd jednak wiedział, że będę tędy przechodził? Ja sam tego nie wiedziałem. Miał czarodziejską moc – pojąłem – i widział przyszłość. Dlatego podkradał odpadki z naszej ulicy – żeby rzucić czar i sprowadzić mnie z mamą do swojej kryjówki.

Trzymał coś w jednej ze swoich wielkich łap. Coś okrągłego, błyszczącego, co wyglądało niemal jak konserwa, ale przypuszczalnie stanowiło broń. Narzędzie do krojenia i nadziewania jedzenia.

Poczułem w spodenkach gorąco i uświadomiłem sobie, że się zmoczyłem. Ciepło się rozprze-strzeniło, a potem ostygło i na skórze miałem tylko zimną wilgoć.

Mama jednak wciąż cienkim głosem mówiła do trolla, jakbyśmy byli na High Street i właśnie napotkali sąsiada.

– My... eee... chyba zesłiśmy ze ścieżki. Wracamy do domu. Proszę nam wybaczyć.

I nagle pędem ruszyła do przodu, ciągnąc za sobą wózek, który mimo swojego ciężaru podskakiwał na kamieniach.

Mój strach był tak wielki, tak paraliżujący, że dopiero po chwili dotarło do mnie, co się dzieje.

Nie mogę się ruszyć – pomyślałem. Nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Nie dam rady pobiec za nią i zostanę tu sam z potworem. Tamten list! A jeśli, tak jak było w nim napisane, nic do

mnie nie czuła? Czy to mogła być prawda? Boże, ona mnie zostawi. Ona...

Nie myśl o tym. Skup się na trollu.

Ten wciąż patrzył na mnie martwym wzrokiem. Do mamy nie odezwał się ani słowem. Jakby w ogóle jej nie widział. Istniałem dla niego tylko ja. Na razie ani drgnął, ale wiedziałem, że za tą pozbawioną wyrazu, obrzydliwą kosmatą twarzą szybko pędzą myśli. Zastanawiał się, kiedy zaatakować.

Zdałem sobie sprawę, że się ruszam. Okazało się, że moje nogi jednak są sprawne; wyrwałem za mamą, która mknęła przez las jak spłoszona łania.

Chciała mnie zostawić – pomyślałem. Chciała zostawić mnie w lesie.

Biegła przed siebie, nie zatrzymując się, dopóki nie trafiliśmy na główną ścieżkę prowadzącą do wsi. Ścisnęła mnie w piersi i nie mogłem złapać oddechu, a mama dyszała z wysiłku, jakiego wymagało ciągnięcie wózka. Gdy znaleźliśmy się bezpieczni na ścieżce, która rozciągała się przed nami cudownie pusta, oboje na chwilę przystanęliśmy, żeby odpocząć.

– To nikt taki, jest nieszkodliwy – szepnęła cicho, jakby mówiła do siebie.

Czy kłamała, by mnie uspokoić? Już udawała, że nic takiego się nie stało. Ale była przestraszona; widziałem to.

Próbowałem kiwnąć głową, żeby poczuła się lepiej. Nie zauważyła, że się zmoczyłem.

Dwa dni później, kiedy już potrafiłem myśleć o tym zdarzeniu spokojnie, uznałem, że – jeśli będę grał zgodnie z zasadami – mogę bezpiecznie wrócić do lasu. Oczywiście teraz, gdy wiedziałem, że troll urządził tam sobie nową kryjówkę, musiałem zachować ostrożność. Kusiło mnie jednak, żeby lepiej poznać drwala. To było ryzykowne, ale musiałem po prostu zmierzyć się w lesie z czarną magią i potem odnaleźć dobro. Pomyślałem, że dopóki będę trzymał się ścieżki, potwór mnie nie dopadnie, tak samo jak wilk nie dopadłby Czerwonego Kapturka, gdyby ten słuchał dobrych rad.

Tak czy owak wypatrywałem trolla, a ponieważ nie widziałem żadnych jego śladów, niebawem bezpiecznie dotarłem do sadu. Tam, na miejscu, wskoczyłem na płot, który gdy tylko przełożyłem przez niego nogę, zamienił się w piękną kasztankę. Brałem udział w turnieju rycerskim, więc ze zmrużonymi oczami pochyliłem się do przodu, zraniłem kopią przeciwnika i zwycięsko podjechałem na drugi koniec areny. Zaśmiałem się, widząc przed sobą króla Artura, który z aprobatą skinął mi głową, a lady Ginewra z zachwytem pomachała chusteczką. Jedna z dam dworu posłała mi nawet całusa. Zasalutowałem monarsze, a potem triumfalnie, przy akompaniamencie owacji tłumu, wzniosłem pięść. Bez wątpienia teraz zostanę zaproszony, żeby zasiąść przy Okrągłym Stole.

– Dziękuję wam! Bardzo wam dziękuję! – zawołałem do gawiedzi.

Obejrzałem się i zobaczyłem, że przybocznicy pokonanego rycerza podnoszą go z murawy, gdzie upadł, strącony przeze mnie z konia, i prowadzą nieszczęśnika do zamku. Nic mu nie będzie; dźgając go w pierś, zraniłem tylko jego dumę, ale nic więcej.

Skierowałem kasztankę poza mury miejskie i pozwoliłem jej ponieść mnie, gdzie chciała. Rozejrzałem się wokół. Jabłonie. Ale gdy wjechaliśmy głębiej, drzewa owocowe stopniowo ustąpiły miejsca dębom i rozpoznałem czarodziejski las, który odkryłem tamtego dnia. Zsiadłem ze swojej klaczy.

– Poczekaj tutaj. – Poklepałem ją po szyi, muskularnej i twardej jak deska od płotu.

Wszedłem pomiędzy drzewa. Błoto sprzed kilku tygodni wyschło i panował letni upał. Nasłuchiwałem sekretnych odgłosów lasu.

Niewątpliwie pochwyciłem stukot siekiery i zatrzymałem się, żeby popatrzeć na drwala podczas pracy. Zarzuciłem na siebie płaszcz gwarantujący niewidzialność i stanąłem za drzewem na skraju poręby.

– Czy twoja mama wie, że tu jesteś? – Wydawał się rozbawiony moim widokiem.

Wyszedłem zza drzewa, ale tylko pokręciłem głową. Mama pewnie nawet nie zauważyła, że wyszedłem z domu.

– Chcesz mi pomóc w wyрубie jabłoni?

Zaśmiałem się, patrząc na jego ciężką siekiere.

– Jest równie wielka jak ja!

Udał zaskoczenie.

– Umiesz mówić!

Z powrotem zbliżyłem się do drzewa, żeby ukryć za nim twarz. Czułem, że się rumienię. Drwał tylko wzruszył ramionami i wrócił do pracy.

Przyglądałem mu się przez kilka minut, a potem podszedłem bliżej. Uśmiechnął się do mnie, nie wypuszczając siekiery z rąk. Był tak potężny, że potrafił przemienić całe drzewo w coś tak marnego jak klocki na opał. Pracował ciężko, większość jabłoni w tej części sadu była już ścięta.

Na pniaku leżała jasnoniebieska płócienna koszula z szarym rombem na plecach, pomyślałem jednak, że szare spodnie stanowiły kiedyś część munduru. W końcu przestał rąbać i usiadł oparty o drzewo na skraju poręby. Z manierki, takiej jak ta u nas w domu, nalał sobie do kubka parującej herbaty. Był zdyszany.

– Nazywasz się Jaś?

– Nie. – Był zdziwiony. – Hans.

– Aha.

Pogrzebałem w ziemi czubkiem buta. Westchnąłem i rozejrzałem się wokół, jakbym musiał już iść.

– Hans to zdrobnienie od Johannes – odezwał się. – Znasz to imię?

Pokręciłem głową, ale powoli zbliżyłem się do niego.

– A Johannes znaczy John – dodał.

– John?!

– Tak.

Zaśmiałem się niepewnie. Chyba robił sobie ze mnie żarty. Ktoś taki jak on nie mógł mieć takiego nudnego i pospolitego imienia jak John.

– Jaś to właśnie „mały John”. Babcia czasami tak mnie nazywała, kiedy byłem małym chłopcem. Chciała być miła.

Wiedziałem! Więc jednak był Jasiem.

– Jak w *Jasiu i Małgosi*! Znasz tę historię?

Znowu się uśmiechnął i wzruszył ramionami; nie wiedziałem, czy to znaczy „tak” czy „nie”. Potem znowu oparł się o drzewo.

– Usiądź – powiedział.

Wdrapałem się na pniak do rąbania naprzeciwko niego i skrzyżowałem nogi. Ostre krawędzie po ciosach siekiery wbijały mi się w gołe łydki i uda pod spodenkami. Spojrzałem na niego.

– Dlaczego nie jesteś na wojnie? – zagadnął.

– Mam dopiero dziewięć lat!

– Och! Myślałem, że jesteś znacznie starszy! Że masz z piętnaście, szesnaście lat.

Byłem zachwycony.

– Jak się nazywasz? – ciągnął.
– Daniel?
– Danielek?
Parsknąłem śmiechem.
– Nie! Daniel! Daniel!
– Przyszedłeś tu dwa razy z mamą po drewno, prawda?
– Tak. To byłem ja. – Przygryzłem wargę. – Proszę, nie mów jej, że mnie widziałeś. Miałbym kłopoty.
– Dobra – odparł. – Obiecuję. A gdzie twój tata?
– Och, walczy na froncie. Jest bardzo dzielny. On...
Ojejku.
– On...
– W porządku, Danielu. Rozumiem.
Nagle jednak uświadomiłem sobie, że nie rozumiał. Czy tata, gdyby był tu teraz, zabiłby go? Patrzyłem na Jasia siedzącego na ziemi, z siekierą u boku, i przypomniałem sobie twarde mięśnie jego ramion, na które poprzednio zwróciłem uwagę; teraz były jeszcze większe i twardsze. Próbowałem sobie przypomnieć, jak wygląda tata. Minęło wiele tygodni, odkąd go widziałem. Jedyne, co pamiętałem, to jego stłumiony płacz w komórce i zdjęcie w srebrnej ramce w salonie. Stał na nim obok mamy w dniu ich ślubu. Miał na sobie garnitur z krawatem, był chudy i oniesmielony.
Jaś by go pokonał. To on zabiłby tatę.
Stwierdziłem, że nie mogę wyraźnie odtworzyć w pamięci nawet obrazu ze zdjęcia. Przeważnie, kiedy na nie patrzyłem – starając się nie zostawiać śladów palców na szkle – spoglądałem na mamę. Wyglądała tak młodo. Śmiała się do tego, kto trzymał aparat. Próbowałem zestawić ze sobą te dwie osoby: mamę z fotografii (zanim mnie urodziła) i tę, z którą mieszkalem.
Nagle odechciało mi się myśleć o rodzicach. Zeskoczyłem z pniaka. O wstydzie, poczułem, że zbiera mi się na płacz.
– Nie odchodź! Nie musisz iść. Przepraszam. Nie chciałem sprawić ci przykrości.
Wstał.
Odwróciłem się, żeby odejść, ale się zawahałem. Zatrzymało mnie coś w jego przeprosinach – takich miłych, jakbym był dorosły. Pochyliłem się, żeby rozwiązać i zawiązać z powrotem sznurowadła; coś musiałem zrobić. Kilka razy zamrugałem powiekami i moje głupie oczy, choć paliły mnie od łez, chyba się uspokoiły.
Skupiłem uwagę na sznurowadłach.
– Nie, tylko mama na mnie czeka, powinienem już iść...
– Aha. Jeśli masz obowiązki albo...
– No, nie. To znaczy mam... ale chyba mógłbym zostać jeszcze trochę.
– Dobre i tyle! – Przeciągnął się i podniósł siekierę.
Odsunąłem się od pniaka i położyłem na nim kawał drewna, żeby miał co rąbać.
– Dziękuję – powiedział. – Co to za historia, o której mówiłeś? O Jasiu i Małgosi...
Więc gdy pracował, opowiedziałem mu tę bajkę; uśmiechnął się, jak tylko ją rozpoznał. Wiedziałem, że opowiadam mu historię z jego dzieciństwa.

W drodze powrotnej wypatrywałem trolla, ale nigdzie go nie dostrzegłem. Pomyślałem, że być może, gdy jego dom w tunelu spłonął, przeniósł się do lasu na stałe, ale uznałem, że lepiej mieć

także oko na dawną, spaloną kryjówkę przy torach. Na wszelki wypadek.

Skierowałem się w stronę tunelu i zanim zszedłem na tory, przez jakiś czas obserwowałem jego wylot. Potem zajrzałem do środka i nawet parę razy zawołałem: „Trollu!”, aby się upewnić, że go nie ma. Kiedy wszedłem głębiej, przekonałem się, że miałem rację, zachowując ostrożność – powoli odtwarzał swoje legowisko. Wszyscy wiedzą, że trolle mieszkają pod wiaduktami – i wyglądało na to, że nasz tu wrócił.

Kusiło mnie tamto gorąco, które czułem, kiedy podłożyłem ogień pod jego kryjówkę, więc zacząłem się zastanawiać, czy tej też nie podpalić. Ale potem przypomniałem sobie nieprzyjemne uczucie, które ogarnęło mnie później, i doszedłem do wniosku: lepiej niech myśli, że jest bezpieczny. Łatwiej będzie mi obserwować tunel niż wypatrywać potwora w lesie.

Skoro trwały letnie wakacje, miałem dużo czasu, więc postanowiłem, że następnego dnia wrócę na wzgórze, żeby śledzić poczynania trolla.

Nazajutrz zabrałem ze sobą owiniętą w papier marną kanapkę z dżemem, bo pomyślałem, że fajnie będzie urządzić sobie piknik, gdy będę wypatrywać potwora. Ale kiedy tylko przyszedłem na punkt obserwacyjny, zobaczyłem, że troll opuszcza tunel.

Poczłapał do drewnianych stopni na stoku wzgórza. Znalazłszy się na ścieżce, skręcił w lewo i ruszył nią, oddalając się od wsi.

Och! Nie miałem czasu na lunch; musiałem pójść za potworem.

Wcisnąłem kanapkę do kieszeni i ześlizgnąłem się po stoku. Ale zanim znalazłem się na dole, zza zakrętu, sapiąc, wyłonił się pociąg. Zirytowany, zacząłem podskakiwać niecierpliwie, czekając, aż przejadą wszystkie wagony. Wywołany przez nie podmuch rozwiął mi włosy i wzduł koszulę, podczas gdy z odległości kilku stóp patrzyły na mnie zamazane twarze. Nie zauważyłem szkieletowej załogi. Potem pociąg zniknął tak nagle, jak się pojawił, i wznowiłem polowanie.

Przebiegłem przez tory i wdrapałem się po stopniach na górę tak szybko, jak potrafiłem. Nie widziałem trolla, ale ruszyłem w kierunku, który obrał. Dyszałem od stromej wspinaczki i z podniecenia. Tropię zwierzynę – pomyślałem – tak jak wilk tropił w lesie Czerwonego Kapturka, nie tracąc go z oczu między drzewami.

Tyle że ja trolla straciłem z oczu. Miałem nadzieję, że mi nie uciekł. Nie wiedziałem, czy skręcił w gęsty las po mojej prawej stronie. Ścieżka na tym odcinku wciąż biegła wzdłuż torów, ale później się od nich oddalała.

Kiedy tylko pokonałem zakręt, za którym zmieniała kierunek, odniosłem wrażenie, że dostrzegam trolla; był niedaleko przede mną. Dopadłem więc drzewa po prawej stronie, żeby się ukryć. Po lewej były tylko zarośnięte nieużytki i ścieżka powoli opadała w stronę pól. Nie bardzo się nawet orientowałem, dokąd prowadzi. Nigdy wcześniej sam tak bardzo nie oddaliłem się od wsi.

Zatrzymałem się na chwilę, żeby pomyśleć. Dokąd on szedł? Jak daleko mogłem za nim iść? Dopóki trzymałem się ścieżki, wiedziałem, że trafię z powrotem do wiaduktu, ale już straciłem rozeznanie, gdzie jestem.

Przypomniałem sobie brudne legowisko w tunelu; to, jak troll biegł za mną w ciemności z tym koszmarnym rykiem, jak potem próbował mnie wyniuchać w godzinie czarów i wreszcie jak o mało nie skończyłem u niego w garze.

Nie. Musiałem się dowiedzieć, dokąd się wybiera. Poza tym byłem wilkiem.

– Ścigający staje się ściganym – mruknąłem.

Tropiłem dalej, ale trzymałem się bezpiecznej gęstwiny lasu. Pola po drugiej stronie oddalały

się, przechodziły w zarośla, a te w las. Ścieżka stawała się coraz węższa i coraz bardziej zarośnięta.

Daleko jeszcze chciał iść? Czuję się zmęczony i zgrzany. W brzuchu mi burczało, więc przypomniałem sobie o kanapce. Dżem malinowy zdążył przesiąknąć przez chleb, ale wszystko razem było pyszne. Miałem dość tropienia trolla i już zamierzałem zawrócić, kiedy wreszcie zrobił coś ciekawego: wkroczył w las.

Co to miało być?

Próbowałem za nim nadążyć i uświadomiłem sobie, że nie wybrałem przypadkowego miejsca; podążał wąską dróżką, która wila się między drzewami.

Zrobiło mi się trochę niedobrze; coś się zaczęło dziać. Starłem się pozostać niezauważony – gdyby się odwrócił i zobaczył mnie na dróźnie, na której mieścił się tylko jeden człowiek, nie miałbym szans; między drzewami szybko wpadłbym w jego łapy.

Teren znowu opadał i nagle zdałem sobie sprawę, gdzie jesteśmy i dokąd on zmierza. Zbliżyliśmy się do tak zwanej rzeki Densford, która tak naprawdę nie była rzeką, tylko małym potokiem. Zaszliśmy dalej od miejsca, do którego tata zabierał mnie w upalne dni, żeby popływać.

Usiłując zwiększyć odległość między nami, schowałem się za drzewo.

Troll wędrował dalej, potykając się w swoich wysłużonych buciorach o korzenie. Myślałem, że zejdzie nad wodę. Ale zamiast tego zaczął się za dużym drzewem.

Stał twarzą do niego, opierając łapy o pień.

Co, u licha, knuł?

Dziwnie to wyglądało. Robił to... co ja. Dotarło do mnie, że zachowujemy się tak samo. On też co jakiś czas wyglądał zza drzewa, żeby zobaczyć, co się dzieje przed nim.

Wypatruje czegoś – pomyślałem. Nie. Chwileczkę. Patrzył na coś. I nie chciał, żeby go widziano. Ukrywał się!

Przed czym?

Tego nie wiedziałem.

Po kilku minutach powoli przykucnął. W tej nowej pozycji sprawiał wrażenie śmielszego; choć wciąż tkwił za drzewem, jego głowa i ramiona się zza niego wychylały.

Wykręciłem szyję, ale wciąż nie widziałem, na co patrzy. Ze swojego miejsca nie mogłem nawet dostrzec strumienia, choć się domyślałem, że troll spogląda właśnie na niego.

Wycofałem się do lasu. Starłem poruszać się jak najciszej, ale nie martwiłem się za bardzo, jeśli nastąpiłem na gałązkę albo liść; znajdowałem się w sporej odległości od trolla. A w lesie wcale nie było cicho, szumiał wiatr i jak gdyby nigdy nic śpiewały ptaki.

Oddaliwszy się dostatecznie, zatoczyłem koło. Chciałem zbliżyć się do strumienia z innej strony, żeby zobaczyć, na co patrzy troll.

Nie bałem się. To, co wzbudzało lęk potwora, nie mogło stanowić zagrożenia dla mnie. Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem. Pan Finlay nauczył nas w szkole tego powiedzenia.

W końcu zbliżyłem się do brzegu i zwolniłem kroku. Ale coś było nie tak; nie widziałem przed sobą trolla.

Rozejrzałem się szybko, żeby sprawdzić, czy nie wycofał się po własnych śladach, i gwałtownie wciągnąłem powietrze. Zaszedłem za daleko i znalazłem się przed nim. Widziałem jego kudłaty łeb wyglądający zza drzewa.

Nie znajdowałem się jednak na wprost niego, bo inaczej by mnie zobaczył, ale nieco po prawej stronie, podczas gdy on wciąż spoglądał w lewo. Szybko się więc cofnąłem i ukryłem ponownie.

Oparłem się o gładki pień drzewa; pasemkami odchodziła od niego srebrna kora, delikatna jak łupina cebuli. Pod nią znajdowała się nowa, różowawego koloru. Sęki w drewnie wyglądały jak oczy, które spoglądały na mnie z dezaprobatą.

– Przepraszam – szepnąłem do drzewa. – Przepraszam bardzo.

– Hm, przynajmniej cię nie zauważył – odparło.

Zdałem sobie sprawę z własnej głupoty. Byłem tak skupiony na swoim zadaniu, że nie zwracałem uwagi, gdzie jestem. A zaszedłem prawie nad strumień. Gdybym wyteńczył słuch, usłyszałbym szum wody.

Teraz jednak, kiedy stałem się czujniejszy, pochwyciłem także krzyki. Kto tam był?

Wychylnąłem zza drzewa i spojrzałem w stronę potoku.

Nic ciekawego. Tylko dwóch chłopaków. Na oko starszych ode mnie. Może jedenasto-, dwunastoletnich. Zostawiwszy ubrania i bieliznę na brzegu, kąpali się w wodzie głębokiej zaledwie na kilka stóp.

Ponownie skupiłem się na trollu. Wciąż nie mogłem się zorientować, co zamierza.

Spojrzałem na niego z boku, na jego czerwone plamiste policzki i zmierzwioną ciemną brodę, a potem zerknąłem na kąpiących się chłopców. To na nich patrzył.

W tym momencie się bawili, usiłując wepchnąć się nawzajem pod wodę. Jeden z nich był wyższy, więc miał przewagę. Wyskoczył, żeby zatriumfować nad przeciwnikiem, i po jego pośladkach spłynęła woda. Miał bardzo jasną skórę i – przez to, że był nagi – wyglądał trochę jak biały posążek nimfy czy anioła.

Drugi chłopiec też wyłonił się z wody i rzucił na pierwszego. Chwycił go za ramiona i pchnął do tyłu. Tamten przewrócił się z krzykiem, ale zaraz wstał, śmiejąc się wesoło.

Byłem za daleko, żeby dobrze widzieć ich twarze, ale raczej żadnego nie znałem. Pewnie chodzili do szkoły średniej w Densford.

Mina trolla się zmieniła. Wpatrywał się swoimi ciemnymi paciorkowatymi oczami w chłopców, gdy ci siłowali się i bawili. Chciał ich zjeść, widziałem to.

Pomyślałem, czyby nie zbiec nad rzekę i nie zawołać do nich, żeby uciekali, ale nie zrobiłem tego, bo troll nie wykonał żadnego ruchu, który świadczyłby o tym, że zamierza ich złapać. Może tego dnia już jadł?

Więc tylko patrzyłem, patrzyłem przez dłuższy czas.

Po chwili znudziło im się, więc wyszli na brzeg, ubrali się i ruszyli do domu. Po ich odejściu troll powlókł się nad strumień i zdjął łańchmany. O dziwo, bez nich wyglądał bardziej po ludzku. Niewiele różnił się od tamtych chłopców, był tylko starszy i miał bardziej obwisłe, pomarszczone ciało. Ostrożnie wszedł do strumienia, zanurzył się, nabrał wody w złączone łapy i się napił, a potem roztarł ramiona jak człowiek w kąpieli.

To było naprawdę zabawne. Tamci chłopcy nie mieli pojęcia, że podglądał ich potwór. A teraz ten sam potwór nie miał pojęcia, że podglądał go ja.

Rozdział trzynasty

„O, jakże biło serce Gerdy ze strachu i tęsknoty!”
– z *Królowej Śniegu*

„Jabłko... z wierzchu było piękne, czerwono-zielone,
a każdy, kto na nie spojrział, miał na nie ochotę,
lecz gdy ktoś zjadł kawałek, musiał umrzeć”.
– z *Królowej Śnieżki*

– Same jabłonie, a żadnego jabłka – powiedziała z nerwowym śmiechem. – Pomyślałam, że może miałbyś chęć na jedno.

Podawała mu owoc i zarumieniała się, kiedy podniósł go do ust i wgrzył się w miąższ.

Wierzchem dłoni otarł sok z warg.

– Dobrze. – Uśmiechnął się do niej. – Dziękuję.

Podsunał jej jabłko, żeby sama skosztowała. Wzięła je od niego i ugryzła w miejscu, gdzie przed chwilą spoczywały jego wilgotne usta.

Do tego więc doszło.

Oboje wiedzieli, co to znaczy, oczywiście, że tak. Nie planowała tego, kiedy rano kupowała owoc na kartki, ale... A może jednak? Jabłko zawsze było symbolem wiedzy i grzechu – i oboje zdawali sobie z tego sprawę; nie mogła udawać, że jest inaczej.

Zaprowadził ją do małej drewnianej szopy, w której trzymano nasiona, narzędzia i jakiś porzewiały sprzęt. Zamknął drzwi. W środku było gorąco i wilgotno; zrobiło jej się nieprzyjemnie ciepło, bo miała na sobie sukienkę z długimi rękawami, w której zawsze podobała się Reggiemu.

Hans wcześniej zauważył, że jest gorąco i że jedząc jabłko, powinni się tu schronić przed palącym słońcem. Kiedy jednak weszli do środka, odłożył owoc na półkę i nie tknął go więcej.

Szopa była mała, przypominała raczej komórkę, stali więc bardzo, bardzo blisko. Patrzyli na siebie. Bywała już bliżej nieznajomych; kiedy przed kilkoma miesiącami pojechali do Londynu, żeby odwiedzić rodziców, musieli zbiec do metra, bo rozległo się przerażające wycie syren zapowiadających nalot. Ludzie tłoczyli się na peronach, w końcu, w miarę upływu czasu, rozłożyli się na nich, czekając na odwołanie alarmu. Leżeli szeregami na płytkach jak sardynki w puszcze. Ale stojąc zaledwie trzydzieści centymetrów od tego mężczyzny, w ciasnej, mrocznej przestrzeni, po czuła niepokojącą zażyłość. Niebo jakby pociemniało, a może po prostu jedyne okienko było zasnutę pajęczynami i pokryte warstwą brudu. Niewiele przenikało przez nie światła.

Przez chwilę panowała cisza. Albo przez dwie chwile.

Coś zmieniło się w powietrzu i oboje oddychali płytko, cicho, żeby nie przerwać czarui. Stał na wprost niej, ale ona odwróciła lekko głowę, żeby rzucić okiem na drzwi – mogła w każdej

chwili umknąć; usiłowała podjąć decyzję. Czuła na sobie jego spojrzenie – był o wiele śmielszy od niej. Płytki oddech i nienormalnie mocne bicie serca niemal doprowadziły ją do omdlenia. Próbowała przytrzymać się półki za sobą.

Raczej wyczuła, niż zobaczyła, że powoli odwrócił głowę. Musiał utkwic wzrok w jakimś punkcie nad jej ramieniem. Czyżby na tym miało się zakończyć? Może jednak nic takiego się nie stanie. Żołądek podszedł jej do gardła i nie wiedziała, czy to z ulgi, czy z zawodu. Czy można czuć jedno i drugie równocześnie?

Potem jednak lekko dotknął jej prawej dłoni. Może niechcący – czy wiedział, że jej dotyka? Jeśli w małej starej szopie mogło zrobić się jeszcze ciszej, to tak się właśnie stało. Po chwili wahania splótł z nią palce. Ona wciąż spoglądała w bok i milczała. Nie ulegało wątpliwości, że wiedział, co czyni.

Czy było już za późno, żeby to przerwać? Chyba nie. Jak on postąpi dalej? W żaden sposób go nie zachęcała. Może nawet wstrzymywała oddech. Czyżby drżała?

Odsunął długi rękaw jej sukienki i znalazł pod nim miękką skórę. Poglądził ją, pieszcząc wewnętrzną stronę nadgarstka. Nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi, jakie to czułe miejsce. Pod wpływem jego pieszczot dostała gęsiej skórki; było to bardzo zmysłowe doznanie, ale przywołała się do porządku, powtarzając sobie, że to tylko jego palce, tylko ręce, tylko nadgarstek. Nic takiego.

Wciąż bała się wypuścić powietrze z płuc, gdy usłyszała jego urywany oddech. Nadal miała odwróconą głowę.

Czy można jeszcze udawać, że nic się nie stało? Chyba tak – żadne z nich nie zdradziło, że jej dotknął. Co zamierzał zrobić dalej? Co będzie, kiedy wyjdą na zewnątrz?

Musiał znowu zwrócić wzrok w jej stronę, bo we włosach i na szyi poczuła jego oddech. Nagle stała się bardzo świadoma własnego ciała. Ale w żaden sposób nie starała się go zachęcić. Czy jego drżący oddech świadczył o strachu – bo ona z całą pewnością była przestraszona – czy o podnieceniu?

Wyczuła ruch; znalazł się dokładnie naprzeciwko niej. Mogła jeszcze bardziej odwrócić twarz. Mogła zamknąć oczy. Wtedy dotknął palcami jej drugiej dłoni i to było już prawie nie do wytrzymania.

Pochylał się nad nią, oddychał jej w szyję i splatał z nią palce. Musiała zbliżyć się do niego – bo jak inaczej miałyby ją pocałować? Dopiero po chwili się zorientowała, że już się całują, delikatnie, rytmicznie. Wówczas on podniósł jej ręce i zarzucił je sobie na szyję. Napał na nią tak, że znalazła się ściśnięta między nim a ścianą szopy. Ale ten nacisk był przyjemny i działał uspokajająco; zrobiło jej się słabo, jakby miała się rozpłakać, i nie mogła już zaprzeczyć, że to zaszło za daleko, o wiele za daleko, więc odsunęła się od niego, wypadła z szopy i nie oglądając się, pobiegła do domu.

Rozdział czternasty

„...otworzył drzwi izdebki, gdzie spała królowna.
I ujrzał dziewczkę tak piękną, że nie mógł oderwać
od niej oczu, pochylił się i pocałował ją. Po tym pocałunku
królowna otworzyła oczy, zbudziła się i spojrzała
na niego z uroczym uśmiechem”.
– ze *Śpiącej Królowny*

Jak większość drwali Jaś miał swoją własną drewnianą chatkę. Stała z boku, po jednej stronie poręby. Kiedy więc do niego szedłem, a on nie był zajęty rąbaniem ściętych jabłoni, zwykle znajdowałem go właśnie w tej chatce. Siedział na odwróconej skrzynce i pił herbatę z kubka albo szukał czegoś na półkach.

Początkowo pukałem do drzwi, a wtedy wychodził, żeby się ze mną przywitać. Któregoś razu zaprosił mnie do środka; usiadłem wtedy na podłodze i gawędziliśmy, podczas gdy on dopijał herbatę. Poczęstował także mnie, więc wziąłem kubek w ręce. Pijąc, myślałem o Indianach z Dzikiego Zachodu, którzy palili fajkę pokoju z wziętymi do niewoli przeciwnikami, i wiedziałem, że on ofiarował mi podobny znak przyjaźni.

Czasami bawiliśmy się razem, jak Kaj i Gerda na ulicy, zanim chłopca porwała Królowa Śniegu. Nauczyłem go grać w klasy; pola na ziemi wyznaczaliśmy gałęziami jabłoni. Być może inni dorośli, jak mama, uznaliby za dziwne, że ktoś taki lubi bawić się z dzieckiem. W końcu Jaś nie był moim ojcem. Pod pewnymi względami okazał się jednak lepszy od ojca, bo nigdy nie zapomniał, że jest drwalem z moich bajek. Był prawie mityczną postacią, która za sprawą czarów pojawiła się w Bambury.

Pewnego dnia bawiliśmy się w chowanego. Przyszła kolej Jasia, żeby szukać, więc kiedy odliczał, jak zwykle wbiegłem między drzewa. Tym razem jednak postanowiłem utrudnić mu zadanie, więc zatoczyłem kółko i wróciłem na porębę. Jaś siedział na bloku do rąbania, zasłaniając oczy dłońmi.

– ...trzydzieści dwa... trzydzieści trzy... trzydzieści cztery...

Z trudem powstrzymywałem śmiech. Zamierzałem schować się w jego chatce, ale przypomniałem sobie, że jeśli otworzę drzwi, zdradzą mnie pordezwiąłe skrzypiące zawiasy. Jaś się domyśli, gdzie jestem, zanim jeszcze doliczy do sześćdziesięciu. Postanowiłem więc ukryć się za chatką.

Po odliczeniu pełnej minuty zawołał:

– Szukam! Jesteś gotowy?!

Musiałem ugryźć się w język. Choćbym nie wiem ile razy mu powtarzał, co ma mówić, zanim zacznie mnie szukać, nigdy tego nie pamiętał. „Masz powiedzieć: «Szukam, czy jesteś gotowy, czy nie!»”.

Nie widziałem go ze swojej kryjówki, ale słyszałem, że ruszył między drzewa, w kierunku,

który najpierw obrałem. Mój plan działał, więc oparłem się o ścianę chatki i czekałem.

Po jakimś czasie podniosłem z ziemi kamyk o ostrych krawędziach i dla zabicia czasu zacząłem nim rysować po ścianie. Na ciemnym drewnie powstała rysa, odsłaniając jaśniejsze, czystsze drewno. Myślałem o tym, żeby wyryć w nim swoje imię, ale wtedy wszyscy by wiedzieli, czyja to robota, więc przestałem na małym wzorku.

Tak znalazłem dziurę po sęku. Znajdowała się na poziomie mojego wzroku i chociaż była mała, to gdy przytknąłem do niej oko, wyraźnie zobaczyłem wnętrze domku. Przez całą jego długość biegły dwa blaty i ze swojego miejsca widziałem przejście między nimi aż do drzwi. Obraz na brzegach był trochę zamazany i musiałem odczekać sekundę albo dwie, żeby mój wzrok przyzwyczał się do panujących tam ciemności, ale okazało się, że znalazłem idealny judasz.

Wtedy Jaś zawołał z głębi sadu:

– Nadchodzę! Jesteś gotowy?!

Wkurzające.

Nie chciałem, żeby zobaczył, co wyryłem na tylnej ścianie jego chatki ani się dowiedział o judaszu, więc wyszedłem z za domku i pozwoliłem się znaleźć.

Później, za każdym razem, gdy przychodziłem na porębę i nie widziałem nigdzie Jasia, obchodziłem chatkę, żeby odnaleźć dziurę w ścianie. Podglądałem go przez chwilę, a potem się wycofywałem i pukałem do drzwi. Te obserwacje z ukrycia dawały mi poczucie mocy. Zostałem rządowym szpiegiem. Czasami przez radio przekazywałem kwaterze głównej zdobyte informacje. Musiałem szeptać, żeby obiekt mnie nie usłyszał.

Tamtego więc ranka, kiedy dotarłem na porębę, ucieszyłem się, że Jasia nie ma w polu widzenia. Pora na mały zwiad. Wbiegłem między jabłonie i podczołgałem się do chatki. Nie chciałem, żeby wykrył mnie wrogi radar.

Podszedłszy do tylnej ściany domku, zwinąłem dłoń w specjalny szpiegowski teleskop, wyprostowałem się i przytknąłem go do judasza. Ale w ten sposób gorzej widziałem, więc opuściłem rękę i przyłożyłem do dziury oko. Moje rzęsy muskały drewno jak skrzydełka motyla i lechtały mi twarz.

Stali bardzo blisko jedno przy drugim.

Nie wiedziałem, po co zbliżyli się do siebie tak nienaturalnie. Nic nie mówili. Nie pojmowałem, co robią, na co czekają.

I wtedy on ją pocałował.

To było takie spokojne, poruszały się tylko ich usta.

Nigdy nie widziałem, żeby mężczyzna w taki sposób całował kobietę. Nie pamiętam, żebym w ogóle widział tatę całującego tak mamę, chociaż widywałem ich cmokających się w policzki, jak inni na peronie.

Gdy wybiegła, zatoczyłem duże koło, żeby podejść do poręby z innej, bezpieczniejszej strony.

Zawołałem, aby wiedział, że się zbliżam.

(Szukam... Jesteś gotowy?)

Rozdział piętnasty

„Pogładził złote włosy ślicznego dziewczęcia,
ucałował białe jej czoło i uśmiechnął się tak dobrotliwie,
iż zaczęła marzyć o niezmiernym szczęściu
pozyskania nieśmiertelnej duszy ludzkiej”.
– z *Syreny*

„I podczas gdy czesała włosy małej Gerdy, dziewczynka
zapominała coraz bardziej o swoim przybranym braciszku”.
– z *Królowej Śniegu*

To się powtórzyło. W końcu.

Wróciła.

Od tamtego czasu prawie nie myślała o niczym innym. Kilka dni po pocałunku – bo to był pocałunek, prawda? – nagle przyszła letnia burza, a wraz z nią duchota. Przez cały dzień Annabel była niespokojna i nie wiedząc, co ze sobą zrobić, poszła do swojego pokoju, żeby się zdrzemnąć.

Udało jej się przespać parę godzin i kiedy się obudziła, minęła już czwarta.

W popołudniowym świetle, ostrym od szarobiałego nieba, zobaczyła, że po szybie okiennej spływają duże krople deszczu. Na pościel padały ich cienie. Podniosła nagą rękę i obracając nadgarstkiem, patrzyła, jak suną po jej skórze. Gładził ją po tym nadgarstku.

Z przyjemnością obserwowała ruch cieni – można było odnieść wrażenie, że odbite krople kapią jej na rękę. Były ciemnoszare i w porównaniu z nimi jej ciało wydawało się bardzo jasne. Poczuli się, jakby zesła z ekranu w kinie; życie zredukowane do czerni, bieli i szarości. Leniwie obserwowała ułudny deseń z kropli na swoim nagim ramieniu i wyobrażała sobie, że on scelowuje je z jej skóry.

Gwałtownie zerwała się z łóżka, zaciągnęła zasłony, włożyła szlafrok i wymaszerowała z pokoju, ale aż podskoczyła, gdy wpadła na chłopca, który kręcił się przy schodach przed otwartymi drzwiami jej pokoju. Ominęła go i zesła do kuchni, żeby wstawić czajnik na gaz.

Ale nie mogła zapomnieć o tym, co było. Czy on też myślał o tamtej chwili?

Musiała wrócić; przecież powiedziała Dawsonowi, że zamierza zaopatrzyć dom w drewno przed zimą, więc gdyby nagle zaczęła chodzić po nie gdzie indziej, mógłby nabrać podejrzeń.

I doszła do wniosku, że nie chce, aby skończyło się na pocałunku. Czuła się taka samotna, od tak dawna.

Przysunęła sobie krzesło i czekając, aż woda się zagotuje, zapaliła papierosa z leżącej na stole paczki.

Myślała i myślała.

Chłopiec przywłókł się na dół i zaczął krzątać się po kuchni, przygotowując coś do jedzenia.

Usmażył na patelni jajecznicę z grzankami. Podziękowała, kiedy postawił przed nią talerz. Zjadła z roztargnieniem, a potem zaprowadziła go na górę, żeby poczytać mu bajkę. Było jeszcze bardzo wcześnie, pewnie niewiele po piątej, ale uznała, że każdemu dobrze zrobi, jeśli porządnie się wyśpi.

Podjęła decyzję; kiedy rano Daniel wyjdzie się bawić, ona wróci do sadu przez las. Nazajutrz wykapała się i starannie ubrała. Była jeszcze wczesna pora, więc dla zabicia czasu, wyglądając przez okno w salonie, zapaliła papierosa. To stąd widziała, jak do Bambury przybywają pierwsi jeńcy wojenni.

Wyglądało na to, że letnia burza z poprzedniego dnia wróci, aby przegnać duchotę. Pomruki przypominające burczenie w brzuchu dochodziły z zachmurzonego nieba, ale nie dlatego, że było ono puste, tylko przeciwnie – nabrzmiałe deszczem.

Mimo to nie zrobiło się ciemno. Przez chmury jakimś cudem przebijało się brudnożółte światło, przenikając również przez firanki, tak że dzień jakby miał żółtaczkę. Zgasiła papierosa i zaczęła krążyć po pokoju. Koronkowe serwetki na kredensie przybrały brzydkie niezdrowy odcień, jak tapeta w domu rodziców, pożółkła od palonych przez ojca cygar. Niebo nabrzmiewało coraz bardziej; wrzód, który należało naciąć. Ziemia wyraźnie czekała. Annabel była wytrącona z równowagi; czuła energię w powietrzu. Chciała, żeby na niebie pojawiła się błyskawica i je rozwarła. Chciała, żeby spadł deszcz. To byłaby ulga. Nie mogła znieść tego czekania.

Wciąż krążyła w kółko. Była jak zwierzę w klatce. Całą sobą chłonęła napięcie elektryczne z powietrza – jej własne ciało aż nim iskrzyło.

Nigdy wcześniej nie czuła się tak spętana i jednocześnie pełna życia.

Nie zaznała tego uczucia, nawet gdy przed ślubem spotkała się z Reggie. To było coś zupełnie innego. Tak musi wyglądać miłość. Zatrzymała się nagle. Oczywiście! Była desperacko zakochana.

Ze względu na burzę nie powinna wychodzić z domu, ale posunęli się już za daleko i musiała do niego pójść. Pragnęła pójść. Jeszcze chwila, a rzuci się do drzwi i pobiegnie ulicą.

Zauważyła, że chłopiec przygląda jej się z progu. To jego ciągłe podkradanie się doprowadzało ją do szału. Kazała mu iść się pobawić, bo sama ma dużo obowiązków. Jeśli był zaskoczony, że wysłała go na dwór przed burzą, nie dał tego po sobie poznać.

Z trudem doczekała do dziesiątej.

Wtedy zaparzyła herbaty i nalala jej do termosu, który potem wsadziła do torebki. Dała mu już jeden od kompletu. Pospiesznie włożyła płaszcz przeciwdeszczowy, przed lustrem w przedpokoju pociągnęła szminką usta – nie za bardzo, bo nie chciała, żeby roztała jej się na policzkach albo brodzie, kiedy będzie ją całował – i zamknęła za sobą drzwi frontowe. Stukała obcasami na chodniku jak kłusujący koń, ale nie potrafiła zwolnić kroku. Miała nadzieję, że burza nie złapie jej w drodze; wzięła parasol, ale nie chciała, żeby od wilgoci zmierzwiły jej się włosy i rozpadły loki.

Długo się zastanawiała, co na siebie włożyć – gdyby zbyt się wystroiła, wyglądałaby nie stosownie w wiejskim sadzie, ale gdyby z kolei ubrała się skromnie, czułaby się nieładna i zanie dbana. W końcu wybrała letnią sukienkę, która mogła się wydawać trochę za lekka na tę niepewną pogodę, ale przecież był lipiec. Annabel liczyła, że w pastelowych deseniach skojarzy mu się z kwiatem – może nazwie ją swoją angielską różą. Albo motylem. Mimo że była spięta, ta myśl ją rozweseliła.

Niech rozpęta się burza, z grzmotami i błyskawicami przecinającymi niebo – będą bezpieczni pod małym drewnianym dachem. Życzliwa ulewa zatrzyma w domu Dawsona i innych klientów,

a słodkie dźwięki stłumią odgłosy ich dwojga w szopie.

Wiedziała, że tego dnia zostanie jego kochanką. Tam, na szorstkich deskach, w otoczeniu pełniących straż narzędzi ogrodniczych, w zapachu ziemi i bujnej zieleni.

Później pogłaskał ją po włosach, przeczesując je palcami jak grzebieniem. Byli nadzy i wciąż mieli splecione nogi.

Uniósł się, wspierając głowę na łokciu, i spojrzał na nią.

Zaczęła go wypytywać o jego życie w Niemczech, przed wojną. Powiedział, że nie ma dziewczyny, co najbardziej ją interesowało. Bawił się srebrnym medalionem na szyi Annabel i kiedy go przesuwiał, cienki łańcuszek łaskotał jej skórę. Wyznała mu, że w środku nic nie ma – żadnego zdjęcia, włosów, pamiątki; to prezent od rodziców sprzed wielu lat. Pokazała wygrawerowane z tyłu swoje imię i datę urodzenia; nie chciała, aby myślał, że dostała medalion od męża.

On także zadawał jej pytania. Z dała od domu i chłopca, i wspomnień o Reggie'm zdołała spojrzeć na swoje życie całkiem trzeźwo. Była szczerą. Przeważnie. Powiedziała mu, że już długi czas czuje się nieszczęśliwa i od urodzenia dziecka jest jej ciężko.

Nie wspomniała o koszmarze pierwszego roku, o szeptanych groźbach, że oddadzą ją do zakładu, aż w końcu zmusiła się, by wstać i udawać sprawną, dobrze zorganizowaną. Wyznała mu jednak, że kiedyś omal nie uciekła.

– Dawno, dawno temu. – Zaśmiała się i wzruszyła ramionami. – Minęło wiele czasu.

– Naprawdę? Zamierzałaś uciec?

– Cóż, daleko nie uciekłam.

– Co się stało?

Usiadła, żeby wyjąć papierosa z torebki; zapaliła go dla nich obojga. Bezpieczni w małej szopie, wsłuchali się w szum deszczu. Temperatura spadła i powietrze przyjemnie chłodziło ich rozpalone ciała; można się było przytulić, więc gdy razem palili, Annabel położyła się z powrotem, składając głowę w zgięciu jego ręki.

– Chłopiec miał wtedy ze trzy lata. Była wiosna, jeszcze przed wojną. Obudziłam się któregoś dnia i zapragnęłam odejść. Więc później tego samego ranka, kiedy mąż wyszedł do pracy, pomyślałam... Odejdę.

Przewróciła się na brzuch, żeby widzieć jego twarz.

– Czy... Sądzisz, że to bardzo... złe?

– Nie, nie – odparł i uniósł się jeszcze wyżej, żeby ją pocałować. – Myślę, że odejście z domu to wielki akt odwagi.

Lekko kiwnęła głową i głęboko zaciągnęła się dymem.

– To była moja jedyna poważna próba odejścia, ale dotarłam tylko do końca drogi z Bambury. Czy to nie śmieszne? Stałam tam, nawet dość długo, zastanawiając się, czy iść dalej, kolejne dwadzieścia minut, żeby dostać się na stację. Bo kiedy się obudziłam, pomyślałam o pociągu. Z niemal nieznośnym pragnieniem, żeby do niego wsiąść.

Patrząc na nią, pokiwał głową, a ona podała mu do ust papierosa. Oboje się uśmiechnęli, gdy pomagała mu się zaciągnąć.

– Chciałam tylko siedzieć w pociągu – ciągnęła – i patrzeć, jak pola i miasteczka za oknem zostają z tyłu. Jak obrazy przepływają niczym pod wodą. To była bardzo silna fantazja, wyobrazasz sobie? Kompletnie mnie zaskoczyła, bo od paru lat czułam się już lepiej.

Zamilkła, przypominając sobie, jak stała niezdecydowana na końcu drogi. Zastanawiała się wówczas, czy wrócić do udawanego życia, czy od niego uciec.

Ale oczywiście gdy tak tkwiła na chodniku, w jej marzenia wkradła się rzeczywistość. Oprócz kilku szylingów w portmonetce nie miała nic.

– Nie wiedziałam, dokąd jechać – mówiła dalej. – Moje fantazje nie uwzględniały celu podróży. Nie wzięłam ze sobą żadnych ubrań, nie umiałam pisać na maszynie ani robić nic innego, więc podjęcie pracy nie wchodziło w grę. Nie; zdałam sobie sprawę, że muszę wrócić. I pomyślałam: „Och! To nie może być przecież prawdziwa próba ucieczki”. Ale wciąż... się wahałam.

Niemal parsknęła śmiechem, gdy tak siedziała, obejmując ramionami przyciągnięte do piersi kolana.

– To było naprawdę zabawne. Stałam tam, na rogu... o Boże, z piętnaście minut! Jak posąg. Padały na mnie płatki kwiatów wiśni. Musiałam wyglądać jak obraz... No wiesz, trochę dziwnie... Bo jakaś starsza pani zatrzymała się, żeby spytać, czy nic mi nie jest! Na szczęście nie znalazłam jej i tylko wymamrotałam jakąś wymówkę, że czekam na autobus, a potem podziękowałam za zainteresowanie, gdy zwróciła mi uwagę, że przy tej drodze nie ma żadnego przystanku i muszę pójść dalej. Więc zawróciłam i ruszyłam do domu. Reggie był w banku, więc nikt się nie dowiedział, co zrobiłam.

Hans usiadł i otoczył ją ramieniem. Wsparła się na jego piersi i pozwoliła mu się przytulić. Wciąż była skulona.

– Biedna Annie...

Wracając tamtego ciepłego wiosennego dnia do domu, strząsnęła z włosów i ubrania płatki kwiatów z drzew rosnących na poboczu drogi. Wahała się jednak przez chwilę, zanim wsadziła klucz do zamka w drzwiach.

Chłopiec powinien być na górze, tam, gdzie go zostawiła.

– Kiedy zamknęłam za sobą drzwi, przysiadłam na stopniu u stóp schodów, no wiesz, żeby zmusić się do działania. W końcu poszłam na górę i otworzyłam drzwi dziecięcego pokoju.

Trzymała dłoń na zimnej mosiężnej gałce, zatłuszczonej od potu innych rąk. Głównie Reggiego, jak przypuszczała, matki i teściowej.

– Dziecko leżało w łóżeczku, trzymając się drewnianych prętów, jak zwierzątko. Spojrzało na mnie poważnie, ale nie wydało żadnego dźwięku. Oboje spoglądaliśmy na siebie z przeciwnych końców pokoju.

– „Rano uciekłam”, powiedziałam mu.

Annabel się odwróciła i zarzuciła Hansowi ręce na szyję, potem się w niego wtuliła, a on wyjął jej z palców papierosa i dopalił, wydmuchując dym nad jej głową.

Następnej soboty, ponad tydzień od dnia, w którym ona i Hans zostali kochankami, rodzice przyjechali na herbatę. Ojciec miał urodziny.

Annabel zrobiła kanapki, matka zaś przywiozła cukier na kartki i razem upiekły tort, który z jakiegoś powodu się nie udał. Biskopt nie wyrósł, był twardy, ale zjedli to, co wyszło, i udawali, że im smakuje – aby cukier się nie zmarnował.

Ojciec Annabel nie umiał ukryć rozczarowania. Jedynie chłopiec zjadł tort z prawdziwym apetytem.

Siedzieli w ogródku za domem, przy stole z kutego żelaza, od czasu do czasu opędzając się od os i much, które latały nad okruciami. Letnie burze sprzed tygodnia zostały zastąpione przez słońce i w powietrzu unosił się zapach rozgrzanej ziemi. Annabel z przyjemnością czuła palące ciepło na odsłoniętych ramionach. Jej ciało przybrało miodowy odcień, gdy siadywała w sadzie

z Hansem, gawędząc z nim albo tylko przyglądając się, jak pracuje.

Po herbacie i torcie – oraz nieprzekonującej próbie odśpiewania *Happy Birthday*, która nie wyszła, bo podjęło ją w ogrodzie tylko troje dorosłych i dziecko – Annabel powiedziała chłopcu, że może iść pobawić się w lesie. On jednak uparcie twierdził, że jest za gorąco, położył się w cieniu na trawniku i zamknął oczy.

– Czy on nie ma żadnych kolegów z sąsiedztwa, z którymi mógłby się bawić? – zagadnęła cicho matka.

– Nie, dziś nie.

– Ale... A kiedy indziej ma?

– Tak. Przeważnie – odrzekła Annabel.

– Ja w jego wieku miałem mnóstwo kumpli – rzucił ojciec do nich obu. Na tę myśl się rozpodził; wyjął z kieszeni chustkę i zabrał się do zawiązywania rogów, żeby osłonić nią łysinę przed promieniami słońca.

Annabel stłumiła westchnienie. Zebrało mu się na wspomnienia z dzieciństwa.

– Ale mieliśmy zabawę. Rodzice przeważnie nie widzieli mnie aż do kolacji. Co prawda, wpadłem przez to w kłopoty. – Parsknął śmiechem. – Najlepsze lata mojego życia.

– Czy sądzisz, że to bezpieczne? – wcięła się Elizabeth.

Annabel przypuszczała, że matka chce uniknąć mężowskiej anegdoty.

– Co takiego?

– Przypuśćmy, że będzie alarm przeciwlotniczy i chłopiec go tam nie usłyszy. I nie wiem, jak daleko przebywają ci Niemcy.

Annabel uśmiechnęła się, otwarcie i w głębi ducha.

– To nie Londyn, mamo. I Bambury nie leży w „pasie bombowym” na wybrzeżu. Prawie nie schodzę do schronu, odkąd Reggie go zbudował.

Wszyscy spojrzeli na szpetną konstrukcję przy końcu ogrodu, prowizoryczną kryjówkę z blachy falistej i torfu.

– A co do Niemców... – zaczęła i poczuła, że na policzkach niczym szkarłatne róże wykwiatają jej rumieńce. Mówienie niemal wprost o kochanku sprawiało jej dziwną skrytą przyjemność.

– Tak?

– Cóż... Niektórzy z nich są całkiem sympatyczni. I raczej niegroźni, nie sądzicie?

– Niegroźni?! – zagrmiał jej ojciec.

– Wiesz, co mam na myśli. Ciągłe muszą zgłaszać się do raportu. Nie mogą poruszać się całkiem swobodnie. Moim zdaniem nie stanowią żadnego zagrożenia. A poza tym – przypomniawszy sobie słowa sklepikarza – dokąd mieliby uciec? Lepiej im tutaj. Nie mówiąc już o tym, że pułkownik ma ich na oku.

Zepsuli jej całą przyjemność. Stała się poirytowana i przeszła do obrony. Zajęła się więc sprzątnięciem ze stołu – pozbierała naczynia i filiżanki, stawiając je na tacy. Gorszy od gniewu był jednak wstyd. Po raz pierwszy dotarło do niej, co pomyśleliby rodzice – właściwie każdy – gdyby znali jej sekret.

Wszelkie romanse były grzechem, występkiem i złem. Ale żeby kobieta – matka – miała romans z jeńcem wojennym, niemieckim żołnierzem, i umawiała się z nim na schadzki w małej szopie? To było ohydne, a ona sama – odrażająca. Spocone ciała na klepisku, splecione ze sobą jak węże, wśród łopat i pługów, podczas gdy inni Niemcy zabijali młodych Brytyjczyków, często jeszcze niedorostków. Przymknęła oczy. Ludzie by pomyśleli, że jest niemoralna. Uznaliby ją za zdrajczynię.

Annabel zaniósła tacę do kuchni i z hałasem postawiła ją na blacie. Pochyliła się nad nim na chwilę, żeby się pozbierać, i aż podskoczyła, kiedy wkroczyła jej matka, trzymając kubek.

– Zapomniałaś tego – powiedziała i odstawiła go na blat obok tacy, a potem poszła na górę do toalety.

Annabel napuściła do zlewu gorącej wody i bezlitośnie zanurzała w niej dłonie, żeby umyć zastawę. Dzięki Bogu nikt nie widział jej z Hansem, z wyjątkiem tamtego pierwszego razu, gdy się poznali, bo byli przy tym pan Dawson i chłopiec. Poza tym oczywiście oboje z Hansem przysięgli sobie dochować tajemnicy.

Mama zeszła na parter i przez otwarte drzwi z czułością łajała męża, nadal siedzącego w ogrodzie. Przyłapała go na drzemce w słońcu i nakłaniała, żeby wrócił do środka, bo inaczej dozna poparzenia. Przeszli więc razem przez kuchnię, zmierzając do salonu; chłopiec podążał za nimi, śmiejąc się, że dziadek wpadł w tarapaty.

Kiedy Annabel kończyła zmywanie, ręce miała czerwone i jakby opuchnięte; aż parowały, zanim wytarła je w ścierkę.

Przeszła do salonu i zobaczyła, że ojciec drzemie. Nie mogła włączyć radia, bo gdyby się obudził, miałyby zły humor, więc obie z matką, nie mając nic innego do roboty, siedziały w milczeniu. Podczas porządków domowych przed przyjazdem rodziców wyrzuciła gazety i czasopiśma, dlatego matka, beczynna, usadowiła się wygodnie na kanapie i także przysnęła.

Do fotela Annabel podszedł Daniel.

– Pójdę się pobawić – powiedział szeptem, lekko dotykając jej nagiego ramienia.

Wyszedł z domu i widziała przez okno jego ciemną głowę, jak podążał ścieżką przez ogród, żeby skrócić w prawo, do lasu.

Siedziała jeszcze przez długi czas; myślała, patrzyła na firanki, które niespokojnie tańczyły w otwartym oknie, unosząc się w powiewach wiatru. I wszyscy troje tkwili w tych samych pozycjach, kiedy z godzinę później Daniel wrócił do domu. Otworzył drzwi z hałasem, budząc dziadków, i wkroczył do środka rozgrzany.

– Pora na kolejną filiżankę herbaty – oznajmił ojciec Annabel, otwierając oczy.

– Ja się tym zajmę – odparła matka i przeciągając się, wstała.

– A gdzie byłeś, młody człowieku?

– W lesie, dziadku. Bawiłem się.

Wrócił wcześniej, niż Annabel by sobie życzyła, i przez to od razu poczuła się zmęczona. Pamiętała, jak bardzo rodzice byli przerażeni jej stanem po urodzeniu dziecka, i dlatego zawsze odczuwała potrzebę, aby udawać przed nimi dobrą matkę.

– Wspaniale – powiedziała więc. – Mam nadzieję, że miło spędziłeś czas.

Energicznie pokiwał głową i podszedł do jej fotela.

– Hm, wciąż nie jestem pewna, czy to pochwalam. – Matka Annabel, wstawiwszy czajnik na gaz, wróciła z kuchni i oparła się o framugę drzwi. – Wydaje mi się, że to niebezpieczne. To nie to co zabawy na ulicach Londynu, gdzie każdy pilnuje własnych i cudzych dzieci. Nie podobają mi się te lasy.

– Nie gadaj bzdur, Elizabeth – odezwał się jej mąż. – Obawiasz się wsi, bo całe życie spędziłaś w mieście. Daniel to szczęśliwiec, że ma przyrodę zaraz za progiem. Gdy byłem w jego wieku, uwielbiałem bawić się z kolegami w lesie. Mieliśmy frajdę, gdy udało nam się kogoś namówić, żeby zabrał nas do Epping Forest.

– Chciałam tylko powiedzieć, że...

– Wiem, mamo. – Annabel nie zamierzała wysłuchiwać kłótni między rodzicami ani anegdot

ojca. – Ale naprawdę sędzę, że nie ma żadnego zagrożenia. Dzieci od zawsze bawiły się w lesie. To wręcz ich żywioł... prawda, Danielu?

– Poza tym jestem już duży – oświadczył chłopiec, odgarniając wilgotne od potu włosy. – Mama wie, że nic mi w lesie nie grozi, nawet gdy siedzę tam do zmroku. Nawet gdy wracam dopiero po dziesiątej wieczorem.

– No, już nie przesadzaj. – Zaśmiała się nerwowo, ale kiedy rodzice jej zawtórowali, od razu się odprężyła.

Na chwilę zapadła cisza.

– Ma trochę za ciasną koszulę, Annabel – zwróciła jej uwagę matka. – Wpija mu się w pachy, nie uważasz?

Annabel spojrzała na chłopca.

– Cóż – odparła. – On tak szybko rośnie. – Ale gdy się lepiej przyjrzała, stwierdziła, że rzeczywiście jego ubranie wydaje się za małe. I miał za długie włosy. Była taka roztargniona. A należało zachowywać pozory.

– Strzela w górę, co? – skomentował ojciec. – Jak tyczka.

– Rozmawiałam z pewną kobietą ze wsi – zaczęła Annabel, myśląc szybko. – Odda mi ubrania po swoim synku. Będą na Daniela pasować.

– Dobrze, wiem, kiedy mam pilnować własnego nosa – odparła matka i wróciła do kuchni, żeby zaparzyć herbatę.

Annabel poszła za nią i zaczęła ustawiać suche już talerzyki i filiżanki na tacy.

– Miałaś ostatnio wiadomości od Reggiego? – zapytała matka zza jej pleców, gdy wracały do salonu.

Annabel postawiła tacę na stoliku i odruchowo wygładziła włosy. Starła się nie myśleć za dużo o mężu. To powodowało zamęt w jej głowie.

– Pisze, kiedy może – odrzekła wymijająco. – Zdaje się, że nie dostaję wszystkich jego listów. Ale większość chyba tak.

Najpierw do wszystkich filiżanek nalała mleka, a potem, przez małe sitko, herbaty. Daniel klęczał przy stoliku, czekając na swoją filiżankę.

– On też nie dostaje wszystkich ode mnie – ciągnęła – ale lepsze to niż nic, prawda?

– Czasami wycinają dziury w listach taty, gdy pisze, gdzie jest albo dokąd go przenoszą.

– To cenzor usuwa informacje, żeby nie wpadły w ręce wroga, młody człowieku.

– Wiem, dziadku.

– Cholerni Hunowie posunęliby się do wszystkiego.

– Ojczy, proszę! – odezwała się ostro Annabel.

Ojciec wyglądał na zdziwionego jej tonem, ale przeprosił za przeklinanie w obecności chłopca.

Po chwili matka znów zaczęła wypytywać.

– Ale wszystko u niego dobrze, prawda? Nie mają tam złych warunków? Chodzą najedzeni?

– Tak, tak, w porządku.

Prawdę mówiąc, minęło już sporo czasu od ostatniego listu Reggiego. Annabel czasami się zastanawiała, czy nic mu się nie stało, ale przecież nie dostała żadnego telegramu. A jego listy, nie dość, że rzadsze, to jeszcze stawały się coraz krótsze, dlatego nie potrafiła wzbudzić w sobie autentycznego niepokoju, czy nie został zabity albo nie zaginął w akcji.

– Myślę, że karmią ich dobrze – odparła, podając kolejno filiżanki. – Tyle może nam wyjawić. I to, że ma problemy z uszami. Czasami w jego listach jest tak dużo dziur, że wyglądają jak

papierowe płatki śniegu!

Tamtego wieczoru, po odjeździe rodziców, leżała w łóżku i próbowała się rozeznąć w swoich splątanych myślach.

Za oknem stała latarnia, teraz bezużyteczna. Annabel zawsze lubiła ciepły pomarańczowy blask, widoczny w szparach po bokach ciemnych zasłon w tureckie wzory. Dotkliwie brakowało jej tych wszystkich świateł, które powylączano z powodu zaciemnienia. Czarny materiał w oknach nie przepuszczał nawet odrobiny zimnego blasku księżyca, sprawiając, że czuła się uwięziona w środku. Dziwne ciemności, w których pogrążona była wieś, budziły niepokój.

Annabel nigdy nie była w aeroplanie, ale kiedyś przed wojną widziała w jakimś czasopiśmie zdjęcia brytyjskich miast zrobione z lotu ptaka. Wyobrażała sobie, jak z góry wyglądałoby Bambury. Na fotografii stanowiłoby skupisko białawych świateł elektrycznych, żółtawych z tych nielicznych domów, w których używano jeszcze lamp gazowych i świec, oraz pomarańczowych, jej ulubionych, wyznaczających bieg ulic. Lecz tego wieczoru Bambury widziane z góry byłoby ciemne jak okoliczne lasy; nawet Londyn, Cambridge, Manchester i Liverpool – wszystkie duże miasta, które by sfotografowano – tonęłyby w mroku. Anglia i reszta Wysp Brytyjskich stanowiły ciemną połąć jak morze nocą, tak jakby się widziało czarną dziurę w miejscu, gdzie kiedyś był cały kraj.

Jasne światła zostały zgaszone, żeby niemieccy piloci polujący na cele naziemne nie mogli nic dostrzec.

Z uczuciem podobnym do fali mdłości przypomniała sobie, jak ścisnęło ją w żołądku tego dnia w kuchni, kiedy była mowa o Niemcach.

Nie kojarzyła Hansa z Niemcami, o których słyszała w radiu; nie potrafiła. Zupełnie nie przypominał wrzeszczącego Hitlera ani jego przerażających popleczników, nie miał nic wspólnego z okrucieństwami przypisywanymi w wiadomościach bezimiennym niemieckim żołnierzom.

Jak mógł być kimś złym? Jak mógł być taki, za jakiego go miano?

Wtedy zaczęła się zastanawiać, co powiedziano by o niej. Musiała przyznać sama przed sobą, że jest cudzołożnicą. Biedny Reggie tracił zmysły – a ona nie dość, że bratała się z wrogiem, to jeszcze się z nim kochała.

Z cichym jękiem przewróciła się na brzuch i zanurzyła twarz w poduszce, a potem znowu niepokojnie się przekręciła. Niezależnie jednak od pozycji nie mogła stłumić gnębiących ją uczuć. Przypomniała sobie rumieniec wstydu, który po południu próbowała opanować, gdy zmywała naczynia w kuchni. Nie potrafiła pozbyć się wizji rodziców dowiadujących się prawdy o swojej niegodziwej córce. Postanowiła, że położy temu kres. Powie Hansowi, że nie mogą się już widywać. Będzie próbował jej to wyperswadować, więc może powinna po prostu przestać do niego chodzić; niech sam się domyśli, że z nim skończyła.

Nie!

Nie. Nie mogła go tak po prostu zostawić. Cokolwiek wszyscy inni myśleli o niemieckich żołnierzach, była jedyną osobą w Bambury – może nawet w całym kraju – która znała dobrze jednego z nich i wiedziała, jaki jest naprawdę. Nigdy nie spotkała życzliwszego i bardziej wrażliwego człowieka. Jak w ogóle mogła myśleć, że powinna go porzucić; była w nim zakochana.

Pragnęła, żeby leżał teraz w łóżku obok niej. Pomógłby jej ujrzyć wszystko w odpowiednim świetle. Spoczywaliby twarzą w twarz i szeptali jak dzieci dzielące się w ciemnościach sekretami. Mieliby ten luksus, jakim jest czas, który z kolei pozwoliłby im na inny luksus – niespiesznej intymności, niepowściąganego strachem ani koniecznością spoglądania na zegarek. A gdyby

mieszkali razem, stworzyliby prawdziwy dom, bezpieczne, spokojne miejsce. Potem wyobraziła go sobie w obozowym baraku. Czy on też nie spał? Leżał w łóżku, myśląc o niej przed zaśnięciem? A może o niej śnił. Albo siedział na podłodze z innymi jeńcami i grał w karty albo domino.

Naciągnęła poduszkę na twarz i rozpłakała się.

Rozdział szesnasty

„Strzeż się, byś niczego nie zdradził”.
– z *Wody życia*

Mama, gdy już poczytała mi jak zwykle, poszła do swojego pokoju. Słyszałem, jak płacze; kiedyś było to na porządku dziennym, ale od jakiegoś czasu już się nie zdarzało.

Po jej wyjściu odsłoniłem czarną storę, żeby na moje łóżko padał blask księżycy; zasłaniały go tylko łyse gałęzie magnolii, która rosła w ogrodzie od frontu. Zdawałem sobie sprawę, że przez okna nie może przenikać na zewnątrz żadne światło, ale przecież nic by się nie stało, gdyby trochę wpadało go do środka, no nie?

Dorośli nie mogli zarzucić czarnej płachty na księżyc, nawet gdyby bardzo chcieli.

Nie potrafiłem po ciemku myśleć. Nie widziałem zarysów swojego pokoju i nie miałem pewności, czy coś nie czai się w atramentowym mroku.

Srebrny blask, padający na moją kołdrę i wydobywający z ciemności pokój – a właściwie tylko regał z książkami, z Pupilkami na górnej półce – podziałał na mnie uspokajająco i pozwolił mi się skupić. Wróciłem do łóżka i skierowałem twarz ku księżycowi.

Powoli przechodził mi szok, którego doznałem na widok mamy z Jasiem w chatce drwała. Dopóki nie zobaczyłem tego wspólnego, to znaczy wzajemnego pocałunku, nie miałem pojęcia, co się kroi. Zastanawiałem się, jakie potajemne, dorosłe znaki musiałem przeoczyć, mimo że przecież szpiegowałem ich oboje już od jakiegoś czasu. Teraz nagle wszystko się zmieniło.

Myślałem o tacie; wiedziałem, że mama nie powinna całować się z Jasiem. Ale tata był tak daleko; z trudem przypominałem sobie jego twarz. I Jasia też kochałem. Tak jak ją. Rozumiałem ich. To był czarodziejski świat – wszystko działo się w pradawnym lesie, nie miało żadnego związku z „prawdziwym życiem”, domami, bankami, zasadami i szkołami.

Po tamtym pierwszym pocałunku często chodziłem ich podglądać. Jaś dotrzymał danej mi obietnicy; nie powiedział mamie, że ja i on się znamy, tak jak nigdy nie rozmawiał ze mną o niej. Nie chciał, żeby któreś z nas podpadło drugiemu, i za to lubiłem go jeszcze bardziej.

I w chwili gdy zobaczyłem, jak stykają się ich usta, postanowiłem, że zachowam to dla siebie. Tak jak wszystko, co wydarzyło się później: co robili i mówili, nie wiedząc, że jestem tuż po drugiej stronie ściany z desek. Myśleli, że to ich tajemnica, ale ja ją znałem i stała się także moją tajemnicą.

Rozdział siedemnasty

„Jak się nadmę i jak dmuchnę,
to z twym domkiem będzie krucho!”
– z *Trzech małych świnek*

W Bambury nie zostało zbyt wielu mężczyzn, tylko starzy, niepełnosprawni i chorzy na głowę – ci, którzy z tego czy innego powodu nie mogli na nic przydać się wojsku – i Annabel myślała, że może dlatego część z nich jest taka zagniewana.

Musieli dać upust swojej frustracji, więc choć nieliczni, ci zupełnie różni ludzie zjednoczyli się ze sobą. Szczycili się, że należą do Home Guard, co w teorii oznaczało, że stanowią kolejną linię obrony, a w praktyce sprowadzało się do tego, że gnębili gospodynie domowe z powodu niedostatecznego zaciemnienia czy nieodpowiednich schronów przeciwlotniczych. Czytała, że niektórzy z obrony terytorialnej w innych częściach kraju otrzymali pistolety z czasów pierwszej wojny. Ale ci z Bambury nie dorwali się do żadnej broni.

Oczywiście wszyscy oni nienawidzili Niemców za to, że przez nich stali się bezsilnymi, pozostawionymi w domu mężczyznami, którzy nie mieli do odegrania żadnej roli. A szczęśliwym trafem niedaleko znalazło się całkiem sporo niemieckich jeńców, na których mogli się wyżyć.

Annabel trochę się bała tych „stróżów”.

Zjawili się któregoś dnia w połowie sierpnia – kilka tygodni po tym, jak zaczął się jej romans z Hansem – żądając dostępu do ogrodu w celu dokonania inspekcji. Rozpoznała ich przywódcę, niejakiego Bernarda Higginsa.

– Chodzi o przepisy – oświadczył bez żadnych wstępów, gdy otworzyła drzwi.

– Ale ja nie... Słucham?

Poczula przyptyw mdlącego strachu, że przyszli ją aresztować. Skąd mogli wiedzieć? Czyżby ktoś widział ją i Hansa razem?

– Przepisy. Ogród. Jeśli pani pozwoli.

– Teraz?

– Gdyby była pani tak miła.

Uśmiechnął się. Miał pod sześćdziesiątkę. Był potężnie zbudowanym, krępyim mężczyzną i wyraźnie napawał się tą niewielką władzą, jaką dawało mu członkostwo w Home Guard.

Pozostali – czterech z nich – gapiło się na nią zza jego pleców.

Otworzyła szerzej drzwi, żeby ich wpuścić.

– Tędy? – Wskazał kierunek podkładką z kartkami. Widniały na niej rozmaite formularze z polami do odhaczenia, przypięte pordzewiałym klipssem.

Annabel usunęła się pod ścianę, żeby przepuścić ich dalej. Nie mogła pojąć, co mają tu wszyscy do roboty. Jeden z mężczyzn, którego nie znała, otarł się o lustro w przedpokoju, niemal je strącając. Przytrzymał je w porę i miał na tyle przyzwoitości, że rzucił jej przeprasające spojrzenie.

– Wypadek przy pracy – mruknął, podsuwając na nos czarne druciane okulary.

Zamknęła za nimi drzwi i wyjrzała na ulicę. Pochwyciła spojrzenie jednej z sąsiadek z naprzeciwka, która stała w progu oparta o framugę, z założonymi na piersi rękami. Annabel nie pamiętała jej nazwiska, ale pozdrawiała się skinieniem głowy. Kobieta patrzyła w jej stronę zmrużonymi oczami. Może ją także odwiedzili członkowie Home Guard i teraz ponuro dawała wyraz swojej solidarności, a może chciała dać do zrozumienia, że ich wizyta oznacza jakies przewinienie.

Annabel niepewnie uniosła rękę.

Kobieta kiwnęła głową, tylko raz, poprawiła wzorzystą chustkę na głowie i wróciła do domu.

Annabel pospieszyła za mężczyznami, którzy otwierali już tylne drzwi i wychodzili do ogrodu.

Wyglądali śmiesznie, kiedy tak się tam kręcili, z ważnymi minami, w swoich nędznych garniturach.

Higgins z jednym podwładnym ruszył prosto do schronu przeciwlotniczego; obejrzeni go z wielkim namaszczeniem, które miało świadczyć, jak doniosłą pracę wykonują. Pozostali, z tym od lustra włącznie, krążyli wzdłuż drewnianego ogrodzenia. Zatrzymali się w dalszym rogu, mamrocząc cicho.

Towarzysz Higginsa był wyjątkowo gruby i chodził o lasce, mimo że miał dopiero pod czterdziestkę. Annabel wiedziała, że ma na imię Richard, nazwiska nie pamiętała, i że z powodu cukrzycy amputowano mu kilka palców u stóp. Reggie wskazał go jej któregoś dnia. „Wiesz, że nie można sprawnie chodzić, jeśli straci się choćby tylko duży palec? – zapytał wtedy szeptem. – Nie da się utrzymać równowagi”.

Patrząc teraz na tego człowieka, pomyślała, że z powodu owej ułomności nie mógł wstąpić do wojska. Wsparty na lasce kuśtykał po trawie za Higginsem. Pocił się obficie i wyglądało na to, że jest bardzo przejęty swoją funkcją. Z wielką uwagą oglądał schron.

Zatrzymała się przy tylnych drzwiach i obserwowała poczynania mężczyzn. Miała nadzieję, że nie zechcą pójść na górę, aby sprawdzić zaciemnienie. Było tam trochę nieporządnie.

– Może zaparzyć herbaty?! – zawołała.

Padło kilka „nie trzeba”; paru mężczyzn machnęło lekceważąco ręką. Higgins wyraźnie był zbyt zajęty, żeby odpowiedzieć.

Annabel skupiła uwagę na trzech mężczyznach po drugiej stronie ogrodu. Żaden z nich nie był jeszcze stary. Rozpoznała Jimmy’ego Docketta, który miał dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata. Chociaż był rostry i wyglądał na silnego, zdrowego, cierpiał na epilepsję. Trudno było uwierzyć, że może nagle dostać ataku. Zaczęła się zastanawiać, jak by zareagowała i jak zachowałiby się inni, gdyby nagle w drgawkach upadł na ziemię, z pianą na ustach, wijąc się na trawniku. Jako dziewczynka była kiedyś świadkiem takiej sceny w poczekalni u lekarza. Pamiętała, że krzyknęła i jej niania, panna Joan, czym prędzej wyprowadziła ją na zewnątrz, tak że nie widziała, co zrobiono, żeby pomóc tamtemu choremu. To było jedno z najbardziej przerażających zdarzeń, jakie przeżyła, i teraz zaczęła się modlić w duchu, żeby Jimmy nie dostał w jej ogrodzie napadu epilepsji.

O dziwo, mimo swojej choroby Jimmy miał opinię zabijaki. Pewnie stał się nim, żeby samemu nie być narażonym na napaści. Może pomagało mu, że był słusznej postury. Annabel słyszała, że bywał aresztowany za burdy.

Mężczyzny od lustra ani jego towarzysza nie znała. Obaj wyglądali, jakby byli po czterdziestce. Ten od lustra miał rzadziejące ciemne włosy i miłą, życzliwą twarz. Annabel była ciekawa,

co jest z nimi nie tak. Może służyli na wojnie i poważnie ranni zostali odesłani do domu.

Z powodu surowości Higginsa, podłego charakteru Jimmy'ego i samej tylko siły Richarda, gdy tak krążył po jej ogrodzie, czuła się niekomfortowo.

W końcu Higgins dał znak podwładnym, żeby zebrali się wokół niego. Odbyli cichą naradę i Higgins podszedł do niej, a za nim pozostali.

– Hm – zaczął, zaglądając do formularzy i przerzucając kartki, jakby chciał sobie przypomnieć, co zaledwie przed chwilą stwierdził. – Ucieszy się pani, bo wasz schron jest w porządku.

Spojrzał na nią znad okularów do czytania, a potem zerknął na podkładkę, gdy odpowiedziała po prostu:

– Och, to dobrze.

– Jednak... – Szelest papieru. – Ustaliliśmy, że nie ma pani ogródka warzywnego.

Nastąpiła kolejna przerwa.

– Oj, no tak... Na razie nie mam.

– A mogę zapytać dlaczego, pani Patterson?

– Bo... ja... – Rozejrzała się po ogrodzie i popatrzyła na pięciu mężczyzn, którzy utkwili w niej wzrok. – Zamierzałam go urządzić. Tylko że... nie było czasu...

– Każdy z nas musi znaleźć czas, nie sądzi pani, pani Patterson? Chyba nie muszę pani przypominać o akcji „Kop dla zwycięstwa”?

– Nie, nie, dziękuję. Doskonale pamiętam. Jak mówiłam, byłam zajęta, ale mam zamiar zasażać... trochę warzyw. O, tam! – Wskazała koniec ogrodu.

– Więc jeśli znowu przyjdziemy z wizytą, powiedzmy, w czwartek za tydzień, coś już pani zrobi w tym kierunku?

– W czwartek za tydzień? O tak, myślę, że dam radę...

– Cieszę się, że to słyszę. A wy, panowie?

Wszyscy pokiwali głowami.

– Świetnie – rzucił któryś.

– Musimy jeszcze rozwiesić plakaty... Pokaż pani, Albert.

Jeden z mężczyzn wyciągnął rysunkową podobiznę Hitlera salutującego dziwacznie i jednocześnie złowroźnie. Miał ich spory plik i najwyraźniej zamierzał porozwieszać je w całej wsi. Pod ilustracją widniało hasło: „Marnując żywność, wspomagasz wroga”.

– A tak... Bardzo... słusznie – odparła.

– To chyba już pójdziemy – oznajmił Higgins.

– Och, dobrze, może... odprowadzę panów... – Wskazała w stronę domu, a oni ruszyli tą samą drogą, którą przyszli.

– Tym razem będę uważał – zażartował ten od lustra i wszedłszy do przedpokoju, zaczął okazywać przesadną ostrożność.

Widziała, że chce być dla niej miły, więc zaśmiała się lekko.

– O tak, proszę... nie potrzeba mi siedmiu lat nieszczęść!

Odpowiedział uśmiechem.

– Jak nam wszystkim, prawda?

– Niech się pani nie przejmujecie Higginsem – dorzucił, kiedy już wyszli na zewnątrz. – Stara się, żeby panie były bezpieczne, i tyle. Wszystkie te kobiety, które mieszkają same... to nie w porządku. Dlatego mamy dopilnować, żebyście dbały o siebie podczas tej cholernej wojny.

– Rozumiem. Nie mam nic przeciwko temu... Zajmę się tą grządką.

– Krew mi się burzy, gdy pomyślę, że to przez tych szkopów, którzy tam żyją sobie po kró-

lewsku, a pani tutaj robi, co może...

Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć, więc podziękowała mu za wizytę i zmusiła się do uśmiechu, kiedy się oddalał. Postąpiła uprzejmie w otwartych drzwiach, aż znalazł się po drugiej stronie furki na końcu ścieżki, gdzie czekała na niego reszta. Z trudem zamknęła za sobą zasuwkę.

– Och, proszę to zostawić! – zawołała. – Jeszcze raz dziękuję! Do widzenia.

Kiedy odchodzili ulicą, odruchowo sprawdziła, czy na trawniku od frontu nie ma nowych płatków magnolii; zapomniała, że drzewo już skończyło swój krótki sezon kwitnienia i kilka tygodni temu wyrzuciła do śmieci ostatnią garść. Jej dom od ulicy wyglądał nieskazitelnie, a brak grządkki warzywnej stanowił tylko małe niedopatrzenie.

Zamknęła drzwi frontowe, przez chwilę stała o nie oparta, a potem pomknęła do salonu, żeby wyjrzeć przez okno. Chciała zobaczyć, kogo odwiedzą w następnej kolejności. Dostrzegła ich; szli ścieżką ogrodową do domku kilka numerów dalej. Poczuli się bezbronna. Ci mężczyźni mieli władzę i gdyby się dowiedzieli, że łamie wszystkie przepisy – z tych najważniejszych – staliby się jak wilki i mogliby spowodować, że zginęłyby pod ruinami własnego domu.

Kiedy usłyszała o napaści, w pierwszej chwili stanęła jej przed oczami sympatyczna twarz tamtego mężczyzny od lustra, która nagle zrobiła się surowa i zacięta. Później zaś przypomniała sobie zawołaną groźbę w słowach rzeźnika, kiedy wspomniał o biednym, poległym Simonie Moorze.

To Hans powiedział jej, co się stało, chociaż była pewna, że w ciągu następnego dnia albo dwóch dowie się więcej – pozna plotki i pogłoski od mieszkańców wsi.

Jeden z jeńców wojennych szedł sam, gdy wciągnięto go w jakąś sprzeczkę.

– Został ciężko pobity, bardzo ciężko. Ktoś zaczął z niego... drwić – powiedział Hans, a potem zapytał: – Czy to właściwe słowo?

– Szydzić?

– O właśnie, szydzić. Ale Erik dobrze zna angielski... może nawet lepiej niż ja... i wdał się w kłótnię.

Annabel nie chciała słuchać dalej, ale nie powstrzymała go przed mówieniem.

Siedzieli na dworze, oparci o ścianę szopy. Usłyszeli, gdyby ktoś nadszedł – rozumowała – a wtedy szybko by wstali, udając, że przyszła po drewno. Niedaleko stał jej wózek. Jednak była to niebezpieczna gra – wiedziała o tym – bo gdyby jednak nie usłyszeli, że ktoś się zbliża, zostaliby zdemaskowani. Kobieta i mężczyzna siedzący tak blisko siebie, bok przy boku, z wyciągniętymi nogami, rozparci na szorstkich deskach i gawędzący w ciepłych promieniach słońca. Aż biła od nich intymność i tylko głupiec by tego nie dostrzegł. Nawet gdyby go nie zdziwiło, po co potrzebne jej drewno w tym upale.

– Erik jest zapalczywy, wszyscy to wiedzą. Pech chciał, że trafili akurat na niego. Ale... Cóż, Erik twierdzi, że pobiliby każdego z nas, nawet gdybyśmy zachowali spokój, przepraszali i zgadzali się ze wszystkim, co mówili tamci. Według mnie nie zabili go tylko dlatego, że sprawnie się bronił.

– Kim oni byli?

– Nie mam pojęcia! Nawet Erik tego nie wie.

– Ale jak wyglądali? Byli starzy, młodzi, wysocy, niscy, jakiego koloru mieli włosy? – Może pod wpływem wizyty członków Home Guard, która zrobiła na niej duże wrażenie, zaczęła się zastanawiać, czy wśród napastników nie było któregoś z tamtych. Na przykład Jimmy’ego Docketta.

– Nie wiem. Zresztą jakie to ma znaczenie?

Pewnie miał rację.

– To jak zbrodnia doskonała – odparła. – Ofiarą nikt się nie przejął... i wielu chciało się jej pozbyć.

Hans milczał.

– Och, przepraszam, najdroższy! – zawołała z przejęciem. – Nie to chciałam powiedzieć. Proszę, wybacz mi.

– Nic się nie stało. Ja sam tak pomyślałem.

– To był pojedynczy okropny wyskok. Proszę, zapomnijmy już o tym.

Hans podniósł patyk i zaczął nim kreślić na ziemi.

– Mam wrażenie, że coś się zmienia – odezwał się znowu. – Jakby ludzie stali się bardziej zaciętrzewieni.

Annabel nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, więc milczała.

– Wielu wie, że codziennie pracuję w sadzie. Jestem tu sam. Nikt z drogi nie usłyszałby mojego wołania.

– Ale jest też mnóstwo przyjaznych osób! Większość nie ma nic przeciwko tobie! – Przypomniała mu Dawsona, kierownika poczty. Siostry Bishop. – A one nikogo nie lubią!

Hans wyrył gałązką rowek w ziemi.

– Nie chcę cię straszyć, Annie – powiedział. – Ale mówisz tak, jakby ludzie żyli sobie tu szczęśliwie. Przecież wiesz, że to nieprawda. Jak mogłoby być prawdą?

Annabel zebrało się na płacz. Było im razem tak przyjemnie, siedzieli sobie w słońcu. Nie rozumiała, po co opowiedział jej tę okropną historię o Eriku. I dlaczego teraz wdali się w coś na kształt kłótni.

– Nikt nie zrobi ci krzywdy, Hans! Proszę, nie mów tego.

Oderwał wzrok od rysunku na ziemi i spojrzał na nią.

– Nie płacz, proszę.

– Nie płaczę!

– Ktoś jednak może zrobić mi krzywdę. Musisz być na to przygotowana. Gdyby tak się stało...

– Przestań! – Wstała i z pasją otrzepała tył spódnicy. – Pójdę sobie, jeśli dalej będziesz tak mówił!

– Annie! – Zaśmiał się. – Pomóż mi wstać!

Podąła mu rękę.

– Och! – jęknął, podnosząc się. – Myślałem, że w końcu przestanę mnie boleć ramiona. Ale rąbanie drewna to ciężka robota. – Na chwilę z uśmiechem przytknął dłoń do jej policzka.

Zawahała się. Najwyraźniej próbował zmienić temat, ale nie czuła się udobruchana. Nie zniosła, gdyby coś mu się stało.

– Chciałabym, żeby tej głupiej wojny nie było! – zawołała. – Żebyśmy mogli normalnie żyć.

– Nie poznalibyśmy się, gdyby nie ta głupia wojna, pamiętasz?

Próbowała się uśmiechnąć.

– Lepiej już pójdę.

– Wejdźmy do szopy, żebym mógł pocałować cię na pożegnanie.

Kiedy jednak weszli do środka, nie chciała pocałunku, przytuliła się do niego i zaczęła płakać.

– Przepraszam – powiedział. – Nic mi nie będzie. Nikt nie tknie mnie palcem. Przepraszam.

W ciągu następnych dni Annabel poznała szczegóły tamtego incydentu. Wpadła na Jean Bainbridge, żonę jednego z dawnych kolegów Reggiego, która powiedziała jej, że jeden z jeńców trafił do szpitala.

– Paskudny wypadek – dodała. – Nie ma potrzeby odwoływać się do pospolitej przemocy. Przecież mamy być lepsi od nich, czyż nie?

Chłopiec musiał nasłuchać się plotek we wsi. Zastał matkę w salonie, gdzie pocieszała się, sącząc porto, które zostało z wizyty rodziców. Mówił o połamanych żebrach, przebitych płucach i pękniętych kościach policzkowych, dopóki nie zaczęła krzyczeć, żeby ją zostawił.

– Czy nie byłoby miło, gdyby to był nasz mały domek?

Zaśmiała się na te słowa i rozejrzała po zakurzonej starej szopie.

– Może milej byłoby mieszkać w jakimś wygodniejszym miejscu, Hans!

Opuściła wzrok na jego dłonie, w które wcierała wazelinę. Wspomnił wcześniej, że często go bołą, że zrobiły się szorstkie i stwardniałe. Kiedy stały się miększe, szpilką od broszki usunęła z nich najgorsze drzazgi.

Wiedziała też, że Hansa często bołą mięśnie rąk i ramion; żałowała, że nie może zabrać go ze sobą do domu i urządzić mu gorącej kąpieli. Ale w szopie, która nagrzewała się na słońcu, było ciepło i parno, więc może panujący w niej letni upał dobrze mu zrobi.

Hans popatrzył na swoje ręce w jej dłoniach.

– Przez cały ranek ciężko pracowałem – powiedział. – Można by pomyśleć, że jeśli narąbię odpowiednio dużo drewna, spotka mnie jakaś nagroda.

Uśmiechnęła się ze współczuciem. Ścięta została dopiero mała część drzew i żeby w sadzie zapanował porządek, musiało paść jeszcze dużo, dużo jabłoni.

– Rąbię i rąbię – ciągnął. – Ale kiedy pracuję, myślę o tobie. – Przestała masować mu dłonie i tylko je trzymała. – I wygląda na to, że to ty jesteś tą nagrodą, dla której tak tyram.

Przejęta spojrzała mu w oczy. Najwyraźniej czuł do niej to samo, co ona do niego. Zamrugowała kilka razy, żeby powstrzymać łzy, które napłynęły jej do oczu.

Musiał to dostrzec, bo skomentował:

– Oboje mamy smutne i trudne życie.

– Uhm – potwierdziła szeptem.

– Ale jestem z tobą szczęśliwy.

– A ja z tobą!

– Wydaje mi się, że nawet gdyby nie było tak ciężko, gdyby nie było wojny, byłabyś moim szczęściem.

Pokiwała głową.

– Uhm.

– Chciałbym, żebyśmy mogli żyć razem, jakby wszystko było normalne – mówił dalej.

Jednak gdy następnym razem Annabel przyszła do sadu, był zagniewany.

– Dzień dobry, najdroższy – zaczęła jak głupia. – Przyniosłam ci dobrą herbatę... – Wskazała termos, który wyjmowała z wózka. – I trochę chleba z dżemem na przekąskę!

– Witaj – odparł, zerkając na nią. Zamachnął się siekierą i przerąbał kłoc, który balansował na stojącym przed nim pniaku.

– Zjesz teraz?

– Nie, dzięki. Może później.

Pochylił się, żeby podnieść jedno z polan, które upadło na ziemię, i postawił je z powrotem na pniaku do rąbania.

Łup!

Wzdrygnęła się. I mimowolnie pomyślała o dawnych królowych, które traciły głowy na szafocie.

Schylił się po kolejny kloc.

Co takiego zrobiłam? – pomyślała.

Schowała termos z powrotem do wózka.

– Czy nie... nie przestaniesz na chwilę pracować?

– Jestem zajęty.

– Zwykle robisz sobie przerwę...

– Niech to szlag, Annabel!

– Hans! – Przeraziła się.

– Muszę to porąbać. – Łup! – Mam obowiązki. Inni też czasami przychodzą po drewno, wiesz? Dawson tu zagląda, żeby sprawdzić, czy pracuję. – Łup! – Nie jesteśmy normalną parą.

Rzucił siekierę na trawę, ostrze przecięło źdźbła i wbiło się w ziemię. Annabel gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby tak się zachowywał.

Zasłonił twarz dłońmi. Nastąpiła chwila milczenia.

– Przepraszam – powiedział, opuszczając ramiona.

Była naprawdę przestraszona. Bała się, że chce z nią zerwać.

– Najdroższy, mnie też to doskwiera, tak samo jak tobie. To okropne, że musimy się zachowywać, jakbyśmy robili coś złego. Ale, proszę...

Nie mogła dokończyć zdania.

O co prosiła? Co mógł jej obiecać? Czy w przyszłości mogło być inaczej? Wiadomo było, że jedni wygrają wojnę, a drudzy ją przegrają. I oni wciąż będą po przeciwnych stronach. Jej mąż wróci do domu. Prawdopodobnie. A Hans zostanie odesłany do Niemiec.

– Erik umarł, słyszałaś?

– Co?! Nie! Nie miałam pojęcia!

Hans przeszedł przez porębę i wyciągnął z ziemi siekierę. Przydeptał butem rowek w trawie.

– Tak mi przykro. – Niepewnie zrobiła krok w jego stronę. – Wiem, że się przyjaźniliście.

– Uhm. A teraz on nie żyje.

– Mówiłeś, że z nim rozmawiałeś po tym, jak... jak został pobity. Wyglądało na to, że z tego wyjdzie.

Ustawił kolejny kloc na pniaku. Patrzył na niego, ale się nie ruszał; bezwładnie trzymał trzonek siekiery.

– Myślałem, że tak będzie. Wrócił do obozu. Mógł mówić. Opowiadał, jak to się dzielnie spisało. Że dał im popalić, rozumiesz?

Kiwnęła głową.

– A potem wyładował w szpitalu.

– Co się takiego stało?

– Lekarze powiedzieli pułkownikowi, że doszło do krwawienia w mózgu. Erik czuł się dobrze i nagle... – Wykonał gest dłonią.

Wpatrywała się w jego twarz, nie wiedząc, jak go pocieszyć. Kiedy zaciął usta, wiedziała, że myśli o tych, którzy napadli jego przyjaciela.

– Zabili go – oznajmił. – Zamordowali.

Stracił ręką kloc z pniaka i usiadł. Annabel patrzyła na niego w milczeniu. Nie wiedziała, czy ponownie nie zaproponować herbaty – z pewnością dobrze by mu teraz zrobiła.

– Złapią nas, Annie.

– Nie...

– Złapią.

– Nikt o nas nie wie!

– Złapią nas i będzie po mnie. Nawet jeśli nas nie złapią, mogą mnie zabić. A jeśli nas nie złapią i przeżyję, po zakończeniu wojny będziemy musieli się rozstać i już więcej się nie zobaczymy.

Uśmiechnął się do niej i wzruszył ramionami.

– Mnóstwo możliwości. I żadna z nich nie jest dobra.

Annabel poczuła, że przestaje panować nad wyrazem twarzy i nawet nie starała się powstrzymać łez. Hans nie ruszył się z miejsca.

– Ty też jesteś w niebezpieczeństwie. Powinnaś to wiedzieć. Nie chcę, żeby przeze mnie coś ci się stało.

– Proszę, Hans! – Miała sobie za złe, że mówi jak dziecko, gorzej, błaga. – Proszę, nie mów takich rzeczy.

– Musimy przestać się widywać.

Zaczęła szlochać, gwałtownie rozcierając oczy. Twarz miała rozpaloną i czerwoną, powieki opuchnięte.

– Proszę! Proszę!

– Annabel! Bądź cicho! Ktoś może usłyszeć!

Zaczęła zawodzić. Podbiegł do niej i zaprowadził ją do szopy, pociągając za sobą wózek.

– Przestań!

Wyglądając przez zakurzone okienko, poszukał w kieszeniach chusteczki. Zrobił to odruchowo; był jeńcem, który rąbie drewno, nie nosił już przy sobie chusteczek. Zaczął więc ocierać jej łzy palcami.

– Co innego mogę ci powiedzieć? – zapytał ze złością i jednocześnie bezsilnością w głosie. – Co mamy zrobić? Mam powiedzieć: tak, wszystko w porządku? Wyjedźmy stąd razem... Dlaczego nie?

Annabel odzyskała panowanie nad sobą i wyjęła własną chusteczkę z torebki. Nie patrząc na niego, doprowadziła się do porządku. I z taką godnością, na jaką tylko mogła się zdobyć, wzięła wózek i bez słowa wyszła z szopy.

Rozdział osiemnasty

„Najstarszy Koziołek Spryciołek obniżył rogi, zastukał kopytkiem, wziął duży rozpęd i ubódł Trolła w duże brzuszysko tak mocno, że Troll poszybował wysoko, wysoko, wywinął w powietrzu koziołka i z pluskiem wylądował daleko w rzece”.

– z *Trzech koziołków*

Odkąd zobaczyłem trolla węszącego w kubłach na odpadki dla świń i po grządkach warzywnych przy naszej ulicy, starałem się wypatrywać go przez większość nocy. Trudno mi było nie zasnąć po bajce i tkwić przy oknie, kiedy marzyłem tylko o tym, żeby w łóżku zwinąć się w kłębek. Ale po zmroku, gdy w domach panowało zaciemnienie, kto oprócz mnie mógł wiedzieć, że po ulicy w porze czarów kręci się potwór? Nie zawsze przychodził, ale jak się zjawiał, chciałem mieć na niego oko.

Stwierdziłem, że rzeczywiście jak brudne zwierzę, którym był, wyjmował z kubłów różne rzeczy – przeważnie resztki jedzenia. Zbierał specjalne składniki do swoich czarów. I badał, gdzie kto mieszka, jestem pewien. Niemal widziałem, jak swoim wielkim nochem próbuje mnie wywachać. Polował na mnie tak, jak ja polowałem na niego. I nie miałem wątpliwości, że pewnego dnia się dowie, w którym domku mieszkamy z mamą.

Tego wieczoru stanąłem na straży przy oknie wcześniej niż zwykle, bo nie było bajki. Mama ostatnio chodziła roztargniona i kilka razy musiałem jej przypominać, żeby mi poczytała. Kiedy wcześniej zszedłem do salonu, aby ją o to poprosić, powiedziała, że jest zmęczona i następnego dnia poczyta mi dłużej. Dlatego miałem więcej czasu, żeby wypatrywać trolla. Gdy jednak wyrzależem na ciemną ulicę, nie było go ani śladu.

Wiedziałem jednak, że wkrótce samo wypatrywanie nie wystarczy. Potwór coś knuł i pewnie planował, co ze mną zrobi, gdy w końcu mnie znajdzie. Pewnego dnia wykona ruch – i będzie próbował dostać się do naszego domu. Patrząc więc w ciemność, wyteżalem wzrok. Jak inaczej mogłem chronić mamę, siebie i naszą chatkę? Musiałem być przygotowany, gdy troll postanowi uderzyć i mnie dopaść – albo porwać mamę, żeby pożreć ją w lesie.

Pułapka! Tego mi było trzeba. Dlaczego wcześniej na to nie wpadłem?

Nazajutrz zwinąłem z kosza na śmieci kilka butelek, rozbiłem je i rozsypałem odłamki szkła wzdłuż płotu wokół ogródka, żeby pokaleczył sobie łapy, w razie gdyby próbował przeleźć górą. Wziąłem klej z komórki i przylepiłem swoje pojedyncze włosy przy frontowych i tylnych drzwiach, by wiedzieć, czy nie zakradł się do domu pod naszą nieobecność. Czytałem, że tej sztuczki używają szpiedzy, i zawsze chciałem ją wypróbować. Nie bardzo wiedziałem, jak odwrócić uwagę mamy, kiedy będę manewrował klejem i włosami, ale musiałem znaleźć jakiś sposób.

Usiłowałem wymyślić jeszcze inne pułapki na trolla; może wykopać doły za ogrodzeniem z tyłu – tamtędy szło się do lasu – żeby trudniej mu było je pokonać? Potem jednak skupiłem się

na tym, co mogłem zrobić od razu, jeszcze tej nocy – najlepiej działać natychmiast.

Zakradłem się na dół i kiedy schodziłem, usłyszałem dźwięki z radia i poczułem dym papierosów; wiedziałem więc, że mama siedzi w swoim fotelu.

Poszedłem na palcach do kuchni i zabrałem się do sporządzania trucizny. Zamierzałem trzymać ją w swoim pokoju; troll by ją zobaczył, gdyby tam wszedł, i wypiłby, biorąc za zwykły napój. Oczywiście padłby trupem na miejscu.

Wspiąłem się do kredensu i wyjąłem z niego dużą szklankę. Po cichu otworzyłem tylne drzwi i wyszedłem do ogródka, gdzie patykami nagarnąłem do niej ziemi i błota. Po powrocie do kuchni dodałem jeszcze cuchnących środków do czyszczenia, które mama trzyma pod zlewem.

Gdy to wszystko wymieszałem, otrzymałem gładką brązową miksturę. Nie wyglądała zbyt ładnie, ale w moim pokoju panowałby mrok i troll nie widziałby jej dobrze. Poza tym byłby spragniony po włamaniu się do domu, które kosztowałoby go sporo wysiłku, więc na pewno wypiłby ją od razu. Pewnie by się śmiał i myślał, jaki jest sprytny, wypijając szklankę kawy przed realizacją swoich niecnych planów.

Ostrożnie zaniósłem truciznę do swojego pokoju i postawiłem na stoliku przy łóżku. Na czas wieczornej bajki zamierzałem ją ukryć, żeby mama przez pomyłkę jej nie wypiała. Postanowiłem, że schowam szklankę pod łóżko. Mama przychodziła do mnie tylko wieczorami i teraz, gdy przestała sprzątać na górze, nie znalazłaby jej przypadkiem.

Wtedy przyszedł mi do głowy jeszcze jeden pomysł. Zszedłem więc do kuchni po nóż, który też ukryłem pod łóżkiem. Uznałem, że mogę potrzebować broni.

W końcu położyłem się spać, ale widok filiżanki z trucizną na stoliku nie dawał mi zasnąć, tak byłem podekscytowany. Niemal liczyłem, że troll się włamie; chciałem, żeby wypił napój, bo wtedy mama i policja by mi pogratulowali, że się z nim rozprawiłem.

Mama pokłóciła się o coś z Jasiem i sprawiała wrażenie smutnej. Byłoby fantastycznie, gdyby udało mi się zabić potwora. Pokazałbym jej, jaki jestem sprytny i dzielny; nie potrzebowałaby już Jasia. To ja bym ją ocalił i uszczęśliwił. Uśmiechałaby się do mnie tak, jak uśmiechała się do niego. Ale najpierw musiałem ją uratować. Z przyjemnością sobie wyobrażałem, jak mówi, że jestem przemyślnym Pupilkiem.

Rozdział dziewiętnasty

„Widziała, jak go potem wprowadzono do białego budynku pomiędzy drzewami, i odgadując, że go prędko nie zobaczy, zanurzyła się w morzu”.
– z *Syreny*

– Och, co bym dała, żeby dostać w swoje ręce jednego z nich – powiedziała Jean Bainbridge.
– Słuchamy, Jean! – Jedna z kobiet się zaśmiała. – Co takiego byś dała?
– Mówię całkiem poważnie, wierzcie mi. – Jean pociągnęła mały łyk wytrawnej sherry. Potem potoczyła wzrokiem po siedzących wokół stołu. – Powinnyście ją zobaczyć. Jest w okropnym stanie.

Annabel ze skrzepowaniem poruszyła się na krześle. Nie miała ochoty tu przyjść. Miło było dla odmiany posiedzieć w pubie, ale niewiele ją z tymi kobietami łączyło, mimo że wszystkie były mniej więcej w tym samym wieku co ona.

Natknęła się na Jean tego dnia. Annabel знаła kilka osób ze wsi, bo Bambury nie było duże, ale z nikim szczególnie się nie przyjaźniła. Jednak mąż Jean kiedyś pracował z Reggie w banku i były rówieśniczkami, więc gdy się spotykały, czuły się zobowiązane okazywać sobie życzliwość. Jean właśnie skończyła dwadzieścia dziewięć lat i zaprosiła Annabel do Royal Oak na „mały jubel urodzinowy”.

Annabel żałowała, że nie zdążyła wymyślić jakiegoś pretekstu, aby wymówić się od przyjscia.

Teraz rozmawiały o Evelyn Moore, której mąż, Simon, zginął we Francji.

– Jest w okropnym stanie – powtórzyła Jean. – Biedaczka. Nie bardzo można jej pomóc. Zagłodziłaby się na śmierć, gdybym nie podrzuciła jej tego czy owego do zjedzenia.

– Ugotuję dla niej potrawkę – oznajmiła niejaka Marjorie. – Wszyscy lubią ją w moim wykonaniu.

Pozostałe wymamrotały, że rzeczywiście jej potrawka jest bardzo smaczna. Kilka wystąpiło z propozycjami innych dań, które można by zanieść zbolelej wdowie i jej synowi.

Annabel nie przyszłaby tu, gdyby mogła tego uniknąć, ale w miarę jak wieczór się zbliżał, była zadowolona, że wychodzi z domu. Zamierzała wspomnieć o tym od niechcenia Hansowi, może idąc na skróty przez sad, żeby uregulować rachunek z Dawsonem. Chciała, aby wyobraził ją sobie bawiącą się bez niego. Liczyła, że będzie o nią zazdrosny; nie musiał wiedzieć, że we wsi nie zostało wielu atrakcyjnych mężczyzn. Kusilo ją, żeby go ukarać.

Miała także nadzieję, że dzięki temu wieczorowi poza domem stanie się dla Hansa bardziej godna pożądania. Nie chciała, żeby wiedział, jak znudzona, nieciekawa i nieszczęśliwa jest przez większość czasu.

Jednak intryga, żeby odegrać się na Hansie albo skłonić go do działania, wydawała jej się teraz pozbawiona sensu – wcale dobrze się nie bawiła. Wolałaby być z nim w jego szopie.

A ponieważ to było niemożliwe, lepiej czułaby się sama w domu; przynajmniej nie musiałyby gawędzić z tymi męczącymi kobietami.

Rozmawiały tylko o swojej nienawiści do tych podłych Niemców.

Annabel była ciekawa, czy Hans kiedykolwiek kogoś zabił. Nigdy go o to nie pytała. Zastanawiała się, czy Reggie zabił; to jednak było jeszcze trudniej sobie wyobrazić. Korciło ją, żeby zapytać te kobiety, czym Brytyjczycy różnią się od Niemców, gdy pociągają za spust i zrzucają bomby, ale to byłoby jak zdrada w obliczu króla. Zresztą po co miałyby to robić? Król by nie odpowiedział i sprawa źle by się skończyła dla zuchwalca.

Pragnęła, żeby zmieniły temat. W tych czasach nikt nie mówił o niczym innym, jak tylko o wojnie. O czym rozmawiało się wcześniej? Nie pamiętała.

– Byłam przestraszona, kiedy po raz pierwszy usłyszałam o obozie jenieckim – zabrała w końcu głos. Pozostałe spojrzały na nią z lekkim zdziwieniem. Przez cały wieczór niewiele się odzywała i mogłaby mówić głośniej, ale ciągnęła: – Jednak od czasu do czasu widuje się ich we wsi i nie sprawiają wrażenia groźnych. To dla mnie ulga, bo mieszkam niedaleko obozu.

Kolejny raz odwołała się do swojej anegdoty, że nawet siostry Bishop były miłe dla jednego z tych Niemców.

– Szczerze mówiąc – surowo odparła jedna ze starszych pań – jestem zdumiona, jak przyjacielsko odnoszą się do nich niektórzy. Ja zawsze odwracam wzrok, gdy widzę kogoś na ulicy.

– Och, ja też! – zawołała Jean. – To oburzające, że niektóre osoby ze wsi zachowują się w stosunku do nich, jakby nic się nie stało. Osobiście uważam za niebezpieczne, że wolno im przebywać za dnia poza obozem... pracować i tak dalej. Mają kontakt z normalnymi ludźmi i kto wie, do czego mogą się posunąć. Przypuśćmy, że któryś spróbuje uciec i kogoś napadnie. Albo, co gorsza, zwerbują na szpiega czy coś takiego.

Annabel pomyślała, że Jean naoglądała się tych wszystkich plakatów o konieczności dyskrecji: „Zachowaj czujność przed wrogiem!”, „Beztroska gadanina kosztuje życie”, ale nie pierwszy raz słyszała taką opinię.

– Niemcy nie znają litości – dodała jeszcze inna kobieta.

– Właśnie. Nigdy nie przeboleję śmierci brata – dorzuciła Audrey Meade. – Henry nie miał nawet okazji zakosztować życia... nie ożeni się, nie będzie miał dzieci.

Jean objęła Audrey. Annabel zaczęła się zastanawiać, czy koleżanka nie żałuje, że zorganizowała to spotkanie. Co za urodziny!

– To tragedia – przyznała jakaś inna. – Ale państwo Ferris stracili obu synów. Obu! Wyobrażacie sobie?

– Najbardziej szkoda mi dzieci – zauważył ktoś cicho i Annabel spojrzała na młodą skromną kobietę, która to powiedziała.

Żadna nie skomentowała jej słów. Wszystkie wiedziały, że opiekuje się trzema siostrzencami, które ewakuowano ze wschodniego Londynu. Pewnej nocy, podczas nalotów, ich dom został zbombardowany i straciły pod gruzami oboje rodziców, którzy nie opuścili miasta i pracowali w obronie cywilnej. Ta kobieta, od niedawna zamężna, straciła siostrę i szwagra i jeszcze musiała powiedzieć dziewczynkom, że są sierotami i nie wrócą do domu.

– Gdybym mogła dostać w swoje ręce jednego z nich... – powtórzyła Jean.

Ale tym razem nie było żartobliwej riposty. Nastrój nieodwołalnie się zmienił.

Annabel powoli wracała do domu. Było bardzo ciepło, ale gdy siedziały w pubie, spadł niewielki deszcz i teraz płyty chodnikowe lśniły w blasku księżyca. Cieszyła się z tego, bo noc sprawiała

wrażenie jaśniejszej. Jakże brakowało jej ulicznych latarni, pomyślała po raz nie wiadomo który. I innych śmiesznych rzeczy, które uważała za oczywiste. Wsłuchiwała się w stukot swoich obcasów na betonie, chrzęst wilgotnego żwiru pod podeszwami butów. Jej kroki nie były rytmiczne; czasami ślizgała się trochę i obcasy szurały po chodniku. Może wypła więcej, niż zamierzała, ale w domu skończyło się porto, a ginu zostało już niewiele, więc przyjemnie było łyknąć sobie za darmo. Zamawiała jeden gin z tonikiem za drugim i piła, żeby nie uczestniczyć w rozmowie.

Uważały ją za swoją, kobietę z małym dzieckiem i mężem na froncie, ale się myliły. Nie była jedną z nich.

Jean uściskała ją, kiedy zegnały się przy drzwiach pubu. Pozostałe szły w innym kierunku, w stronę centrum Bambury.

– Dziękuję, że przyszedł – powiedziała. – Naprawdę mi miło. Jesteś pewna, że wrócisz sama?

– Tak, tak, oczywiście. Dzięki za zaproszenie, było... uroczo. Wszystkiego najlepszego!

Wcześniej Annabel chciała odegrać się na Hansie. Pragnęła, aby myślał, że ma przyjaciółki. Jednak siedząc wśród nich, czuła się tak samotna, że teraz było jej głupio. Żałowała, że Hans nie mieszka w sadzie, lecz tylko w nim pracuje. Od razu by do niego poszła i go obudziła. Ale tkwił zamknięty w baraku, podczas gdy stary pułkownik pełnił straż, popijając tuż obok bovril.

Po powrocie do domu rozważyła możliwości: łóżko, jeszcze jeden drink przed snem, filiżanka herbaty. W ogóle nie chciało jej się spać.

Gotując wodę na herbatę, pożałowała, że nie ma w domu żadnych ciastek ani innych słodyczy. Coś by przekąsiła; alkohol zawsze tak na nią działał.

Upiekę ciasto – pomyślała. Upiekę dla niego ciasto, jutro mu je zaniosę i znowu będzie dobrze.

Przeklęła wojnę i racjonowanie żywności, bo bez odpowiedniej ilości masła, cukru i jajek trudno było coś upiec. Jednak ostatnio dostała od matki przepis na ciasto marchewkowe. Brzmiało to nieco dziwnie, ale matka kosztowała je podczas uroczystości kościelnej i twierdziła, że było naprawdę dobre. „Marchew jest słodka, jeśli się zastanowić” – podsumowała.

Annabel miała nadzieję, że nie wyrzuciła przepisu, i z ulgą odnalazła go w szufladzie w salonie. Uświadomiła sobie, że nie zdjęła płaszcza przeciwdeszczowego, więc idąc do kuchni, rzuciła go na poręcz schodów. Była całkiem podekscytowana.

Włączyła piecyk i wymieszała składniki ciasta, bałaganiąc przy tym okropnie. Użyła jajek w proszku zamiast świeżych z farmy Dawsona. Masło smakowało zadziwiająco dobrze, wszystko więc wskazywało, że ciasto się uda. Nie zdawała sobie sprawy, ile robi hałasu, wyjmując z kredensu garnki i patelnie, żeby znaleźć rzadko używaną formę do wypieków, póki do kuchni nie przyszedł chłopiec, ciekaw, co się dzieje.

– Co robisz?

Miał zaczerwienione oczy i odruchowo zerknął na zegar ścienny, który dawno przestał chodzić.

– Piekę ciasto. – Zauważyła, że trochę bełkoce.

– Teraz?

– Tak, teraz.

Łyżką przełożyła masę do okrągłej formy. Przeszła nad stojącymi na podłodze patelniami, odsuwając stopą dużą blachę do pieczenia, żeby dostać się do piekarnika. Gdy otworzyła drzwiczki, żar uderzył ją w twarz, więc się cofnęła, zanim włożyła do środka ciasto. Zamknęła piekarnik i wyprostowała się zadowolona.

– Proszę. – Podała miskę chłopcu, który stał po drugiej stronie stołu, nie spuszczać z niej

wzroku. – Możesz wylizać, jeśli chcesz. – Uśmiechnęła się wspaniałomyślnie i chłopiec palcem wybrał z naczynia resztki maślanej masy.

Hans dobrze na nią działał, pomyślała. Dzięki niemu zaczęła coś czuć. Popatrzyła na chłopca i nagle ogarnęło ją wzruszenie.

Ponownie zaparzyła herbaty, a chłopiec zaczął zbierać naczynia. Umył miskę i wstawił ją na suszarkę, a potem nalał sobie herbaty i usiadł z mamą przy stole.

Wydawał się podniecony, że nie musi spać, i Annabel nie chciała wysłać go z powrotem do łóżka. Pragnęła, żeby ktoś był świadkiem jej triumfu z ciastem. Z piecyka wydobywało się ciepło i słodki zapach i chociaż w kuchni zapanowało gorąco, było miło i przytulnie.

Chłopiec przezornie milczał; gdyby zaczął gadać, popsułby nastrój i odesłałaby go na górę.

Po pewnym czasie wyjęła ciasto z piekarnika i ostrożnie odwróciła na kratce, żeby ostygło. Delikatnie dotknęła go palcem; miało doskonałą konsystencję. Wyszło ciemniejsze niż zwykły biszkopt, a jego rdzawy kolor i apetyczny zapach sprawiły, że do ust napłynęła jej ślinka. Było znacznie lepsze niż tort, który upiekły z matką na urodziny ojca.

– Dobra robota, mamó! – zawołał chłopiec.

– Tak! Naprawdę nieźle wygląda, prawda?

Nie miała cukru pudru, więc nie mogła zrobić lukru, ale machnęła na to ręką.

Chciała spróbować ciasta, zanim zanieśie je Hansowi, więc ostrożnie odkroiła dwa kawałki i podała jeden chłopcu. Było ciepłe i pyszne. Dawno nie jadła nic równie dobrego.

– Tu jest marchew – powiedziała.

– Marchew? – Zaśmiał się z niedowierzaniem.

– To stary, średniowieczny przepis. Kiedy cukier był rzadki i drogi, używano zamiast niego marchwi.

– Hm, naprawdę pycha.

Żałowała, że Hans nie może zobaczyć, jaka z niej dobra matka.

– Czy to nie zabawne, że w gruncie rzeczy nic się nie zmienia? – zagadnęła z ciastem w ustach. – Cukier znowu jest czymś rzadkim i drogim. Czasami mam wrażenie, że wróciliśmy do średniowiecza. Skłócone państwa europejskie, wojna, ciemne ulice i niedobory żywności...

Chłopiec milczał. Dotarło do niej, że niepotrzebnie do niego mówi. Będzie musiała nazajutrz podzielić się swoim spostrzeżeniem z Hansem, kiedy opowie mu o pomysle na ciasto.

– Dobra. Do łóżka.

– Uhm.

Ziewnęła, wstając. Ona sama też musiała iść spać.

– Chyba po tej nocnej wyzerce będę musiał jeszcze raz umyć zęby – dodał chłopiec.

– W porządku.

Nakryła ciasto czystą ściereczką i poszła za synem na górę. Naprawdę była zawiana.

Obudziła się z tępyim bólem głowy; w ustach tak jej zaschło, że czuła w nich nieprzyjemny smak. Przy łóżku stała woda w szklance, którą przyniosła ze dwa wieczory wcześniej. Smakowała nie najlepiej, ale Annabel chciwie wypijała ją duszkiem.

Przynajmniej nie było jej niedobrze.

Usiadła i spojrzała na budzik, który nigdy nie służył zgodnie z przeznaczeniem; była jedena-
sta. Nagle przypomniała sobie o zamiarze pogodzenia się z Hansem i o cieście.

Pospieszyła na dół, żeby zaparzyć sobie herbaty i się dobudzić; przeważnie odwiedzała go rankiem, a potem, w porze, gdy mogli zjawić się inni, zostawiała go samego. Tylko kilka razy

się zdarzyło, że usłyszeli kogoś nadchodzącego od strony farmy i musiała szybko uciec do lasu.

Wykąpała się na górze i stanąwszy przed lustrem, kolejno przyłożyła do siebie jedną sukienkę po drugiej, żeby sprawdzić, w którym kolorze tego dnia będzie wyglądała lepiej. W żółtej jej cera wydawała się trochę ziemista, więc wybrała różową.

Nie kupowała ani nie szyła nowych strojów, nosiła jednak te, których nie wkładała od lat. Wybierała żywsze kolory i odważniejsze fasony. W swoim najgorszym okresie, pierwszego roku po urodzeniu chłopca, przez całe dnie, jeśli nie musiała wyjść z domu, chodziła w koszuli nocnej.

Ale teraz to wszystko miała już za sobą.

Założyła kolczyki z perełkami i srebrny medalion w kształcie serca. Kończyły jej się perfumy, ale nie zważając na to, obficie spryskała szyję Vol de Nuit. Hans mówił, że uwielbia ten zapach.

W kuchni zawinęła kilka kawałków ciasta w papierowy ręcznik, wsadziła je na dno wózka i ruszyła w drogę do sadu.

Ale znalazłszy się na chodniku, poczuła lęk. A jeśli nie chciał, żeby przyszła?

– Wybacz mi – powiedziała po prostu, kiedy zjawiała się na porębie. Jej głos zabrzmiał ochryple.

Zauważyła, że drżą jej dłonie, więc mocniej ujęła rączkę wózka.

– Nie. To była moja wina... przepraszam.

Z ulgą pokręciła głową.

– Naprawdę, Annie, bardzo przepraszam. Nie chcę, żebyśmy przestali się widywać.

– Nie?

Stali naprzeciwko siebie w odległości metra, dwóch.

– Nie. Ale...

Przebył dzielący ich dystans i ujął ją za ramiona, patrząc jej w twarz. Ona jednak przypadła do niego, więc ją objął. Przypomniała sobie o cieście w wózku i już miała zaproponować, żeby je zjedli, gdy wciął się w jej myśli.

– Tak się zastanawiam... – Tchnął jej we włosy.

– Nad czym?

– Sama to powiedziałaś. Że chcesz być ze mną. Może... może będziemy musieli stąd odejść.

Tak ją to przestraszyło, że z nerwowym śmiechem wyrwała się z jego objęć.

– Odejść? To znaczy uciec?

– Tak.

Popatrzyła na niego, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Pamiętasz, jak kiedyś wymieniałem wszystkie możliwe scenariusze i żaden nie był dobry? Cóż, jest jeszcze jeden, którego nie wziąłem pod uwagę.

– Ależ, Hans! Dokąd mielibyśmy uciec?

Nie mogła udawać, że o tym nie marzyła. Fantazje o ucieczce stanowiły element jej dorosłego życia, odkąd pamiętała. Ale w przeciwieństwie do tych dawnych, które snuła mniej więcej od urodzenia dziecka, nie fascynował jej sam akt ucieczki. Nie, ostatnie wizje z udziałem Hansa wręcz ucieczkę pomijały i skupiały się na tworzeniu wspólnego domu.

– Dokąd mielibyśmy uciec? – zapytała jeszcze raz. Przerazona, z nadzieją.

Nie odpowiedział; jakby się zastanawiał. Pomyślała o Reggie. I o chłopcu. Może bez niej byłoby im lepiej?

Czekała na jego odpowiedź. Świetnie mówił po angielsku, ale był Niemcem i gdyby tylko się odezwał, każdy by go zdemaskował. Nie mogli uciec i uchodzić za zwykłą parę.

– Mógłbym odnaleźć przyjaciół ojca w Liverpoolu... Chyba znam kogoś, kto pomógłby nam w ucieczce... Później przedostalibyśmy się do Szwajcarii.

– Do Szwajcarii!

– To nasza jedyna szansa!

– Ale Szwajcaria?!

– Pomyśl. Tylko pomyśl! Kochamy się. Moglibyśmy być razem, cieszyć się szczęściem! Wiem, że od bardzo dawna nie jesteś szczęśliwa.

– Tak, ale... Hans! – Znowu zaśmiała się krótko, powściągliwie, lecz on jej nie zawtórował.

– Czy... to byłoby możliwe?

– Trzeba by się przygotować. Sporządzić plany. Ty byś musiała...

– Poczekaj, poczekaj chwilę! Nie mogę jeszcze o tym rozmawiać, najpierw muszę pomyśleć.

– Zrobiła kolejny krok do tyłu i zaczęła bawić się rączką wózka. – Powiedz... powiedz mi, jak by to miało być.

W końcu uśmiechnął się do niej. Zbliżył się i ujął obie jej dłonie.

– Mielibyśmy własny dom, nie taki na niby jak ten! – Wskazał głową za siebie, na małą szopę. – Bylibyśmy razem, żylibyśmy normalnie.

– Tak...

– Ucieklibyśmy od wojny i zostawilibyśmy wszystko za sobą. W przyszłości moglibyśmy mieć dzieci. Wiem, że potrafiłbym dać ci szczęście.

– Szczęście?

– Tak. Mógłbym nauczyć cię niemieckiego albo oboje nauczylibyśmy się francuskiego i żyli tak, jak tylko byśmy chcieli. Razem. Mielibyśmy dom i mieszkalibyśmy w nim we dwoje. Pomyśl, jak jest przyjemnie, gdy jesteśmy razem w tej starej brudnej szopie, i wyobraź sobie, jak by to było, gdybyśmy mieli prawdziwy dom.

– To brzmi tak...

– Wiem, że nie lubisz rozmawiać o przykrych rzeczach, Annie, ale musimy szybko podjąć decyzję. Boję się, że coś się stanie, coś takiego jak z Erikiem.

Odwróciła wzrok.

– Nie mów tak.

– Jeśli chcesz, mogę uciec pierwszy, żeby nie narażać cię na niebezpieczeństwo. Gdybyś pomogła mi dostać się do Liverpoolu, stamtąd jakoś przedostałbym się do Szwajcarii. Potem napisałbym do ciebie i przyjechałabyś już na gotowe.

– Ja... ja... wolałabym, żebyśmy się nie rozstawali.

Uściskał jej dłonie, czekając, żeby ponownie spojrzała w jego przystojną twarz.

– Wiem, że to dla ciebie bardzo trudna decyzja. Ale cały czas tylko mówimy, że nie mamy wyjścia, ojej, nie mamy wyjścia... A gdy się zastanowić, to właściwie... Nie. Mamy wyjście, Annie. Jest bardzo proste.

Rozdział dwudziesty

„Król tego miasta ogłosił, że mają się odbyć wyścigi z córką jego, królową. Kto odniesie zwycięstwo, zostanie jej małżonkiem, kto zaś przegra, straci głowę”.
– z *Jak sobie sześciu zuchów radziło*

Byłem w posiadaniu bardzo ważnego sekretu. Wiedziałem o ich pocałunkach, o tym, co robią w chatce i o czym rozmawiają, kiedy sądzą, że są sami.

Ale znałem jeszcze jeden sekret. Połapałem się, że Jaś to nie tylko drwal. Stopniowo zrozumiałem, że jest na to... zbyt niezwykły. Był nie tylko drwalem... ale także księciem. A tak. Zaczarowanym księciem, w innej postaci. Został uwięziony – to oczywiste, skazany za dnia na ścinanie jabłoni, a nocą na pobyt w obozie, pod kluczem.

Nie chciałem, żeby mama go odczarowała. Chciałem to zrobić sam, by pomóc mu uciec. Bo gdybym pomógł mu uciec, zostawiłby ją w spokoju.

Odkąd go poznała, niemal znikła na moich oczach. Czasami nawet nie chciała mi już czytać, a przecież wiedziała, jak to uwielbiam.

Słyszałem, jak rozmawiał z nią o Liverpoolu i Szwajcarii, i nie powinienem pozwolić, żeby zabrał ją ze sobą. Nie mogła mnie zostawić. Nie mogła zrobić tego znowu.

Był taki straszny moment, przed kilkoma tygodniami, kiedy podglądałem ich przez dziurę w ścianie. Leżeli nadzy na ziemi i to, co robili, nie przypominało tamtego pierwszego pocałunku; aż trudno było na to patrzeć. Wydawali takie odgłosy, jakby zadawali sobie ból, i już myślałem, żeby wbiec przez drzwi i przerwać te cierpienia, lecz oni sami przestali. Ale tamten straszliwy moment nadszedł, kiedy już tylko leżeli, palili papierosy i rozmawiali. Opowiedziała mu, jak prawie mnie porzuciła. Miałem wtedy trzy lata. Słuchając o tym, przestałem oddychać, jak w chwili gdy znalazłem tamten list od taty.

Więc nie. Choć go uwielbiałem, nie mogłem pozwolić, żeby mój księżę zaklęty w drwala zabrał ją ze sobą do swojego królestwa. Musiał wrócić do niego sam.

I tak zresztą byłoby najlepiej dla wszystkich: dla niego i dla mamy, chociaż początkowo byłoby jej smutno. Nie wiedziałyby, jaki jest w tym mój udział. I zwróciłyby się do mnie po pociechę. Nazywałyby mnie swoim Pupilkiem.

Nie byłem już tylko widzem, słuchaczem. Grałem swoją rolę, bardzo ważną w całej tej historii.

Więc chociaż Jaś mi tego nie wyjawiał, wiedziałem, czego mu trzeba. Musiał uciec i to ja – nie ona – miałem mu w tym pomóc.

Leżeliśmy sobie. Gawędziliśmy o tym i owym – o moim życiu we wsi, o tym, co ludzie gadali o jeńcach i co słyszałem w radiu o bliskim końcu wojny, o moich ulubionych przedmiotach w szkole, ulubionych bajkach. Tego dnia w nic się nie bawiliśmy. Było strasznie gorąco i Jaś powiedział, że jest zmęczony.

Żuł źdźbło trawy i z mojego punktu widzenia rozwiązanie wystrzeliło w powietrze niczym pęd fasoli w niebo. Leżałem z głową opartą na zgiętym łokciu i patrzyłem na Jasia. Miał zamknięte oczy, ale mimo to szukałem w jego twarzy wskazówki, o czym myśli.

– Chyba... – zacząłem – będziesz potrzebował pieniędzy, no nie? Żeby uciec.

Nie otworzył oczu ani się nie odezwał.

– Pieniądzy... I może jedzenia na... na podróż.

Nie chciałem, żeby teraz na mnie spojrział. Tak było łatwiej. Choć bardzo dziwnie się czułem.

Spróbowałem powoli się odwrócić i położyć na plecach, tak jak on. Wolałem, żeby nie przyłapał mnie, jak na niego patrzę, odgrywając jego zbawcę. Ułożyłem się w takiej samej pozycji jak on, żeby wyglądać równie niedbale.

– I map. – Po raz pierwszy się zawahałem. Dlaczego wciąż milczał? – Zrobię, co tylko będę mógł – zakończyłem, nerwowo przełykając ślinę, tak że ostatnie słowa utkwiły mi w gardle.

Szybko się podniósł, więc czym prędzej zamknąłem oczy. Żałowałem, że jak on nie mam w ustach źdźbła trawy.

– Czy matka kazała ci poruszyć ze mną ten temat?

Pospiesznie otworzyłem oczy i zaśmiałem się z niedowierzaniem.

– Ona nie pomogłaby ci w ucieczce! Nie chce, żebyś odszedł! I... i... na pewno sama też nie chce odejść. – Znowu zamknąłem oczy i usiłowałem przybrać spokojną minę. – Nie, nie, tata wraca. Co by zrobił, gdyby wrócił, a jej by nie było? – Zaśmiałem się ponownie, choć tym razem zabrzmiało to mniej pewnie. – Wraca do domu. Tu, gdzie mieszkamy, mama i ja. Razem. Tutaj.

Westchnął.

– Jestem okropnie zmęczony – odparł. – Chyba na dziś koniec pracy i zabawy. Pan Dawson prosił, żebym po południu pomógł mu na farmie. Tak, idę stąd.

Poczułem ruch powietrza, kiedy wstał; jego cień sprawił, że czerwone światło pod moimi powiekami stało się czarne.

– Chyba ty też powinieneś wracać do domu.

Chyba ty też powinieneś wracać do domu.

Więc się podniosłem, otrzepałem szorty i nie patrząc na niego, ruszyłem w stronę ogrodzenia.

– Danielu!

Nie zamierzałem się odwrócić, mimo że przystanąłem. Chciałem, żeby powiedział to do moich pleców. Ale w końcu się odwróciłem. Oczywiście, że tak. Musiałem zobaczyć jego twarz.

– Nie rozumiesz. To, co mówisz...

Kiwnąłem głową. Ścisnęło mnie w gardle i wiedziałem, że nie wydobędę z siebie głosu. Miał poważną minę i lekko ściągnięte brwi.

– To, co mówisz... o zdobyciu dla mnie map, jedzenia i pieniędzy... To bardzo niebezpieczne zadania.

Trzy zadania.

Nawet tak o tym nie myślałem, ale oczywiście wszystko nagle nabrało sensu.

Zawsze były trzy zadania i zawsze niebezpieczne.

Zwalczyłem pokusę, żeby do niego pobiec i go uściskać. Udzielił mi pozwolenia. Chciałem mu podziękować, ale czułem, że lepiej tego nie robić. Więc tylko po męsku porozumiewawczo skinąłem głową, odwróciłem się i odszedłem w kierunku lasu.

W ciągu następnych tygodni spędzałem w lesie sporo godzin; próbowałem podczas serii tajnych misji znaleźć najlepszą drogę ucieczki. Jednym okiem wypatrując trolla, eksperymentowałem

z różnymi trasami. Jaś chciał, żebym zaprowadził go na stację kolejową w Densford. On pozostałby w lesie, a ja poszedłbym do kasy, żeby kupić bilet na pociąg do Liverpoolu.

Po powrocie z jednej z takich wypraw zwiadowczych zabrałem do swojego pokoju mapy hrabstwa, które tata trzymał w biurku w salonie, rozpostarłem je na łóżku i położyłem się nad nimi na brzuchu, żeby dobrze widzieć legendy.

Odwrociłem się na plecy i przyciągnąłem mapy do piersi, pragnąc, żeby zdradziły mi swoje sekrety.

Z powodu pięknej pogody aż szkoda było siedzieć w czterech ścianach, ale miałem do wykonania ważne zadanie. Nie widziałem ani nie słyszałem mamy, więc musiała wyjść, pewnie była z nim w sadzie albo załatwiała we wsi sprawunki.

Przeszedł mnie dreszcz, kiedy pomyślałem, że być może właśnie w tej chwili – w tej minucie – uciekają razem, a ja nic o tym nie wiem. Zniknęłyby, jakby nigdy nie istniała. Ale przecież zawsze miała wielkie kłopoty z podejmowaniem decyzji i mówiła mu, że wciąż zastanawia się nad najlepszym rozwiązaniem. Powtarzała, że potrzebuje więcej czasu, jeszcze odrobinę więcej. Byłem z tego zadowolony. To wyraźnie świadczyło, że nie chce mnie zostawić. Bo byłem jej Pupilkim.

Mapy zsunęły się na podłogę. Wstałem, żeby otworzyć okno. Wyglądając na letnie słońce, spojrzałem ponad ogródkiem od frontu w głąb ulicy. Wokół innych domów panował spokój i nie było nikogo widać.

Nasza magnolia już całkiem przekwitła i coś w pomarańczowym blasku wczesnego popołudnia przypomniało mi, że idzie jesień.

Po namyśle doszedłem do wniosku, że kupno biletu na stacji w Densford mogło okazać się trudne. Nigdy wcześniej tego nie robiłem. Nie wiedziałem nawet, gdzie leży Liverpool. I mimo całego tego czasu spędzonego w lesie nie odkryłem jeszcze najlepszej drogi na stację. Może powinienem był zapomnieć na razie o tej części planu i skupić się na znalezieniu miejsca, w którym Jaś mógłby się na jakiś czas ukryć. Moglibyśmy założyć w lesie sekretny obóz, o którym wiedzielibyśmy tylko my dwaj.

A gdyby zbudował tam drewnianą komórkę, nową chatkę drwala, ja zaś zaopatrzyłbym go w jedzenie i koce? To rozwiązywało jeszcze inny problem; martwiłem się, że go stracę, kiedy ucieknie, a ten plan umożliwiał mi zorganizowanie mu śmiałej ucieczki i jednocześnie pozostanie z nim. Miałbym jego i mamę tylko dla siebie.

Uśmiechnąłem się, zwracając twarz ku prawie bezchmurnemu niebu. Chciałem, żeby Jaś został tu na dłużej. Mógłbym opiekować się nim jak swoim sekretnym zwierzątkiem i na tę myśl, raczej z podniecenia niż od słońca, do oczu napłynęły mi łzy.

Pomyślałem, że wreszcie wpadłem na dobry pomysł. Mój plan, żeby zdobyć pieniądze na bilet kolejowy, nie bardzo się sprawdzał. Zebrałem kilka szylingów znalezionych w zagraconych szufladach i pod meblami; a któregoś razu wyjąłem kilka z maminej portmonetki. Rozglądałem się po ulicach w poszukiwaniu zgubionych drobnych, ale daremnie; ludzie podnosili swoje pensy, jeśli im upadły, albo zbierali czyjeś, więc nic nie udało mi się znaleźć.

Otrząsnąłem się z zamyślenia, cofnąłem od okna i zaniósłem mapy na dół do salonu.

Wychodząc z domu, żeby pójść do sadu i poszpiegować, jeśli byli tam razem, albo pobawić się z Jasiem, jeżeli był sam, zastanowiłem się, co jeszcze mam do zrobienia.

Pomyślałem, że mogę powoli wybierać jedzenie ze spiżarni i kredensu, aby zgromadzić potajemny zapas puszek zupy, konserw rybnych i warzyw. Nie byłyby to pierwszy raz, kiedy zaniósłbym Jasiowi jedzenie. Chciałem mu udowodnić, że mogę się przydać, i dowieść, że jestem rów-

nie skuteczny jak mama w dostarczaniu mu tego, czego potrzebuje.

Oczywiście pragnąłem pomóc Jasiowi, bo go kochałem i chciałem, żeby był wolny. Ale, hm, nie byłoby źle, gdyby usunął się z drogi i mama znowu więcej myślała o mnie.

Nie pamiętałem, kiedy ostatnio była taka ożywiona – i tak bardzo się starała, żebym przyjemnie spędzał czas. Wciąż wysyłała mnie, bym się pobawił – i nie robiła tego z irytacją, jak kiedyś, ale wesoło, beztrąsko. Stała się pogodna i energiczna – nawet upiekliśmy razem ciasto – i teraz, gdy przepełniała ją taka radość, dobrze żyłoby się nam we dwoje.

Kiedy szedłem do lasu, trzymając się z dala od ścieżki, żeby nie wpaść na mamę, i wypatrując trolla, przyszło mi na myśl, że na razie nie powinienem mówić Jasiowi o swoim planie zbudowania dla niego obozu kryjówki.

Wiedziałem, że wolałby od razu wsiąść do pociągu i pojechać do Liverpoolu, gdziekolwiek to jest. Musiałby stawić czoło szkieletowej załodze, ale był dzielny i silny, więc to by go nie przstraszyło. Nie zrozumiałby, że lepiej dla niego byłoby zamieszkać w lesie – gdzie bym mu pomagał i go odwiedzał. Znowu sobie wyobraziłem, jak byłoby wspaniale, gdyby zbudował sobie nową chatkę drwała, o której wiedziałbym tylko ja. Nie musiał wcale jechać do Liverpoolu. Postanowiłem więc realizować dalej plan doprowadzenia go na stację w Densford, ale potem, gdy znajdziemy się w lesie, pokazać mu zaczątki obozu. Byłem pewny, że kiedy wszystko wyjaśnię, zgodzi się ze mną, że to najlepsze wyjście.

Planowanie tej ucieczki było najfajniejszą zabawą ze wszystkich dotychczasowych i zaczynałem widzieć, że nie musi się ona skończyć. Przed oczami stanęły mi obrazy nas obu w czarodziejskim lesie i nie pozwoliły myśleć o niczym innym. Te marzenia przypominały watek cukrową rozwieszoną na niebie niczym pranie na sznurze i były równie nieuchwytnie.

Rozdział dwudziesty pierwszy

„Księżę, którego kocham... o którym myślę
nieustannie i w którego dłonie chętnie złożę
wszystkie me nadzieje na szczęście”.
– z *Syreny*

„A dlaczego, babciu, masz taki brzydki, wielki pysk?”
– z *Czerwonego Kapturka*

Rodzice Reggiego, Bill i Moira, zorganizowali tak zwaną niedzielę dziadków z matką i ojcem Annabel, którzy z tej okazji przyjechali do Great Yarmouth swoim austinem 7 Ruby. Ona i chłopiec podróżowali pociągiem, w wagonie pełnym poważnie wyglądających mężczyzn i kobiet w najrozmaitszych mundurach.

Jej rodzice chcieli zanocować na miejscu – w pensjonacie, żeby nie narażać rodziców Reggiego na kłopoty. Annabel jednak postanowiła złapać wieczorem pociąg powrotny do Bambury. Powiedziała wszystkim, że woli nie być zbyt długo poza domem, na wypadek gdyby przyszła jakaś wiadomość od Reggiego.

Oczywiście gorąco usprawiedliwiała się przed Hansem, tłumacząc mu, że w żaden sposób nie może się wymówić od udziału w rodzinnym zjeździe. Zdjęła naszyjnik i dała mu, żeby nosił go w kieszeni, dopóki znowu się nie spotkają.

– Popatrz... ofiarowuję ci swoje serce! – oznajmiła, a on się zaśmiał i ucałował srebrny medalion; potem owinął go w skrawek papieru, żeby nie zgubić.

Nie był przeszukiwany na farmie ani w obozie, więc się nie martwił, że ktoś znajdzie u niego tę pamiątkę.

Wszyscy byli już na miejscu; obie pary dziadków, Annabel i chłopiec kończyli lunch w eleganckiej restauracji w mieście. Później zamierzali wybrać się na długi spacer brzegiem morza. Na plaży mieli do nich dołączyć sąsiedzi Pattersonów, ponieważ Daniel przyjaźnił się z ich synem, Harrym, Henrym czy jakoś tak.

Bill zabrał ze sobą torbę z piłką i kijem do krykieta i gdy podano kawę, oświadczył, że wszyscy „chłopcy” sobie pograją, podczas gdy panie będą się opalać na leżakach.

Annabel stłumiła westchnienie, kiedy jej ojciec zepsuł świąteczną atmosferę, narzekając na kiepską jakość kawy.

– Jakby się piło błotnistą wodę – oznajmił i demonstracyjnie, z niesmakiem odstawił filiżankę na stół.

Ponieważ podczas sporu o rachunek zaoferował, że to on zapłaci, miał poczucie – zdaniem Annabel – iż może grymasić, nie będąc nieuprzejmy. Jej rodzicom powodziło się lepiej niż rodzicom Reggiego, więc ojciec często wymyślał powody, żeby Pattersonowie pozwolili mu uregulować rachunek.

– Och, dziś nigdzie nie dostaniesz dobrej kawy, Davidzie, ani z miłości, ani za pieniądze – skwitował Bill.

– Ojej, jest cudownie – odezwała się Moira. Sprawiała wrażenie lekko zawianej od wina.

– Te cholerne szkopy mają za co odpowiedzieć, pozbawili człowieka porządnej kawy! – Ojciec pogroził pięścią w udawanym gniewie; była to dziwna próba pokrycia autentycznego rozdrażnienia.

Pozostali się roześmieli i sytuacja wydawała się rozładowana.

– Ja mam takie same odczucia w związku z pończochami! – włączyła się Moira. – Tak mi brakuje moich nylonów!

Matka Annabel energicznie pokiwała głową.

– Wiem, wiem.

– Już myślałam, żeby zrobić to co te młody dziewczyny... narysować eyelinerem linię na gołych nogach!

– No co ty!

– Jestem na to gotowa!

Znowu się zaśmiali i Annabel mimowolnie się uśmiechnęła. To był całkiem dobry pomysł. Wyobraziła sobie, jak z tyłu wyglądałyby jej nogi, gdyby patrzył na nie Hans.

Parsknęła śmiechem i oczami wyobraźni ujrziała go, jak odkrywa pod jej spódnicą, że te kre-
ski to nie szwy w pończochach, że zostały narysowane na gołej skórze i zetrą się pod wpływem jego ciepłych dłoni i ust.

Niestosowność tej wizji w takim otoczeniu sprawiła, że jeszcze bardziej zachciało jej się śmiać.

– Ojej! – Ojciec Annabel pokręcił głową, ale Bill dalej wtórował paniom.

Annabel próbowała opanować chichot, przykładając dłoń do ust, ale wtedy z kolei dostała czkawki. Niemal zaśmiała się znowu, patrząc, jak jej ojciec usiłuje zachować powagę, żeby nie wyjść przed ojcem Reggiego na pozbawionego poczucia humoru; czuła jednak, że wesołość kobiet go drażni.

Kiedy śmiechy ucichły, Moira westchnęła głośno.

– Och, miło dla odmiany się pośmiać – zauważyła. – Cały czas mam wrażenie, że jestem podenerwowana, martwię się o Reggiego i losy wojny. Nie wiem jak reszcie z was, ale mnie listy, które od niego przychodzą, wydają się coraz bardziej... niepokojące.

Potem pochyliła się nad stołem i powiedziała:

– Ładnie wyglądasz, Annabel, moja droga, aż miło popatrzeć.

Annabel nie widziała się z Pattersonami od wielu miesięcy, od tamtego dnia w maju, kiedy Reggie przyjechał do domu na urlop i doszło do tego okropnego incydentu w restauracji.

Wyobraziła sobie, jak musiała się zmienić. Czuła się szczęśliwsza, bardziej pewna siebie.

Dawniej potrzebowała asekuracji ze strony Reggiego, teraz już nie. Nie mogłaby wprawdzie powiedzieć, że stała się samodzielną, ale potrzebowała wsparcia kogoś innego. Pewnej tajemnicz-
czej osoby.

– Och... dziękuję – odrzekła.

Oczywiście w kółko rozważała możliwość ucieczki z Hansem. Łatwo było ulec romantyzmowi tej wizji; ta radość, że mogliby być razem, wspólnie uciec. Ale gdy tylko dopuszczała do siebie marzenia o życiu z Hansem, pojawiały się inne myśli, tłumiąc tamte fantazje – myśli o stronie organizacyjnej, o konieczności porzucenia chłopca, Reggiego i całej rodziny, o tym, że trzeba by się zastanowić, dokąd się udać i jak, na miłość boską, uniknąć schwymania. Czy

wspólna ucieczka to nie szukanie na siłę kłopotów, z których mieli się wyzwolić? Próbowała odsunąć od siebie te wątpliwości i skupić na tym, co mówiła teściowa.

– Naprawdę – ciągnęła z naciskiem Moira – nie wiem, jak to określić... wyglądasz wręcz kwitnąco.

Annabel zaczęła się zastanawiać, czy pozostali też odnoszą wrażenie, że Moira ma jej to za złe, wydaje się poirytowana, niezadowolona, że synowa nie jest tak przybita jak kiedyś, i sugeruje, że nie martwi się o Reggiego tak jak ona.

– Dziękuję, Moiro. To miłe z twojej strony, że tak mówisz.

Pozostali popatrzyli na nią przez stół, żeby zobaczyć to, co dostrzegła teściowa. Pokiwali głowami i wyrazili podobne zdanie. Annabel czuła, że pali ją twarz. Była skrepowana tym, że nagle znalazła się w centrum uwagi, i miała pretensje do Moiry, że postawiła ją w takiej sytuacji. Towarzyszyło temu coś jeszcze. Coś bardziej niepokojącego.

Myślała, że jestem Bóg wie jak zaradna – uświadomiła sobie. Tak jak Moira, siedząc tu, patrząc na mnie z uznaniem, zaskoczeni: czy nie trzyma się zdumiewająco dobrze mimo nieobecności męża? Nie mogą się nadziwić, że mała Annabel całkiem nieźle daje sobie radę sama.

Kiedyś irytowało ją, że rodzice Reggiego, tak jak i jej, przyjęli, że jest bezradna i słaba. Teraz jednak ze zdziwieniem odkryła, że nie mniej jej przeszkadza, kiedy uchodzi w ich oczach za silną i samodzielna.

Lubiła być kimś, kto wymaga opieki; przyjemnie było unosić się z nurtem życia. Nie podobała jej się konieczność podejmowania decyzji i ponoszenia za nie odpowiedzialności.

– Przyjemnie było znowu zobaczyć się z Moirą i Billem – zauważyła później Elizabeth, kiedy ciepłym wieczorem szli przez miasteczko.

Minęła już ósma, a tonące w zieleni ulice były zalane słońcem. Pożegnali się z Pattersonami i ich sąsiadami na plaży i zmierzali teraz na stację kolejową, żeby odprowadzić ją i chłopca na pociąg, a potem udać się do pensjonatu.

– Lubiłam umawiać się z nimi na herbatę po kościele, kiedy ty i Reggie byliście w okresie narzeczeństwa – dodała.

– Uhm. Szkoda, że musieli się tu przenieść ze względu na pracę Billa.

Ojciec Annabel i chłopiec zostali z tyłu; obejrawszy się, zobaczyła, że idą, trzymając ręce za plecami, chociaż chyba ze sobą nie rozmawiali.

– Moira uznała, że dobrze wyglądasz.

– Tak... Nie wiedziałam, jak zareagować. Poczulałam się zawstydzona.

– To zabawne, Annabel, ale gdy Moira to powiedziała, od razu zrozumiałam, co ma na myśli.

– Och?

Doszedłszy do wejścia na stację, przystanęły i zwróciły się do siebie twarzami; stały przez chwilę, czekając, aż dołączą do nich ojciec Annabel i chłopiec. Więc nie tylko ona wyczuła sugestię kryjącą się w słowach Moiry podczas lunchu.

Elizabeth oparła się o mur i popatrzyła na córkę.

– Wydajesz się jakaś inna.

Annabel poczuła dziwne ściskanie w piersi, jakby na jej serce wlażył jakiś wielki pajak. Nagle zabrakło jej tchu.

– Inna? Dlaczego?

Odwróciła się, szukając wzrokiem ojca i chłopca, ale ci się zatrzymali, żeby przyjrzeć się czemuś na ziemi, i byli jeszcze dość daleko. Nie miała wyboru, musiała spojrzeć matce w oczy.

– Trudno to określić, ale...

Pająk się poruszył; wysunął cienkie odnóża, pokazując paciorkowate oczy i zęby jadowe.

– No?

– Zobacz, co masz na sobie!

– Co takiego?! – Opuściła głowę i spojrzała na swoją różową bluzkę.

– Nie ma za głębokiego dekoltu? Jesteś szacowną mężatką, Annabel, a nie... I to, co powiedziała Moira... rzeczywiście, wręcz kwitniesz. Sprawiasz wrażenie prawie... szczęśliwej.

– Ha! Chcesz, żebym była nieszczęśliwa?

– Przestań. Usiłuję ci wytłumaczyć. Od długiego czasu nie widziałam cię szczęśliwej. Od czasu, kiedy chodziłaś z Reggie, a potem byłaś w ciąży i urodziłaś Daniela. Oczywiście chcę, żebyś była szczęśliwa. Ale...

– Ale co?

– Nie uchodzi, żebyś była taka beztroska. No, powiedziałam to! – Pokręciła głową, jakby wyrzucenie z siebie tej uwagi przyniosło jej ulgę. Jednak ciągnęła: – Twój mąż walczy na froncie, może stracić życie, a ty musisz samodzielnie wychowywać dziecko i jest środek wojny, gdybyś zapomniała.

Ogarnął ją mdlący wstyd – zawsze tuż pod powierzchnią, bliski wypłynięcia – i pająk z satysfakcją potarł odnóża. Kiedy się odezwała, głos jej drżał, a oczy były pełne łez. Przeszła do obrony.

– Nie cieszę się z tego powodu! Staram się tylko zachować pogodę ducha i już! Czy nie tego się ode mnie oczekuje?

Kątem oka zauważyła jakiś ruch; chwilę wcześniej podszedł do nich chłopiec.

Obróciła się ku niemu na pięcie.

– No wiesz!

Uniósł głowę i spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Idź stąd! Nie słyszałeś, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła? Poza tym nieładnie podsłuchiwać!

– Chodź, Danielu. – Dziadek podszedł i ruszył z chłopcem na stację.

– Oczywiście, że powinnaś starać się zachować pogodę ducha, kochanie. Ale to, jak się ostatnio zachowujesz... to co innego. Jakbyś... dobrze się bawiła. A to niewłaściwe.

Annabel czubkami palców musnęła dolne rzęsy, żeby otrzeć łzy.

– Wcale tak nie jest – zdołała wykrztusić.

– Takie odniosłam wrażenie, kiedy widziałam cię w urodziny ojca i rozmawiałam z tobą ostatnio kilka razy przez telefon... Masz obowiązki, Annabel. Masz Daniela. Prawdę mówiąc, on też wydaje się trochę roztargniony... cały czas marzy. Nie zwracałaś na niego uwagi podczas lunchu... a jego maniery przy stole pozostawiały wiele do życzenia. I nie mogę oprzeć się myśli, że jest trochę... zaniedbany. A ty jakbyś tego wszystkiego nie widziała...

– Proszę!

Matka westchnęła.

– Co się dzieje, kochanie? Wiem, że Reggie jest dla ciebie dobry. Ale nigdy nie mówisz, że chciałabyś, aby wrócił. Każdy pomyśli, że odpowiada ci samotne życie.

– Nie! Wcale nie!

– Hm. Dobrze więc. Nie ma powodu psuć sobie humoru. Po prostu zastanów się nad tym. Udawanie, że wszystko jest w porządku, nie ma... nie załatwia sprawy. Rozumiesz?

– Rozumiem.

Matka Annabel, zadowolona, pokiwała głową.

– Dobrze. Nie mówmy o tym więcej.

Gdy weszły na stację, żeby czekać na pociąg, pajak zszedł z jej piersi i bicie serca powoli wróciło do normalnego rytmu. Ale w głowie nadal kłębiły się myśli, kłębiły i kłębiły. Następnego ranka doszła do wniosku, że była głupia, przywiązując taką wagę do słów zbyt uczuciowej matki Reggiego – i swojej własnej. Wystarczyło, że śmiała się z ich żartów podczas lunchu, i od razu jej się za to dostało. Co jest niestosownego w śmiechu? Albo w tym, że się nosi ładną bluzkę? Gwizdać na to!

Spiesząc przez las, postanowiła odsunąć od siebie te nedorzeczne myśli i nie pozwolić, by zepsuły jej nastrój przed spotkaniem z Hansem.

Wbiegła do sadu, zachowując na tyle rozsądku, żeby rozejrzeć się wśród drzew, zanim zawołała go po imieniu.

Kiedy wpadła na niego, niemal go przewracając, uniósł ją w ramionach. Oboje zaczęli się śmiać, próbując się pocałować.

Później wyciągnęli się na trawie przed szopą. Hans leżał na plecach, a Annabel trzymała głowę na jego piersi. Zdążył włożyć spodnie i buty, a ona wygładziła spódnicę i bluzkę.

– Skąd tak dobrze znasz angielski?

Uniosła głowę i w kąciku jego ust dostrzegła uśmiech, wiedziała jednak, że pochlebilo mu to pytanie.

– Przecież wiesz! Studiowałem ten język na uniwersytecie. A wcześniej, jako chłopiec, uczyłem się go w szkole w Mittenwaldzie. Potem... kiedy miałem jakieś trzynaście lat... mój ojciec został szefem dużej firmy obuwniczej i przez następne trzy lata często się przeprowadzaliśmy. Jakiś czas mieszkaliśmy w Anglii, w Liverpoolu, gdzie jego firma miała fabrykę. W Europie, kiedy trzeba było coś kupić albo załatwić, zawsze mówiliśmy po angielsku. Myślałem nawet, żeby zostać nauczycielem angielskiego, dlatego właśnie poszedłem na uniwersytet, ale wybuchła wojna...

– Chodziłeś do szkoły, mieszkając w Liverpoolu?

– Nie, nie! Stale się przenosiliśmy, ojciec dawał mi podręczniki do nauki.

– Nigdy nie byłam na północy.

Hans się poruszył. Po chwili oboje usiedli. Próbował uładzić niesforne włosy wzdłuż przedziałka, a potem wyjął z kieszeni pogniecioną paczkę papierosów. Poczęstował nimi Annabel, ale pokręciła odmownie głową. Był nałogowym palaczem; gwałtownie zaciągnął się dymem i jego papieros chwilę później zamienił się w kolumnienkę popiołu.

– Interesowała mnie też architektura – podjął. – Chciałem projektować piękne budynki. – Zaśmiał się.

Annabel mu zawtórowała. Miała wspaniały dzień.

– Latem pracowałem w firmie obuwniczej u ojca i dużo podróżowałem. Po całej Europie. Uwielbiałem oglądać budynki w różnych miastach.

– Jakie to ekscytujące! – Jednocześnie pomyślała, że to wszystko wydaje się takie proste, kiedy on o tym mówi. Tyle możliwości. Wiedział, czym się chce zajmować, i zwyczajnie do tego dążył.

Uśmiechnęła się do niego.

– A teraz jesteś tutaj. Tak się cieszę!

Nic nie powiedział; dopalając papierosa, odwrócił wzrok. Odkąd go poznała, od słońca pojaśniały mu włosy, a twarz i tors nabrały ciepłej miedzianej barwy.

Jego nastrój wyraźnie się zmienił, więc przestała zadawać pytania. Na małej porębie zapanała dziwna cisza; wszystkie tematy prowadzą do jednego, którego lepiej nie poruszać – pomyślała.

Wstał i zgasił papierosa, przydeptując go ciężkim butem.

– Musimy wyjechać, Annie... Na pewno zdajesz sobie z tego sprawę.

– To nie takie proste, Hans. Daj mi pomyśleć! Wszyscy twierdzą, że niedługo wojna się skończy, może wystarczy tylko poczekać i zobaczyć, jak się...

– Nie, musimy o tym pomówić! To, co robimy, to nie zabawa, nie romans z bajki. Grozi poważnymi konsekwencjami. Dlaczego nie chcesz rozmawiać o ucieczce? Na pewno...

– Och! – wykrzyknęła Annabel, bo na porębę wpadł stary collie i skoczył na Hansa. Ten szybko się pochylił, żeby pogłaskać psa po uszach i bokach, zanim zaczęłby szczekać, domagając się uwagi.

– Szybko! Szybko! To Dawson! Idzie! – syknęła.

I rzeczywiście, odniosła wrażenie, że słyszy dyszenie starszego mężczyzny i jego ciężkie kroki. Rzuciła się do biegu jak zając umykający do nory, licząc, że pan Dawson jej nie usłyszy ani nie zobaczy jaskrawożółtej spódniczki znikającej za drzewami. Kiedy dotarła do leśnej ścieżki, zmusiła się, żeby zwolnić.

Była bezmyślna – powinna była zabrać ze sobą wózek, jak zwykle, wtedy mogłaby po prostu udawać, że właśnie przyszła, aby kupić trochę drewna.

Udało jej się dojść do drogi, nie natykając się na nikogo, ale niebezpieczeństwo było bliskie, musiała przyznać.

Dopiero gdy zbliżyła się do furtki ogrodowej, zauważyła jednego z członków Home Guard. Pan Higgins czekał na nią oparty o drzwi frontowe.

– Och, chodzi o grządkę warzywną? – zapytała, rozpaczliwie usiłując wymyślić jakąś wymówkę.

– Nie, nie. Przyszedłem w innej sprawie, pani Patterson.

Nerwowo przełknęła ślinę. Przecież nie mógł wiedzieć? Czy mógł?

– Gdzie pani była?

Zamknęła za sobą furtkę i spojrzała na niego z drugiego końca ścieżki.

– Słucham? Ach... wybrałam się na spacer.

– Rozumiem. – Popatrzył na nią surowo.

– Chciałam... odetchnąć świeżym powietrzem.

– Długo pani nie było. Zapukałem do was na samym początku, wczesnym popołudniem, a potem odwiedziłem wszystkie domy przy tej ulicy i jeszcze czekałem na panią przez dziesięć minut.

– Ojej, proszę mi wybaczyć. Czy... wejdzie pan do środka?

– Nie, dziękuję. Pozostało mi do odwiedzenia kilka domów.

– Więc w czym mogę pomóc?

– Znała pani Simona Moore'a?

– Męża Evelyn? Tak, spotkałam go kilka razy. Taka straszna wiadomość.

– Był moim kuzynem – wyjaśnił Higgins. – Po kądzieli.

– Ojej, nie miałam pojęcia... Bardzo mi przykro.

– Ale zostawmy to. Od czasu gdy został zabity przez szkopów, ludzie gadają, to naturalne. Wreszcie przejrzeni na oczy.

– Uhm, tak, oczywiście – odparła Annabel, chociaż wciąż nie rozumiała, do czego on zmie-

rza.

– Puszczono w obieg petycję. Żeby narzucić jeńcom wojennym więcej ograniczeń.

– Ograniczeń?

– Właśnie. Wiem, że niektóre litościwe dusze w tej wsi uważają, że ci ludzie się od nas nie różnią, ale nie wolno zapominać, że są naszymi wrogami. To niedorzeczne, że mogą poruszać się samodzielnie i pracować bez nadzoru.

– Och...

– Nie zgadza się pani z tym, pani Patterson? Proszę. – Podeszedł do niej ze swoją podkładką i Annabel zerknęła na listę osób, które do tej pory podpisały petycję.

– Hm, czy ja... sama nie wiem. Są nadzorowani przez swoich pracodawców, prawda? A ten pułkownik?

– On?! Jest tak stary, że ledwie cokolwiek kojarzy. Nawet taka kobieta jak pani poradziłaby sobie lepiej od niego. Proszę tylko tu podpisać. – Wskazał grubym palcem koniec listy.

Annabel się zawahała.

– Hm... wolałabym najpierw to przemyśleć, jeśli wolno?

– Słucham? A co tu przemyśliwać?

– Cóż...

– Uważa pani, pani Patterson, że niemieckich jeńców należy przyjmować z otwartymi ramionami? Chce pani, żeby chodzili sobie wolni jak ptaki?

– Nie, oczywiście, że nie, ale...

– Wygląda na to, że tak. Mówi pani, jakby myślała...

– Nie... wcale nie. Już rozumiem, o co panu chodzi. Ma pan całkowitą rację. Proszę! – Nagryzmoliła swoje nazwisko na liście.

Rozdział dwudziesty drugi

„...wielu już królewiczów próbowało przedrzeć się przez ów żywopłot, ale zawisli na nim i zginęli smutną śmiercią”.
– ze *Śpiącej Królowy*

Oczywiście z powodu poszukiwań kryjówki w lesie i opracowywania planu ucieczki spędzałem z Jasiem mniej czasu. Ale wiedziałem, że zrozumie; sam był bardzo zajęty.

Czasami, gdy chodziłem do sadu i obserwowałem ich potajemnie w drewnianej chatce, słyszałem, że wciąż próbuje przekonać mamę, aby z nim uciekła. Ale ona nadal powtarzała, że potrzebuje więcej czasu na podjęcie decyzji.

Nie powiedziała mu o petycji, tej, którą podpisała; widziałem to przez otwarte okno swojego pokoju. Nie wpuściłem pana Higginsa, kiedy dzwonił do drzwi, bo studiowałem na górze mapy.

Byłem naprawdę dobrym szpiegiem. Zebrałem już mnóstwo informacji.

Gdy jednak usłyszałem, jak Jaś namawia mamę, żeby pomogła w ucieczce, jeszcze bardziej utwierdziłem się w zamiarze, aby pomóc mu w tym samymu.

Ponieważ widywałem się z nim rzadziej, to kiedy już się spotykaliśmy, było jeszcze ciekawiej – zawsze mieliśmy o czym rozmawiać. Opowiadałem mu o swoich planach.

Początkowo niewiele mówił, tylko się uśmiechał i kiwał głową, kiedy tłumaczyłem, jak mogę mu pomóc. Ale gdy zaczął zadawać mi pytania, zorientowałem się, że traktuje mnie całkiem poważnie. Chciał wiedzieć, co ludzie we wsi mówią o jeńcach, co słyszałem o przebiegu wojny w radiu i czy moim zdaniem ucieczka by się powiodła. Byłem więc rad, że to ja powiedziałem mu o petycji, nie mama; nie wspomniałem tylko, że i ona się pod nią podpisała. Wymogłem na nim obietnicę, że nie wyjawia jej, iż wie o tej sprawie. I wtedy chyba zaczął sobie uświadamiać, że mogę przeprowadzić to, co obiecywałem. I że to dla niego najlepsze wyjście.

Któregoś dnia, kiedy siedziałem na ziemi po turecku w pewnej odległości od niego, bo rąbał drewno, poprosił:

– Opowiedz mi wszystko jeszcze raz. Jak dokładnie dostaniemy się na stację w Densford?

– Och, pójdziemy przez las – odpowiedziałem, niedbale machając ręką, gdy na mnie spojrział.

Prawda była taka, że jeszcze nie znalazłem drogi; miałem jednak pewność, że kiedy Jaś będzie ze mną, wszystko się jakoś ułoży. Na pewno znał się na mapie lepiej niż ja. W każdym razie zamierzałem przedstawić mu swój plan, gdy tylko znajdziemy się w lesie: zbuduje kryjówkę, a ja będę go odwiedzał, żeby nie czuł się samotny. Byłem pewny, że na to przystanie.

– A co ze sobą zabierzemy?

Zacząłem wyliczać. Stopniowo gromadziłem potrzebne rzeczy – żywność, mapy, kilka monet, które udało mi się znaleźć – i wkładałem je do starego zakurzonego plecaka, który wyjąłem z szafy pod schodami. Trzymałem go przy łóżku, obok trutki na trolla i noża.

– Z nikim o tym nie rozmawiałeś? Nawet z matką?

– Oczywiście, że nie! To nasza tajemnica.

Westchnął, wbił ostrze siekiery w ziemię i usiadł na pniaku. Przez długi czas nic nie mówił.

– Dobra – powiedział w końcu. – Zgoda, Danielu. Zrobimy to.

Kiedy tylko Jaś się zgodził, żebym to ja go uratował, nagle zaczęło mu być spieszo z ucieczką. Po kilku dniach oznajmił, że jest gotowy i że wyruszymy następnego dnia.

W nocy przed akcją odciągnąłem zasłony i wpuściłem do pokoju blask księżyca. Darowałem sobie wypatrywanie trolla, bo miałem ważniejsze sprawy na głowie. Leżałem w łóżku, patrząc na księżyc, który przeświecał przez gałęzie magnolii.

Rękę miałem opuszczoną po jednej stronie łóżka i dotykałem palcami beżowego płótna oraz skórzanych pasków starego chlebaka taty, teraz wypchanego zwiniętą ze spiżarni żywnością w konserwach oraz zakurzonymi butelkami piwa imbirowego, które kiedyś pijał tata i którego mamie na pewno by nie brakowało. Przesuwałem dłonią po pagórkach i dolinach torby.

Już niedługo.

Ale jeszcze nie; niebo było wciąż ciemne, najczarniejszej barwy, a księżyc tkwił nieruchomo w miejscu. Tylko tykanie zegara przy łóżku upewniało mnie, że czas mija i w końcu nadejdzie świt.

Wymknąłem się z domu, zanim się obudziła.

Pomyśli, że wyszedłem, aby się pobawić, jak zwykle. Kiedy biegłem do sadu, chlebak ciężko obijał mi się o plecy. Był ładny dzień, trochę chłodny, być może ze względu na wczesną porę. Nastał wrzesień, początek jesieni, i to się czuło. Niektóre drzewa zaczęły już tracić liście, spadające na leśne runo.

Znalazłem się na miejscu, zanim pojawił się Jaś. Na wypadek gdyby w drodze do pracy towarzyszył mu farmer Dawson, zatrzymałem się w lesie.

Nie wyszedłem, nawet gdy zobaczyłem, że wkracza na porębę sam, może tylko szybszym krokiem niż zazwyczaj. Patrzyłem, jak wchodzi do szopy i wyłania się z niej z siekierą i małym workiem.

Zawsze lubiłem obserwować go ukradkiem, a tego dnia miałem ostatnią okazję. Czułem się jakby rozdarty w środku, bo walczyły we mnie sprzeczne pragnienia – żeby pomóc mu w ucieczce i zatrzymać go na zawsze.

Wtedy jednak pomyślałem o mamie: że kiedy go nie będzie, zwróci się ku mnie. Pozostanę jej jedynym Pupilkciem.

Było jasne, że Jasiowi się spieszy. Zwykle ścinał jabłonie po jednej, co nie zajmowało mu wiele czasu, bo ich pnie nie były grube, następnie rąbał pień na klocki, a potem na mniejsze polana.

– Wolę ścinać po jednym drzewie – powiedział mi kiedyś – bo tak jest ciekawiej. Kiedy nudzi mi się jedno zajęcie, zabieram się do drugiego. A poza tym lubię kończyć to, co zacząłem. Jedno drzewo porąbane i spokój. Potem mogę zacząć od nowa.

Tego ranka jednak, zaraz po wschodzie słońca, wcześniej niż zwykle – musiał przybiec z obozu – ściął od razu trzy jabłonie. I zostawił je tam, gdzie upadły.

Działał jak w gorączce i moje łagodne, trochę smutne, a trochę radosne myśli o utracie wspańskiego księcia w osobie drwala zamieniły się w coś trudnego do opisanego. Coś, co przypominało strach.

– Pomóż mi – powiedział, kiedy wreszcie się pokazałem.

Byłem trochę zaskoczony. Miałem go uratować i zjawiłem się, żeby umożliwić mu ucieczkę, więc gdzie uśmiech, gdzie serdeczne męskie powitanie?

– W szopie jest sarta drewna z wczorajszego dnia... przenieś je tutaj i złóż obok bloku do rąbania.

Zawahałem się, a potem odstawiłem chlebak na ziemię, w miejscu, gdzie stałem.

– Nie! Zabierz go ze sobą, bo może ktoś nadejść.

Pewnie był po prostu zdenerwowany. Nie chciał na mnie krzyżeć.

Poszedłem do chatki i schowałem chlebak za jakimiś narzędziami rolniczymi. Nie mogłem znaleźć drewna, o którym mówił, ale nie wróciłem, żeby spytać, co miał na myśli. Nie rozumiałem, co robi.

Po co tak ciężko pracował, skoro wiedział, że tego dnia ucieknie? Może, jak mi powiedział, lubił kończyć robotę. Czy naprawdę chciał przed odejściem skończyć wyręb sadu? Nie było na to czasu!

Wtedy jednak zauważyłem, że opróżnił stare skrzynie i napełnił je drewnem na opał, które narąbał.

Pojąłem, o co mu chodzi; dobrze, że nie pytałem.

To był niegłupi pomysł; mimo że wszystko starannie zaplanowałem, tego akurat nie wziąłem pod uwagę. Byłem trochę zaskoczony, że on też główkuje. Nie wiem, dlaczego to mnie zaskoczyło. Wydawało mi się, że nad wszystkim panuję, ale Jaś także nie tracił przytomności umysłu.

Starął się, żeby poręba wyglądała, jakby pracował na niej przez cały dzień. Gdyby ktoś przyszedł i zobaczył, że go nie ma, ujrzałby świadectwo ciężkiej harówki. Drzewa leżały gotowe do porąbania, a obok wznosiła się sarta drewna na opał.

Zwaliłem przyniesione klocki na ziemię, a on wbił siekierę w pniak i przyszedł mi pomóc, dorzucając do sterty całe ich naręcza.

Pod koniec każdego dnia pracy Jaś zwoził taczkami narąbane drewno do magazynu na farmie, żeby nie zawilgotniało. Drewna na porębie było więcej, niż zdążyłby narąbać od rana do wieczora. Musiał je zbierać od jakiegoś czasu.

Zlustrował porębę zmrużonymi oczami.

Wyjął z worka owiniętą w gazetę kanapkę. Nie wiedziałem, co jeszcze tam ma. Kanapka była do połowy zjedzona i widać było na niej ślady ugryzień. Po tym, jak ją trzymał, zorientowałem się, że chleb jest twardy. Musiała być z poprzedniego dnia albo jeszcze starsza.

Położył kanapkę obok pniaka do rąbania, razem z butelką wody. Miałem w chlebaku drugą, bo prosił, żebyśmy przynieśli mu na drogę.

Teraz ja z kolei rozejrzałem się po porębie. Wyglądała tak, jakby zrobił sobie przerwę na lunch albo małą przekąskę i miał zaraz wrócić. Jakby skoczył po coś na farmę albo poszedł do lasu się wysikać.

Ścisnęło mnie w brzuchu, ale wtedy wreszcie spojrzał w moją stronę. Puścił oko, po czym zbliżył się i żartobliwie trzepnął mnie w ucho.

Tylko tego potrzebowałem.

Przeszedł mi strach i znowu byliśmy tylko on i ja; współdziałaliśmy w ramach naszej śmiałej akcji. Starłem się za bardzo nie uśmiechać, bo sprawa była poważna, ale ledwie powstrzymałem chichot.

– Dobrze – powiedział, ostatni raz rzucając wokół okiem. – Idziemy.

I ruszyliśmy w drogę.

Musiałem wyciągać nogi, żeby dotrzymać mu kroku. Może nie biegł – wtedy bym za nim nie nadążył – ale szedł bardzo szybko.

Zastanawiałem się, czy nie pora, abym zdradził mu swój plan z kryjówką. Ale wciąż wypytywał mnie o stację w Densford, sprawdzał, czy zapakowałem mapy, i było jasne, że chce jak najszybciej oddalić się od Bambury.

Czułem się nieco urażony. Tak łatwo było zostawić mnie i mamę?

Ale gdy się nad tym zastanowiłem, przyznałem mu rację. Oczywiście, że musiał zwiększyć dystans między sobą a rychłym pościgiem. Plany zbudowania dla niego nowej sekretnej chatki z drewna nagle wydały mi się głupie, trochę dziecinne.

– Którędy dalej? Tędy? – pytał podczas drogi. – Na stacji będę trzymał się z boku, a ty kupisz mi bilet, żebym nie musiał się do nikogo odzywać.

W pewnej chwili zatrzymał się i myślał przez chwilę.

– Lepiej się przebiorę.

Patrzyłem, jak z chlebaka, który teraz niósł, wyjmuje stare ubranie taty. Zaczął rozpinać uniform jeniecki z wymowną szarą naszywką.

– Nie, chyba jednak z tym poczekam – zmienił zdanie. – Jesteśmy jeszcze blisko Bambury. Możemy natknąć się na kogoś, kto mnie zna. Nie powinienem być ubrany inaczej niż zwykle.

Wcześniej dał mi do niesienia swój worek, w którym miał kilka paczek papierosów i parę butów należących poprzednio, jak powiedział, do jego przyjaciela Erika. Żeby było mi lżej, przełożył buty do chlebaka i zamiast nich dał mi do niesienia ubranie taty. Worek był mniejszy niż chlebak, ale dla mnie mimo wszystko duży. Kiedy biegłem, uderzał mnie po nogach.

W pewnym momencie potknąłem się i upadłem; gałęzie i suche igliwie podrapały mi kolana i dłonie. Z zaskoczenia i nagłego bólu zebrało mi się na płacz. Do ran dostała się ziemia i brud, które starałem się strzepnąć.

Jaś cofnął się o kilka kroków, żeby pomóc mi wstać.

– Wszystko w porządku? Idziemy dalej!

I ruszył przed siebie. Próbowałem go dogonić, ale za bardzo się oddalił. Piekły mnie kolana i chciałem zwolnić. Ręce pulsowały mi boleśnie. Były mocno pokaleczone i w niektórych miejscach nawet obtarte. Mimo że próbowałem je wytrzeć, w ranach wciąż tkwił brud.

– Jasiu! Poczekaj! – zawołałem.

Odwrócił się i przytknął palec do ust. Wyglądał na zniecierpliwionego i trochę złego. Dał mi znak, żebym do niego dołączył.

Więc powlokłem się dalej.

Rozdział dwudziesty trzeci

„Chciałabym wiedzieć, czy zasługujesz na to, żeby
z twojego powodu pędzić na koniec świata”.
– z *Królowej Śniegu*

Annabel obudziła się późno. Było trochę chłodniej niż w poprzednich dniach, więc włożyła kremową sukienkę z długimi rękawami i siatką na dekolcie.

Darowała sobie śniadanie. Nigdy nie zrywała się z łóżka wcześniej rano, ale tego dnia spała dłużej niż zwykle i było już po południu. Poprzedniego wieczoru chłopiec dla odmiany okazał się pożyteczny; kilka razy dolewał jej ginu, przez co trochę się wstawiła. Ale po tym miała tylko lekki ból głowy, który już powoli przechodził.

W normalnych okolicznościach poszłaby do Hansa od razu, żeby spędzić z nim w sadzie jak najwięcej czasu. Tego dnia jednak zamierzała najpierw wstąpić do wsi i kupić mu coś do jedzenia.

Spizarnia i kredensy były puste. Pomyślała, że musi upomnieć chłopca, aby tyle nie jadł. Czy nie wiedział, że brakuje żywności? Pójdzie na zakupy. Może kupi Hansowi owoce – zawsze się śmiali, kiedy przychodziła z jabłkiem w prezencie. Zaczęła się niezobowiązująco zastanawiać, czy ma wszystkie składniki, żeby upiec coś słodkiego. Może właśnie z jabłkami. Albo zwykły placek z kruszonką; z braku mąki i masła można by użyć posłodzonych okruchów chleba.

Gdy tak szła ulicą do wsi, ciesząc się blaskiem słońca, pozwoliła sobie uciec myślami od rzeczywistości i zaczęła fantazjować o pocałunkach oprószonych cukrem i przyprawami. Gdy wyobraziła sobie te wszystkie słodycze, do ust napłynęła jej ślinka.

Rozdział dwudziesty czwarty

„Małgosia rozplakała się, mówiąc: – Jakże się
wydostaniemy z lasu?
Ale Jaś pocieszał ją: – Poczekaj, aż się księżyc ukaże,
a wtedy znajdziemy już drogę”.
– z *Jasia i Małgosi*

– Musimy iść szybciej, rozumiesz? – niemal wysyczał. – To już nie zabawa. Grozi nam niebezpieczeństwo.

Patrzył na mnie twardym wzrokiem.

– Wiem! – sapnąłem.

Miał na twarzy kilka zadrapań. Gdy biegł, musiała go smagnąć po twarzy niska gałąź. Byłem ciekaw, czy ja też mam podobne skaleczenia, czułem jednak tylko pieczenie dłoni i szczypanie kolan.

– Muszę w krzaki – oznajmiłem.

Zacisnął usta w wąską kreskę.

– Byle szybko. A później będziemy musieli wyciągać nogi.

Zagłębiłem się w las. Pragnąłem tylko się zatrzymać i odpocząć. Pogmerałem przy guzikach od spodni i patrzyłem, jak u moich stóp tworzy się kałuża, która potem zamienia się w błotnistą rzeczkę, unosząc kawałki liści i gałązek, w miarę jak oddala się od pnia drzewa.

Ukradkiem łyknąłem wody z butelki, którą zabrałem. Nie powinienem był; woda miała być dla niego, ale... cóż. Nie wypilem całej i mogłem ją uzupełnić po dotarciu nad rzekę. Z tą myślą skropiłem wodą dłonie oraz kolana i krzywiąc się, przemyłem najbrudniejsze skaleczenia.

Nie spieszyłem się, wracając do niego. Uznałem, że mógł odnieść się z większym współczuciem do moich ran. W końcu nie musiałem mu pomagać.

– Idziemy! – rzucił. Jego oczy wydawały się w twarzy dziwnie duże.

– Tędy. – Wskazałem przed siebie. – Ścieżka biegnie tam, za nami, ale lepiej trzymajmy się od niej z daleka. Wiem, w którym kierunku iść.

Ruszyliśmy w dalszą drogę, zanim jeszcze skończyłem mówić, i kiedy za nim biegłem, wiatr świstał mi koło uszu. Zaczęło mnie kłuć w boku, tak że zgąłem się wpół, jakby jakiś sznur ściśnął moje wnętrzności.

Niepotrzebnie napiłem się wody.

– Nie mogę... nie mogę – wydyszałem.

Jaś zawrócił, chwycił mnie pod ramię i przez kilka kroków ciągnął za sobą. Zanim mnie puścił, usłyszałem, jak drze się rękaw mojej koszuli.

– Musimy iść! – Jego głos brzmiał jak warkot. – Pospiesz się! Be z ciebie nie będę wiedział, dokąd się kierować! Wyciągaj nogi!

– Dostałem kolki! – zawołałem.

Ale on jakby nie zrozumiał. Mimo bólu w boku próbowałem biec dalej, bojąc się, że znowu upadnę.

Jaś odgarnął niską gałąź i wiedziałem, co się stanie, zanim jeszcze poczułem. Ale choć spodziewałem się smagnięcia, nie mogłem mu zapobiec.

Gałąź odskoczyła i uderzyła mnie prosto w twarz, chociaż podniosłem ramię, żeby się przed nią zasłonić, i odwróciłem głowę.

– Oj! Oj!

Pojawiła się krew. Dużo krwi. Poczulem ciepło na twarzy, gdy pociekła z mojego nosa, a chwilę później – jej smak w ustach. Metaliczny, ostry smak na języku i w gardle. Prawie się udławiłem.

Oczy zaszyły mi mgłą. Widziałem przez łzy, że Jaś się przeraził. Wymamrotał coś po niemiecku. Wyciągnął ręce ku mojej twarzy.

– Nie! – wrzasnąłem, płacząc i instynktownie osłaniając się rozcapierzonymi palcami obu dłoni. – Nie dotykaj! Boli!

– Och! – jęknął. – Boże, Boże! Twój nos!

– Jest złamany?

– Pokaż!

Nie pozwoliłem jednak, żeby mnie dotknął. Ledwo byłem w stanie znieść ból w miejscu nosa, między oczami, w całej głowie. Przez niego nic nie widziałem.

Wciąż trzymałem przed sobą wyciągnięte ręce.

Wyczułem raczej, niż zobaczyłem, że Jaś mnie obchodzi, żeby spojrzeć na moją twarz z boku.

– Nie jest złamany... Danielu? Nie jest złamany, rozumiesz? Tyle że boli. Przykro mi.

– Jest tylko rozbity? – zapytałem z niedowierzaniem. Ból był nie do wytrzymania. – To przez ciebie!

– Nie chciałem. To przez to drzewo... Zdarzył się wypadek. Biegliśmy tak szybko. Przykro mi. Ale wszystko dobrze, nic takiego się nie stało... Nos nie jest złamany.

Ale nie chciałem już biec. Usiadłem tam, gdzie stałem; suche liście i gałązki na ziemi wbiły mi się w uda, gdy moje spodenki podjechały do góry. Odchyliłem głowę do tyłu, bo słyszałem, że tak się robi, aby powstrzymać krwawienie z nosa. Ale lepiej było pochylić głowę do przodu, nad skrzyżowanymi kolanami, i czekać, aż krew do końca wycieknie na ściółkę i w końcu przestanie płynąć.

Poczulem małą satysfakcję na widok ilości, która spłynęła na ziemię. Niech zobaczy – pomyślałem.

I zobaczył.

Pochylił się nade mną i położył mi na plecach, tuż nad workiem, ciepłą dłoń.

– Przepraszam.

Nic nie odpowiedziałem. Na liście spływała już nie tylko krew, ale także łzy. Próbowałem je powstrzymać. Kto lubi beksy?

– Przepraszam, Danielu – powtórzył. – Tak mi przykro. To musi strasznie boleć. – Poklepał mnie po plecach.

Pociągnąłem nosem i otarłem krew z ust. Popatrzyłem na swoją dłoń z czerwonymi smugami.

Jak to się stało, że wszystko od razu tak źle się potoczyło? Załedwie przed godziną opuściliśmy sad.

Delikatnie pomacałem palcami nos. Każde dotknięcie sprawiało mi ból i powodowało napływ

łez do oczu, ale Jaś miał rację. Najwyraźniej nic wielkiego się z moim nosem nie stało. Nie wyczułem sterczących kości.

Zrzuciłem worek z ramion, żeby przez chwilę odpocząć. Pozbycie się ciężaru od razu przyniosło mi ulgę. Miałem pod nim na koszuli plamę potu – niczym jeńcy wojenni łatę – i powietrze przyjemnie chłodziło mi wilgotne plecy.

Jaś podszedł do drzewa i oparł się o pień. Pociągnąłem nosem i wstałem.

Kiedy się do niego zwróciłem, spojrzał na mnie ciężkim wzrokiem.

– W takim stanie nie możesz mi kupić biletu – powiedział w końcu. – Twoja twarz...

Popatrzyłem na niego urażony. Tylko o tym myślał!

– Przepraszam cię, Danielu – dodał pospiesznie. – Już w porządku? Nie chciałem zrobić ci krzywdy.

Kiwnąłem głową.

– Możesz... iść dalej? – spytał.

– Nie dam rady tak szybko biec – odparłem. – Wszystko mnie boli. – W moim głosie było słycać lekkie drżenie.

– Wiem – powiedział trochę zbyt gorliwie; cieszył się, że nie odmówiłem mu dalszej pomocy.

– Będziemy iść wolniej. Tym razem będziemy iść wolniej, dobrze? Obiecuję.

– Dobrze.

– No to w drogę. – Poklepał mnie po plecach.

Próbowałem się uśmiechnąć.

– Musimy tylko... musimy tylko się pospieszyć. Pewnie jeszcze nikt nie wie, że uciekłem, ale po południu się dowiedzą i zaczną mnie szukać. Rozumiesz?

– Tak. Pobiegniemy, jeśli się da.

– Dobra.

Znowu zachciało mi się płakać, ale wziąłem worek i energicznie ruszyłem przed siebie, mijając Jasia i przechodząc pod gałęzią, która zdzieliła mnie w twarz. On chwilę później podążył moim śladem. Stopniowo przyspieszyłem, ale nie biegłem, bo już nie mogłem. Po prostu szedłem najszybciej, jak potrafiłem.

Musiał się niecierpliwić, lecz już mnie nie popędzał. Parę razy przystawaliśmy, żeby napić się wody. Jeżeli zauważył, że upiłem już trochę z manierki, to nic nie powiedział.

Po jakimś czasie usłyszeliśmy szum rzeki. Byliśmy niedaleko miejsca, w którym troll obserwował kąpiących się chłopców.

Na plecach poczułem zimny powiew. Zadrzałem. Nie chciałem w tym punkcie przekraczać rzeki, więc szedłem dalej. Niebawem dostrzegłem zwalone drzewo, po którym mogliśmy przejść na drugą stronę jak po moście, nie mocząc ubrań.

Znalazszy się na drugim brzegu, zeszliśmy nad wodę i uzupełniliśmy jej zapas. Sprawiała wrażenie dość czystej, ale to nie było to samo co woda z kranu, więc pomyślałem, że nie będę jej pił.

Zacząłem myśleć o rozstaniu z Jasiem. Czułem coraz większą ulgę, że nie wspomniałem mu o swoich planach zbudowania kryjówki w lesie. Cieszyłem się, że zostawię go na stacji kolejowej; miałem już dosyć.

Wydawało mi się, że idziemy godzinami; popołudnie ciągnęło się niemiłosiernie. Byliśmy już głęboko w lesie i padałem z nóg. Nie pomyślałem o zabraniu jedzenia także dla siebie, a nie chciałem prosić, żebyśmy zatrzymali się na przekąskę. Czułem się ociężały i szedłem z wielkim wysiłkiem, Jaś jednak najwyraźniej nie zamierzał zwolnić.

Pot na mojej twarzy mieszał się z zaschniętą krwią i piekł mnie w oczy.

Jaś na zmianę rzucał męskie „dasz radę”, życziwe „no chodź” albo ostre „szybciej, szybciej”, nie kryjąc zniecierpliwienia, że ma mnie na karku. Nie czułem się przy nim jak książęcy brat, raczej jak smarkacz będący kulą u nogi. Mimo że to ja powinienem dowodzić.

– Daleko jeszcze do stacji? – zapytał.

– Eee... – Rozejrzałem się i dotarło do mnie, że kompletnie nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy.

– Już niedaleko.

Zejscie ze ścieżki było straszliwym błędem, ale bałem się przyznać, że zabłądziliśmy. Nigdy wcześniej nie zapuściłem się w las tak głęboko – po co miałbym to robić? Wydawało mi się, że krążymy w kółko; wszystko wyglądało tak samo. Miałem nadzieję, że trafimy znowu na ścieżkę albo przecinkę i będę mógł udawać, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Problem polegał na tym, że odkąd wpadłem na głupi pomysł z budową kryjówki w lesie, nie zastanawiałem się, jak się z niego wydostać.

Pełen obaw, że Jaś w końcu zorientuje się w sytuacji, trzymałem buzię na kłódkę i przestałem nawet się domagać przerw na odpoczynek lub sikanie. Nie miałem pojęcia, czy jesteśmy w okolicach Densford, czy nie, i zacząłem się niepokoić, że w końcu Jaś zażąda map; na pewno się na nich znał i szybko by odkrył, że błądzę. A wtedy by się wściekł. Nie, najlepsze, co mogłem zrobić, to udawać pewność siebie i liczyć, że jakimś cudem w końcu dojdziemy, gdzie trzeba.

Żeby znaleźć wyjście z sytuacji, desperacko usiłowałem przywołać w pamięci wszystkie bajki, jakie znałem. Dzieci zawsze gubiły się w lesie. Jaś i Małgosia zostawiali ślad z okruszków chleba – ale po to, żeby trafić z powrotem tam, skąd przyszli.

Wtedy sobie przypomniałem.

Największa historia ze wszystkich.

Trzej mędrcy znaleźli małego Jezusa, podążając za gwiazdą, a taką gwiazdą było słońce. Dopóki więc mieliśmy je przed sobą, przynajmniej szliśmy prosto, a idąc prosto przez jakiś czas, musieliśmy w końcu gdzieś trafić. Jaś nie miał o tym pojęcia, ale odtąd po prostu zmierzaliśmy w stronę słońca.

Tak wyglądał mój nowy plan i realizowaliśmy go przez dobrą część popołudnia.

Zacząłem żałować, że zdecydowałem się pomóc Jasiowi. Pomyśleć, że tak się tym ekscytowałem jeszcze poprzedniej nocy! Z podniecenia nie mogłem spać, patrzyłem, jak za oknem księżyc sunie powoli po niebie, oświetlając mnie swoim blaskiem zza magnolii.

Nagle żółądek podszedł mi do gardła; pomyślałem: chwileczkę, nie, wszystko źle! Bo... bo skoro księżyc przesuwają się po niebie, to słońce także, prawda? Podążaliśmy za ruchomym celem. Tak naprawdę zataczaliśmy koło!

Rozpaczliwie usiłowałem wymyślić jakieś rozwiązanie. Jaś już naprawdę się niecierpliwił, wciąż mnie pytał, gdzie jesteśmy i kiedy wyjdziemy z lasu.

W końcu musiał nabrać podejrzeń, że wcale nie wiem tyle, ile można by sądzić. Bo ja przecież tylko udawałem. Od samego początku. Na tym polegała cała zabawa. Od dnia, w którym się poznaliśmy. To była tylko gra.

Poczułem złość. Jaki dorosły mógł uwierzyć małemu chłopcu?

Odpowiedź przyszła mi do głowy w tej samej chwili, w której pojawiło się pytanie: zdesperowany.

Ale dlaczego? Dlaczego tak rozpaczliwie pragnął uciec? W Bambury dobrze mu się żyło – pracował sobie w słońcu i miał za przyjaciół mamę i mnie.

Wtedy z naprzeciwka doleciał szum wody, więc pobiegłem przed siebie.

– A tak! – wykrzyknąłem przez ramię. – Rzeka zatacza dużą pętlę, więc wszystko... wszystko się zgadza! Jesteśmy już prawie na miejscu!

Prawdę mówiąc, starałem się jak najbardziej od niego oddalić, w razie gdybyśmy przypadkiem znaleźli się nad rzeką tam gdzie poprzednio, w miejscu, w którym przeszliśmy na drugi brzeg po zwalonym drzewie. Wtedy zabawa naprawdę by się skończyła. Jaś rozpoznałby okolicę i zorientował się, że cały czas prowadzę go donikąd.

Biegłem na wprost, przedzierając się przez las, żeby dotrzeć nad rzekę przed nim.

– Zostań z tyłu! – zawołałem. – Sprawdź, czy droga wolna!

On jednak nie odpowiadał; musiał być zaskoczony, że tak nagle wyrwałem do przodu.

Nie zatrzymał się jednak; także puścił się biegiem. Pędził za mną. Nie wiedziałem dlaczego; przecież go ostrzegłem, że może mu grozić niebezpieczeństwo. Dlaczego mnie nie słuchał? Dlaczego nie został z tyłu? Może pomyślał, że chcę uciec. I zostawić go na pastwę losu.

Właściwie nawet już myślałem, aby mu powiedzieć, że chcę wrócić do domu i że będzie musiał sam dostać się na stację w Densford. Przyszło mi to do głowy, kiedy przestało być zabawnie: gdy się pokaleczyłem, a on zaczął krzyczeć, i dotarło do mnie, że to ja jestem przewodnikiem – przewodnikiem, który nie zna drogi.

– Wszystko w porządku! – wykrzyknąłem. – Tylko sprawdzę, czy nad rzeką jest bezpiecznie!

Biegłem dalej, ale on wciąż podążał za mną i już mnie doganiał.

– Zostań! – zawołałem ponownie przez ramię i w mgnieniu oka, zerkając za siebie, zobaczyłem, co się dzieje.

Oczywiście trwało to zaledwie sekundę albo dwie i było po wszystkim. Ja biegłem, on biegł i dostrzegłem to tylko kątem oka, gdy odwracałem głowę. Wydarzyło się to tak szybko. Ale czas nagle zwolnił, sekundy zamieniły się w całe minuty. Zarejestrowałem każdy straszny szczegół.

Można było odnieść wrażenie, że Jaś wykonuje dziwny taniec.

Wyrzucił ręce w górę, wytrzeszczył oczy i ze zdumienia otworzył usta.

Na chwilę zawisł nad ziemią. Potem jakby ugięły się pod nim kolana, a ręce zatoczyły łuki; wydawało się, że próbują uchwycić się samego powietrza. Ale kolana wcale się nie ugięły – to stopy znikwały. W dole, coraz niżej.

Przeleciały przez ściółkę leśną, która wściekle wciągnęła go całego. Jego ciało przepadło pod ziemią i ostatnie, co widziałem, to te machające ręce z rozcapierzonymi palcami.

Rozdział dwudziesty piąty

„Dobra siostrzyczka postanowiła niezwłocznie
odszukać braci i kiedy król zostawił ją samą,
opuściła zamek i poszła przez las prosto przed siebie”.
– z *O sześciu łabędziach*

Gdy Annabel szła, wiklinowy koszyk, przewieszony w zgięciu łokcia, lekko uderzał ją w biodro. W powietrzu latały motyle i niósł się śpiew ptaków. To było piękne lato. Czuła przyjemny ból mięśni.

Wstąpiła do warzywniaka i starannie wybrała każde z sześciu jabłek Granny Smith, które włożyła do koszyka. Jej uwagę przykuły jeżyny w prostych drewnianych misach i wzięła ich łubiankę.

Z uśmiechem patrzyła, jak sklepikarz Sid Mitchell wkłada trzy jabłka do brązowej papierowej torby, ujmuje ją za górne rogi i wprawnie okręca kilka razy, żeby się nie otworzyła.

To samo zrobił z pozostałymi trzema jabłkami i gdy już miała wyjąć portmonetkę z koszyka, zagadnął:

– Okropna wiadomość.

Zerknęła przez ramię, ale w sklepie nie było nikogo oprócz niej.

– Słucham?

– Powiedziałem „okropna wiadomość”. Prawda? O tym szkopie, który zaginął.

Ukłucie strachu, ale na razie tylko ukłucie.

– Ktoś zaginął? Jeniec?

– Och, nie słyszała pani? – Podał jej drugą torbę z jabłkami. – Tak, tak, cała wieś o tym mówi.

– Który jeniec?

– Wszyscy teraz drania szukają. Przepraszam za słowo.

– Ale co się stało?

– Jeden z jeńców się urwał. Zn iknął.

– Zniknął?

– Bez śladu.

Zaskoczona umilkła i zdała sobie sprawę, że stoi z jabłkami w dłoni, gapiąc się na sklepikarza.

Wrzuciła torbę do koszyka i znowu sięgnęła po portmonetkę, żeby stamtąd wyjść, odnaleźć Hansa i porozmawiać z nim.

Kiedy podawała monety, drżała jej dłoń. Pan Mitchell musiał to zauważyć, bo powiedział:

– Nie ma się czym przejmować, moja droga. Już dawno go tu nie ma.

– No tak, pewnie ma pan rację...

Zdaniem pana Mitchella jeniec albo zbiegł, albo ktoś go załatwił.

Kasa brzęknęła, kiedy sklepikarz zamasyście zamknął szufladę na pieniądze, wciąż trzymając w dłoni resztę.

– Przykra sprawa.

– Rzeczywiście.

– To był ten facet, który pracował u Dawsona przy wyrębie sadu.

Annabel poczuła się, jakby dostała cios w brzuch; nagle zebrało jej się na mdłości. Pospiesznie wyszła ze sklepu i była już pod pasiastą markizą na dworze, kiedy zatrzymała ją czyjaś ręka.

Odwróciła się z okrzykiem przest్రachu.

– Zapomniała pani jeżyn... i reszty, pani Patterson! Przydadzą się pani! Trzeba oszczędzać każdego pensa, jak to mówią.

– Ojej, tak. Dziękuję panu.

Wrzuciła wszystko do koszyka i próbowała mu się wyrwać. Ale on jeszcze nie skończył.

– Proszę posłuchać, nie warto się przejmować. Przykro mi, że dowiedziała się pani ode mnie! Tego szkopa już dawno tu nie ma albo zostanie schwytyany przez Home Guard i wsadzony do więzienia, prawdziwego więzienia, więc nie musi pani się bać.

– Uhm. – Jej głos brzmiał prawie jak szept. – Dziękuję panu, ja...

– Wiadomość rozniosła się jakiś czas temu, więc może już go mają. Ray Dawson poszedł z nim pogadać, ale go nie zastał, czekał i czekał... on zawsze daje każdemu szansę... lecz daremnie. Więc poleciał do obozu, żeby zobaczyć, czy nie ma tam chłopaka albo czy pułkownik czegoś o tym nie wie, i wtedy wszczęli alarm. Jak powiedziałem, być może gdy my tu rozmawiamy, oni już go znaleźli!

Strząsnęła rękę, którą ścisnął jej ramię jak w imadle.

– Dziękuję panu – powtórzyła i odsunęła się od niego.

Odwróciła się i ruszyła High Street; najchętniej by pobiegła, ale zdołała nad sobą zapanować, zanim skręciła za róg.

Wtedy pędem ruszyła w stronę sadu. Włosy powiewały za nią, gdy biegła, a białe sandały plaskały o płyty chodnikowe. Żałowała, że nie może rzucić koszyka na ziemię, ale gdyby został przez kogoś znaleziony, wyglądałoby to podejrzanie, więc przyciskała go do siebie, wstrzymując łzy.

Mówił o ucieczce, ale żeby mogli być razem, bo przecież by jej nie zostawił. Może zamierzał w jakiś sposób się z nią skontaktować. Może coś się zdarzyło, coś niespodziewanego, i szukał jej albo gdzieś na nią czekał. Nie wiedział, gdzie ona mieszka; ani razu nie wyszli z sadu, nie znał Bambury oprócz drogi z obozu jenieckiego do sadu i na farmę Dawsona.

O Boże, a jeżeli wcale nie uciekł, tylko coś mu się stało? Ci sami ludzie, którzy pobili Erika tak brutalnie, że zmarł, mogli napaść i jego, gdy pracował. Wszyscy wiedzieli, że jest w sadzie sam.

Nie, na pewno nie – musiało być inne wyjaśnienie.

Z całą pewnością był w sadzie jakiś trop, którego nikt oprócz niej nie potrafi zinterpretować. Może list do niej ukryty w szopie. Więc najpierw do sadu, potem się zastanowi, co powinna zrobić.

Gdy wiejski trakt przeszedł w jej ulicę z domami po obu stronach, Annabel musiała zwolnić. Szła najprędzej, jak się dało, po drodze wrzuciła koszyk do ogrodu i pospieszyła dalej.

Kiedy tylko zniknęła z pola widzenia mieszkańców ostatniego domu przy ulicy, puściła się biegiem.

Rozdział dwudziesty szósty

„Krzyczał i płakał biedny chłopiec,
ale nic mu to nie pomogło”.
– z *Jasia i Małgosi*

Jaś został pochłonięty przez las w szeregu dziwnych zdarzeń stanowiących jeden dramatyczny moment. W pierwszej sekundzie jeszcze tam był, biegł za mną po stałym gruncie – a w drugiej zniknął.

Bezradnie wzniesione ramiona, uginające się kolana, osuwające się stopy, a za nimi reszta ciała, rozcapierzone palce, próbujące chwycić powietrze w daremnej próbie ratunku.

I wszystko to wydarzyło się w całkowitej ciszy. Odniosłem wrażenie, że hałas dał się słyszeć chwilę później.

Łoskot, odgłos rozrywania i okrzyk przerażenia, kiedy Jaś leciał w dół. A potem, gdy spadł na dno. I wreszcie wrzask bólu, kiedy został czymś przywalony.

Biegłem przez ten sam odcinek lasu – Jaś, próbując mnie dogonić, praktycznie podążał po moich śladach.

Chciałem popędzić i spojrzeć w ziejącą dziurę, tam, gdzie właśnie otworzyła się ziemia. Ale się bałem. Bałem się, że las zje również mnie.

Słyszałem jęki Jasia. Wołał moje imię.

Nie wiem, jak długo zajęło mi podejście do tej jamy. Nie była duża. Może za mało ważyłem, żeby się pode mną otworzyła, a może po prostu ominąłem niebezpieczny teren.

Zauważyłem świeżo pęknięte kawałki zbutwiałego drewna, skierowane ostrymi zębiskami w głąb ciemnego dołu, w którym uwiązł Jaś.

To był szyb starej kopalni. Słyszałem o niej pogłoski – i o sieci podziemnych tuneli – ale nigdy nie zwracałem na nie wielkiej uwagi, bo też nigdy wcześniej nie zapuszczałem się tak daleko w las.

Pochyliłem się ostrożnie.

Jama była tak ciemna i głęboka, że nie widziałem go dobrze. Raczej się domyślałem, gdzie jest – cień jasnej twarzy na dnie czarnej dziury. Czuję wilgotną ziemistą woń spróchniałego drewna i ohydne stęchłe, jakby lepkie powietrze, wydobywające się z dołu pierwszy raz po długim czasie.

Wciąż mnie wzywał.

– Jasiu? – szepnąłem.

– *Ah, mein Gott!*

Tak zaschło mi w ustach, że nie mogłem przełknąć śliny.

– Moje nogi! Moje nogi! Nie mogę się ruszać!

Z dołu dobiegł kolejny trzask i okrzyk Jasia. Z walącej się konstrukcji musiała odpaść obluzowana deska bądź to on, gdy z bólu wpadł w bezsilną wściekłość, chwycił się kawałka drewna

i albo je rzucił, albo uderzył nim o ścianę szybu.

Wydało mi się, że usłyszałem także nie plusk, ale raczej chlupot. Może nie wpadł do wody, lecz z całą pewnością nie spoczywał na suchej ziemi.

Pospiesznie odsunąłem się od tej strasznej jamy.

Serce waliło mi tak mocno, że aż czułem ból w piersi, mój oddech stał się urywany i drżący.

Próbowałem się zastanowić. Leciał w dół dość długo. Spadł może na głębokość sześciu metrów. Wyobraziłem sobie, jak pod jego skórą niczym suche gałęzie pękają kości. Wyobraziłem sobie krew. Zacisnąłem powieki i odwróciłem głowę od szczeliny w ziemi, przypominającej ciętą ranę w poszyciu lasu.

Myśleć. Myśleć.

Z mdłym strachem uświadomiłem sobie, że ta jama mogła być pułapką. Zastawioną na nas. Ale nie. Nie, niemożliwe. To był zwykły wypadek. Dół stanowił część starej zapadającej się kopalni.

Musiałem spróbować jakoś Jasia wydostać. Ale jak?

Nie mogłem zwrócić się do nikogo o pomoc. Czy jednak mogłem? Gdybym powiedział o tym zdarzeniu mamie, musiałbym także ujawnić, że pomagałem Jasiowi od niej odejść. Nie wybaczyłyby mi tego. A poza tym tak samo jak ja nie potrafiłaby Jasiowi pomóc i go wydobyć.

Żeby wyciągnąć go z jamy, potrzeba było liny i silnych mężczyzn, może nawet jakichś urzędników. Mógłbym im powiedzieć, ludziom, których bym sprowadził, że natknąłem się na niego przypadkiem, słysząc w lesie krzyki. Ale byliśmy daleko od Bambury; czy uwierzyliby, że bawiłem się tu sam? I wystarczyło tylko na mnie spojrzeć – wyglądałem jak nieszczęście, cały ubrudzony krwią. Domyśliliby się, że mu pomagałem. Uznaliby go za niemieckiego zbiega. A mnie za przestępcę.

Zacisnąłem ponownie powieki, ale i tak wypłynęły spod nich palące łzy.

A nawet gdybym dotarł na farmę pana Dawsona albo do wsi, żeby powiedzieć pierwszej napotkanej osobie o „odkrytym” przeze mnie w leśnej jamie jeńcu niemieckim, i uwierzono by w moją historię... to co dalej?

Owszem, może znaleziono by sposób, żeby wyciągnąć go z szybu, ale co potem? Miałyby jeszcze większe kłopoty niż do tej pory. Byłby jeńcem wojennym, który próbował zbiec. Ukaraliby go, zabrali stąd.

Przyszła mi do głowy kolejna myśl. Gdybym nawet znalazł kogoś, kto zdołałby wyciągnąć Jasia z jamy i zabrać go do szpitala... to on ze złości i z bólu mógłby mnie wydać. Powiedzieć, że to wszystko moja wina. A wtedy mama i tak dowiedziałyby się prawdy.

Tymczasem Jaś znowu zaczął mnie wołać.

– Jesteś tam jeszcze?!

Otworzyłem oczy i spojrzałem w stronę dołu. Wciąż tam był, w tych ustach w ziemi.

– Danielu?! Jesteś tam?!

W jego głosie brzmiał dodatkowo strach. Nie tylko ból i złość.

To mnie zastanowiło. Chyba myślał, że ucieknę. Nie wiedział, że wciąż tu jestem, pod najbliższym drzewem. Płaczący jak dziecko, z ciekącymi glutami. Otarłem ręką smarki; wciąż miałem obolały nos.

Znowu wołał po niemiecku.

Moje serce zwolniło do tępego głuchego dudnienia odmierzającego upływ sekund.

Myśl!

Łup.

Myśl!

Łup.

Zdjąłem worek z pleców i najciszej, jak mogłem, podkradłem się do jamy; nie chciałem, żeby zaszeleścił nawet listek. Zajrzałem do dołu, ale tak, żeby Jaś mnie nie zobaczył.

– Wiem, że tam jesteś!

Ani drgnąłem.

– Danielu!

Znowu dobiegł mnie łoskot.

– Danielu?! Danielu, cierpię! Danielu!

Cicho, ostrożnie odsunąłem się od jamy. Wpadłszy na drzewo, powoli wstałem i oparłem się o pień; przez cały czas nie odrywałem wzroku od szczeliny w ziemi.

– Jesteś tam?!

Kolejny trzask. A później wściekły ryk:

– Danielu!

Cofnąłem się chwiejnym krokiem, jak troll, i potykając się, zacząłem biec.

Mglisto zdawałem sobie sprawę, że mogę wpaść do innego szybu, i cieszyłem się, że zostałem worek, bo dzięki temu byłem lżejszy, ale mój lęk o Jasia i o to co dalej tak mnie przytłaczał, że zlekceważyłem tamto zagrożenie.

Nagle olśniło mnie, że przecież mogę wrócić tu jeszcze przed wieczorem, z jedzeniem, lekami i wodą; a do tego czasu wymyślę, co zrobić. Jaś zdąży się uspokoić; pomoże mi zdecydować, jakie środki najlepiej przedsięwziąć.

Gdy tak biegłem, po policzkach pociekły mi łzy. Zaglądając ostatnim razem do dołu, prawie nie dostrzegłem twarzy Jasia. Ale to było bez znaczenia, bo i tak ją widziałem. Moja wyobraźnia przezwyciężyła ciemność i stworzyła obraz – i nie miałem wątpliwości, że jest prawdziwy.

Jaś leżał na plecach, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami, oszołomiony bólem i strachem, i błagał o pomoc.

Ja jednak wciąż biegłem przed siebie, sam także pochlipując z bólu i ze strachu. Wtedy ogarnął mnie wstyd. Usiłowałem go zagłuszyć, bardziej niż echo krzyków Jasia, które cichły stopniowo, w miarę jak się od niego oddalałem, aż wreszcie umilkły, wchłonięte przez las. Potężne drzewa pochylały się, żeby ukryć jamę, a ich liście stłumiły dźwięki wydawane przez uwięzionego w niej człowieka.

Szlochałem teraz i przez to biegło mi się trudniej, ale nie ustawałem, starając się odtworzyć naszą trasę. Zawodziłem, dławiałem się i smarkałem.

Serce znowu biło mi szybciej, mówiąc, co mam robić: bieg-nij, bieg-nij, bieg-nij.

Więc go posłuchałem. Biegłem i biegłem, i biegłem.

Rozdział dwudziesty siódmy

„Uczynię wszystko, żeby go zdobyć”.
– z *Syreny*

„Chciałam przecież szukać Kaja.
Czy wiecie, gdzie on jest? –
spytała róż”.
– z *Królowej Śniegu*

Annabel pędziła w stronę lasu. Już niedaleko – pomyślała. W sadzie znajdzie się jakieś racjonalne wytłumaczenie. Może nawet będzie tam Hans. To pewnie pomyłka – i uciekł jakiś inny jeniec wojenny. Albo jeśli nawet chodzi o niego, to nastąpiło nieporozumienie: został gdzieś wysłany przez starego pułkownika, który o tym zapomniał, gdy rozmawiał z Dawsonem.

Kiedy tak biegła, odtworzyła w głowie słowa sklepikarza, dopatrując się w nich treści, które mogły odnosić się do Hansa, i takich, które nie mogły.

Wreszcie zobaczyła ścianę lasu; dwa drewniane paliki wytyczały prześwit w zaroślach i wyznaczały początek bitej ścieżki prowadzącej między drzewa.

Była już blisko niej, kiedy z lasu wyszła grupa mężczyzn.

– Och! – Zatrzymała się niepewnie.

Byli to członkowie Home Guard, dziewięciu ludzi pod przewodnictwem Higginsa, który dzierżył długą drewnianą pałkę. Po chwili zauważyła, że pozostali też są uzbrojeni, chociaż żaden nie ma pistoletu. Jeden trzymał grabie, co wyglądało śmiesznie. Rozpoznała Dawsona, tego zbira Jimmy’ego Docketta, a także tamtego miłego okularnika, który o mało nie stracił lustra ze ściany w jej przedpokoju.

Kiedy sobie uświadomiła, że szukają Hansa, ścisnęło ją w żołądku. A może było już za późno i zdążyli go schwytać?

Higgins wystąpił do przodu.

– Dokąd pani tak biegnie?

– Ja...

Zerknęła w stronę lasu. Co miała powiedzieć? I jak się zorientować, co wiedzą o Hansie? Co się z nim stało?

– Ja... – zaczęła znowu, podnosząc dłoń do piersi na znak, że zabrakło jej tchu i potrzebuje chwili.

Niektórzy z członków obrony terytorialnej zaczęli przestępować z nogi na nogę – niecierpliwili się, żeby iść dalej. Ale Higgins stał spokojnie na rozstawionych nogach naprzeciwko niej. Czekał na odpowiedź.

– Chodzi o... Daniela – wykrztusiła wreszcie.

– Pani syna?

– Tak... szukam go. Nigdzie go nie ma. – Spojrzała na Higginsa, żeby sprawdzić, czy jej uwierzył. I postanowiła zaryzykować pytanie. – A co się stało? To znaczy co tu panowie robią?

– Nie słyszała pani? Zbiegł jeden z jeńców. – Patrzył na nią twardym wzrokiem. – Nie powinna tu pani przebywać... jest niebezpiecznie.

Więc na razie go nie znaleźli? Gdzie był?

– O mój Boże! Ale... Daniel... Lubi bawić się niedaleko stąd, pewnie tam go znajdę.

– Nie może pani iść dalej, pani Patterson.

Odezwał się farmer Dawson:

– Zbiegły jeniec to ten, który pracował w moim sadzie. – Sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– A to tuż pod lasem – zauważył Higgins. – Jak powiedziałem, tam jest niebezpiecznie.

– Ależ... tym bardziej muszę jak najszybciej znaleźć Daniela!

– Będziemy wypatrywać pani dzieciaka. Ale to nie miejsce dla kobiet. Niech pani wraca do domu. Pewnie mały znajdzie się w porze kolacji.

Popatrzyła na Dawsona i pozostałych, żeby się przekonać, czy któryś ją poprze. Wszyscy jednak stali za Higginsem jak jego prywatna armia.

– Proszę wracać do domu – powtórzył.

Ale wahała się jeszcze – zastanawiała się, czy jest na tyle silna, żeby się im sprzeciwić.

Wtedy jednak z głębi lasu dobiegł krzyk. Ona i mężczyźni odwrócili się w tamtą stronę. Kątem oka zauważyła, że dwóch z nich ujęło swoją broń, jakby przygotowując się do walki. Ktoś zbliżał się biegiem – słychać było nieomylny tupot stóp bębniących o ziemię.

Annabel cofnęła się o parę kroków – i nie tylko ona.

Hans?

Stali zwrócenii w kierunku lasu; na razie nikt się z niego nie wyłonił, chociaż bębnienie stóp stawało się coraz głośniejsze.

Próbowała przełknąć ślinę, ale ze strachu miała ściśnięte gardło.

Hans?

Jednak przy dźwięku tryskających spod nóg kamyków, z urywanym krzykiem, machając rękami, z lasu wypadło zakrwawione, podrapane dziecko.

Początkowo jakby ich nie zauważyło, ale po chwili, z kolejnym krzykiem, zatrzymało się kilka metrów przed nimi.

Było prawie nie do rozpoznania, ale z niedowierzaniem dostrzegła w tym dziecku chłopca i wreszcie Daniela.

Rozdział dwudziesty ósmy

„A później chwycił obiema rękami swoją lewą stopę i przedarł się na pół”.
– z *Rumpelsztyka*

Zobaczyli mnie, zanim ja ich zobaczyłem.

Stali w grupie, patrząc na mnie, kiedy wypadłem z lasu. Niektórzy trzymali pałki, a jeden coś, co wyglądało jak narzędzie tortur: szpiczastą dzidę z metalowym zębem, która wznosiła się nade mną.

Wszyscy byli lekko skuleni jak gotowe do ataku zwierzęta.

Oni wiedzą – pomyślałem. Szukają nas.

Wciągnąłem powietrze i odwróciłem się, żeby dać nogę.

– Dobry Boże! – zawołał któryś z nich.

Obejrzałem się ze strachem i zobaczyłem, że to farmer Dawson.

Inny mężczyzna, stojący bliżej, chwycił mnie, gdy próbowałem uciec, i przytrzymał mocniej, bo z przerażenia wrzasnąłem i zacząłem się szarpać.

– W porządku, synu, w porządku! – zawołał. – Nic ci nie zrobimy! – Potrząsnął mną delikatnie i zmusił, żebym spojrzał mu w twarz. – Nikt cię nie skrzywdzi!

Przestałem się rzucać, ale wciąż nie mogłem opanować płaczu i zacząłem się trząść.

– Jezu! – Popatrzył na pozostałych, którzy z wrażenia zamilkli.

Wtedy odezwała się kobieta.

– ...Daniel?

Zatkało mnie ze zdumienia; rozejrzałem się, szukając tego głosu wśród mężczyzn. Ci rozstąpili się przede mną jak morze i wreszcie ją zobaczyłem. Miała na sobie ładną kremową sukienkę, w której wyglądała jak anioł. Akurat gdy najbardziej jej potrzebowałem.

Patrzyłem na nią. Czułem na ramieniu żelazny uścisk, który się rozluźnił, gdy mama i ja spojrzeliśmy na siebie z naprzeciwka.

– To ty? – zapytała.

Chciałem do niej podbiec, wtulić twarz w jej chłodną, czystą spódnicę, poczuć palce we włosach. „Już dobrze – pragnąłem usłyszeć z jej ust. – Jestem przy tobie, jestem, mój Pupilku”.

Wciąż nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Zresztą co miałbym powiedzieć?

– To pani syn? – zapytał mężczyzna, który już tylko trzymał lekko dłonie na moich ramionach. W końcu mnie puścił. – Co ci się stało, na Boga? Kto ci to zrobił?

Zobaczyłem siebie ich oczami. Byłem w podartym i brudnym ubraniu, oczy miałem zapuchnięte od płaczu, nos rozbity, włosy potargane i wilgotne od potu, no i wszędzie ślady krwi. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że mam ją na rękach i na koszuli; zaschnięta tworzyła ciemne plamy.

– Nnnikt, proszę pana. – Szczękały mi zęby.

Zapadła cisza i niektórzy z mężczyzn zerknęli na mamę, być może aby sprawdzić, jak zareaguje. Pewnie sądzili, że do mnie podejście. Ale wyglądała na oszołomioną i tylko przyglądała

mi się razem z nimi, jakbym był dla niej równie obcy.

Popatrzyłem na tych mężczyzn. Oprócz farmera Dawsona rozpoznałem tylko pana Higginsa z Home Guard.

Nie miałem wątpliwości, że wszyscy oni szukają Jasia. I zebrało mi się na mdłości, kiedy pomyślałem, że zaraz się dowiedzą, co zrobiłem. Byłem zdrajcą; zdradziłem swój kraj i króla.

Przyszła mi do głowy okrutna myśl: ratuj się... możesz im powiedzieć, że cię uprowadził.

Doszedłem do wniosku, że uwierzą raczej mnie niż jeńcowi. A gdybym powiedział, że uciekłem i sprytnie wpełchnąłem go do dziury w ziemi? Zostałbym bohaterem – a oni uratowałyby drwa, więc bym go nie zdradził... Chociaż znalazłby się w okropnych tarapatkach. I mógłby wyjawić, że mu pomagałem, że cała ta ucieczka to był mój pomysł.

Nie.

Byłem rozdarty – myślami przebywałem z biednym Jasiem, a ciałem tutaj, naprzeciwko mamy.

– Już dobrze, chłopcze – odezwał się inny mężczyzna. – Jesteś bezpieczny. – Podszedł do mnie i ten, który wcześniej trzymał dłonie na moich ramionach, ustąpił mu miejsca.

Tamten drugi przykucnął przede mną, żeby spojrzeć mi w twarz. Miał czarne druczane okulary.

Widząc łagodny wyraz jego twarzy, przygryzłem wargę, żeby znowu się nie rozplakać. Przypominał mi tatę.

– Jak się nazywasz?

– Daniel Patterson.

– Więc, Danielu... Miałeś szczęście, że na nas trafiłeś. I że twoja mama, która cię szukała, jest z nami. Już nic ci nie grozi. – Uśmiechnął się. – Powiesz nam, kto ci to zrobił?

Mogłem tylko pokręcić głową.

– Trzeba chłopca zabrać do domu, skoro nie chce mówić – odezwał się pan Higgins, spoglądając na mamę. – Chętnie bym usłyszał, co ma do powiedzenia, bo to może być ważne... ale reszta z nas ma co robić.

Ten miły był chyba zły na pana Higginsa, bo zacisnął usta. Potem znowu się do mnie zwrócił.

– Dobrze, że na nas trafiłeś, Danielu, bo wyraźnie widać, że przydarzyło ci się coś niedobrego. Jesteśmy tu, bo szukamy złego człowieka. Niemca. Czy on ci to zrobił? Spotkałeś go?

Nie mogłem potwierdzić. Nie mogłem dopuścić, aby uznali, że to przez Jasia. Byliby na niego jeszcze bardziej wściekli i by go wytropili... na pewno by go znaleźli, uwięzionego w tamtej wilgotnej norze i wystraszonego jak lis ścigany przez sforę psów.

– Nie! – zawołałem, może za szybko, może za gwałtownie. – Nie widziałem żadnych Niemców. To nie... to nie było tak...

– Spokojnie, Danielu, powoli. Ale musisz nam powiedzieć, kto cię skrzywdził. – Popołudniowe słońce zaśniło w szklach jego okularów, kiedy gorliwie się ku mnie pochylił. – Kogo tak się boisz?

Chyba właśnie sprawiły to te słowa. Kogo się bałem?

Przed oczami stanęła mi przerażająca postać. Prześladował mnie, i owszem, bałem się go.

– To był...

Zniżyłem głos do drżącego szeptu, więc wszyscy schylili się nade mną.

– To był...

– Kto? – ponaglił mnie cicho pan Higgins.

– To był... troll.

Ten miły zamrugał powiekami za szklami okularów.

– Kto?

– Na litość boską – mruknął pan Higgins.

Ale ten miły nie dawał za wygraną.

– Jaki troll?

– Kiedyś mieszkał przy torach kolejowych, w tunelu pod wiaduktem, teraz przeniósł się do lasu.

W okularach mężczyzny wciąż odbijało się światło, ale nagle odniosłem wrażenie, że dostrzegam także błysk w jego oczach.

Zwrócił się do reszty.

– Mówi o włóczędze. Tym, który kręcił się po wsi.

Rozległo się mamrotanie, ale nie mogłem rozróżnić słów. Mama stała nieruchomo jak figura anioła na kościele. Serce znowu zabiło mi mocno w piersi, a twarz oblała fala gorąca. Jednak tamten mężczyzna chciał dowiedzieć się więcej.

– Co ci zrobił, synu?

Nareszcie. „Synu”. Tak bardzo potrzebowałem pocieszenia. Miałem nadzieję, że mnie obejmie i uściska. Wtedy wszystko bym mu wyznał. Nie zapytał „dlaczego?”, bo mi wierzył; zamiast tego spytał „co?”.

– Już dobrze. Możesz mi powiedzieć.

Pozostali tkwili nieruchomo i milczeli. Popatrzyłem na mamę. Lekko skinęła głową.

– Powiedz im, Danielu – odparła dziwnie ochryplym głosem.

Miałem wrażenie, że poza nami nie ma nikogo. Pomyślałem: chce, żebym opowiedział tę historię. O trollu.

Zwróciłem ponownie wzrok na kucającego przede mną mężczyznę. Nie mogłem się zdobyć, żeby spojrzeć mu w oczy, więc patrzyłem na jego białą bawełnianą koszulę. Miał podwinięte rękawy, a pod pachami – plamy potu.

– Co ci zrobił? – zapytał jeszcze raz.

– Był straszny!

– Tak? – Wyciągnął rękę i poklepał mnie po ramieniu.

– Chciał...

– Co chciał?

– Próbował... mnie zjeść.

Spojrzałem mu w twarz, żeby zobaczyć, czy mi wierzy. Wyraźnie się zmienił; jakby zrozumiał i wyglądał na poruszonego.

– Już dobrze, synu – odparł. – Nie martw się, więcej cię nie skrzywdzi.

Jego mina mnie zdziwiła, bo nigdy wcześniej podobnej nie widziałem – wyrażała dobroć i złość jednocześnie.

Oderwałem od niego wzrok i popatrzyłem na pozostałych. Oni też się zmienili, w ich oczach pojawił się ten sam mroczny blask.

– Chryste Panie – mruknął jeden z nich.

Mama miała taki sam wyraz twarzy jak oni.

– Nie! – szepnęła.

Nie mogłem być do końca pewny, czy uwierzyli w historię o trollu, więc byłem trochę zбитy z tropu ich reakcją. Spodziewałem się, że będą zagniewani, kiedy im powiem, że troll omal mnie nie zjadł, ale nie przypuszczałem, że zaczną miotać oczami błyskawice.

Przez cały dzień byłem w strachu – ale nagle zmiana w zachowaniu tych ludzi przestraszyła mnie jeszcze bardziej. Popatrzyłem na mamę: miała teraz zamknięte oczy i wydawała się bardziej nieobecna niż zwykle.

– Mały trzęsie się jak osika – zauważył pan Higgins. Z emocji mówił urywanym głosem. – O Boże, od razu powinno się było wypędzić tego ohydneho włóczęgę. Obrzydliwy brudas...

Tamten miły, nie patrząc mi w oczy, zdjął rękę z mojego ramienia. Wstał.

– Gdzie on jest, chłopcze? – warknął pan Higgins i wskazał w stronę lasu. – Tam?

– Nie, nie! Nie, ja... – Musiałem utrzymać ich jak najdalej od Jasia.

– Powiedz im, Danielu! – wybuchnęła mama. Jakby nagle ożyła. – Musisz im powiedzieć, żeby go znaleźli. – Przeniosła wzrok na mężczyzn. – Chyba widzicie, że ten typ jest o wiele niebezpieczniejszy od jeńca. Musicie jak najszybciej go odszukać! I aresztować.

Chciała, żeby z mojego powodu znaleźli potwora! Mężczyźni wymienili spojrzenia.

– Nie bój się – powiedział do mnie ten miły. – Już nigdy cię nie skrzywdzi. Ale musisz nam powiedzieć, gdzie to się stało. Wiemy, że byłeś w lesie, gdy cię... napadł. Twoja mama mówiła, że się bawiłeś. On tam mieszka, czy nie tak powiedziałaś?

Popatrzyłem na mamę, a potem na niego. Jak mogłem powstrzymać Home Guard przed przeszukaniem lasu? Wydawało się to niemożliwe.

– Tak. – Wykręcając palce, spojrzałem na swoje brudne, zakrwawione ręce. – To stało się tam. Ale niedaleko. To tam właśnie mieszka.

– Niech pani zabierze chłopca do domu – zwrócił się pan Higgins do mamy, ruszając w stronę lasu.

Paru już chciało iść za nim, ale ten miły zawołał:

– Czekać, czekać!

Pan Higgins odwrócił się, żeby na niego spojrzeć; pozostali zamilkli.

– Chłopiec musi nam pokazać, gdzie mieszka ten włóczęga. Nie możemy liczyć, że po prostu na niego wpadniemy. Dziś jeszcze nie mieliśmy takiej okazji, no nie? Nie widziałem po drodze żadnego włóczęgi. A wy?

Nastąpiła chwila ciszy, kiedy pan Higgins zastanawiał się nad jego słowami. Spojrzałem na mamę, ale ona patrzyła na niego.

– Dobra – orzekł. Przeniósł wzrok na mnie i oznajmił: – Będziesz musiał nas zaprowadzić do tego trampa.

– Chcę do domu – sprzeciwiłem się. – Mamo?

– Idź z tymi panami, Danielu. Pokaż im, gdzie... to się stało.

Wyraźnie nie miała ochoty zabrać mnie ze sobą.

– Proszę wracać do domu, pani Patterson – polecił pan Higgins. – I czekać tam na nas. To nie potrwa długo.

Kiwnęła głową i odeszła. Odwracając się, unikała mojego spojrzenia.

– Chodźmy więc, chłopcze – rzucił do mnie pan Higgins i poprowadził całą grupę w stronę lasu.

Szedłem z tyłu, z tym miłym. Jeden z pozostałych, idąc przed nami, uderzał pałką o otwartą dłoń.

Kiedy wkroczyliśmy do lasu, wszyscy zwrócili się do mnie.

– Musisz wskazać nam drogę – powiedział pan Higgins.

Ruszyłem więc na czele; drugi raz tego dnia zostałem przewodnikiem. Tym razem przynajmniej wiedziałem, dokąd iść – i na szczęście, zmierzając do brudnej kryjówki trolla w lesie,

przynajmniej odwodziłem ich od Jasia.

Podczas drogi mężczyźni jakby nabrali sił. Mamrotali coś między sobą, rzucając przekleństwa.

Byłem tak wyczerpany, że marzyłem tylko o tym, aby lec na ściółce i zasnąć. Musiało być już późne popołudnie. A ja od wielu godzin nic nie jadłem ani nie piłem. Ze zmęczenia już nawet przestałem drzeć. Miałem wrażenie, że przeszedł mi strach i wszystkie inne emocje.

Ale parłem do przodu, prowadząc mężczyzn do miejsca, w którym widzieliśmy z mamą trolla.

Nie zastanawiałem się, co będzie, kiedy już tam dojdziemy. Nie obchodziło mnie to. Trolla pewnie i tak nie zobaczymy – pomyślałem; prawdopodobnie znajdował się w tunelu pod wiaduktem. Do działania pobudzała mnie tylko myśl, że robię coś dobrego, odciągając tych ludzi od Jasia.

Po chwili zobaczyłem przed nami porwane płachty brezentu.

– Tam! – krzyknął któryś i mnie wyprzedził. – Dopadniemy drania!

Byliśmy bliżej kryjówki trolla, niż mi się wydawało. Mężczyźni ruszyli ku niej pędem i jeden z nich w pośpiechu potknął się o splątany korzeń drzewa. Pobiegłem za nimi. Nie czułem już zmęczenia, w żyłach znowu wartko krążyła mi krew.

Wtedy zrozumiałem, co będzie dalej. Nie bardzo wiedziałem, jakie to budzi we mnie uczucia. Wciąż się bałem, ale byłem także podekscytowany. Nienawidziłem i bałem się trolla, i naprawdę chciałem chronić Jasia. Tata czasami używał takiego wyrażenia: upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Pragnąłem, żeby mężczyźni go wystraszyli. I owszem, pragnąłem, żeby go dopadli i przegnali. Wyteżyłem wzrok, by lepiej widzieć. Może zresztą wcale go tam nie było – ale zanim ta myśl skryształizowała mi się w głowie, zobaczyłem, że mężczyźni wyciągają trolla z jego zdeptanej kryjówki.

Popędziłem naprzód; dwóch członków Home Guard trzymało go za ramiona i brudne, podarte ciuchy.

Kiedy gorączkowo odwracał głowę, brudna ciemna broda i potargane włosy nadawały mu jeszcze bardziej zwierzęcy wygląd. Szarpał się, gdy na niego krzyczeli, ale nade wszystko był oszołomiony. Tym razem nie miał do czynienia z chłopcami ze wsi, którzy znęcali się nad nim dla zabawy.

– Tutaj! – ryknął pan Higgins, wskazując pałką w gęstwinę za małym wzniesieniem.

Mężczyźni zaciągnęli trolla za drzewa.

Zanim jeszcze znalazł się na szczycie pagórka, już spadły na niego pałki. Wtedy wreszcie dobył głosu: „Co...?! Co?!”, ale słowa te przeszły w krzyki, a potem w jęki, kiedy próbował się bronić.

Padł na kolana i został zaciągnięty za ręce głębiej w las. Farmer Dawson, zdyszany, został w tyle za pozostałymi, ale także już wdrapywał się na wzniesienie.

Mężczyźni najwyraźniej zapomnieli o mojej obecności. Ruszyłem za nimi, wspiąłem się na pagórek i tam schowałem za drzewo, żeby patrzeć, co się dzieje. Ręce mi drżały, więc chwyciłem się pnia, żeby nad tym zapanować.

Troll, skulony na ziemi, zasłaniał dłońmi głowę.

– Uch, ale śmierdzi! – zawołał jeden z mężczyzn, zamachując się, żeby go kopnąć. – Cuchnie szczykami!

Pałki wznosiły się i opadały; towarzyszył temu dźwięk, jakby ktoś trzepał sztywną kanapę,

tylko że po każdym uderzeniu rozlegał się jęk albo okrzyk. Odgłos był inny tylko wtedy, gdy drewno napotykało kość – a raz trafiło w czaszkę.

– Ojej! Przeście! Przeście! Pomocy! – wrzasnąłem przez zaciśnięte gardło.

Mężczyzna z grabiami zamachnął się, wbijając ich ostre zęby w plecy trolla; rozerwał jego płaszcz i orał nimi gołe ciało jak widelcem masło.

– Brudas... śmierdziel... zboczeniec... peda! – ryczał ten miły, raz po raz wznosząc pałkę.

Po jakimś czasie pozostali przestali bić i cofnęli się; tylko pan Higgins i ten miły machali jeszcze pałkami.

Zanim spadały na trolla, widziałem na nich krew. Nie mogłem oderwać wzroku od tej sceny. Atak był szybki i sprawny. Nie tak jak napaść w kinie. W powietrzu unosił się zapach krwi i silna woń moczu.

Pomyślałem, że zaraz zwymiotuję, ale nie mogłem przestać patrzeć.

Niektórzy z mężczyzn od samego początku trzymali się z boku. Inni, którzy odłączyli się od bijących, stali zdyszani i patrzyli, jak pan Higgins i ten miły biją dalej.

Farmer Dawson, należący do tych, którzy nie tknęli trolla, w pewnej chwili zawołał:

– Higgins!

Tamten jednak nie przestał i potem już nikt się nie odzywał.

Żaden nie położył temu kresu; miałem wrażenie, że wszyscy traktowali to jako nieprzyjemną robotę, którą należy wykonać.

Było mi tak niedobrze, że sam chciałem to zakończyć, ale pomyślałem o Jasiu w jamie: spotkałoby go to samo. Taki sam los.

Rozległ się okropny trzask i zrozumiałem, że to pęka czaszka trolla.

Ten miły nie sprawiał już wrażenia miłego. Spadły mu okulary, leżały niedaleko, ale on jakby nie zauważył, że jest ślepy. Obaj z panem Higginsem byli spoceni i potargani. Oczy im błyszczały i mieli odsłonięte zęby. Zebrało mi się na wymioty, kiedy sobie uświadomiłem, że sami wyglądają jak trolle.

Po trzasku czaszki nastąpiły wilgotne plaśnięcia i przy każdym uderzeniu pałki wznosiły się w powietrze kawałki białej lśniącej masy zmieszanej z krwią.

Pozostali cofnęli się dalej i wreszcie pan Higgins przestał bić, opuścił pałkę i dysząc, oparł ręce na biodrach.

Ale ten miły wciąż stał nad rozbitą, zmasakrowaną głową trolla i walił, walił, podnosząc i opuszczając pałkę.

– Joe – odezwał się farmer Dawson.

Tamten jednak nie mógł przestać. Jego okrągła twarz była już czerwona, ale nie ustawał.

– Brudas... zboczeniec!

To był mózg. Na jego twarzy i ubraniu mężczyzny znajdowały się fragmenty mózgu. Ale on nie zwracał na to uwagi. Za każdym razem, gdy podnosił zakrwawioną pałkę, odpadały od niej zmatowiałe pasma włosów.

W końcu farmer Dawson podbiegł do niego i chwycił go za rękę. Tamten rozejrzał się z przestraszeniem jak wyrwany ze snu lunatyk.

I wtedy zapadła całkowita cisza.

– ...Mieliśmy tylko dać mu nauczkę! – odezwał się wreszcie jakiś wyraźnie wstrząśnięty krępy mężczyzna. Powiedział to tak, jakby wcześniej omówili tę kwestię i plan poszedł nie tak. Wiedziałem jednak, że nie było żadnego planu.

– Chryste, Higgins! – wykrzyknął farmer Dawson.

Pozostali, z których każdy trzymał zakrwawioną broń przy boku, milczeli.

– Zasłużył sobie! – orzekł w końcu pan Higgins. Spojrzał wyzywająco na resztę. – Niektórzy są zbyt tchórzliwi, żeby zrobić, co trzeba, ale nie ja! I co więcej, zrobiłbym to jeszcze raz!

Część mężczyzn opuściła wzrok.

Myślałem, że zapomnieli o mnie, ale wtedy pan Higgins powiedział:

– Nie pamiętacie już, co ten zboczeniec zrobił tu chłopcu?

Wskazał zakrwawioną pałką w moją stronę i wszyscy się odwrócili, żeby na mnie spojrzeć. Stałem, przytrzymując się drzewa, inaczej bym upadł.

Ta pałka, wymierzona jak palec, całą winą za zabicie trolla obarczała mnie. To oni mieli na rękach jego krew... Ale ja także.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

„A mała Gerda stała bez trzewików...
nagle nadciągnął cały pułk śnieżnych płatków”.
– z *Królowej Śniegu*

Po powrocie do domu Annabel zrobiła sobie drinka z ginem, żeby ukoić nerwy.

Wiedziała, że członkowie Home Guard wrócą. Dom musiał wyglądać porządnie. Normalnie. Bez zarzutu.

Zabrała się do sprzątania.

Przypomniała sobie, że zostawiła w ogrodzie od frontu koszyk z zakupami, więc po niego poszła. Jabłka zgnioty jeżyny, których sok przesączył się przez brązowy papier. Wrzuciła wszystko do kubła na śmieci za domem, koszyk i całą resztę.

Był wczesny wieczór – minęły ponad dwie godziny, odkąd zostawiła mężczyzn i chłopca w lesie, ale wciąż miała zamęt w głowie. Wszystko wymknęło się spod kontroli.

I pomyśleć tylko: było tak dobrze, kiedy obudziła się tego ranka. Poszła nawet kupić owoce!

Najpierw zniknięcie Hansa, a teraz... to, co włóczęga zrobił Danielowi. Nie mogła o tym myśleć, więc zmywając wilgotną szmatą podłogę w kuchni, odsunęła od siebie niepożądane wizje.

Nic nie można na to poradzić – pomyślała, szorując poplamione linoleum – wszystkim zajmie się Home Guard.

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że tak sądzi, ale przynajmniej ta sprawa, przy jej poparciu, odciągnęła ich od poszukiwań Hansa. Jeśli rzeczywiście uciekł – samowolnie się oddalił – to tylko z jej powodu. Na pewno znajdzie jakiś sposób, żeby się z nią porozumieć i ściągnąć ją do siebie.

Kiedy mężczyźni zabrali już chłopca z powrotem do lasu, Annabel się zastanawiała, czy nie pobiec do sadu okrężną drogą i nie przeszukać szopy, jak początkowo planowała. Jednak przypomniawszy sobie, co mówił Daniel o tym odrażającym włóczędze, utraciła całą energię. I znowu szybko ucięła ten tok myślenia.

Nawet gdyby znalazła w sobie wystarczająco dużo woli walki, żeby pójść do sadu, na pewno nie zdążyłaby obrócić w obie strony przed przybyciem członków Home Guard, którzy mieli odstawić chłopca do domu. A gdyby ją ktoś zobaczył – Dawson, stary pułkownik? Mogli postawić tam strażnika, żeby szukał na miejscu tropów i wskazówek, tak jak sama zamierzała. Jak wtedy wytłumaczyłaby swoją obecność? Uznała więc, że bezpieczniej będzie, jeśli zrobi to, co polecił jej Higgins. I wróciła prosto do domu.

Coraz mocniej szorowała szmatą podłogę; ta gorączkowa praca pomagała jej nie myśleć o Danielu i stłumić ściskający wewnętrznego strach o Hansa.

Ogarnął ją jeszcze inny lęk... Czy jej samej nie grozi niebezpieczeństwo? Czy ktoś nie dowiedział się o tym, co ich łączyło? I czy Hans przed ucieczką nie próbował się z nią skontakt-

tować – a jeśli go złapano i zmuszono do mówienia, sam nie powiedział o ich romansie?

O Boże, wtedy cała wieś dowiedziałyby się o jej postępkach. Mogliby ją aresztować. A co z rodzicami Reggiego, jej ojcem i matką...

Plamy dawno zniknęły; Annabel powoli pochyliła się do przodu i przyłożyła rozpalone czoło do zimnego, wilgotnego linoleum.

Po chwili pozbierała się i wstała, żeby wypłukać w zlewie szmatę; jeszcze salon wymagał posprzątania. Przeszła przez niego i postanowiła zacząć od okien.

Na jednym z parapetów siedziała ćma, jakby wyglądała do ogrodu.

Ciekawe, czy naprawdę wygląda, czy tylko śpi. Ćmy to nocne stworzenia, czyż nie? – pomyślała Annabel.

Zanim zabiła owada, pochyliła się, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Jego mechaty łepki i skrzydełka wydawały się zakurzone; przy dotknięciu mogły zostawić pył na palcach. Jako dziecko myślała, że ćmy to niedołączne motyle. Miały takie bure, nijakie skrzydełka, sądziła więc, że ich piękne kolory po prostu wyblakły, tak jak blakną ludzkie włosy, które stają się coraz bardziej szare, aż w końcu całkiem siwieją. Ćma wyglądała jak stary motyl, zbyt zmęczony, żeby unieść skrzydła.

Przycisnęła szmatę do nieruchomego stworzenia i kiedy później na nią spojrzała, widniała tam tylko smuga szarobrazowego pyłu. Można by pomyśleć, że ćma w ogóle nie istniała.

Annabel podskoczyła, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Była tak zajęta ćmą, sprzątaniami i myślami, które kłębiły jej się w głowie, że nie zauważyła idącej ścieżką przez ogród grupy mężczyzn.

Wyrzała przez okno wykuszowe i zobaczyła, że zbierają się przed drzwiami domu. Musieli widzieć ją przez szybę, jak ogląda szmatę. Patrzyli na nią. Jak? Z przestachem? Ze złością? Nagle przypomniała jej się ilustracja z jednej z książek Daniela, *Pięknej i Bestii* – przerażeni mieszkańcy wioski maszerują z pochodniami i widłami do zamku potwora.

Przed nimi, z przodu, stał chłopiec. Znowu przeraził ją jego wygląd. Daniel był brudny, podrapany, zakrwawiony. Miał podarte ubranie. A jego oczy, oczy... wydawały się wielkie, szalone, przerażone i przerażające.

Stała znieruchomiła jak żona Lota, która zamieniła się w słup soli, kiedy spojrzała na coś, na co nie powinna była patrzeć. Stała tak długo, że Higgins musiał zadzwonić do drzwi po raz drugi.

Wpuściła mężczyzn do wąskiego przedsionka – niektórzy z nich także byli teraz zakrwawieni. Na ten widok ją cofnęło, jakby była niczym więcej, jak tylko kawałkiem wodorostu unoszonego na morskich falach.

W salonie zwróciła się w stronę rozchełstanych mężczyzn. Chłopiec aż się trząsał i szcekał zębami.

– Co w ogóle pani syn robił w lesie? – zaczął Higgins i ten jego nagły wybuch wydał się zbyt głośny w cichym domu. Mężczyzna był na nią wściekły. – Po co tam poszedł, na miłość boską?

– Higgins – powiedział do niego Dawson – przestań...

Annabel poczuła, że znowu drży. Chciała się odezwać, zapytać, co się stało, ale tak zaschło jej w ustach, że zdołała tylko przełknąć ślinę. Może zresztą nie powinna zadawać żadnych pytań; bała się usłyszeć odpowiedzi.

Niektórzy z mężczyzn wydawali się wytrąceni z równowagi; przestępowali z nogi na nogę. Można było odnieść wrażenie, że wszyscy w tym małym pomieszczeniu się poruszają, że nikt nie stoi spokojnie.

Ten od lustra, który chyba zgubił okulary, wystąpił do przodu. Położył dłoń na ramieniu chłopca. Daniel podskoczył i obrócił się jak oparzony. Tamten zabrał dłoń, która zawisła w powietrzu. Podniósł obie ręce wewnętrzną stroną do przodu, aby pokazać, że nie ma złych zamiarów.

– Może pójdziesz na górę, synku? – powiedział. – Pewnie chciałbyś się... umyć. Doprowadź się do porządku. My tu porozmawiamy z twoją mamą.

Chłopiec opuścił pokój, a wtedy jeden z mężczyzn delikatnie pchnął drzwi, które jednak się nie zatrzasnęły. Po wyjściu syna Annabel uświadomiła sobie, że nawet się do niego nie odezwała. Stało się coś strasznego, a ona nie zadała mu żadnego pytania, nie próbowała pocieszyć. Zdradziła się; nie weszła w rolę matki w najważniejszym momencie. Nie wiedziała, co zrobić.

W pokoju zapadła jeszcze głębsza, cięższa cisza. Kilku mężczyzn zaszurało nogami, chrząknęło. Niespieszno było im się odezwać, a ona wciąż drżała. Rozpaczliwie pragnęła usiąść. Bała się, że gdy będzie słuchać tego, co ci przerażający ludzie mają do powiedzenia, ugną się pod nią kolana. Nadal trzymała w dłoni szmatę.

– Poszliśmy do lasu, żeby go odnaleźć – podjął w końcu Higgins i w pokoju zapanowała wyczuwalna ulga... a także niema zgroza.

Annabel, jakby nagle oślepla, próbowała wymacać za sobą fotel. Pamiętała, jakie Higgins zrobił na niej wrażenie tamtego dnia, kiedy przyszedł na inspekcję ogrodu. Był władczy i miał u ludzi posłuch. Przewodził im. Teraz jednak w ich stosunku do niego coś się zmieniło. On sam sprawiał wrażenie zdenerwowanego, ale prawdę mówiąc, wszyscy ci mężczyźni robili takie wrażenie, byli wyraźnie poruszeni.

Odruchowo kiwnęła głową. Wpatrywała się w Higginsa i kiwała nią dalej. Coś jej mówiło, że niezależnie od tego, do czego zmierzał, opowiada tę historię ze skrywanym zadowoleniem. Był dumy ze swojego w niej udziału.

– Byliśmy... – Po raz pierwszy się zawahał. – Wściekli.

Znowu zwróciła uwagę na pozostałych. Niezauważalnie drgnęli, jakby wzdychając zbiorowo.

– Byliśmy już rozwścieczeni z powodu tego cholernego jeńca... Niektórzy z nas, jak pani wie, mieli broń z wyposażenia Home Guard, pałki i tym podobne...

Czyżby wciąż kiwała głową? Nie była pewna. Wyobraziła sobie głowę Hansa rozbitą taką drewnianą pałką.

– Już wcześniej byliśmy rozwścieczeni...

Boże, co oni zrobili? Co ten człowiek próbował jej powiedzieć?

Kiedy jeden z nich włączył światło, zdała sobie sprawę, że na dworze zrobiło się już ciemno. Ani Higgins, ani nikt inny nie zwrócił jej uwagi, że nie zaciągnęła zasłon. Blask bijący z okna na ciemną ulicę mógł przyciągnąć każdy niemiecki bombowiec.

– A stan pani syna... – Spojrzał na nią surowo i jego głos nabrał ostrości. – Nigdy z czymś podobnym się nie spotkałem... Zresztą sama pani widziała. – Pokręcił głową. – Cały zakrwawiony, w prawie zdartym ubraniu.

Kilku mężczyzn odwróciło wzrok. Annabel przestała już kiwać głową. Serce biło jej tak głośno, że siłą musiała skupiać wzrok na ustach Higginsa, aby zrozumieć, co mówi.

– Ten obrzydliwy typ powinien już dawno zostać wypędzony ze wsi. Ale ludzie się nad nim litowali. Myśleli, że stracił dom w mieście podczas bombardowań, a on od początku...

Zrobiła krok do przodu i chwyciła za oparcie jednego z foteli, ściskając je tak mocno, że aż rozboleły ją palce.

– Ten tego... – Wykonał posuwisty ruch mięsistą dłonią. – Odrażające... rozumie pani... –

Zawahał się ponownie i spojrzał na jednego z pozostałych mężczyzn, który prawie niezauważalnie pokręcił głową. Zmienił więc tok narracji, wracając do zdarzeń, które miał zrelacjonować. – Ale go znaleźliśmy. Żeby dać mu nauczkę... i ukarać...

Znowu wskazał pałkę, zakrwawioną i oblepioną włosami.

– Tak czy siak pani i chłopiec już nie musicie się go bać.

Annabel wydała dziwny, stłumiony odgłos.

W ciszy, która zapadła – mężczyźni wyraźnie czekali, żeby coś powiedziała – postawa Higginsa się zmieniła. Wyraźnie znowu ogarnęła go złość i stał się bardziej wojowniczy, jak wtedy gdy wkroczył do domu. Wydawał się sfrustrowany tym, że się nie odzywała, praktycznie od chwili ich przybycia nie wypowiedziała ani słowa.

– Bardzo mi przykro, że dziecko musiało być tego świadkiem... ale może wyjdzie mu to na dobre. – Urwał. – Zrobiliśmy, co należało, ni mniej, ni więcej. Co się stało, to się nie odstanie... więc nie ma potrzeby mówić władzy. To my jesteśmy władzą, ale mam na myśli policję i całą resztę...

Wciąż nie mogła się zdobyć, żeby coś powiedzieć. Co byłoby stosowne? – zaczęła się zastanawiać.

– Co, do licha, chłopiec robił sam w lesie? – warknął w końcu Higgins. – Dlaczego nie był w domu, z panią?

Annabel się wyprostowała. Kiedy w końcu wydobyła z siebie głos, brzmiał cienko i niepewnie.

– Proszę, żeby panowie już poszli.

– Chwileczkę! Uratowaliśmy pani syna!

– Chodźmy, Higgins – rzucił Dawson, odwracając się do drzwi. – Ona musi dojść do siebie. Zostawmy ją samą.

– Ani słowa podziękowania! – Spojrzał na resztę. – Zauważyliście, że nie odezwała się ani razu od czasu, gdy znaleźliśmy chłopca? Co to za matka... taka zimna... po tym wszystkim, co się zdarzyło?

– Higgins! – Ten od lustra położył mu dłoń na ramieniu.

W końcu Higgins dał za wygraną i odwrócił się, żeby pójść za innymi, którzy wychodzili już do sieni i za drzwi. Odpływ.

Ale jeszcze się zatrzymał i znowu obrócił.

– Gdyby odpowiednio się nim pani zajmowała, jak prawdziwa matka, nie doszłoby do tego wszystkiego.

Jad tych słów musiał sprawić mu przyjemność, a reakcja Annabel, która gwałtownie zaczerpnęła powietrza – satysfakcję.

– Idziemy! – zawołał w kierunku podwładnych, wychodząc do ogrodu. – Może zapadł już zmierzch, ale w razie gdybyście zapomnieli, musimy jeszcze złapać tego cholernego szkopa!

Żaden z jego ludzi nie przyjął tych słów z entuzjazmem – najwyraźniej stracili wolę walki – większość jednak, opuszczając dom i wychodząc na ulicę, bez przekonania skinęła głową.

Annabel zamknęła drzwi frontowe i przez chwilę stała o nie oparta, a potem skierowała się do schodów i usiadła na pierwszym stopniu.

Siedziała tam przez długi czas i usiłowała dociec, jak wszystko mogło się tak skomplikować, gdy tylko skupiła się na czymś innym.

Hans był w okropnej sytuacji, gdziekolwiek się znajdował. Dziecko zostało skrzywdzone. Zginął człowiek. We wsi wiedzieli, że jest złą matką.

To wszystko jej wina. Nie można było obciążyć odpowiedzialnością nikogo innego.

Wmawiała sobie, że udawanie dobrej matki wystarczy, ale nigdy nie wystarczało. Coś było z nią nie tak i nie wywiązywała się z jedyne go obowiązku, jaki na niej spoczywał – opieki nad chłopcem.

Mimo to – nic nie mogła na to poradzić – wciąż się zastanawiała, czy Hans ją odnajdzie. To prawda, nie znał wsi, nie wiedział, jak wygląda tu życie poza sadem – ale przecież opisała mu swój dom i mówiła, że mieszka przy Ivy Lane. Mógłby ją znaleźć, gdyby spróbował. Tak bardzo potrzebowała wsparcia i tylko Hans był w stanie je zapewnić.

Może usłyszy ciche pukanie do tylnych drzwi czy stukot kamyków w okno na piętrze. Albo dostanie starannie zaszyfrowany list, informujący, co ma zrobić. Jak go znaleźć, dokąd pójść.

Nie mogła wyjechać z nim, to oczywiste.

Pomyślała o Higginsie, jego ludziach i ich broni. Wciąż mogli go złapać, mimo że miał nad nimi przewagę czasową. Gdyby tak się stało, to byłaby także jej wina. Dlaczego tak postąpił? Odpowiedź była prosta: uciekł tylko ze względu na nią. Marzenia o wspólnym życiu przeważały nad wszystkim innym, więc zbiegł, żeby wcielić je w życie. To było jedyne możliwe wytłumaczenie.

Przypomniał jej się Reggie. Czy powinna mu napisać, co przydarzyło się chłopcu? Może lepiej poczekać i powiedzieć mu, kiedy przyjedzie na urlop. Nie chciała go martwić, skoro i tak nie mógł w żaden sposób pomóc. I sam był w takim dziwnym stanie, kiedy ostatnio przyjechał do domu, że nie wiadomo, jak przyjąłby tę wiadomość. Zastanawiała się, czy w ogóle powinna mu mówić. Miałby wyrzuty sumienia, że nie było go na miejscu, aby zapobiec nieszczęściu, i mógłby mieć do niej pretensje, że nie dopilnowała chłopca. Powiedziała by obojgu rodzicom. Znowu by uznali, że nie nadaje się na matkę, i może próbowałiby zabrać ją z domu.

W końcu pomyślała o chłopcu.

Co zrobił mu ten włóczęga tam w lesie? Nie miała ochoty pójść do syna na górę. Nie wiedziała, co mu powiedzieć. Nie umiała go pocieszyć. Zawiodła go i już. Zawiodła go bardziej niż kogokolwiek innego; zresztą zawiodła wszystkich, którzy się liczyli.

To, co zdarzyło się chłopcu, wynikało z jej winy, i tylko jej. Wiedziała, że miał zwyczaj bawić się w lesie, i widywała tamtego włóczęgę; nie dało jej to do myślenia. I nigdy nie sprawdziła, o której Daniel wracał do domu, nie pytała go, gdzie był i co robił.

Nie wiedziała, kiedy będzie mogła wstać z tego stopnia. Nie chciała pójść do chłopca. Nie chciała na niego patrzeć. Nie zniósłaby uczuć, jakie by w niej wzbudził. Wolała nie wiedzieć, co miał do powiedzenia. Wolała nie widzieć jego oczu.

Siedziała więc na schodach przez całą noc, nieruchoma i milcząca. A ta noc stawała się najpierw coraz ciemniejsza, a potem coraz jaśniejsza.

Już kiedyś Annabel wycofała się tak w głąb siebie i teraz czuła, że to dzieje się znowu, tym razem na dobre.

Rozdział trzydziesty

„I rzekł do swych ludzi: – Ach, gdyby jeszcze żył,
tak mi przykro, że kazałem go zabić”.

– z *Wody życia*

Najpierw obserwowałem ją przez szparę w drzwiach łazienki, a potem podszedłem do szczytu schodów i usiadłem przy nich oparty o ścianę – ani na chwilę nie odrywałem od niej oczu. Objąłem ramionami kolana, żeby nie rozpaść się na kawałki.

Patrzyłem w dół na jej skuloną postać. Z samej pozycji dało się wiele wyczytać. Siedziała tak bardzo długo. Od czasu gdy tamci wyszli. Noc ciągnęła się i ciągnęła, aż wreszcie nadszedł świt. Jaś musiał strasznie się bać, sam w tej swojej jamie. Zamierzałem do niego wrócić, ale na razie nie mogłem. Zresztą i tak nie wiedziałem, jak mu pomóc po tym strasznym wypadku. Jak miałem powiedzieć mamie, co mu się przeze mnie stało? Nawet się nie domyślała, że skłamałem o trollu, choć zdawała sobie sprawę, że to ja ponoszę winę za jego straszną śmierć. Była tym przerażona – kto by nie był? Mówiąc jej, że pomogłem Jasiowi w ucieczce, miałbym pozwolić, żeby jeszcze bardziej mnie znienawidziła? I jak wyznać, że to przeze mnie wpadł do tej dziury? Bo to ja zaprowadziłem go w głąb lasu i to za mną biegł, kiedy trafił na ten niebezpieczny zbuntowany szyb.

Dotarło do mnie, że pomagając Jasiowi uciec, tak naprawdę odbierałem go jej. Czy nie chciałem, żeby czuła smutek po jego ucieczce? Tak wielki, że szukając pocieszenia, zwróciłaby się do mnie?

Czy to było jeszcze możliwe? Raczej nie.

Cierpiałem w środku, gdy tak na nią patrzyłem. Chciałem, żeby wzięła mnie na kolana i przytuliła.

Tamci ludzie na pewno wrócili do lasu. Mimo że mamie powiedzieli co innego, musieli na razie odłożyć poszukiwania drwala, żeby odnaleźć tamtą nieszczęsną miazgę, która kiedyś była trollem.

Po zabójstwie pozostawili na miejscu broń. Pan Higgins i ten miły zdjęli kurtki i koszule, bo były zabrudzone krwią. Wytarli twarze. Jeśli jednak dobrze się przyjrzeć, wciąż można było dostrzec plamy krwi na ich spodniach i rudawe smugi na białych podkoszulkach.

Z powodu dziwnego dzwonięcia w uszach ledwie słyszałem ich ciche rozmowy w drodze na Ivy Lane, wiedziałem jednak, że planują później wrócić do lasu. Pochwyciwszy strzepy zdań, zorientowałem się, że zamierzają zakopać gdzieś daleko zwłoki i zatrzeć ślady.

Jeden z mężczyzn chciał zgłosić całą sprawę, powiedzieć policji, że doszło do bójki, gdy brudny kryminalista stawiał opór władzy podczas zatrzymania. Ale pozostali odrzucili jego sugestię. Miazga, która pozostała z trolla, stwarzała „pewne problemy”, jak stwierdził sam pomysłodawca. Nawet ja to widziałem.

Czas biegł jakoś inaczej niż zwykle, bo gdy tylko wyszliśmy z lasu, od razu skręciliśmy w Ivy

Lane.

Zobaczyłem ją w oknie, stała ze ścierką w dłoni. Zamierzali jej powiedzieć, co się przeze mnie stało. I wiedziałem, że potem już nigdy nie będzie jak dawniej.

Patrzyłem na nią – chociaż ona z początku mnie nie widziała – podczas gdy jeden z mężczyzn otwierał furtkę, na którą wdzięcznie opadały łyse gałęzie magnolii, niemal dotykając jego ramion.

Nie widziałem twarzy mężczyzn, tylko ich plecy. Wyciągnęli ręce i wypchnęli mnie naprzód, na czoło, a potem za furtkę. Znalazłem się pod drzwiami i zacząłem drzeć.

Kiedy pan Higgins zadzwonił do drzwi, podskoczyła i zobaczyła mnie przez szybę. Wiedziałem, że mam taki sam wyraz oczu jak ona. Oboje byliśmy przerażeni.

Pan Higgins musiał zadzwonić drugi raz. Dopiero wtedy ruszyła się z miejsca i otworzyła drzwi.

Nie chciałem, żeby ich wpuszczają. Nie chciałem, aby dali jej do zrozumienia, że to przeze mnie zrobili z trolla krwawą miazgę. Pragnąłem, żeby ich odesłała.

Ale to ja zostałem odesłany; ten miły wyprowadził mnie z pokoju, a gdy wychodziłem, nawet na mnie nie spojrzęła. Tak samo zresztą jak pozostali.

Wiedziałem, że pilno im było wyjść; krew na ich ubraniach zasychała i pragnęli już wrócić do domów.

Drzwi do salonu nie były całkiem zamknięte, więc zatrzymałem się za nimi i obserwowałem ich przez szparę.

Z miejsca, gdzie stałem, nie widziałem twarzy pana Higginsa, ale widziałem twarz jej. Siedziała skulona w fotelu i nie przestawała kiwać głową; aż zbiegały jej knykcie, tak mocno ścisnęła poręcze. W ogóle jej palce wyglądały jak zakrzywione szpony.

Ktoś włączył światło. Ktokolwiek to był, musiał tego pożałować, bo wszyscy nagle znaleźli się w jaskrawym świetle; ona wyglądała okropnie. Przymknąłem oczy i oparłem głowę o framugę. Drewno wbiło mi się w czoło, ale ten ból sprawiał przyjemność.

W końcu powiedziała im, żeby sobie poszli, ale pana Higginsa to rozczłóściło. Wypominał, że jest zimna, zbyt spokojna. Nie znał jej jednak; zawsze była spokojna. Spojrzałem na nią znowu. Taka była. Nigdy nie widziałem jej innej, z wyjątkiem tych chwil w chatce, z Jasiem.

Kiedy mężczyźni ruszyli do drzwi, zdążyłem uciec na górę. Ale patrzyłem stamtąd, jak wysypują się na dwór, w ciemną noc.

Pan Higgins wyszedł jako ostatni i jeszcze powiedział cicho, choć to usłyszałem:

– Gdyby odpowiednio się nim pani zajmowała, jak prawdziwa matka, nie doszłoby do tego wszystkiego.

Rozpłakała się na to i ja sam musiałem powstrzymać szloch, żeby mnie nie usłyszeli. Gorące łzy piekły mi oczy, więc pobiegłem do łazienki i skuliłem się na podłodze. Potem przycisnąłem rozpaloną twarz do zimnej podstawy umywalki i przywarłem do niej, jakby inaczej groziło mi utonięcie.

Okno łazienki było otwarte i kiedy mężczyźni wracali do lasu, żeby pozbyć się zwłok trolla i podjąć poszukiwania Jasia, dobiegły mnie ich głosy. Rozpłakałem się jeszcze bardziej, próbując wmówić samemu sobie, że nie będą szukali go przez całą noc. Stanowił teraz łatwą zdobycz; nie mógł uciec ani nigdzie się ukryć. Głosy stopniowo ucichły i mężczyźni odeszli.

Przytknąłem rękę do ust, starając zachowywać się cicho, żeby nie usłyszała mnie na dole. Łzy przestały mi lecieć dopiero po długim czasie i od tłumienia szlochów rozboleły mnie żebra. Nie spałem, gdy tak tam leżałem, ale też nie byłem całkiem przytomny.

W końcu podniosłem się z podłogi i sięgnąłem do gałki u drzwi, żeby się wyprostować. Po chwili otworzyłem drzwi. Twarz miałem opuchniętą i obolałą.

Wtedy zobaczyłem ją siedzącą na ostatnim stopniu schodów. Zdałem sobie sprawę, że tkwiła tam przez cały czas, jakby pan Higgins ją uderzył i całkowicie pozbawił siły.

Miała opuszczone ramiona i pochyloną głowę; podierała ją rękami, wspartymi na kolanach. Ale się nie ruszała. Nie widziałem jej twarzy, coś jednak mi mówiło, że gdybym przed nią stanął, nie zobaczyłbym łez.

Patrzyłem na nią, zgarbioną, bardzo, bardzo długo.

Musiało minąć dużo czasu, bo do domu zaczęło wpadać ładne różowawe światło. Ona jednak wydawała się nieświadoma, że nadszedł nowy dzień, więc powlokłem się z powrotem do łazienki i cicho zamknąłem za sobą drzwi.

Kiedy zmywałem z twarzy krew i zaschnięte łzy, woda w umywalce stała się czerwona. Wyczesalem z włosów gałązki i liście. Przed wrzuceniem do kosza owinąłem je w papier toaletowy, żeby ich nie zobaczyła i nie zorientowała się, skąd pochodzą.

Ostrożnie otworzyłem drzwi i poszedłem na palcach do swojego pokoju. Włożyłem pod łóżko porwane i zakrwawione ubranie – tam, gdzie poprzedniej nocy spoczywał chlebak dla Jasia. Zamierzałem je wyrzucić, tak żeby ich nie znalazła. Przebrałem się w piżamę i wszedłem pod kołdrę.

Coś dziwnego, czego nie potrafiłbym nazwać, kazało mi być we właściwym miejscu i właściwie wyglądać, gdy mnie w końcu zobaczy.

Oczywiście tej nocy nie było żadnej bajki. Zastanawiałem się, czy jeszcze kiedykolwiek wrócimy do czytania przed snem. W końcu musiałem zasnąć, bo nawiedził mnie koszmar. Sen.

Troll patrzył na mnie, kiedy jego głowa eksplodowała pod drewnianą pałką, która rozbijała ją na coraz mniejsze kawałki. Kiedy z kolei spojrzałem na pałkę, okazało się, że znajduje się w mojej dłoni i to ja nią walę, wbijając jego głowę w ziemię. Usiadłem na łóżku, w mokrej od potu pościeli, gwałtownie wciągając powietrze.

Do czarodziejskiego lasu wtargnął realny świat – Jaś leżał z połamanymi kończynami na dnie jamy, a troll został pobity na śmierć – i cała magia zniknęła. Jeśli w ogóle wcześniej istniała.

Leżałem cały drżący w zimnym, wilgotnym łóżku. Już nie zasnąłem, ale podniosłem się dopiero, gdy przyszła pora wstać.

Myślałem, że zastanę ją u stóp schodów, ale już jej tam nie było. W którymś momencie nad ranem poszła do swojego pokoju. Musiała zrozumieć, tak jak ja, że trzeba żyć dalej.

Zeszła, kiedy robiłem w kuchni owsiankę. Zapaliła przy stole papierosa, podczas gdy ja stałem na taborecie i mieszałem w rondlu płatki z mlekiem. Coś w ich wyglądzie i konsystencji – białych grudek – sprawiło, że żołądek podszedł mi do gardła.

Mimo to nałożyłem owsianki do misek i zaniósłem je na stół. Oboje udawaliśmy, że jemy: mieszaliśmy w miskach i podnosiliśmy łyżki do ust. Nie wspominaliśmy o wydarzeniach poprzedniego dnia, bo w ogóle się nie odzywaliśmy.

Potem ona poszła do salonu, a ja pozmywałem naczynia i powlokłem się na górę, żeby jak zwykle przygotować się do wyjścia. To miał być normalny dzień. Ale kiedy się ubrałem, zrobiło mi się niedobrze i nagle dostałem bóleści. Prawda była taka, że wciąż nie wiedziałem, jak pomóc Jasiowi. Nie miałem pojęcia, jak wydostać go z tamtego dołu. A nawet gdyby mi się to udało, to co dalej? Co z jego obrażeniami? Dokąd miałby pójść?

Mitrężyłem czas. Poszedłem do toalety. Obejrzałem w lustrze twarz i stwierdziłem, że wciąż

jest czuła; prawe oko miałem podbite. Przebrałem się w cieplejsze rzeczy, bo nastąpiła już jesień i w powietrzu czuło się chłód. Wsadziłem do tornistra brudne, podarte ubranie z poprzedniego dnia, żeby je wyrzucić, a może spalić. Wciąż miałem zapaliki, jeszcze z czasu, kiedy...

Nie myśl o tym.

Zarzuciłem tornister na ramię i poszedłem do kuchni, żeby wziąć coś dla Jasia na śniadanie. Albo na lunch. W spiżarni wiele nie znalazłem; mama miała pójść poprzedniego dnia po zakupy, żeby zrealizować kartki, ale...

Nie myśl o tym.

Zgarnąłem z półki ostatnią puszkę sardynek. To musiało wystarczyć. Wrzuciłem ją do tornistra razem z butelką wody jęczmiennej. I wyszedłem z domu.

Kiedy maszerowałem w stronę lasu, trochę przeszedł mi ból brzucha. Przynajmniej nie siedziałem beczynnym. Jaś powinien być wdzięczny za jedzenie, picie i towarzystwo; razem wymyślimy co dalej. Może już miał jakiś plan. Zamiast skurczów poczułem w brzuchu podniecenie. Nic nie mogłem na to poradzić. Dopóki tylko nie myślałem o wydarzeniach poprzedniego dnia, wciąż miałem wrażenie, że wszystko dobrze się skończy.

I przyjemnie było znaleźć się poza domem, z dala od obrazu mężczyzn w salonie, twarzy mamy i jej nieruchomej, niemej postaci na schodach.

Gdy szedłem drogą w stronę lasu, z tornistrem objającym się o plecy, wiatr rozwiewał mi włosy, kojąc moją duszę. Dzień był chłodny, ale przez chmury przeświecało słońce i przyjemnie było maszerować przed siebie.

Kiedy wkroczyłem w cień drzew, na chwilę ogarnęła mnie panika, bo...

Nie myśl o tym.

Bywałem w lesie tysiące razy, więc to wspomnienie nie musiało mi go zohydzić. Zmusiłem się, żeby iść dalej. Ale słońce chyba zaszło za chmury, bo między drzewa nie dochodziło światło i ten mrok odbił się na moim nastroju.

Skierowałem się nad rzekę i przeszedłem przez nią po zwałonym drzewie, starając się zapamiętać, jak kiedyś śledziłem trolla – jakby w innym życiu.

Znalazszy się na drugim brzegu, zakopałem pod drzewem ubranie, które miałem na sobie poprzedniego dnia. Przykryłem to miejsce kamieniami i gałęziami drzew, a potem umyłem ręce w zimnej wodzie. Starłem się nie myśleć, że członkowie Home Guard zrobili to samo ze zwłokami trolla.

Musiałem na chwilę się zatrzymać, ale potem ruszyłem w dalszą drogę.

Starłem się odtworzyć trasę, którą szliśmy poprzedniego dnia, lecz problem polegał na tym, że jeszcze zanim Jaś wpadł do dołu, na dobre straciłem rozeznanie w terenie. Jak miałem znaleźć tamto miejsce, kiedy nawet nie wiedziałem, gdzie ono jest? Przyszło mi na myśl, że nie trafię z powrotem do domu. Trochę mnie to przstraszyło.

Wędrowałem przez długi czas, coraz bardziej zdenerwowany i spocony; musiałem napić się wody.

Wiedziałem tylko, że to było w głębi lasu, mimo to minęły godziny, zanim znalazłem stary szyb. Poczułem wielką ulgę, kiedy wreszcie natknąłem się na jamę, i natychmiast pożałowałem, że tu trafiłem.

Mało brakowało, bym ją przeoczył, ale dostrzegłem kawałki zbutwiałego, połamanego drewna, które wystawały nad poszyciem lasu. Była to część szybu kopalnianego, dawne sklepienie, które przegniło i zapadło się pod ciężarem Jasia. Wznosiło się teraz jak grobowiec majaczący nad ziemią, która pochłonęła mojego drwala.

Po cichu, ostrożnie zbliżyłem się do dziury. Nagle ogarnęło mnie zdenerwowanie – i podskoczyłem, gdy dziura ożyła.

– Halo...! Halo? Pomocy! Tu jestem! Pomocy!

Zawahałem się i znieruchomiałem.

– Danielu?! Danielu, to ty?!

Mocno przygryzłem dolną wargę.

– Danielu! Wiem, że tam jesteś! Do cholery!

Jego krzyki poniosły się echem – był jak roześlony potwór w labiryncie.

Ale potem echo ucichło i w lesie znowu zapanował spokój, słychać było tylko śpiew ptaków i szelest liści.

Ja jednak wciąż stałem bez ruchu. Gdybym miał się odezwać, co bym powiedział? Nie mogłem mu pomóc. A on wydawał się taki zły. Winił mnie za swój wypadek? Zapomniałem o niebezpieczeństwie, jakie stwarzały stare szyby kopalniane, więc nie przyszło mi do głowy, żeby go ostrzec.

Nie byłem w stanie go uratować, poza tym nie miałem ze sobą liny. Nie wiedziałem nawet, skąd ją wziąć – zresztą jak miałbym go wyciągnąć?

Nagle przypomniałem sobie o sardynkach i wodzie w tornistrze. Na pewno mu się przydadzą, zanim wymyślimy, jak go wydostać.

– Jasiu? – Mój głos brzmiał ochryple; zdałem sobie sprawę, że odezwałem się po raz pierwszy, odkąd poprzedniego dnia powiedziałem mamie i członkom Home Guard o trollu.

– Daniel? Daniel? Och, dzięki Bogu! – Z jamy dobiegł jakiś odgłos, może jęk po niemiecku, tyle że za cichy, abym mógł mieć pewność.

– Tak, to ja! – zawołałem. – Jestem tutaj. Wróciłem.

– Dobrze, to dobrze... – On też mówił ochryple i urwał, zaczerpując powietrza. Po chwili odezwał się znowu: – To bardzo dobrze.

Zbliżyłem się do jamy o krok. Ale nie za blisko – nie chciałem sam do niej wpaść.

– Danielu... potrzebuję pomocy. Jestem w złym stanie. Mam połamane nogi, może też kręgosłup...

Skrzywiłem się, ale na tym nie skończył.

– Potrzebuję pomocy, rozumiesz?

– Tak, wiem! – odrzyknąłem, licząc, że nie zapyta mnie o plan działania.

To była niedobra wiadomość, ta o nogach. Na pewno cierpiał. Rok temu William McCarthy ze szkoły złamał na podwórku rękę i strasznie krzyczał z bólu. I za każdym razem, kiedy potem dawał innym do podpisania swój gips, opowiadał całą historię tego zdarzenia, jak myślał, że umrze, tak go bolało.

Dzień wcześniej wydawało mi się, że mam złamany nos – i mimo że było to tylko stłuczenie, nie mogłem wytrzymać z bólu.

Musiałem Jasia czymś zająć, odwrócić jego uwagę, i w tym czasie, gdy już wiedziałem, że nie jest z nim dobrze, wymyślić co dalej.

– Przyniosłem ci jedzenie! – zawołałem. – Zobaczysz, dobrze ci zrobi!

– *Mein Gott!* Nie, Danielu, posłuchaj... potrzebuję pomocy! Musisz komuś powiedzieć! Powiedz mamie. Ona zawiadomi, kogo trzeba. Muszę stąd wyjść... Danielu, nie mogę tu zostać. Nie mogę... Musisz sprowadzić pomoc!

Przygryzłem wargę i rozejrzałem się wokół.

Nie mogłem powiedzieć mamie – gdyby się dowiedziała, że pomagałem mu od niej odejść,

byłaby urażona i zła. A gdybym powiedział komuś innemu, i tak by to do niej dotarło. I naraziłbym się tym okropnym ludziom z Home Guard. Jako zdrajcę wsadziliby mnie do więzienia, a nawet zrobili ze mną to, co zrobili z trollem. Jaś także był w niebezpieczeństwie – chociaż jeszcze nie wiedział tego, co ja wiedziałem: do czego potrafią się posunąć w gniewie, mając broń. Musiałem pomóc mu inaczej.

– Rzucę ci jedzenie i picie, dobrze?

– Co? Dobrze, ale potem biegnij po pomoc.

Musiałem wrzucić puszkę i butelkę do jamy; miałem nadzieję, że go nie uderzą i że ich dosięgnie. Otwarte usta w ziemi wyglądały groźnie, jakby mogły otworzyć się szerzej, więc nie chciałem zbyt blisko do nich podchodzić.

Wyjąłem zapasy z tornistra. Postanowiłem podczołgać się do jamy na brzuchu. Wydawało mi się, że tak będzie bezpieczniej.

Znalazszy się parę metrów od krawędzi, krzyknąłem dziarsko: „Uwaga tam na dole!”, i na wpół potoczyłem, na wpół rzuciłem w jej kierunku puszkę i butelkę.

Z ulgą usłyszałem, że spadły na dno, a Jaś nie krzyknął z bólu.

– Wiem, że masz trochę jedzenia w chlebaku, ale pomyślałem sobie...

– Dobrze, dziękuję! – zawołał. – A teraz sprowadź kogoś... Proszę, Danielu!

– Uhm... W porządku. To idę.

– Tak, powiedz im, niech się pospieszą.

– Dobra.

Wycofałem się i kiedy uznałem, że jestem już w bezpiecznej odległości, wstałem. Oddaliłem się w las, żeby mnie nie słyszał. Potem usiadłem na ziemi i spróbowałem się zastanowić.

Tarłem oczy, ale nie przychodziły mi do głowy żadne pomysły – może byłem zbyt zmęczony. Po jakimś czasie pomyślałem, że mogę wrócić do domu, coś zjeść, zobaczyć, jak ma się mama i trochę odpocząć. Wziąłem tornister i worek z ubraniami taty, który zostawiłem tam poprzedniego dnia, a potem ruszyłem w drogę powrotną. Postanowiłem, że wrócę nazajutrz z gotowym planem.

Następnego dnia jednak – po kolejnym cichym wieczorze z mamą i pełnej koszmarów nocy – planu nadal nie miałem.

I kiedy wlokłem się do jamy, zbierało mi się na wymioty. Tym razem za to znalazłem ją od razu.

Nie mieliśmy w domu jeszcze jednej manierki i tego dnia nie przyniosłem mu picia – liczyłem, że zachował go trochę – a nasza spiżarnia była praktycznie pusta, więc żywności dla niego też nie zabrałem. Pomyślałem, że wytrzyma jeszcze dzień i że nazajutrz zorganizuję mu coś do jedzenia. Wezmę kartki na żywność i pójdę na zakupy, jeśli będzie trzeba.

Kiedy dotarłem na miejsce, wolałem się nie ujawniać; musiałbym powiedzieć, że nic mu nie przyniosłem. Jak bym się wytłumaczył, gdyby spytał, dlaczego nie sprowadziłem pomocy? Czeakał na ludzi z linami i noszami. Przez cały dzień i całą noc. Nie wiedział, że nie mogłem zrobić, o co prosił.

Usiadłem więc ze skrzyżowanymi nogami na ziemi i dłuubałem w niej ostrym patykiem. Nasłuchiwałem, czy Jaś mnie nie woła, ale nie, więc chyba musiało być z nim wszystko w porządku. Pewnie drzemał. Odpoczynek dobrze mu robi – pomyślałem – jego nogi pewnie już się goją. McCarthy opowiadał wszystkim, jak pięknie jego ręka zrastała się w gipsie, więc nie trzeba było do tego żadnych leków.

Po jakichś piętnastu minutach takiego siedzenia zmarzłem – ostatnio bardzo się ochłodziło – więc szybko wróciłem do domu, żeby się rozgrzać.

Następnego dnia najpierw poszedłem do wsi i kupiłem chleb oraz dwie butelki piwa imbirowego.

Rzecz w tym, że kiedy stanąłem nad szybem, zdałem sobie sprawę, że Jaś będzie na mnie jeszcze bardziej zły. Przypomniało mi się, jak się denerwował, kiedy biegliśmy przez las; skończyło się na tym, że dostałem w twarz gałęzią.

Drwale potrafią być mili, jak ten, który uratował Czerwonego Kapturka, ale czasami nie odnoszą się do dzieci za dobrze, jak tamten, który porzucił w lesie Jasia i Małgosię.

Głupio byłoby teraz go zawołać i rzucić mu zakupy w siatce. Po drodze oderwałem parę kawałków chleba, żeby coś przekąsić, i teraz ciążyły mi w żołądku.

Zawahałem się nad jamą.

– Halo? – Jego głos był już bardzo zachrypnięty; zastygłem nieruchomo, żeby mnie nie usłyszał: – Czy ktoś...

Poczułem ciarki na plecach i ucisk w brzuchu. Jaś leżał na dnie szybu z połamanymi nogami już cztery dni.

– Danielu...?

Do oczu nagle napłynęły mi łzy, las zataił się przed oczami i chociaż mrugałem, przestałem widzieć jamę.

Nie wiedziałem, co począć. Nie mogłem zrobić, o co prosił – nikt, zwłaszcza mama, nie powinien się dowiedzieć o moim postępkach. Wręcz przerażała mnie myśl, że ktoś natknie się na jamę i go z niej wydobędzie, bo wiedziałem, że zabrany na przesłuchanie wszystko im powie.

Żeby uciec od prześladowających mnie myśli, jak najciszej zostawiłem zakupy pod drzewem i ruszyłem w drogę powrotną. Kiedy po południu przyszedłem do domu, mama była na górze. Ostatnio spędzała całe dni w łóżku, a kiedy wstawała, zachowywała się jak duch. Zabrała gin do swojego pokoju i teraz trzymała go na szafce nocnej.

Piątego dnia usłyszałem, jak mnie woła. Wypowiadał także jakieś słowa po niemiecku i razem nie miało to specjalnie sensu. Jego głos brzmiał o wiele słabiej. Przytuliłem się do najbliższego drzewa i płakałem – przyciskając pięść do ust, żeby mnie nie usłyszał.

W pewnej chwili resztkami tchu zawołał o pomoc, ale wyszedł z tego tylko łamiący się krzyk; najwyraźniej było mu wszystko jedno, kto go znajdzie. Usiadłem na ziemi i zgiałem się wpół; zatykałem uszy, żeby go nie słyszeć, i wtuliłem twarz w kolana, by stłumić płacz.

Kiedy wróciłem szóstego dnia, w jamie panowała cisza i zorientowałem się, że Jaś śpi. Nie wydawał żadnych dźwięków, choć siedziałem tam przez wiele godzin. Milczał także nazajutrz i nazajutrz. A potem już przez cały czas.

I w końcu przestałem do niego chodzić.

Kent, 1945–1947

Rozdział trzydziesty pierwszy

„Nie mogła zapomnieć pięknego księcia i cierpiała”.
– z *Syreny*

„Dziewczynka odmówiła wieczorną modlitwę”.
– z *Królowej Śniegu*

Annabel szła do sklepu spożywczego. We wsi był tylko jeden, w przeciwnym razie wybrałaby inny. Ale chciała kupić gin, a mała półka za ladą u Sida Mitchella zapewniała jej jedyny kontakt z czarnym rynkiem. Sklepiarz zawsze ją pytał, czy ojciec nie potrzebuje już następnej butelki.

Był ciepły majowy dzień; odkąd Hans przybył do Bambury z pierwszą grupą jeńców, minął rok. Pamiętała, że widziała go tamtego dnia, gdy szedł ulicą.

To głupie, ale w tym sklepie zawsze była podenerwowana; to tam dowiedziała się o zniknięciu Hansa. Był to początek koszmaru, który się dopełnił, kiedy chłopcu przydarzyła się tamta straszna rzecz. Annabel czym prędzej odsunęła od siebie to wspomnienie – i myśl o Hansie.

Upłynęły miesiące i wciąż nie miała od niego żadnej wiadomości.

Przynajmniej jednak nie został schwytany przez Home Guard z Bambury. Przeglądała gazety, szukając informacji o zbiegłym niemieckim jeńcu złapanym gdzieś w kraju. Czasami się modliła, żeby trafić w prasie na jego nazwisko, bo wtedy już by wiedziała, a czasami – przeciwnie, bo wciąż miała nadzieję. Nic jednak nie znajdowała, więc może udało mu się uciec z wyspy. Nie mógł swobodnie podróżować, dlatego pewnie jeszcze nie dotarł do Szwajcarii, bo przecież przysłałby jakąś wiadomość, zaszyfrowaną informację, że jest bezpieczny i na nią czeka. Wciąż nie podjęła decyzji, czy do niego pojechać. Z całą pewnością nie była tu szczęśliwa; czuła się bez niego samotna – i wciąż dręczyła się z powodu chłopca – ale myśl o podróży na kontynent nadal budziła w niej lęk.

Annabel nie mogła zrozumieć, dlaczego uciekł, nie uprzedziwszy jej, bez pożegnania. Może chciał ją chronić – oszczędzić, bo cierpiałaby, wiedząc o jego planowanym odejściu. Albo może nie chciał, żeby cokolwiek o tym wiedziała i później, w razie gdyby coś poszło nie tak, miała kłopoty.

W miarę upływu czasu jednak coraz trudniej jej się żyło. Lęk powoli zniknął i zostało tylko straszliwe poczucie samotności. Musiała pogodzić się z myślą, że gdziekolwiek Hans przebywa, nigdy nie wróci do Bambury. Przy nim bała się myśleć o przyszłości – ale przynajmniej miała możliwość wyboru. A teraz, w gorsze dni – kiedy nabierała coraz większego przekonania, że został schwytany – lękała się, że tej przyszłości w ogóle nie ma. I wtedy wracało wyczerpanie, które owładnęło nią po urodzeniu Daniela.

Wiedziała, że tak będzie przez jakiś czas, dopóki sobie nie powie, że musi się pogodzić z losem, wstawać z łóżka i udawać, że sobie radzi. Albo wizyta teściów nie zmusi jej, żeby się pozbierać, wysprzątać dom, zrobić zakupy, sprawić chłopcu nowe ubrania, bo ze starych już

wyrósł. Cokolwiek jednak robiła, to nie wystarczało; matka dzwoniła co drugi tydzień i nawet Moira telefonowała co jakiś czas, żeby sprawdzić co u niej. Wszyscy zdawali się sądzić, że tęskni za Reggie; ta niekończąca się wojna wchodziła już w szósty rok.

Annabel zebrała siły i weszła do sklepu. Akurat witała się z właścicielem, kiedy nagle z pomieszczenia na zapleczu, za ladą, wypadła z płaczem pani Mitchell, krzycząc, że właśnie słyszała w radiu...

Mąż początkowo nie mógł jej zrozumieć.

– Wolniej, Ma, na miłość boską. Wolniej – poprosił.

Ale ona nie przestawała krzyczeć; właśnie słyszała, jak premier wygłaszał oświadczenie: Niemcy skapitulowały i wojna w Europie wreszcie dobiegła końca. Mąż zaczął płakać razem z nią – śmiejąc się przez łzy; ściskali się z radości i wzięli pomiędzy siebie także Annabel.

– Teddy przyjedzie do domu! – wołała pani Mitchell. – Przeżył! Teddy przyjedzie!

Annabel jednak myślała tylko: „No i co z tego? Co z tego? Po tych wszystkich latach walki i śmierci?”.

I samo zwycięstwo, teraz gdy Hans odszedł, wydało jej się podwójnie bez sensu.

Przypuszczała, że Reggie też wróci do domu. I ich życie będzie się toczyć tak samo jak przed wojną. Próbowwała przywołać uśmiech na twarz, gdy Mitchellowie zaczęli skakać przy niej z radości, a potem wyprowadzili ją na ulicę, żeby podzielić się wiadomością z innymi mieszkańcami wsi albo cieszyć się z tymi, którzy już ją usłyszeli.

– Nie do wiary... Mój Teddy wróci do domu! – pani Mitchell mówiła małemu tłumowi, które zebrał się na High Street.

– Trzy razy wiwat na cześć króla! – wykrzyknął jej mąż. – Hip, hip...

– Hurra!

– Hip, hip...

– Hurra!

– Hip, hip...

– Hurra!

Pani Mitchell wciąż obejmowała ramieniem Annabel. Nagle energicznie poklepała ją po plecach.

– Chyba to jeszcze w pełni do pani nie dotarło, moja droga! Ale pani Reggie niedługo wróci do domu, zobaczy pani. Wróci!

Jednak parę tygodni później Annabel dostała list z wojska. Reggie na razie nie wracał do Bam-bury.

Znalazła kopertę na stole kuchennym; chłopiec zostawił ją tam przed wyjściem do szkoły. Przeczytała pismo na stojąco.

Reggie został odesłany do Anglii przed Dniem Zwycięstwa w Europie – informowano, i mogła tylko przypuszczać, że powodem, dla którego została zawiadomiona tak późno, były wolno działające procedury wojskowe.

Stwierdzono u niego nerwicę frontową i wysłano go do sanatorium w Sussex. Zabrała pismo do salonu i usiadła w fotelu, żeby przeczytać je od początku.

Biedny Reggie.

W końcu zmusiła się, żeby zadzwonić do jego rodziców i przekazać im złą wiadomość. Ha! Zabawnie było pomyśleć, że to on – nie jego biedna, dziwnie słaba żona – wylądował w końcu w szpitalu psychiatrycznym.

Na początku byli wstrząśnięci, a potem Moira zaczęła perorować.

– Wyjdzie z tego, mój Reggie. – Jej głos dochodził do Annabel przez słuchawkę. – Nawet nie chcę myśleć, przez co przeszedł ten nieszczęsny chłopiec, ale przynajmniej jest już w kraju. To najważniejsze. Teraz, po powrocie, dojdzie do siebie. Lekarze wojskowi zaraz doprowadzą go do porządku. I my też mu pomożemy.

– Oczywiście nikt nie może o tym wiedzieć. – Annabel usłyszała teścia, który musiał stać przy żonie, pochylony, z uchem przyciśniętym do telefonu. – Będziemy mówić, że Reggie jest jeszcze we Francji, pracuje z wojskiem, pomaga w załatwianiu spraw administracyjnych, odbudowie Europy i tak dalej.

– Dobrze – zgodziła się z wolna.

Słyszała stłumione mamrotania. A potem znowu odezwał się Bill.

– Tak też powiemy Danielowi, żeby się przypadkiem przed kimś nie wygadał. Nie możemy ryzykować, że ludzie się dowiedzą. Dla Reggiego to byłby wstyd. I mógłby nie wrócić do pracy w banku. A Daniel i tak nie musi znać prawdy. Nie ma co go martwić.

– W porządku.

Moira po drugiej stronie wzięła głęboki oddech.

– Miejmy nadzieję, że pobyt na południu dobrze Reggiego zrobi... Teraz, gdy wojna się skończyła, nie będzie musiał już walczyć na froncie. Wkrótce dojdzie do zdrowia, wróci do domu i nikt nawet nie będzie wiedział o tej jego... cokolwiek to jest.

Rozdział trzydziesty drugi

„Nie mogę wam powiedzieć, nie wolno mi wylać żalu przed żadnym człowiekiem”.

– z *Gęsiareczki*

– Cieszysz się, że jedziesz do Sussex, Danielu?

Patrzyłem przez okno samochodu na znikający w tyle krajobraz. Babcia odwróciła się na przednim fotelu, żeby na mnie spojrzeć.

– Tak, babciu.

Pragnąłem, żeby letnie wakacje trwały w nieskończoność – był już wrzesień i niebawem miałem zacząć ostatnią klasę w podstawówce. Trudno uwierzyć, że od... tamtej historii... minął rok. Nie wiem, jak udało mi się go przeżyć. Z tydzień po... tamtym... poszedłem do piątej klasy.

– Piękny dzień na wycieczkę, co? – zagadnął dziadek.

– Uhm.

– Piękny dzień – powtórzyła babcia.

Przygryzła wargę i popatrzyła na mamę, która siedziała z tyłu obok mnie. I wyglądała przez okno tak jak ja. Babcia spojrzała więc na dziadka, który nie odrywając wzroku od drogi, lekko pokiwał na potwierdzenie głową, mimo że nie było to pytanie.

– Mamę dla ciebie wspaniałą niespodziankę! – ciągnęła babcia. – Wiem, że skończyłeś dziesięć lat już jakiś czas temu, ale pomyśl o tym spóźnionym prezencie! To jednak tajemnica, więc nie mów nikomu.

Teraz ja z kolei spojrzałem na mamę, ale twarz wciąż miała zwróconą ku oknu.

– Pójdziemy nie tylko na plażę. Odwiedzimy też tatę!

– Tatę?

– Tak, on... – Znowu zerknęła na dziadka. – Wrócił z Francji. Czy to nie cudowne?

– Zobaczymy się z tatą? Dzisiaj?

– Tak? To ekscytujące, prawda?

Byłem tak zaskoczony, że mogłem tylko kiwnąć głową. Nie widziałem taty od długiego czasu.

– Wróci z nami do domu?

– Och, nie. Na razie nie, kochanie. – Znowu spojrzała na dziadka. – Musimy ci coś powiedzieć. Tata nie jest jeszcze całkiem sobą. Dlatego wybrał się na małe wakacje w Sussex.

Z podniecenia zaczęło ścisnąć mnie w żołądku. Miałem zobaczyć tatę! Zaśmiałem się cicho i próbowałem skupić się na tym, co mówiła babcia.

– Jest tam od pewnego czasu. Dziadek i ja byliśmy już u niego z mamą... nawet kilka razy. Kiedy ty chodziłeś do szkoły. Ale pomyśleliśmy, że masz wakacje, które niebawem się skończą, więc...

– Dlaczego nic mi nie powiedzieliście?

– Hm... tak jak mówiłam, nie jest taki jak dawniej. Przebywa w... takiej klinice. Pamiętasz, że miał problemy z uszami? W każdym razie uznaliśmy, że będzie lepiej, jeśli najpierw pojedziemy do niego sami. Żeby go rozweselić...

– A dlaczego jest smutny? – Nagle ogarnęło mnie potworne przeczucie, że jest smutny, bo jakimś cudem wie, co stało się przeze mnie w lesie.

– Cóż, no wiesz, ma się już o wiele lepiej i pomyśleliśmy, że dobrze mu zrobi, kiedy cię zobaczy.

– Ale dlaczego jest smutny? – zapytałem znowu, chociaż strasznie bałem się odpowiedzi.

– Och, z powodu wojny.

– Ale przecież już się skończyła!

– Jest mu smutno, że w ogóle do niej doszło. – Przekręciła się na fotelu i skierowała wzrok przed siebie. – Jak nam wszystkim.

Rozejrzałem się po samochodzie i zobaczyłem tylko trzy odwrócone głowy.

Tata siedział w ogrodzie w wiklinowym fotelu, z kocem na kolanach, chociaż było gorąco. Kiedy podeszliśmy, zauważyłem, że strasznie drżą mu ręce.

– Nie martw się tym – powiedział mi do ucha dziadek. – Zawsze tak ma. Ale to mu przejdzie, gdy lepiej się poczuje.

Babcia uścisnęła mnie za ramię.

Ale okropnie było patrzeć na te trzęsące się ręce, jak u staruszka.

– Cześć, Reggie – powiedzieli wszyscy wesoło, gdy się zbliżyliśmy, a mama cmoknęła go w policzek.

Twarz miał szorstką od zarostu jak papier ścierny.

– Zobacz, kto dziś do ciebie przyjechał – odezwał się dziadek.

Tata, chociaż do tej pory siedział z miną bez wyrazu, próbował się do mnie uśmiechnąć. Ale robiło to jeszcze gorsze wrażenie niż drżenie rąk, bo widać było, że ten uśmiech kosztuje go wiele wysiłku.

Nie mogłem uśmiechnąć się w odpowiedzi, bo to najwyraźniej nie był mój tata.

Podczas wojny i po jej zakończeniu miałem nadzieję, że wreszcie wróci do domu. Ale teraz go w nim nie chciałem; ten załamany człowiek zupełnie nie przypominał dawnego taty. Gdy tylko tak pomyślałem, z poczucia winy zrobiło mi się niedobrze.

Babcia zaczęła mówić o rudych wiewiórkach, które zauważyła wśród drzew, i o tym, jakie to musi być relaksujące siedzieć na słońcu i obserwować zwierzęta. Nagle dotarło do mnie, że tata jest chory. Przemawiali do niego niczym do dziecka.

Miał wrócić do naszego cichego domu w Bambury? Od razu by się zorientował, że jestem równie nieobecny duchem jak mama. Wszystko tam się zmieniło. Już nawet mi nie czytała. Ale choć ledwie na siebie patrzyliśmy, wypracowaliśmy sobie nowy sposób funkcjonowania. Kiedy chodziliśmy do wsi, udawaliśmy, że wszystko jest normalnie, i potem tak samo zachowywaliśmy się w domu. Nie wiem jednak, czy potrafiłbym tak przy nim.

Patrzyłem na tego dziwnego człowieka, który kiedyś był moim tatą, i szybko zrozumiałem, że nasz dom to nie miejsce dla niego. Pomyślałem o potworach, które jak maskary z bajek nawiedzały mnie w nocy, kiedy spałem. Mamę też coś prześladowało. Oboje więc mieliśmy swoje demony; nie mogliśmy pomóc tacie.

Zerknąłem na mamę, która odwróciła się, udając, że patrzy na wiewiórki; nie widziałem jednak jej oczu. Nie mogła tego wytrzymać, podobnie jak ja. Ona też chciała już jechać.

To jakoś mi pomogło. Teraz czuliśmy się tak samo – jakbyśmy byli razem. Nie byłem już sam – i wiedziałem, jak to jest, kiedy znikwała, będąc wśród nas.

Moja wizyta w klinice chyba nie przyniosła takiego efektu, na jaki liczyli dziadek i babcia. Myśleli, że stanie się cud i tata na mój widok radośnie zerwie się z fotela. Pewnie zawiodło ich także moje zachowanie, pełne przerażenia. Więc już później nie proponowali, żebym z nimi pojechał, a ja się o to nie dopraszałem.

Czas mijał i mijał.

A mama i ja nadal nie rozmawialiśmy o tamtym... strasznym dniu.

Zamiast tego udawaliśmy, że nic się nie zmieniło. W pewien dziwny sposób pomagaliśmy sobie wzajemnie; nie wyglądało na to, żeby któreś z nas zamierzało odejść od bezpiecznych, pustych słów. I czasami myślałem, że ona jest matką na niby, a ja dzieckiem na niby; i że stanowią parę ludzi na niby, którzy w milczeniu robią swoje.

Z pozorów nic się nie zmieniło. Wciąż mieszkaliśmy w domku przy Ivy Lane, a członkowie Home Guard – we wsi. Łatwo jednak było unikać wzroku innych, gdy przypadkiem ja i mama znaleźliśmy się w kolejce do lady, na poczcie czy w autobusie z kimś, kto wiedział, co się stało. Wtedy albo my odchodziliśmy, albo ten ktoś nagle jakby przypominał sobie, że musi gdzieś iść, i pospiesznie się oddalał.

Któregoś zimnego dnia, niedługo po moich dwunastych urodzinach, kiedy wróciliśmy do domu, zza drzwi frontowych dobiegł przenikliwy dzwonek telefonu.

– To na pewno moja matka – powiedziała mama. – Boli mnie głowa. Powiedz jej, że położyłam się do łóżka.

Poszedłem do salonu i podniosłem słuchawkę.

– Zawsze boli ją głowa, gdy dzwonię – mruknęła babcia. – Dziwne, że to zdarza się co drugi tydzień, akurat w dniu, w którym chcę z nią porozmawiać.

Milczałem, słuchając trzasków na linii.

– Jesteś tam jeszcze? Halo? Operator!

– Jestem, babciu.

– A co u ciebie, kochanie? Czy twoja mama... Co jadłeś wczoraj na kolację?

Odpowiedziałem, że potrawkę z kluskami.

– Hm – odparła. I przez chwilę się nie odzywała. – Czy ona się czymś zajmuje? Pracami domowymi?

Rozejrzałem się wokół. W niewidocznych z zewnątrz pomieszczeniach zawsze panował nieporządek. Ale ten nieporządek się powiększał, rozprzestrzeniał. Zaczął wyciekać na schody. Na ich stopniach gromadziły się książki i stosy papierów. A potem wlał się do pokoiów na dole, niosąc falę brudnych filiżanek i talerzy. Czasami go atakowałem, a czasami nie widziałem w tym sensu. Kiedyś, gdy sprzątałem w swoim pokoju, pod łóżkiem natknąłem się na szklanekę z zastygłym brązowym płynem i nóż. Wzdrygając się ze wstydu, zażenowania i poczucia winy, owinąłem je w starą powłoczkę na poduszkę i wyrzuciłem do kubła za domem. Może wtedy dałem sobie spokój ze sprzątaniami. Mama zaś wynajdywała sposoby, żeby zniechęcać oboje dziadków do przyjazdu w odwiedziny.

– Tak – odpowiedziałem. – Zawsze coś robi w domu.

– A jak się ma twój ojciec?

– Chyba... lepiej. – Po namyśle uświadomiłem sobie, że to prawda. – Mama pojechała do niego przedwczoraj. Czasami pozwalają mu w biurze korzystać z telefonu. Rozmawiam z nim.

Jest coraz... pogodniejszy.

– Tak, słyszałam, że dzwoni. To wspaniale!

– Uhm.

Rzeczywiście za każdym razem, kiedy z nim rozmawiałem, coraz bardziej przypominał dawnego tatę. Staralem się wyrzucić z pamięci tamte jego okropne, drżące dłonie i okropny, drżący uśmiech; gdyby mi się to udało i gdybym mógł po prostu słuchać jego głosu, wydawałby mi się całkiem normalny. Wciąż jednak nie byłem pewny, czy chcę, żeby wrócił do domu. Czy to by mu pomogło, czy zaszkodziło?

– Niedługo Boże Narodzenie. Narysujesz dla niego ładną kartę świąteczną. Dziadek i ja już nie możemy się doczekać, kiedy przyjedziecie do nas z matką. Pamiętajcie, że teraz nasza kolej? W zeszłym roku byliście u rodziców ojca.

Staralem się o tym nie myśleć. Gwiazdka to zwykle trudny czas.

Przed rokiem Boże Narodzenie u dziadków, zaledwie kilka miesięcy po tamtym strasznym dniu, było dziwne.

Chyba wiedzieli, że z mamą jest coś jest nie tak, ale cierpiała na nerwy już po moim urodzeniu, więc może myśleli, że to jej wróciło. Nie wiem, czy zauważyli, że i ze mną jest coś nie tak. Babcia próbowała mnie kiedyś o to zapytać, ale udałem, że nie wiem, o co jej chodzi. Przy świątecznym obiedzie dziadek opowiadał dowcipy, żeby nas rozweselić.

Żegnając się z babcią przez telefon, pomyślałem z nadzieją, że tego roku będzie łatwiej. Mama i ja nabraliśmy wprawy w udawaniu normalności.

Przyszła więc zima, a z nią Boże Narodzenie i zaczął się nowy rok: 1947. A potem pogoda się pogorszyła; zima się stała nietypowo mroźna i nie wiadomo było, kiedy odpuści.

Najpierw, gdy patrzyłem przez okno salonu na łysą magnolię zwieszającą się nad trawnikiem, wyglądało to pięknie. Zarośnięty ogród był jakby pocukrzony – gałęzie i źdźbła trawy iskrzyły się od szronu.

Ale po mrozie nadszedł śnieg. Padał i padał, bez ustanku. W prognozach radiowych mówiono, że to najdłuższe opady śniegu, jakie odnotowano w Wielkiej Brytanii; najmroźniejsza zima; najgorsza od trzech stuleci. Zasy śnieżne w Szkocji sięgały siedmiu metrów wysokości, ale cierpiało każde miasto, każda wioska w kraju. To niebezpieczne – mówiono. Umrą ludzie.

To była trzecia zima od tamtego strasznego jesienno-go dnia. Staralem się nie myśleć o Jasiu spoczywającym pod śniegiem w swojej jamie.

Rozdział trzydziesty trzeci

„Ściany pałacu były zrobione ze śnieżnej zawiei,
a okna i drzwi z ostrych wiatrów”.
– z *Królowej Śniegu*

Annabel wyjrzała przez okno salonu i pomyślała: To będzie okropne.

Wiedziała. Ale co mogła na to poradzić? Miała świadomość, że do wieczora zostaną uwięzieni w domu.

Na zewnątrz rozciągał się obcy krajobraz. Ścieżki już nie było; pozostałe domy zniknęły z pola widzenia, zasłonięte górami i dolinami litej bieli. Równie dobrze mogłaby podziwiać widok z alpejskiej chaty.

Miała wrażenie, jakby wyglądała przez okno większość życia, i trudno jej było odsunąć od siebie wspomnienie Hansa, przybywającego do wsi tamtego wiosennego dnia przed prawie trzema laty, albo obraz strażników na progu, kiedy przyprowadzili zakrwawionego, poturbowanego chłopca, podczas gdy ona martwiła się o swojego zaginionego kochanka.

Patrzyła, jak od jej oddechu szyba pokrywa się szronem. Na drewnianej ramie okiennej lśniły lodowe gwiazdki, które wyglądały jak zbierające się kryształowe pająki.

Właśnie rozmawiała z Moirą. Teściowa zadzwoniła, aby jej powiedzieć, że lekarze wypisali Reggiego z kliniki. Mógł już wrócić do domu. Drogi oczywiście są na razie nieprzejezdne, ale gdy tylko nastanie odwilż, wyruszy do Bambury. Moira z Billem też zamierzali przyjechać; chcieli zatrzymać się w pokoju nad pubem, żeby powitać Reggiego w domu i pomóc mu się w nim odnaleźć. Annabel przypuszczała, że po ich odjeździe życie będzie toczyło się tak jak przed wojną. Jakby Hansa nigdy nie było.

Podniosła papierosa do ust i zaciągnęła się nim głęboko, wsłuchując w ciche skwierczenie, gdy stopniowo się spopielał. Strzepnęła go do popielniczki, którą trzymała w drugiej dłoni; kolumna popiołu osypała się jak konfetti. Ludzie jeden po drugim przestali wychodzić z domów. Słyszała, że RAF ma w niektórych częściach kraju zrzucać paczki z żywnością – zaledwie parę lat wcześniej samoloty zrzucały z nieba bomby.

Nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać, aż ta cholerna zima się skończy. Śnieg sypał od tygodni i wydawało się, że to koniec świata – że z każdym dniem jest on zasypywany coraz bardziej.

Tkwiała zamknięta w domu jak w trumnie. Z Danielem. Chodził za nią, śledził jej ruchy tym swoim smętnym wzrokiem. Chciał z nią rozmawiać. Desperacko pragnął czegoś, czego nie mogła mu dać. Czasami krzyczała, żeby zostawił ją w spokoju. To wszystko przez niego. Żle się przy nim czuła. I tak szybko rósł; miał już dwanaście lat. Nie mogła sobie wyobrazić, że kiedyś żył w niej.

Miała wrażenie, że chłopiec stale próbuje przywoływać wspomnienia lepszych chwil, co ją denerwowało; denerwowało i męczyło.

„Pamiętasz, jak tata otworzył spiżarnię i wypadły wszystkie puszki?”

„Pamiętasz, jak razem w nocy piekliśmy ciasto?”

„Pamiętasz, jak pomagaliśmy panu Finlayowi szukać psa?”

Pamiętasz? Pamiętasz? Pamiętasz?

Nie była głupia. Usiłował zabrać ją z powrotem w dawne czasy, sprzed „zdarzenia” – to neutralne słowo służyło jej jako skrót myślowy na określenie tego, co się stało tamtego okropnego dnia.

Nie mogła jednak wrócić do przeszłości; nie było idealnie nawet przed wojną, przed Hansem i tym odrażającym włóczęgą. Nie, nie potrafiła wrócić. Ale też nie mogła ruszyć do przodu. Tkwiła bezwolnie w danym dniu, momencie, nocnym koszmarze.

Kiedy o tym myślała, ogarniało ją dojmujące poczucie winy; ale prawda była taka, że chłopiec – jego poważna, uroczyta mina – przypominał jej to wszystko, o czym chciała zapomnieć.

Te śniegi tak by jej nie przeszkadzały, gdyby nie był zamknięty tu razem z nią. Mogłaby położyć się do łóżka i w nim pozostać, bez konieczności rozmawiania z kimkolwiek. Mówienie stanowiło taki wysiłek. Przez cały czas czuła się wyczerpana, chociaż w nocy spała głęboko, a za dnia drzemała.

Oczywiście wysiłkiem było też wstawanie, żeby się ubrać i pójść po zakupy na High Street, ale przynajmniej mogła się przejść, licząc, że spotka kogoś, kto przez jakiś czas ją zajmie. Miała także nadzieję, że usłyszy coś o Hansie, choć to było głupie z jej strony. Czy jeszcze gdzieś tam był, wciąż uciekając, czy wrócił bezpiecznie do domu, do Niemiec? Nadal nie mogła uwierzyć, że nie wysłał jej żadnej wiadomości. A może został gdzieś złapany albo napadnięty i dlatego się z nią nie skontaktował?

Zadawała sobie te pytania tysiące razy.

Kolejny papieros, wypalony przy oknie z widokiem na białą pustkę, był jak balsam na jej niespokojną duszę.

Starła się wierzyć, że śniegi wkrótce stopnieją, zostawiając po sobie smolisty osad, który także zniknie. Jednak w poniedziałek wreszcie pogodziła się z tym, że jest coraz gorzej i że będą siedzieć w domu aż do odwilży.

Annabel oderwała się od okna, zgasiła papierosa i odstawiła popielniczkę na zawalony innymi rzeczami kredens. Przeszła przez sień, żeby ubrać się przed wyjściem na mróz. Wiedziała, że nie wszystkie sklepy będą otwarte, ale zanim zostaną całkiem zasypane i odcięte od świata, musiała wybrać się do wsi, z kartkami na żywność.

Chłopiec był na górze, pewnie czytał w swoim pokoju, więc wychodząc, zawołała do niego, żeby przyniósł z piwnicy do salonu jak najwięcej węgla. Najlepiej cały. Bóg raczył wiedzieć, jak długo będą tkwili w zamknięciu.

Kiedy brnęła wśród zasp, śnieg pod jej stopami skrzypiał jak żwir. Lodowata wilgoć zaczęła przesiąkać przez buty. Annabel wiedziała, że ich skóra będzie poplamiona; już teraz jej palce musiały być białe i pomarszczone od przenikającej przez podeszwy wody. Chociaż niebawem straciła czucie w stopach, oprócz wrażenia piekącego zimna każdemu jej krokowi towarzyszył nieprzyjemny chłupot. Wiedziała, że będzie miała czerwone plamy na policzkach, tam, gdzie mroźny wiatr smagał jej twarz, świszcząc przy uszach.

Naciągnęła szalik na głowę i parła naprzód w stronę High Street, żeby uzupełnić zapasy. W nielicznych otwartych wciąż sklepach zamierzała kupić mięso i chleb, ale także produkty, które nie zepsułyby się w krótkim czasie: jajka w proszku, mleko skondensowane, konserwy.

Warzywniak był zamknięty. Stary Sid Mitchell i jego żona musieli uszczelnić drzwi, żeby

zaszyć się w mieszkaniu na tyłach sklepu. To u nich dowiedziała się o zniknięciu Hansa, a potem o zakończeniu wojny. Teraz, idąc, pokręciła głową, żeby nie myśleć o przeszłości. Z tą wsią łączyło się zbyt wiele wspomnień, ale musiała tu zostać, bo jak inaczej Hans zdołałby ją odnaleźć.

W powietrzu wokół niej zawirowały płatki śniegu, więc przyspieszyła kroku, żeby zająć do rzeźnika. Rozsypane na rudej betonowej podłodze trociny nie wchłaniały topniejącego śniegu wnoszonego na butach przez klientów.

Wszedłszy do środka, zobaczyła przy ladzie Jean Bainbridge; przywitały się niezręcznie. Annabel stopniowo przestała udawać, że są przyjaciółkami, chociaż przestrzegała norm towarzyskich.

– Właśnie mówiłam, że dziś jest znacznie gorzej niż wczoraj – powiedziała Jean, wskazując głową pana Luptona, który kroił na bloku rzeźnickim tuszę. – O wiele zimniej.

Rzeźnik się zaśmiał.

– Skoro tak pani mówi... Śnieg to śnieg, no nie?

Jean zerknęła na Annabel, zapraszając ją, żeby przyłączyła się do rozmowy. Jej włosy wydawały się jeszcze bardziej rude w zestawieniu z białą moherową czapką.

– Jest strasznie zimno...

– Strasznie – mruknęła Annabel. To słowo zabrzmiało, jakby wypluła je z ust. Sama była straszna.

Kupiwszy kawałek wieprzowiny, dokończyła zakupy i ruszyła w drogę powrotną do domu. Tuż przed zakrętem w Ivy Lane poślizgnęła się na lodzie i upadła twarzą do przodu na chodnik. Śnieg jednak zamortyzował jej upadek, a okrzyk, który wydała, zdawał się dochodzić z bardzo daleka.

Przez chwilę leżała w miękkiej zaspie. Było tak cicho. Krajobraz nie był już jednolity; po prostu zniknął.

Po chwili podniosła z chodnika siatkę z zakupami, otrzepała śnieg z płaszcza i ruszyła dalej. Pod wpływem lodowatego wiatru łzawiły jej oczy i niewiele widziała.

Pomyślała, że w domu przebierze się w suche ubranie. Może przed lunchem strzeli sobie szklaneczkę ginu. Na rozgrzewkę.

Wszedłszy do domu, zaniósła siatkę do kuchni i zawołała chłopca, prosząc, żeby schował zakupy do spiżarni. Zbiegł po schodach i zajął się tym.

Po wyjściu z kuchni skierowała się do salonu, żeby zrobić drinka.

Czuła na sobie spojrzenie chłopca, na pewno irytująco smutne. Wydawało jej się, że chciał coś powiedzieć, ale wyszła, zanim zdążył sformułować zdanie.

Znalazłszy się na górze, ściągnęła z siebie przemoczone ubranie i ciężko usiadła przy toalecie. Miała na sobie tylko halkę.

Było na to za zimno. Żeby oszczędzać węgiel, powinna była palić tylko w salonie i przebywać na dole, ale coraz więcej czasu spędzała w swoim pokoju, więc podtrzymywała tu mały ogień.

Drewno, które kupowała u Hansa, skończyło się już dawno temu, a nie mogła się zdobyć, żeby wrócić do sadu i uzupełnić zapasy u innego jeńca. Zaczęła kupować węgiel od węglarza – nie dbając o koszty ani niedobory, mimo wysiłków młodych poborowych, wysyłanych do pracy w kopalniach. Wielu jeńców wojennych odprawiono już do domu, choć słyszała, że niektórzy postanowili zostać.

Ogień na kominku był zbyt słaby, żeby ogrzać cały pokój; czuła ciepło tylko wtedy, kiedy

stała bezpośrednio przed nim; palił jej łydki, podczas gdy z tyłu było jej jeszcze zimniej.

Mimo to znowu usiadła w halce przy toalecie i spojrzała na siebie w lustrze. Nie miała siły włożyć koszuli nocnej i szlafroka. Chociaż w końcu musiała to zrobić, żeby położyć się pod kołdry i narzuty, które piętrzyły się na łóżku. Inaczej niż księżniczka na ziarnku grochu – zamiast spać na tym wszystkim, miała pod to wejść.

Pociągnęła łyk ginu – już czwarty czy piąty? – i przyjrzała się swojej twarzy. Miała trzydzieści jeden lat. Wciąż wyglądała młodo; łatwo można było wziąć ją za dziewczynę po dwudziestce. Widziała drobne zmarszczki w kącikach oczu. Ze względu na porę roku była blada – a czerwona szminka, którą przed wyjściem z domu umalowała usta, jeszcze to podkreślała – ale mogła się podobać. Wciąż była całkiem ładna. Pomyślała o Reggiem, który wkrótce miał wrócić do domu, ale nic nie poczuła.

Zimno przeniknęło ją do kości i zadrzała. Postanowiła, że przed pójściem do łóżka weźmie kąpiel, więc powlokła się do łazienki, aby napuścić wody do wanny.

Naga, leżąc w wannie, która powoli się napełniała, i popijając gin, dalej próbowała ocenić swoją urodę. Ciało miała jędrne, choć powinna być trochę okrąglejsza, żeby zachować figurę w kształcie klepsydry, na czym zawsze jej zależało. Na piersiach prawie nie było śladów po urodzeniu dziecka, a rozstępy na płaskim brzuchu zbladły do niemal niewidocznych białych linii; maleńkie zgrubienia na skórze niczym sekret.

Jeśli nikt jej nie oglądał, nie rozmawiał z nią ani jej nie kochał, to po co żyła?

Rozdział trzydziesty czwarty

„Coś obok zaszeleściło; zupełnie jakby cienie
prześlizgiwały się po ścianie, konie o rozwichrzonych
grzywach i smukłych nogach...
– To są tylko sny! – powiedziała wrona”.
– z *Królowej Śniegu*

Usłyszałem, że z łazienki idzie do swojego pokoju – na drzemkę. Nie minęło jeszcze południe, ale mama często spała w ciągu dnia. Zazdrościłem jej, że może tak spać – głęboko, nienawiedzana przez potwory. Ale miło było pomyśleć, że spokojnie odpoczywa na górze.

Wróciłem do komiksu z „Boy’s Own” przy stole kuchennym. Nie czytałem już bajek. Winiłem je za kłamstwa, które przychodziły mi tak łatwo, kiedy byłem młodszy. Te wszystkie bzdury o trollach, drwalach i tak dalej. Budziły we mnie wstyd, zażenowanie. Kłamstwa były jak bajki i równie niebezpieczne jak one.

Choć może nie wszystkie opowieści w tych starych książkach stanowiły wytwór wyobraźni. Może potwory istniały naprawdę. Widziałem je. Widziałem w realnym życiu. I to one prześladowały mnie w snach.

Te koszmary w dziwny sposób brały początek z bajek.

Szukając Kaja, Gerda z *Królowej Śniegu* rozmawiała z różami, żeby się dowiedzieć, czy nie spoczywa on w ziemi, tam gdzie ich korzenie. Ja nie musiałem z nimi rozmawiać; dobrze wiedziałem, co się w niej kryje. Te zimne ciała, rozkładające się wśród korzeni drzew, pragnęły, żebym do nich dołączył.

Człowiek z szybu kopalnianego wzywał mnie z jękiem. Jego ręka wyskakiwała z wilgotnej ziemi, ze źdźbłami trawy przyklejonymi do brudnych, wychudłych palców, łapiąc mnie za nogi, gdy próbowałem przejść nad miejscem, w którym leżał.

Albo było to inne straszidło, o matowych ciemnych włosach, zaglądające mi w duszę zaczerwienionymi oczami, kiedy jego łeb eksplodował od uderzenia drewnianą pałką. Wbijało we mnie wzrok jeszcze wtedy, gdy ciało odrywało się od twarzy wokół oczodołów. Czasami, wydając ostatnie tchnienie, patrzyło na mnie, jakbym to ja był potworem, najgorszym ze wszystkich.

Dobrze, że krzyczałem, bo wtedy się budziłem.

Musiała mnie słyszeć, ale nigdy nie przychodziła. Ani później o tym nie wspominała.

Naciągała kołdrę na głowę? Zaskłaniała uszy, żeby uciec od moich krzyków?

Tamta noc, kiedy patrzyłem na jej skuloną postać siedzącą na schodach; to był kolejny koszmar, który czasami mnie dręczył. Siedziała tam milcząca, nic nie widząc, nawet gdy przed nią stawałem. A kiedy chciałem jej dotknąć, żeby mnie zobaczyła, moje ręce przenikały przez nią, bo już nie istniała – czy może ja nie istniałem dla niej?

Karą dla mnie były moje własne strachy, bo sobie na to zasłużyłem. Zasłużyłem na to, żeby od czasu do czasu budzić się z krzykiem, w ciepłym, cuchnącym moczu, przez tę rękę, która się-

gała po mnie z ziemi.

Zerwałem się od stołu i pobiegłem na górę, jakbym mógł uciec przed własnymi myślami.

Drzwi jej pokoju nie były zamknięte z powodu bałaganu na podłodze, więc zakradłem się, żeby spojrzeć na nią, jak śpi. Wyglądała tak spokojnie. Podobało mi się nawet, że zostaniemy razem zasypiani śniegiem. Urządzilibyśmy się w środku ciepło i przytulnie. Myślałem, że moglibyśmy zacząć od nowa w naszym domku pod tą bielą. W śniegu wszystko wygląda bajkowo, czyż nie?

Nie byłem w stanie myśleć o samych bajkach, ale tęskniłem za wspólnymi chwilami, kiedy mi czytała. Nie mogłem jej prosić, żebyśmy do tego wrócili, ale zastanawiałem się, czy nie ma jakiegoś innego sposobu, który by nam pozwolił znowu się do siebie zbliżyć. A gdybym przypomniał jej o tamtych wieczorach? Wiedziałem, że też je lubiła. Potem pomyślałem o Pupilkach; tak bardzo je kochała. Gdybym jej o tym przypomniał, może uświadomiłaby sobie, że tak czuła, bo pragnęła prawdziwego Pupilka. Czyli mnie.

Kilka z tych lalek znajdowało się na górnej półce w moim pokoju. Może powinienem je zdjąć? Ucieszyłyby się na ich widok – na pewno poprawiłby jej się humor. Przebiegłem przez korytarz do swojego pokoju i zaciągnąłem do regału wiklinowy fotel, żeby na nim stanąć. Nie mogłem dosięgnąć żadnej Pupilki, ale udało mi się chwycić jedną z nich za zakurzoną spódnicę. Ściągnąłem porcelanową lalkę i usiadłem z nią na łóżku, żeby ją trochę otrzepać. Musiała tkwić tam przez wiele lat. Kurz i pajęczyny tworzyły razem cienkie szare pasma, które jak włosy opadały na jej bladą różową buzię. Polizałem kciuk i potarłem porcelanę; ukazały się patrzące na mnie niebieskie oczy i małe różowe usta. Strzepnąłem największy kurz z jasnych loczków i wyblakłego różowego bezrękawnika. A później zajrzałem do pokoju mamy.

Wciąż spała pod stertą koców i ubrań. Część z nich zsunęła się z rogu łóżka, więc posadziłem tam Pupilkę, żeby mama ją zobaczyła, gdy tylko się obudzi.

Zamierzałem zejść do kuchni i zaparzyć dzbanek herbaty, ale zostałem jeszcze chwilę i na nią patrzyłem. Jej ciemne włosy spoczywały rozsypane na poduszce; miała piękną twarz.

Czasem mi się wydawało, że przez całe życie czekam, aby otworzyła oczy i wreszcie mnie zobaczyła.

Rozdział trzydziesty piąty

„Pośrodku pustej, nieskończonej,
śnieżnej sali leżało zamrożone jezioro, które popękało
na tysiące kawałków, ale jeden kawałek był podobny
do drugiego, było to prawdziwe dzieło sztuki; pośrodku
tego jeziora siadywała Królowa Śniegu”.
– z *Królowej Śniegu*

Śnieg powoli zasypywał dom. Zasypywał ją. Był coraz wyżej i wyżej, sięgał okien, cicho otulał ściany. Niebawem miał odciąć światło. Czy przez zasypane okna i drzwi będzie dostawać się do środka powietrze? Usiadła na łóżku, gwałtownie zaczerpując tchu. Po kąpeli naciągnęła na siebie kolejne warstwy ubrań, które zaczęły ją dusić. Szarpnęła za golf drapiącego wełnianego swetra.

Powietrza! Potrzebowała powietrza.

Zaczęła szamotać się z kocami, walcząc z nimi, bo pętały ją niczym sznury. W brzuchu przelewał jej się gin, głowę miała ciężką i było jej niedobrze. Gdy tak się miotła, żeby wstać z łóżka, dostrzegła coś kątem oka i krzyknęła. Nie mrużąc oczu, patrzyła na nią Pupilka. Annabel nie rozumiała. Sięgnęła po lalkę. Lodowate niebieskie oczy w porcelanowej buzi zdawały się przenikać do jej duszy, odkrywając w niej brak wszelkiej miłości. Pupilka wiedziała, kim tak naprawdę jest jej właścicielka: niewierną żoną, zdrajczynią, złą matką. Ale ona będzie musiała udawać, już wiecznie udawać kogoś innego, bo Reggie wracał do domu. Pomyślała, że to się nigdy nie skończy.

Wokół niej zamykały się ściany. Spadła z łóżka na zabałaganioną podłogę. Czołgając się do drzwi, odepchnęła Pupilkę, odsunęła z drogi puste szklanki i brudne talerze. Dusila się. Pokój stawał się coraz mniejszy. Musiała wyjść na dwór – odetchnąć zimnym, świeżym powietrzem – bo jej płuca także się kurczyły.

Chwiejąc się na nogach, uchwyciła się poręczy i łapiąc powietrze, zeszła po schodach. Nie mogła oddychać.

Coś było nie tak z frontowymi drzwiami; nie chciały się otworzyć. Ciągnęła i szarpała zasuwę, ale ta nie ustępowała. Albo od śniegu wypaczyła się framuga, albo zamarznął zamek. Z okrzykiem frustracji pobiegła do tylnych drzwi w kuchni; pomyślała, że może z nimi pójdzie jej łatwiej.

Ale zebrał się już pod nimi śnieg i ich też nie dało się otworzyć. Napierała na nie, próbując uciec.

– Wypuście mnie! – zawołała. – Wypuście mnie!

– Mamo?

Obróciła się na pięcie. W kuchennych drzwiach stał chłopiec i na nią patrzył. Miał wytrzeszczone oczy i wyglądał na przestraszonego.

– Pomóż mi! Muszę się stąd wydostać. Pomóż mi. – Odwróciła się, żeby ponownie natrzeć całym ciałem na drzwi i uderzyć w nie ramieniem. – Nie mogę oddychać.

Chłopiec początkowo się nie ruszył, ale zaraz potem znalazł się przy niej i zaczął pchać drzwi razem z nią. Wysoka na metr zaspą w końcu trochę ustąpiła. Chłopiec przecisnął swoją małą rękę przez szparę w drzwiach i odgarnął śnieg. Kiedy w końcu ją cofnął, jego rękaw był pokryty lodem, a sama dłoń – czerwona z zimna. Annabel znowu w panice rzuciła się na drzwi i chłopiec się odsunął.

W końcu szpara była na tyle duża, że Annabel mogła się przez nią przecisnąć.

– Twoje stopy!

Spojrzała w dół i zobaczyła palce w pończochach, wyzierające spod nogawek grubych spodni. Niezgrabnie, ledwo nad sobą panując, wróciła szybko do przedsionka i wetknęła stopy w buty, które zostawiła tam wcześniej, po czym rzuciła się w stronę wieszaka i ściągnęła z niego płaszcz.

– Dokąd idziesz?

Głos chłopca brzmiał dziwnie, jakby gardło ścisnęła mu jakaś dłoń. Ale Annabel skupiła się na zapinaniu guzików.

– Potrzebuję powietrza.

Pobiegła z powrotem w stronę tylnych drzwi.

– Chcę się przejść. Muszę się poruszać.

– Ale znowu będzie śnieżyć!

– Muszę... Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. Spacer mi dobrze zrobi. Muszę stąd wyjść.

Przeciskając się przez szparę w drzwiach, przekreśliła głowę i spojrzała na syna, który cały czas na nią patrzył. Straciła jednak jego twarz z pola widzenia, uciekając z ciemnego dusznego domu w czystą białą przestrzeń.

Lodowate powietrze zmroziło jej gardło i płuca; zaczęła płakać. Czuła, jak łyż zamarzają jej na twarzy.

Rozdział trzydziesty szósty

„I Królowa Śniegu odfrunęła, a Kaj został
zupełnie sam w olbrzymiej lodowej sali”.

– z *Królowej Śniegu*

Kiedy wyszła, w domu zrobiło się bardzo cicho. Śnieg już nie tylko wyglądał jak kulki bawełny, ale także miał podobne działanie, bo tłumiał wszystkie dźwięki. Pomyślałem, że powinienem zostawić drzwi otwarte, żeby mama mogła dostać się z powrotem do środka. Ale było zimno. Od odgarniania śniegu bolała mnie ręka, więc ją roztarłem, żeby do zmarzniętych palców wróciło ciepło. Zimno napływało przez szparę w drzwiach jak lodowata rzeka, grożąc zalaniem całego domu. Więc je zamknąłem i zapanowała jeszcze większa cisza.

Wycofałem się z kałuży stopionego śniegu na kuchennej podłodze. Cały drżałem.

Co ona zamierzała? Pobiegłem do salonu i wspiąłem się na parapet, żeby spojrzeć nad zaspami. Dotarła już do furtki i wyszła na ulicę. Żeby lepiej widzieć, podniosłem firankę. Mama potykała się, jakby była chora, ale domyślałem się, że stara się zachować równowagę na śniegu i lodzie. Kierowała się do lasu. Patrzyłem za nią, aż straciłem ją z oczu. Niebo było szare, w odcieniu brudnego śniegu, między jasnym a ciemnym, mimo że dopiero niedawno minęło południe. Jednak w zimie dni są krótkie; wiedziałem, że w porze herbaty będzie już ciemno choć oko wykol.

Poszedłem na górę, żeby zdjąć mokre ubranie, i aż się zatchnąłem, gdy moją gołą pierś owiało zimne powietrze. Szczękając zębami, wciągnąłem na siebie kolejno dwa swetry. Były na mnie za małe, więc zawsze musiałem się namęczyć, żeby je włożyć. Potem otuliłem się kołdrą jak płaszczem i szedłem do salonu, żeby dorzucić do ognia i na nią czekać. Potrzebowała mojej pomocy, inaczej nie da rady dostać się do domu.

Byłem zbyt niespokojny, by czytać, czy nawet słuchać radia. Siedziałem w ciszy, nasłuchując jej stłumionych kroków. Czasami przysypiałem. Podeszedłem do okna, żeby zobaczyć, czy nie wraca. Ale za szybą rozciągała się biała pustka. Wróciłem więc z kołdrą na fotel.

Z nieba zaczęły spływać płatki śniegu, nie małe, delikatne, ale duże – zlepek kilku mniejszych, które razem zamarzły – i sypało coraz gwałtowniej.

Z powodu śnieżycy ledwie widziałem furtkę, gdy znowu wspiąłem się na parapet. Wiedziałem jednak, że bezkresna biel rozprzestrzenia się coraz bardziej. Ponownie usiadłem w fotelu. Musiałem tylko czekać, aż usłyszę jej łomotanie do drzwi. Niedługo wróci z tej swojej przechadzki; nikt długo nie wytrzyma w taką pogodę.

Znowu dorzuciłem do ognia i obserwowałem strzelające w górę płomienie.

Po jakimś czasie zrobiło się zbyt ciemno, żeby widzieć padający śnieg. Włączyłem lampę na bocznym stoliku i nagle zobaczyłem na czarnym szkłe tylko siebie i pokój. Ten lustrzany obraz był dziwny; miałem wrażenie, jakbym zaglądał do innego świata z innym sobą. Wyglądał niby tak samo, ale odmiennie. Za sprawą ognia i złotego blasku lampy wydawał się ciepły i przytulny.

Gdyby zawróciła, kiedy tylko zaczął padać śnieg, na pewno byłaby już w domu. Czy tak? Usiłowałem policzyć czas. Jak długo jej nie było? Nie bardzo wiedziałem, ale wyszła dawno, więc gdyby wędrowała w prostej linii i zawróciła, kiedy zaczęło śnieżyć... Ach, przecież nie wziąłem pod uwagę głębokich zasp, przez które musiała się przedzierać, i śnieżycy, przez którą trudno było cokolwiek zobaczyć. Nie pomyślałem też, dokąd dotarła. Może wciąż tam była. Zmierzała w stronę lasu. Niewykluczone, że ukryła się pod drzewami, aby przeczekać najgorsze. Albo – mało prawdopodobne, bo ja sam nie chciałem nigdy tam zaglądać – schowała się w chatce, to znaczy w szopie, żeby... powspominać. I teraz tkwiła w środku, planując powrót, kiedy przestanie sypać. Może nawet wstąpiła na farmę Dawsona – chociaż zwykle starała się go unikać – żeby posiedzieć w ciepłe. To miałyby sens. Tak musiała zrobić. Okryty kołdrą odchyliłem się na oparcie fotela.

Dręczył mnie jednak niepokój. Byłem gotów zerwać się na nogi, gdy tylko ją usłyszę. Ale śnieg nie ustawał, a ona nie wracała.

Czekałem i czekałem. Gryzłem się. To nasłuchiwanie, te emocje... Czekałem na jej powrót, tak jak kiedyś Jaś czekał na mnie. Nie mogłem znieść tej myśli, więc wstałem i znowu wdrapałem się na parapet, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Zmrużyłem oczy, wypatrując jej jasnej twarzy w mroku nocy albo ciemnego płaszcza na tle bieli śniegu. Nie widziałem jednak ani tego, ani tego.

Poszedłem do kuchni, żeby sprawdzić, czy nie przyszła przez ogród. Ale nie. Wróciłem na swoje stanowisko w salonie.

Och! Co ja sobie myślałem? A jeśli coś jej się stało? I teraz leżała gdzieś ze skreconą kostką? Przypomniałem sobie, jak się potykała i jak było ślisko. A ja przez cały czas siedziałem sobie w fotelu przed kominkiem. Musiałem pójść jej poszukać. Przyszła mi do głowy dawna myśl – zapomniałem o tym, odkąd skończyłem dziewięć lat: mogłem ją uratować!

Ciężko było wciągnąć zeszłoroczne palto na warstwę ubrań, które miałem już na sobie; buty także były na mnie za małe, ale włożyłem je pospiesznie. Naciągnąłem wełnianą czapkę i rękawiczki. Znajdę ją – postanowiłem! I pomogę jej wrócić do domu.

Szarpałem się z drzwiami frontowymi, dopóki nie zrozumiałem, że nie uda się ich otworzyć, pobiegłem więc do tylnych. Ale gdy nacisnąłem klamkę, żeby wyjść do ogrodu, stawily opór; wcześniejszy śnieg, który udało nam się odgarnąć, musiał wpaść w szczelinę i zablokować drzwi, a teraz spadł świeży i go przykrył, tak że nie dało się wyjść na zewnątrz.

Napałem na drzwi całym ciałem, ale byłem jak piłka, która odbija się od ceglanego muru, i tak się czułem: jakbym uderzał w cegły i beton. Wpadłem w panikę i zacząłem na nie nacierać, stękając raz po raz. Przypomniałem sobie, jak przed kilkoma godzinami zastałem mamę w takiej samej sytuacji. Rozpłakałem się, gdy do mnie dotarło, ile wysiłku kosztowało nas razem zaledwie uchylenie drzwi. A teraz byłem sam.

Przekląłem siebie za to, że jestem taki mały i słaby, że zmarnowałem tyle czasu, siedząc w salonie, kiedy śnieg powoli odcinał mnie od świata. Wtedy pomyślałem o oknach – jednak te na dole otwierały się na zewnątrz i były już kompletnie zasypane śniegiem. Popędziłem więc na górę i zacząłem biegać z pokoju do pokoju, licząc, że będę mógł wyskoczyć z któregoś okna, bo zasp były miękkie i sięgały wysoko – ale okazało się, że tak samo jak drzwi frontowe wszystkie okna zamarzyły na amen. Czy miałem wybić szybę? Mama byłaby wściekła, gdyby to zobaczyła. I w ten sposób wpuściłbym do domu zimno i śnieg; a nowej szyby nie dałoby się wstawić aż do odwilży, kiedy wreszcie życie wróciłoby do normalności. A poza tym gdybym skoczył w śnieg,

to czy nie zapadłbym się w niego? Mógłby mnie przykryć po głowę – jak wtedy bym się z niego wydostał i poszedł na poszukiwanie mamy? Nie. To nie był dobry plan. Musiała wrócić samodzielnie, bo aby potem dostać się do domu, potrzebowała mojej pomocy – jedno z nas by pchało drzwi albo okno, a drugie ciągnęło.

Nie zamierzałem spać – nie sądziłem, że to w ogóle było możliwe – ale musiałem przysnąć. Kiedy się obudziłem, bolała mnie szyja, bo moja głowa spoczywała niewygodnie na oparciu fotela. Panowały ciemności, paliła się tylko lampka obok. Więc wciąż była noc, a mama nie wracała. Wyrząłem przez okno. Śnieg na górze był jaśniejszego koloru, miał niemal błękitny odcień. Co było tego powodem? Zorientowałem się, dopiero gdy poszedłem na górę do toalety. Na dworze nie było wcale ciemno. Nastął dzień.

W domu zrobiło się strasznie zimno; ogień w salonie wygasł. Ale w lodowatej łazience bardziej niż z zimna drżałem ze strachu. Mama była poza domem przez całą noc.

Gdy patrzyłem przez okno, znowu zaczął padać śnieg. Wyobraziłem ją sobie na farmie u Dawsona albo w którymś z domów przy ulicy, gdzie niechętnie zgodziła się zostać do rana. Może właśnie w tej chwili sama wyglądała na dwór, mówiąc do kogoś: „Hm, nie możemy jeszcze wyjść, musimy poczekać... na pewno w końcu się przejaśni”. Nie wszyscy we wsi mieli telefon, więc pewnie nie mogła mnie zawiadomić, że jest cała i zdrowa. Kiedy schodziłem po schodach, ciągnąc za sobą kołdrę, pomyślałem o telefonie. Nie chciałem martwić dziadków, ale... Nie było jej przez całą noc. Nagle poczułem potrzebę, żeby usłyszeć spokojny głos babci. Nie mogła w żaden sposób pomóc, bo była daleko, w Norfolk, ale mogła mi poradzić, co zrobić. I gdy ja czekałbym na mamę, z kimś by się porozumiała.

Nigdy wcześniej do nikogo nie dzwoniłem, ale wiedziałem, jak to się robi. Mając jakiś plan, od razu poczułem się lepiej. Postanowiłem, że zatelefonuję do babci, rozpalę ogień w salonie, zjem śniadanie. Podniosłem słuchawkę.

– Halo, centrala?

Na linii panowała głucha cisza. Nacisnąłem widełki kilka razy, słysząc tylko ciche klikanie, potem spróbowałem znowu.

– Centrala?... Centrala? Jest tam kto?

Nic. Tylko trzaski na linii, które brzmiały jak odgłosy burzy.

– Halo? Czy ktoś mnie słyszy? Centrala?

I tyle. Śnieg musiał zerwać linie telefoniczne. Jak w takich warunkach mogły przetrwać nietknięte te cienkie kable, słabe drewniane skrzynki? A gdyby nawet, jak telefonistki dostałyby się do centrali, kiedy drogi były zasypane, pociągi nie kursowały, a cały kraj został odcięty od świata?

Przez jakiś czas patrzyłem na bezużyteczny telefon. Nie chciałem wracać do ciemnego pokoju i zastanawiać się co dalej – rozpałać ognia, jeść, czekać na mamę. Wydawało jej się, że może wyjść i wrócić, ale się pomyliła, a teraz pewnie minie kilka dni, zanim znowu się zobaczymy. Żeby mi szczękały i nie wiedziałem, czy z zimna, czy ze strachu.

Zostałem sam, bez niej. Bałem się tego przez całe życie. Wszystko, co robiłem – te straszne rzeczy, kiedy miałem dziewięć lat – to wszystko było dla niej. Nie chciałem, żeby mnie zostawiła.

Rozdział trzydziesty siódmy

„Przyglądał się kawałkom lodu i myślał, myślał”.
– z *Królowej Śniegu*

W pierwszych dniach wytworzyła się pewna rutyna. Wstawałem z łóżka, rozpalałem ogień, jadłem śniadanie – chleb z masłem, które trzymałem na kredensie, żeby nie chodzić do lodowatej kuchni – i przez resztę dnia wynajdywałem sobie jakieś rozrywki, robiąc przerwę na lunch i kolację, kiedy już mi się nudziło albo zgłodniałem. Smażyłem jajecznicę z jajek w proszku, wcinałem kanapki i krakersy albo podgrzewałem na ogniu pomidory konserwowe i jadłem je prosto z puszki.

Bez celu krążyłem po domu. Zachodziłem do pokoju taty, zaglądałem do szafy i przypominałem sobie wszystkie jego ubrania; podwijając rękawy i nogawki, wkładałem na siebie spodnie, swetry. Było mi w nich wygodniej i cieplej niż we własnych. Nie pachniały nim – zalatywały środkami do prania – ale czułem się, jakby był przy mnie. Nosilem na sobie także jego zimowy płaszcz, na który narzucałem jeszcze kołdrę.

Czytałem. Słuchałem radia – podśpiewując do piosenek zespołów muzycznych i słuchając wiadomości o pogodzie; audycje odwoływano, bo nie dojeżdżali ich uczestnicy. W miarę jak pogarszała się pogoda, radio działało coraz słabiej, aż wreszcie w ogóle przestało. Co jakiś czas gasło światło, a wtedy przypominałem sobie, jak mówiono w wiadomościach, że elektrowniom brakuje węgla. I to wszystko; siedzenie samemu w zasypanym śniegiem, ciemnym domu nie było takie straszne. W szufladzie w kuchni znalazłem tylko jedną świecę, która szybko się wypaliła. Nie znosiłem tych ciemności i czekania, bo mimowolnie myślałem: czy tak czuł się Jaś, zanim... Czy to ma być dla mnie kara? Od czasu do czasu sprawdzałem, czy działa telefon, ale w słuchawce słyszałem tylko trzaski i syki.

Któregoś razu dla rozgrzewki zacząłem biegać po schodach w górę i w dół. Okazało się to tak skuteczne, że się spociłem, i kiedy ostygłem, w wilgotnym ubraniu było mi jeszcze zimniej. Zostało trochę węgla i cieszyłem się, że mama kazała mi napełnić nim nie tylko trzy duże kosze, ale także kilka wiader przy kominku, na wypadek gdyby nie dało się wyjść na dwór, do komórki.

Niebawem zdałem sobie sprawę, że powinienem racjonować żywność. Darowywałem sobie lunch. Kiedy resztki chleba spleśniały, opiekłem go nad ogniem i zjadłem cały naraz, z kawałkami zimnego masła, żeby zabić obrzydliwy smak. Mięso dawno się skończyło i w spiżarni pozostało tylko kilka konserw. Zacząłem rezygnować także z kolacji.

Powoli przestałem wychodzić z salonu; opuszczałem go tylko wtedy, gdy musiałem. W pozostałych częściach domu było za zimno; równie dobrze mógłbym wyjść na dwór. Lepiej było siedzieć tam, mimo ciemności. Sikałem do metalowego kubła, w którym kiedyś był węgiel, chociaż musiałem chodzić do toalety, kiedy zachciało mi się coś więcej. Ale nie zdarzało się to często. Mój brzuch stał się twardy i obrzmiały; nic z niego nie wychodziło. Chyba za mało jadłem.

Czasami płakałem i nie znosiłem siebie za to. W końcu miałem już dwanaście lat. Nie byłem

małym chłopcem.

Gdyby sąsiednie domy stały bliżej, mógłbym do nich podejść i walić w mury, licząc na jakąś reakcję. Ale nikt by mnie nie usłyszał, więc dałem sobie spokój. Zza zasp nie było widać nawet domów naprzeciwko i kiedy wyglądałem, nie widziałem nikogo w oknach.

Skulony w fotelu dużo spałem. Z pokoju mamy i swojego zabrałem narzuty, żeby się nimi przykrywać. Drzwi salonu uszczelniłem od dołu ręcznikami, bo chciałem w ten sposób zapobiec przeciągom. Tak samo zrobiłem z drzwiami frontowymi i tylnymi. Przesypiałem całą noc i spałem godzinami za dnia. Za każdym razem, kiedy się budziłem, czułem, że zimno i tak przeniknęło przez mój kokon. Narzuty były tak lodowate, że sprawiały wrażenie mokrych. Wyciskałem je w rękach, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście jest w nich woda. Rankiem w oknach od wewnątrz był szron, który utrzymywał się przez cały dzień. W ramie okiennej w łazience pojawiła się szczelina, i to duża. Co drugi dzień nie jadłem śniadania. Dużo myślałem o jedzeniu. Czasami aż bolał mnie brzuch i dobywały się z niego dziwne odgłosy.

Polubiłem ciężką pracę, żeby mieć powód do wstania, ale coraz trudniej było mi rozpalic ogień. Mój umysł pracował jakby wolniej, był przymglony. Nie wyobrażałem sobie, skąd miałem kiedyś energię, żeby biegać po schodach, nie mówiąc już o kursach w dół i w górę bez powodu. Kiedy to było? Tydzień wcześniej? Dwa? Liczyłem w głowie dni, ale powoli mi się mieszały, więc dałem sobie spokój. Z jedzenia została w domu już tylko kulka masła. Każdej nocy, po wygaśnięciu ognia, zamarzało na kamień. Odkrawałem co drugi dzień po cienkim płątku i zjadałem. Trzymałem je w ustach, aż się rozpuściły, powodując napływ śliny.

To dziwne, ale nie było mi już zimno. Kiedy zdejmowałem rękawiczki, palce miałem niemal niebieskie, ale ich nie czułem. Gdybym tylko miał siły, mógłbym nawet zdjąć część tych warstw, które nosiłem na sobie.

Pewnego dnia musiałem pójść do kuchni, żeby nabrać do kubków wody. Czułem się tak zmęczony, że łatwiej było mi się tam zachołgać, co jednak z kołdrą na ramionach, w krępujących ruchy ubraniach, z dwoma kubkami w ręce, okazało się trudniejsze, niż myślałem. Kiedy wreszcie dotarłem do zlewu i wstałem, żeby przekręcić kurek, nic z niego nie pociekło. Wytrzeszczyłem oczy. Przekręciłem go jeszcze raz i jeszcze raz – do samego końca, ile się dało. Rury zamarły. No oczywiście. Dziwne, że stało się to dopiero teraz.

Byłem tak słaby, że nie mogłem nawet wrócić do stosunkowo ciepłego salonu. Usiadłem na podłodze i obserwowałem własny biały oddech, który pojawiał się przed moją twarzą niczym obłoczek. Zastanawiałem się, czy umrę. I jakie to będzie uczucie.

Po jakimś czasie powlokłem się z powrotem do fotela przed kominkiem. Nie mogłem zrobić nic innego. Czy mam napisać do mamy liścik? – myślałem. I wyjaśnić, że dałem z siebie wszystko. Że o nic jej nie winię. I mam nadzieję, że dobrze jej tam, gdzie jest. Mógłbym napisać także do taty, do jednych dziadków i drugich. I zostawić te listy na kredensie – w razie czego. Ale byłem taki śpiący. Uznałem, że najpierw trochę się zdrzemnę.

...Śnieg to zamrznięta woda, no nie? Obudziłem się z tą myślą. Dom był otoczony wodą. Woda była wszędzie.

Wziąłem z kuchni wałek i poszedłem na piętro. Wspinałem się po schodach jakby na szczyt góry. Nie miałem energii i poruszałem się wolno – ale chciało mi się pić. Pragnienie jest silniejsze od głodu – odkryłem. Śnieg nie zasypał domu całkowicie i na piętrze było jeszcze trochę naturalnego światła. Chwyciłem wałek w dłonie w rękawicach i uderzyłem nim w okno łazienkowe, w którym wcześniej zrobiła się szpara. Już się nie martwiłem, że mama będzie zła

z powodu wybitej szyby. Kręciło mi się w głowie i musiałem odpocząć; przysiadłem więc na brzegu wanny. To pomogło; po prostu nie doszedłem jeszcze do siebie po wspinaczce na górę. Mój plan wiązał się z wpuszczeniem do domu dodatkowego zimna, ale zawsze był to jakiś plan. Zamierzałem nagarnąć śniegu na tacę i zanieść na dół, żeby napełnić wodą kubki, miski i inne naczynia. Zapomniałem jednak o zabraniu tacy. Nieważne; pomyślałem, że użyję obrazu w ramie, który wisiał u szczytu schodów. Po jakimś czasie znowu kilka razy uderzyłem w szybę i wreszcie ją rozbiłem. Wałkiem zrobiłem w niej dziurę i w zaspę za oknem wbiło się szkło. Zebrałem kawałki zmrożonego śniegu i wrzuciłem do umywalki. Potem wziąłem garść do ust, jedną, drugą i trzecią. Długo trwało, zanim zaspokoilem pragnienie; kęs śniegu nie zamieniał się w łyżkę wody. Ale przynajmniej już wiedziałem, że nie umrę. W każdym razie jeszcze nie. Byłem ciekaw, jak bym się wtedy czuł. Było zimno i gdy przełykałem stopiony śnieg, on mroził mi gardło. Piłem go jednak dalej, aż miałem wrażenie, że jestem cały z niego.

Rozdział trzydziesty ósmy

„Czy zimno ci jeszcze? – spytała i pocałowała go w czoło. Pocałunek był zimniejszy od lodu, dotarł prosto do serca, które już i tak na pół zlodowaciało; było mu tak, jak gdyby miał umrzeć”.

– z *Królowej Śniegu*

Śniegi topniały. Uznałem, że to dobry znak. Radio znowu zaczęło grać, ale spikerzy w Londynie poważnymi głosami donosili o strasznych powodziach w całym kraju; wysokie na wiele metrów zasy się topiły, płynęły drogami i wpadały do rzek, które występowały z brzegów. Samochody pływały na ulicach jak łodzie, zalewane były domy. Zginęły całe stada owiec i bydła; zwierzęta zamrzły, umarły z głodu albo się potopiły. Pewnie tak samo straciło życie wielu ludzi – pomyślałem i wyłączyłem radio, bo nie chciałem o tym słuchać. Niedaleko płynęła rzeka Densford, ale Bambury znajdowało się na wzniesieniu, na terenie dawnych kopalń, i raczej nie było zagrożone powodzią.

Przez cały czas byłem zmęczony. Nie wiedziałem dlaczego, przecież prawie nic nie robiłem. Wymiatanie popiołu i rozpalanie ognia w kominku wydawało się każdego ranka coraz cięższym zadaniem i trwało coraz dłużej. Znowu włączyłem radio, które już potem grało cały czas, nawet gdy mówili w nim coś, czego wolałbym nie słyszeć; nie chciało mi się wstawać, żeby je włączać i wyłączać. Głosy pojawiały się i znikaly, zależnie od tego, czy spikerzy dotarli do studia i czy był prąd. Kiedy go nie było, milkły i słuchałem tylko trzasków w eterze, które brzmiały jak burza.

Masło się skończyło.

Musiałem używać chochli, żeby dosięgnąć śniegu za oknem łazienki, bo jego poziom zaczął się obniżać. Martwiłem się, co zrobię, kiedy znajdzie się poza moim zasięgiem. Wiedziałem, że nie będę miał siły, aby rozbić okno na dole. Jałowo rozważałem przywiązanie chochli do kija od szczotki, ale wydawało się to zbyt skomplikowane. Miałem dziwne, mroczne sny, z udziałem potworów, i budziłem się spragniony.

Hałasy i łomot. Cisza. Hałasy i łomot.

Wyszedłem ze swojego kokonu i zacząłem nasłuchiwać. To były dźwięki ze snu, który mi się przyśnił; położyłem się znowu. Szmer i szuranie. Ponownie odrzuciłem z twarzy kołdry i koce, żeby lepiej słyszeć. Usiadłem z wysiłkiem i zwróciłem głowę w stronę okna.

Coś ciemnego uderzyło w zaśnieżoną szybę, aż podskoczyłem. Potem zatoczyło łuk z jednej strony na drugą. Wówczas pojawiło się trochę światła. Tym czymś ciemnym okazała się dłoń w rękawicy. Śnieg tłumił głosy. Nagle spojrzałem przez okno w czyjeś oczy. Podniesiony kołnierz, naciągnięta na twarz czapka – to wszystko, co zobaczyłem. Pierwszy od tygodni człowiek, którego widziałem.

Dłoń w rękawicy zastukała w szybę. Twarz coś zawołała. Pomyślałem, że powinienem odpo-

wiedzieć, ale pod wpływem szoku, wyczerpania i zimna, tego wszystkiego razem, nie mogłem się poruszyć.

Rozległ się trzask. Walenie w drzwi frontowe. Bardzo głośne. Znałem ten dźwięk: uderzenia metalu w drewno. Siekiera. Rąbanie. Jaś?

To nie był Jaś. Była to grupa opatulonych mężczyzn, którzy wpadli do salonu, napierając na drzwi blokowane przez leżący u dołu ręcznik.

– Jeszcze jeden? – zapytał któryś, kiedy weszli.

Smutne westchnienie.

– Na to wygląda.

Któryś z nich przeciął pokój i kiedy się zbliżał, nasze spojrzenia się spotkały.

– Chryste Panie, on żyje... Sprawdźcie resztę domu! – Podbiegł do mnie. – Wszystko dobrze, synu? Wszystko dobrze? – Uniósł mnie jedną ręką. – Powoli. Jesteś już bezpieczny. – Rozejrzał się i zobaczył miskę z odrobiną wody. Przytknął mi ją do ust, żebym się napił. – Ktoś jeszcze tu jest, synu? – pytał dalej.

Słabo pokręciłem głową.

Pozostali wrócili do pokoju, kiedy wziął mnie na rękę.

– Powolutku – powtórzył.

– Pusto – powiedział inny. Rozpoznałem ten głos, należał do pana Higginsa, i zadrzałem. To była dawna Home Guard. – Poza nim nie ma nikogo. Cały dom wygląda tak, jakby w każdym pokoju wybuchła bomba.

– Boże. Byłeś tu sam przez cały czas, chłopcze? Ile masz lat?

Chciałem zapytać o mamę, ale zamknąłem oczy, bo byłem zbyt zmęczony. Mężczyzna mnie uściskał.

– Znajdziesz się w miłym ciepłym łóżku... w szpitalu. Oczyszczają drogi, więc się tam dostaniemy.

Wokół stało kilka osób. Rozpoznałem wśród nich paru sąsiadów, którzy patrzyli, gdy wsadzano mnie na przednie siedzenie samochodu. Na tylnym leżała starsza pani. Nie wiedziałem, czy żyje.

– Mamy jeszcze do sprawdzenia kilka domów przy tej ulicy. Potem zawiozę was oboje do szpitala w Densford – oznajmił tamten i zatrzasnął drzwi.

Znowu zamknąłem oczy.

– Ludzie pomarli – odezwała się starsza pani. – Tak mówili ci z Home Guard. Znajdują ich martwych po domach.

Zaczęła płakać. Nie otwierałem oczu.

– Na miłość boską, jakiś ty chudy! – zawołała na mój widok babcia. Zapomniałem, że pielęgniarka prosiła mnie o numer telefonu dziadków, więc się nie spodziewałem, że przyjadą. I któregoś dnia zobaczyłem ich wchodzących na salę.

Usiadła na łóżku obleczonym białym wykrochmalonym prześcieradłem i kiedy mnie objęła, poczułem zapach lawendy. Próbowałem się odsunąć, ale mi na to nie pozwoliła, więc przestałem się wyrywać; miło było znaleźć się w ciepłych objęciach.

– Trzeba cię odkarmić – powiedziała cicho w moje włosy.

Poczułem rękę na plecach, która poklepała mnie kilka razy; obok nas stanął dziadek.

– Byłeś dzielny – rzucił. – Dobry z ciebie chłopak.

Pytałem o mamę wszystkich lekarzy i pielęgniarki; ktoś musiał powiedzieć dziadkom, że nie

wróciła do domu i wciąż nie ma o niej wiadomości, bo żadne z nich o niej nie wspominało, nawet gdy jechaliśmy do domu po moje rzeczy. Mieli zabrać mnie do siebie, do Great Yarmouth.

Drzwi frontowe zabito deskami, więc musieliśmy wejść od tyłu. Śnieg wciąż był głęboki, ale już nie tak jak poprzednio.

Kiedy prowadziłem ich do swojego pokoju, babcia gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Gdy jednak się odwróciłem, uśmiechnęła się do mnie, chociaż dziadek tylko zaciskał usta.

– Straszny tu nieporządek – zauważył.

– Co poradzić! – odparła babcia. – Spakuj swoje ubrania. Dziadek ci pomoże. Ja zajrzę do pozostałych pomieszczeń i zobaczę... co trzeba naprawić.

Po powrocie nakazała dziadkowi, żeby obszedł cały dom, bo będzie miał robotę.

– Musiałem rozbić szybę w łazience – powiedziałem.

– Obejrzę to – odparł.

Babcia podeszła, żeby spojrzeć na stertę ubrań leżących na łóżku.

– Nie zapomnij zajrzeć do pokoju Annabel! – zawołała do dziadka, gdy znalazł się u szczytu schodów. – I do salonu. Trzeba stamtąd... coś wynieść.

Przypomniałem sobie o kubie na siki i poczułem, że ze wstydu oblewam się gorącym rumieńcem.

– Och, musiałem...

– Wszystko w porządku, Danielu, dziadek się tym zajmie. – Przysiadła na łóżku i zaczęła składać ubrania. Spojrzała na mnie, ale nie chciałem widzieć jej twarzy, więc podszedłem do okna. – Dobrze się spisałeś – dodała. – Bardzo dobrze.

Potem cmoknęła.

– Danielu, te swetry są dla ciebie za małe... mimo że strasznie wychudłeś. Spodnie tak samo. – Wstała. – Chodź, jedziemy. Po drodze zjemy lunch w pubie. Znajdziemy ci jakieś ubrania w Great Yarmouth.

Pojechaliśmy więc do Royal Oak, zamówiliśmy placek pasterski i kiedy na niego czekaliśmy, nagle przyszło mi do głowy, że gdyby mama nie wyszła z domu, pewnie nie starczyłoby jedzenia dla nas obojga. Postanowiłem ją o to w przyszłości zapytać.

– Czy przeszukali już wszystkie domy? No wiecie... żeby znaleźć mamę?

– Eee... nie wiem, kochanie – odrzekła babcia. – Ale na pewno jej szukają.

– Jestem przekonany, że wkrótce ją znajdą – włączył się dziadek. – Ale... musisz być przygotowany na to, że...

– Dziadek ma rację. Znajdą ją. Na razie poczekajmy. Przede wszystkim musimy cię podtuczyć, tak czy nie?

– Tak.

– Bo lepiej, żeby tata nie widział cię chudego jak patyk! Niedługo drogi staną się przejezdne i pojedziemy do niego. Czy nie będzie cudownie, kiedy wróci do domu?

Nie odpowiadałem i spojrzała na mnie dziwnie.

– Danielu? Wiedziałeś o tym, prawda? Mama ci powiedziała, zanim... Tak czy owak tata ma się już na tyle dobrze, że wypisali go do domu.

– Wiedziałem, że mu się polepsza...

– O tak, czuje się znacznie, znacznie lepiej. Pojedziemy po niego do kliniki. Czy to nie wspaśniałe? – Zastanawiała się przez chwilę. – Na jakiś czas zamieszkacie z tatą u nas, w Great Yarmouth. Potem dziadek i ja doprowadzimy wasz dom do porządku i wrócicie do siebie.

Czy naprawdę czuł się lepiej? Chciałem zapytać, czy to mój tata wróci do domu, czy tamten

mężczyzna o drżących rękach. Ale potem przyniesiono nam jedzenie i przestałem o tym myśleć. Okazało się, że tata był dawnym tatą. Trochę szczuplejszym, cichszym. Ale uświadomiłem sobie, że on na pewno to samo myślał o mnie. Obaj byliśmy już inni.

Kiedy po niego przyjechaliśmy, podniósł mnie ze śmiechem – na korytarzu w klinice! – mimo że wściekły i zawstydzony syczałem do niego: „Mam dwanaście lat!”. W głębi ducha jednak było mi przyjemnie. Bo wiedziałem, że do nas wrócił. Kiedy ścisnął dłoń dziadka, ręka mu już nie drżała. Pocałował babcię w policzek, długo trzymał ją w objęciach i powiedział, że nie może się doczekać powrotu do domu.

Mieszkaliśmy u dziadków przez parę tygodni. Tata coraz bardziej był sobą i coraz lepiej go sobie przypominałem. To śmieszne, że zapomniałem różne drobiazgi, na przykład jak bardzo lubiliśmy siłować się ze sobą. Stawaliśmy się coraz silniejsi, w miarę jak babcia nas odkarmiła. Kiedyś, gdy przyglądałem mu się z drugiej strony stołu, dotarło do mnie, że nie jest żadnym wojownikiem – a przynajmniej nie takim, za jakiego go miałem – tylko po prostu człowiekiem. Moim ojcem. I cieszyłem się, że jestem jego synem.

Harry, chłopiec z sąsiedztwa, przyszedł wywołać mnie na podwórko; jego mama wpadła na moją babcię i dowiedziała się od niej, że przyjechałem z wizytą. Babcia jednak odesłała go, mówiąc, że zasypany śniegiem o mało nie umarłem. Kiedy babcia wreszcie uznała, że mam już dość siły, aby się z nim pobawić, przychodził codziennie i wciąż mi powtarzał, że jestem bohaterem.

W końcu tata orzekł, że pora wracać do domu. Harry i ja wymieniliśmy się adresami, żeby ze sobą korespondować. Smutno mi było wyjeżdżać, ale pomyślałem, że powinniśmy wrócić do Bambury, bo inaczej mama nie będzie wiedziała, gdzie nas szukać.

Dom został odmalowany na czerwono, a w środku panowały czystość i porządek. Dziwnie było do niego wchodzić z tatą zamiast mamy.

Tata uważał, że jestem jeszcze zbyt słaby, aby od razu wrócić do szkoły, mimo że był już marzec i śniegi prawie całkiem stopniały.

– Jeszcze parę dni – powiedział. – Dopóki nie odzyskasz sił.

Przyjąłem to z ulgą, bo rzeczywiście ich potrzebowałem, żeby stawić czoło chłopakom z klasy.

Byłem więc w domu, kiedy rozległo się pukanie do nowych drzwi; gdy je otworzyłem, zobaczyłem w progu policjanta. Przed oczami stanęły mi przerażające obrazy martwego trolla i biednego nieżywego Jasia; w mdlącym przypływie poczucia winy pomyślałem, że zaraz zostanę aresztowany.

Policjant jednak uśmiechnął się uprzejmie.

– Dzień dobry, chłopcze. Przyszedłem do twojego ojca... pana Pattersona, zgadza się?

Tata wyszedł do przedsionka. Popatrzył na gliniarza, a potem na mnie.

– Danielu, może wstawisz czajnik na gaz i zaparzysz nam dobrej herbaty. – Później znowu zwrócił się do policjanta, który zdejmował wysoki hełm, i zaprosił go do salonu, po czym zamknął za sobą drzwi.

Zawsze podsłuchiwałem pod drzwiami, zawsze. Wtedy jednak zdałem sobie sprawę, że nie mam już na to ochoty. Postanowiłem, że zaparzę herbaty, jak prosił tata. Wolałem nie wiedzieć, po co przyszedł ten policjant. Mogłem dowiedzieć się tego za pięć, dziesięć minut.

Dzięki temu jeszcze przez te pięć, dziesięć minut świat mógł zostać taki sam; mama przebywała u kogoś w domu, ale złamała nogę, tam nie było telefonu, zapomniała nasz numer, straciła

pamięć, upadła w śnieg i uderzyła się w głowę, ale już zaczęła sobie przypominać...

Żadnych historii. Zaparz herbatę. Zanieś ją. Poznaj prawdę.

Wiedzieliśmy, że mama nie poszła na farmę Dawsona, który po przyjeździe odwilży został znaleziony w swoim domu, żywy, ale osłabiony, i zabrany do szpitala dzień po mnie. Po mamie nie było śladu ani na farmie, ani w sadzie. Dawson miał zapalenie płuc i umarł. Dowiedziałem się od jednej z pielęgniarek, kiedy o niego zapytałem. Miałem wyrzuty sumienia, ale poczułem wielką ulgę; przynajmniej ubyła jedna osoba z tych, które wiedziały, co się wtedy stało, i z którymi widywałem się we wsi.

Zawołałem przez drzwi, żeby tata mnie wpuścił. Postawiłem tacę na stoliku i nalałem herbaty do trzech filiżanek. Zapomniałem spytać policjanta, ile chce mleka i czy słodzi. Okazało się to jednak bez znaczenia, bo filiżanki stały nietknięte.

– Obawiam się, że nie mamy dobrych wiadomości, Danielu – odezwał się tata. – Chodzi o mamę.

Spojrzał na mnie, żeby się upewnić, czy zrozumiałem. Sprawiał wrażenie smutnego i zmęczonego.

Zastanawiałem się, czy powinienem coś powiedzieć, ale i tak nie miałem pojęcia co, więc milczałem.

Tata zerknął na policjanta, ten jednak opuścił wzrok na małą czarną podkładkę do pisania, którą miał ze sobą. Pewnie tata liczył, że przedstawiciel władz go wyręczy, ale daremnie, więc chrząknął i mówił dalej:

– Została... Ktoś ją znalazł. W lesie.

Przypomniałem sobie czary, złote światło i magiczny pył, które kiedyś sobie tam wyobrażałem. I wtedy pomyślałem o panującym wśród drzew mroku – mroku, który był rzeczywisty, bo go widziałem. Po zniknięciu mamy las przestał być zaczarowany. Stał się ciemny i pełen trupów.

– Znalazł ją jakiś człowiek. Leżała na ziemi. Sprawiała wrażenie pogodnej. – Znowu chrząknął i popatrzył na policjanta. – Zgadza się, prawda?

– O tak. Tak. Bardzo pogodnej. Zamarzła w śniegu... po prostu zasnęła. – Uniósł nieco podkładkę, jakby chciał mi pokazać. Jakby było to tam napisane.

– Zaszła dość daleko od domu – podjął po chwili tata. – Głęboko w las. Pewnie wybrała się na spacer, może zabłądziła i usiadła... była zmęczona i zdezorientowana... ale nie mogła zrobić nic gorszego, bo...

Kiwnąłem głową. Miałem suche oczy. Tylko w głowie słyszałem przeraźliwy hałas, jak świst czajnika z gwizdkiem.

Wyobraziłem sobie, jak na jej rzęsach tworzą się kryształki lodu. Jak sinieją usta. Przypomniałem sobie, jak Jaś całował je pierwszy raz. To było piękne.

– W którym miejscu? – To dziwne, że nie znaleziono jej w sadzie.

– Och, bardzo daleko. – Tata westchnął, patrząc na policjanta, który potwierdził skinieniem głowy. – Dotarła prawie na drugą stronę lasu. Do Densford.

– Ojej.

Przypomniała mi się historia, którą kiedyś mama opowiedziała Jasiowi. O tym, jak najbardziej ze wszystkiego na świecie pragnęła wsiąść do pociągu i uciec. Zostawiła mnie, gdy byłem mały, i ruszyła na stację kolejową w Bambury. Tamtego dnia przed śnieżycą, kiedy wyszła z domu, nasza maleńka stacja była nieczynna, ale w Densford pociągi jeszcze kursowały. Czyżby chciała się tam dostać? Mogła mieć trochę pieniędzy w kieszeni płaszcza. Próbowwała złapać pociąg, żeby wyjechać? Zamierzała gdzieś zniknąć czy może pojechać do Liverpoolu

i poszukać Jasia? A może to zwykły przypadek, że tam właśnie ją znaleziono. Niewykluczone, że po prostu szła przed siebie, nie dbając, dokąd zajdzie, bo planowała wrócić do domu. Czy też od początku chciała leć w śniegu?

– Czy... chcesz jeszcze o coś spytać, Danielu?

Pokręciłem głową. I tak nie dowiedziałbym się tego, co mnie interesowało.

– Dobrze. Pan posterunkowy jest z policji w Densford. Był uprzejmy powiadomić nas o mamie. Nie ma powodu do niepokoju... to tylko formalność... ale byłeś ostatnią osobą, która ją widziała, więc chciałby zadać ci kilka pytań.

Tata z pewnością dostrzegł przerażenie w moich oczach. Bo uspokajał mnie dalej i policjant się do niego przyłączył; musiał tylko spisać moje zeznanie, żeby pokazać je sierżantowi, to wszystko. Przecież nie chcę, żeby podpadł szefowi, prawda? – pytał.

Ja jednak myślałem tylko o tym, że doprowadziłem do śmierci Jasia, trolla, a może i mamy.

Pytał mnie, co działo się przed jej wyjściem z domu, więc opowiedziałem mu, jak we dwoje otworzyliśmy drzwi i jak pomogłem jej wyjść. Od razu przyniosło mi to ulgę.

Policjant jednak nie miał mi tego za złe, odciągnął czarny elastyczny pasek przytrzymujący papiery na podkładce, zapisał coś i podziękował. Potem wstał.

Tata odprowadził go do drzwi, a ja zostałem w fotelu, w którym kiedyś mieszkałem, i patrzyłem na trzy filiżanki stojące na stoliku. Nie wiedziałem, co czuję. Było mi oczywiście smutno, ale nie bardziej niż poprzednio.

– Dziękuję panu. – Usłyszałem, jak policjant mówi w sieni. – I... eee... przykro mi z powodu pańskiej żony.

– Dzięki. To wstrząs, ale... cóż, szczerze mówiąc, chyba się tego spodziewaliśmy. Po tak długim czasie... – Otworzył drzwi. – Mogę o coś spytać? Gdzie ona jest teraz?

– Och, w domu pogrzebowym w Densford, proszę pana. Dziś rano znalazł ją człowiek z psem na spacerze i od razu nas zawiadomił, a my natychmiast wysłaliśmy na miejsce kilku ludzi.

– Aha, rozumiem. Jeszcze raz dziękuję.

– Zresztą znaleźli nie tylko ją. Bo kiedy szli przez las... od strony Densford... trafili na... cóż, dół w ziemi.

– Dół?

– Tak, no wie pan, chyba szyb jednej z tych starych kopalń. Ludzie zawsze mówili, że są niebezpieczne, słyszał pan? Nie bez kozery, jak się okazało. To było z piętnaście, dwadzieścia minut drogi od miejsca, gdzie znaleziono pańską żonę. Koledzy musieli wrócić po nosze i liny.

– O Boże.

– Otoczyli kordonem cały teren. Ale prawdę mówiąc... – Ściszył głos. – Było już za późno.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Zajrzeli do tego dołu i zobaczyli... cóż, ludzkie kości. Sprzed lat. Rozumie pan, szkielet.

Zacząłem się trząść, jakby wróciła zima. Zamknąłem oczy. Więc go znaleźli.

– Wielkie nieba! – zawołał tata. – Hm, dzięki za...

– Chyba wiedzą, kto to jest. Czy też był...

– Kto taki?

– Ten jeniec, którego nigdy nie złapano.

Nastąpiła chwila milczenia. Może tata popatrzył w osłupieniu na posterunkowego albo pokręcił głową na znak, że nie wie, o czym mowa.

– Podczas wojny zbiegł z obozu jeniec wojenny. Szukali go wszędzie. Skierowali na poszukiwania policję i członków Home Guard, kontrolowali stacje kolejowe, zatrzymywali samochody

na drogach i tak dalej. To by wyjaśniało sprawę. Odbędzie się dochodzenie... zabrali go dziś po południu... ale już wiadomo, że miał na sobie koszulę jeńca, a ponieważ nie zgłoszono w tych stronach zaginięcia nikogo innego, to musi być on.

Zastanawiałem się, czy mama widziała ten dół, i w końcu zrozumiała, co się stało z Jasiem. Czy dlatego położyła się w śniegu? Ale to nie miałyby sensu. Bo pewnie wolałaby spocząć bliżej niego, no nie? A poza tym zasy nie pozwoliłyby jej dostrzec szybu, chyba że znalazłaby się tuż nad nim – ale wtedy sama by do niego wpadła.

Tata wydał jeszcze parę pomruków zdziwienia, a potem kolejny raz podziękował posterunkowemu i go pożegnał.

Patrzyłem z okna, jak policjant idzie ścieżką, wsiada do wozu i odjeżdża. Tata stanął za mną i położył mi ręce na ramionach. Pewnie wyczuł, że drzę.

– Nic nie mogłeś zrobić. To niczyja wina. Nawet samej mamy.

Pokiwałem głową, ale nie odrywałem wzroku od pustej drogi prowadzącej do lasu.

Prawie udało jej się odnaleźć drwala. Swojego księcia.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

„Mały Kaj był zupełnie siny z mrozu, prawie czarny, ale nie spostrzegł tego wcale, gdyż Królowa Śniegu odjęła mu swym pocałunkiem wrażliwość na zimno, a jego serce stało się kawałkiem lodu”.

– z *Królowej Śniegu*

Kilka tygodni później – niedługo przed pogrzebem mamy – znowu rozległo się pukanie do drzwi; na progu stali dwaj policjanci. Mieli na sobie identyczne brązowe garnitury i filcowe kapelusze.

Nie zorientowałem się, że są policjantami, gdyby nie powiedział mi tego tata, który usłyszawszy pukanie, wyjrzał przez okno. Kiedy im się przyjrzałem, coś w ich twarzach zdradzało, że się nie mylił.

Ogarnął mnie wielki, wielki spokój.

Tata otworzył drzwi i dwaj mężczyźni z kapeluszami w rękach weszli do salonu.

– Jestem aresztowany? – zapytałem.

– Co takiego? – Jeden nich, starszy, parsknął śmiechem. – Aresztowany? Nie, synu, nie jesteś aresztowany.

Spojrzał na tatę, który się uśmiechnął i pokręcił głową.

– Przepraszam. To dla nas trudny czas. Gdy ostatnim razem odwiedził nas policjant, przyszedł nam powiedzieć o śmierci mojej żony... – Pokiwali głowami; tak, wiedzieli o tym. – I boję się, że Daniel się obwinia...

– Och! – wyrwało się obu policjantom, kiedy na mnie spojrzeli.

– O nie, nie – powiedział ten starszy.

– Niepotrzebnie – dodał młodszy.

– Więc... – podjął siwy. – Jestem komisarz Stephen Taylor. Rzeczywiście przyszedłem, bo muszę zadać chłopcu kilka pytań, ale on sam nie zrobił nic złego.

Zaśmiał się cicho. Tamten drugi pokiwał głową.

– Chodzi o moją żonę? – spytał tata. – W tej sprawie chcecie porozmawiać z Danielem?

– Moglibyśmy najpierw zamienić z panem słowo? Na osobności?

– Oczywiście. Danielu...

– Nie... wie pan co? – podjął komisarz. – Mam lepszy pomysł. Porozmawiajmy gdzie indziej. Czy tak nie będzie lepiej? Nie chcę przywoływać przykrych wspomnień w związku z poprzednią wizytą policji. Nie miałbyś ochoty pojechać na posterunek, synu? I zobaczyć cel? Ojej! Ależ masz minę! Nie, nie, nie musimy. Wcale nie musimy. Czy jest w okolicy jakaś kawiarnia? Pojechalibyśmy do niej i napili się piwa imbirowego. Albo czegoś ciepłego.

Tata niepewnie kiwnął głową.

– Hm, jest tu pub.

– Jeszcze lepiej! Idź i posiedź w wozie policyjnym, chłopcze, my za chwilę przyjdziemy. Widzisz? Nie ma się czego bać. Zupełnie nie.

Włożyłem płaszcz i poszedłem do samochodu, a po kilku minutach zjawili się przy nim tata i policjanci. Wsiadli i pojechaliśmy High Street do Royal Oak.

– Fantastycznie, ogródek piwny – ucieszył się komisarz Taylor, kiedy zobaczył szyld. – Wiem, że jest dość chłodno, ale usiądźmy na świeżym powietrzu, dobrze? Pewnie będziemy sami, co stanowi dodatkową korzyść.

Była już wiosna, ale w powietrzu czuło się jeszcze tamtą dziwną i przerażającą zimę. Wiatr owiewający mi twarz mógłby nieść ze sobą nawet kryształki lodu, a niebo było szare i ponure.

Nie tak wyobrażałem sobie komisarza policji. Myślałem, że będzie wyglądał jak prywatny detektyw w typie Sama Spade’a. Ten mężczyzna był jednak krępy i pogodny, miał cienkie i rzadkie siwe włosy. Mówił z akcentem, północnym albo walijskim, nie byłem pewny.

W samochodzie rozmawiał z tatą o jeńcach wojennych, a kiedy obeszliliśmy pub i wkroczyliśmy do ogródka, powiedział:

– To zdumiewające, jak wielu z nich tu zostało... nie chcą wyjechać! Tak jest w całym kraju. Nawiązali tu przyjaźnie. Znam pewnego gościa... nie z tych stron... który zaprosił dwóch takich na Boże Narodzenie. Podczas wojny! Wszyscy z jego wsi zaprosili przynajmniej po jednym, więc jeńcy mieli normalne rodzinne święta! Słyszał pan o czymś takim?

Do oczu nabiegły mi łzy. Gdyby Jaś nie uciekł, może ludzie z Bambury też wpadliby na taki pomysł? Moglibyśmy, mama i ja, spędzić z nim w domu cały dzień. Gdy się jednak nad tym zastanowiłem, wydało mi się to mało prawdopodobne; wielu mieszkańców wsi zwracało się przeciwko jeńcom, jeszcze zanim Jaś uciekł.

Usiedliśmy przy stole z kutego żelaza i komisarz Taylor wysłał kolegę po piwo.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Pewnie zachodzicie w głowę, w czym rzecz.

Złożył dłonie na stole i pochylił się ku mnie, nagle poważny.

– Nie wiem, czy słyszałeś, ale przed kilkoma laty uciekł z tutejszego obozu jeńiec. Niedługo przed końcem wojny... jakieś półtora roku przed Dniem Zwycięstwa.

– Tak – odparłem. Miałem na myśli: „Tak, to ja. To ja pomogłem mu uciec. To ja go zabiłem”. Ale te słowa uwięzły mi w ściśniętym gardle.

Kiwnął głową.

– Dobrze. Więc... – Wyjął z kieszeni marynarki dużą zwiniętą kopertę i rozłożył ją na stole.

– Pokażę ci zdjęcie tego jeńca. Nazywał się Johannes Müller. Powiesz mi, czy kiedykolwiek go widziałeś.

Zaczął grzebać w kopercie, w której znajdowały się jakieś papiery. Zerknął na tatę.

– Jeździli do obozów i fotografowali jeńców – wyjaśnił. – W celach dokumentacyjnych. Reporterzy z gazet i czasopism, ale także wysłannicy rządu i Czerwonego Krzyża. Wszystko to znajduje się w archiwach Imperial War Museum... poświęconemu już nie tylko pierwszej wojnie... więc tam poszedłem. To naprawdę fascynujące... zdjęcia jeńców wojennych na koncertach w stodołach, podczas pracy w fabrykach, w samych obozach i...

– Jest zdjęcie? Hansa?

Tata i policjant spojrzeli na mnie ze zdziwieniem.

– Wygląda na to, że rzeczywiście go znałeś – zauważył komisarz i wyjął z koperty sztywną kartę. – Sam zobacz.

Zdjęcie zaczęło drżeć, gdy tylko przeszło nad stołem z ręki policjanta do mojej. Można jednak było uznać, że jest mi zimno.

Spojrzałem na nieostrą czarno-białą fotografię. Stali na nim obok siebie dwaj mężczyźni. Za nimi znajdował się jakiś mały barak.

– Jeden z nich to nasz jeńiec. Nie wiem, kim jest ten drugi...

– To farmer Dawson! – Wydałem cichy odgłos przypominający parsknięcie śmiechem. Nie widziałem Hansa od lat, farmer Dawson też nie żył już jakiś czas, ale rozpoznałem ich obu.

Żaden z nich się nie uśmiechał, bo spoważnieli do zdjęcia. Ale farmer Dawson wyglądał na odprężonego, jakby dopiero co się śmiał. I Hans. Mój księżę zamieniony w drwa. Trzymał się trochę sztywno i lekko odwracał twarz od obiektywu.

Stali dość blisko siebie, z rękami przy bokach. Hans zaciskał dłonie w pięści. Nie chciał, żeby go fotografowano. Może dlatego farmer Dawson się śmiał. Może on i fotograf robili mu na przekór.

Obaj byli w koszulach z krótkimi rękawami, więc dzień musiał być ciepły. Nigdy nie słyszałem, żeby Hans wspominał coś o przyjeździe fotografa, więc może miało to miejsce niedługo po tym, jak przybył do Bambury, zanim jeszcze poznał mamę.

– Dziękuję – powiedziałem, jakby dawał mi to zdjęcie na własność. Traktowałem je jak prezent.

Poczułem dziwny ból na myśl, że nie mogę pokazać go mamie.

Przesunąłem palcem po jego surowej twarzy.

– No tak, myślałem, że to może być ten farmer. Już nie żyje, prawda? Nazwisko jeńca, Johannes Müller, i jego numer widniały w podpisie, ale ten pan Dalton...

– Dawson.

– Właśnie, ten Dawson nie został wymieniony! – Spojrzał na tatę i zaśmiał się lekko. – Szkoda. Mogłem z nim porozmawiać.

Zwrócił się do mnie.

– Rozumiem więc, że znałeś tego jeńca. Hansa, jak powiedziałaś.

Ogarnąłem spojrzeniem twarz na zdjęciu.

– Tak.

– Danielu... – Tata lekko trącił mnie w ramię. – Opowiedz komisarzowi, jak poznałeś tego człowieka, kiedy się z nim zetknąłeś.

Wrócił z tacą młodszy policjant. Przyniósł mi kubek kakao, a pozostałym piwo.

Tata znowu mnie dźgnął.

– Mama i ja... my... Hans był drwalem. Pracował dla farmera Dawsona. Sprzedawał drewno.

– A tak, wiedzieliśmy, że się tym zajmował. Nie wiedzieliśmy jednak, że twoja matka kupowała u niego... Zawsze jej towarzyszyłeś czy czasami chodziła sama?

Kiwnąłem głową.

– Czasami sama?

Kiwnąłem znowu. Nie mogłem spojrzeć tacie w oczy. Czułem się okropnie, rozmawiając przy nim o mamie i Hansie. Ale nie chciałem dłużej kłamać. Nie zamierzałem więcej zmyślać. Tak postanowiłem. Gdyby ktoś chciał usłyszeć ode mnie prawdę, na pewno bym jej nie ukrywał.

– Bała się go, chłopcze? Mówiła coś o tym? Nagle przestała tam chodzić? Skarzyła się na niego temu farmerowi? A może widziała się z nim tamtego dnia, kiedy zniknął... nie pamiętasz?

Zaskoczony podniosłem głowę.

– Czy się go bała...?

– Nie chciałem cię zdenerwować, chłopcze. Mama pewno o tym nie mówiła, żeby cię nie martwić. – Posłał mi śmieszny smutny uśmiech, a potem z podobną miną spojrzał na tatę, który

poklepał mnie po plecach. – Sądzymy, że okradł twoją mamę. Zerwał jej z szyi medalion. Może zrobił to przed ucieczką... pewnie chciał go sprzedać. Znaleźliśmy go przy nim. Srebrny, z imieniem i datą urodzin twojej mamy na odwrocie, zawieszony na łańcuszku.

– O nie! – Pokręciłem głową.

– Przykro mi, że ci o tym mówię. Sprawiał wrażenie niebezpiecznego, porywczego? Bałeś się go?

– Nie! Nie!! – Miałem świadomość, że niemal krzyczę.

– Już dobrze, Danielu – odezwał się tata. – Wszystko wyjaśnimy i odzyskamy medalion mamy... Nie denerwuj się. Spokojnie. Napij się kakao, zanim wystygnie.

Pociągnąłem łyk, starając się nie poplamić zdjęcia, które wciąż trzymałem w ręce. Kakao było ciemne, gorzkie i sparzyło mi język.

– Nic nie rozumiecie – powiedziałem.

– Może zgubiła ten medalion – podsunął policjant. – Mógł jej się zerwać, kiedy była w sadzie. Jeniec to zauważył, a może znalazł go później i zabrał.

Odwróciłem wzrok.

– Zgubiła medalion? – zapytał komisarz. – Pamiętasz? Wspomniała o tym?

Wbiłem wzrok w kubek, jakby ciemny, gęsty napój zawierał odpowiedzi na te pytania. Nie chciałem dłużej kłamać. Ale bałem się, że zranię tatę.

– On był... Jaś... to znaczy Hans... Hans był naszym przyjacielem. – To było najlepsze, co mogłem zrobić. – Nie skrzywdziłby jej. – Urwałem, bo zdałem sobie sprawę, że to nie do końca prawda. Skrzywdził ją, odchodząc.

– Ach, tak – skomentował komisarz. – To co nieco rozjaśnia obraz. Nie wiedzieliśmy, że twoja mama chodziła do niego po drewno, w biurze farmera panuje nieporządek i jeszcze nie przejrzelismy wszystkich dokumentów. Więc musiała zgubić tam medalion. – Z zadowoleniem pociągnął duży łyk piwa. – Bystry chłopak.

– Dobrze się spisałeś, Danielu – powiedział tata. – Wypijemy, co mamy do wypicia, i pójdziemy do domu. – Spojrzał na komisarza. – Cieszę się, że nie została obrabowana. Zmartwiłem się, kiedy mi pan o tym powiedział!

Rozmawiali dalej, pili i gawędzili, sądząc, że wszystko jest w porządku. Fakty się zgadzały.

– Jak mówiłem, w listach nigdy nie wspominała o żadnym jeńcu – ciągnął tata.

– Po co miałyby to robić? Jeśli był jakimś tam jeńcem, od którego od czasu do czasu kupowała drewno...

Byłem zadowolony, że już nie podejrzewają Hansa o rabunek. Ale nadal mieli go za złodzieja. I to, że mówili o nim, jakby był dla niej nikim, było nie do zniesienia.

Jak wszyscy dorośli prędzej czy później zaczęli rozmawiać o tym, co robili podczas wojny. Spojrzałem na tatę. Tak bardzo się starał udawać, do tego stopnia, że rzucił jakiś dowcip o swojej służbie.

– Nawet nie zostałem draśnięty! – dodał. – Miałem szczęście.

Ale to nie była prawda. Wręcz przeciwnie. Został ranny na wojnie. Tylko nikt tej rany nie widział, bo nauczył się ją skrywać. Wiedziałem, że nie lubi mówić o wojnie, i komisarz Taylor chyba też to wyczuł, bo zmienił temat i wrócił do swojego śledztwa.

– Byłem pewny, że w końcu wyjdzie na jaw, co się z draniem stało. To jedna z tych spraw, o których wszyscy mówią, rozumie pan. Można by pomyśleć, że rozpułynał się w powietrzu.

– Cóż, wszystko się wyjaśniło! – podsumował tata.

– Wypiję za to! – odezwał się młodszy policjant i łyknął piwa.

– Ale zostało jeszcze dużo roboty. Chociaż ustaliliśmy, że ofiara z szybu to on... niełatwo wytropić jeńca. Armia niemiecka została rozwiązana, więc sami musimy znaleźć jego rodzinę i powiadomić ją, co się stało. W formularzu, który wypełnił po przybyciu tutaj, napisał, że pochodzi z miejsca o nazwie Mittenwald. Nie znaleźliśmy jednak adresu, a archiwa dotyczące jeńców są, mówiąc delikatnie, skąpe, dokumenty czasami giną i tak dalej.

Tata pokiwał głową.

– Nie wiem, czy powinienem panu to pokazywać, ale... I tak wkrótce wszyscy się dowiedzą.
– Komisarz znowu wziął kopertę.

Na ten widok serce zabiło mi mocniej. Odkrył coś jeszcze! Coś na temat Hansa. Dotarł do jego rodziny.

– Czerwony Krzyż miał... czuwać, że się tak wyrażę... aby jeńcy wojenni byli dobrze traktowani. Każdy kraj gromadził na własną rękę ich dane i teraz ta dokumentacja została zebrana przez wydział Czerwonego Krzyża w Szwajcarii. W katalogu, da pan wiarę?... w milionach kart katalogowych!

Tata kiwał głową uprzejmie, a ja chłonałem każde słowo; chciałem, żeby komisarz przeszedł do rzeczy. Miałem ochotę wyrwać mu tę kopertę.

– Cóż, to oczywiście tajne i prywatne informacje, więc nie są dostępne dla każdego. Jeszcze nie, bo pewnego dnia być może zostaną ujawnione.

– Ale pan uzyskał do nich dostęp?

– Tak. Jeden z ich archiwistów prowadzi dla nas poszukiwania. Może pan sobie wyobrazić, jaka to żmudna robota przy tylu kartach katalogowych. Mają tam także akta wszystkich jeńców z pierwszej wojny.

Nie mogłem oderwać wzroku od koperty. Pod tym brązowym papierem musiały znajdować się informacje o rodzinie Hansa, o jego życiu przed Bambury.

– Przejrzałem także miejscowe archiwa w Densford i skontaktowałem się z Deutsche Dienststelle... jeśli poprawnie wymawiam... organizacją, która dysponuje danymi niemieckich jeńców...

– I co pan znalazł? – Nie wytrzymałem.

– Danielu! – Tata był zgorszony, że się wtrąciłem.

– Przepraszam – rzuciłem natychmiast do komisarza.

– No tak, chłopcy uwielbiają wszelkie śledztwa, wiem! To dla nich ekscytujące, czyż nie? A pański syn zetknął się z tym jeńcem, więc to całkiem naturalne, że chce dowiedzieć się o nim więcej. – Poruszył się na ławie. – Cóż – zwrócił się do mnie – znalazłem kilka informacji świadczących o tym, że Johannes Müller rzeczywiście był przetrzymywany w Anglii od maja czterdziestego czwartego jako jeńiec wojenny. Oczywiście nie natrafiłem na żadne adnotacje, że został zwolniony ani że wrócił do Niemiec.

Skinąłem głową.

– A co z jego rodziną? Znalazł ją pan?

– Cóż, przykro mi, synu. Ale krótko mówiąc, zabrnąłem w ślepią uliczkę. Nie udało mi się dotrzeć do żadnych dokumentów dotyczących twojego „Hansa” Müllera urodzonego w Mittenwaldzie.

– Więc... nie ma nic?

– Ha! Tego nie powiedziałem.

Uśmiechnął się do mnie szeroko i było widać, że dobrze się bawi. Pewnie nawykł do opowiadania historii o swoich dochodzeniach, a słuchacze lubili poznawać fakty powoli, jakby obser-

wowali poszczególne pociągnięcia pędzlem, zanim ukaże się przed nimi cały obraz. Ja jednak musiałem się powstrzymać, aby na niego nie krzyknąć; wolałbym, żeby przestał żartować.

– Próbując dowiedzieć się czegoś więcej o Herr Müllerze, natknąłem się na mur, ale to mnie nie powstrzymało! Bo miałem jego zdjęcie, a zwykle brakuje nawet tego.

Wskazał fotografię, którą wciąż trzymałem.

– Wpadłem na pewien pomysł. Hm, może nie tyle pomysł, ile, jak mówimy w naszym fachu, trop.

Odłożyłem zdjęcie na stół i oparłem na nim ręce, żeby nie odfrunęło.

– Poprosiłem swoich zwierzchników o pozwolenie na kontakt z armią brytyjską, a konkretnie – żandarmerią wojskową w Niemczech. To nie było łatwe, mówię ci. Nie musimy zadawać sobie tyle trudu, żeby dotrzeć do krewnych nieżyjącego jeńca wojennego. Ale, jak powiedziałem, to jedna z tych spraw, która nie dawała mi spokoju od czasu jego ucieczki. Wysłałem więc to zdjęcie żandarmerii, bo chciałem, żeby ktoś przejrzał tam w moim imieniu archiwa. Zależało mi, żeby zdobyć inną jego fotografię.

– Tak? – Nie wiem, czy to usłyszał, bo zniżyłem głos do szeptu, który w dodatku był unoszony przez wiatr.

– W szkołach średnich wydają tam roczniki, jak w Ameryce, z tym że przypominają one raczej czasopisma niż księgi. Więc mój człowiek udał się do biblioteki w Mittenwaldzie... to miasteczko, właściwie wieś, w Alpach Bawarskich... zajrzał do kilku roczników i.... – Wyjął kartę z koperty. – To on? Zgadza się?

Wyglądał tak młodo! Potwierdziłem skinieniem głowy. Tata się pochylił, żeby też spojrzeć.

Była to kolejna czarno-biała fotografia, ale maleńka, otoczona dziesiątkami innych, przedstawiających nieznaną mi twarz. Ale tak, to był Hans jako nastolatek. Rozpoznałbym go wszędzie.

Tyle że...

Chwileczkę.

Tyle że – pod wizerunkiem chłopaka o nieśmiałym uśmiechu widniało inne imię, nie Hans. Tylko Wilhelm. Wilhelm Gehard.

Rozdział czterdziesty

„Posadziła go obok siebie w saniach i otuliła futrem;
było mu tak, jakby pogrążył się w śnieżnej zaspie”.
– z *Królowej Śniegu*

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Ojej – powiedział tata, zaglądając do mojego pokoju. – Chciałem spytać, czy nie potrzebujesz pomocy przy wiązaniu muszki, ale widzę, że już jesteś ubrany.

Siedziałem na łóżku i próbowałem dojść ze sobą do ładu przed pogrzebem mamy. Znowu czułem to dziwne napięcie w czaszce, wrażenie, że mi w niej gwizdże.

– Musiałem codziennie nosić muszkę do szkoły – zauważyłem.

– Aha. – Zdał sobie sprawę, że nigdy nie widział mnie w szkolnym mundurku. Od czasu tamtych śniegów nie wróciłem jeszcze do szkoły. – Hm... Moi rodzice są na dole, jeśli chcesz zejść i się z nimi przywitać. Drudzy dziadkowie jeszcze nie przyjechali.

– Dobrze, za chwilę.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Zacząłem bawić się końcem muszki. Sądziłem, że po pogrzebie śmierć mamy stanie się dla mnie bardziej rzeczywista. Na razie nie odczuwałem jej tak bardzo. Zawsze strasznie się bałem, że mama mnie opuści. Ale chyba też zawsze wiedziałem, że tak się w końcu stanie. I jakbym na to czekał. A teraz, gdy tata wrócił do domu, nie było tak źle.

To on zajmował się gotowaniem, jak przed wojną. Chodził także po zakupy i sprzątał. Nie zdawałem sobie sprawy, ile robiłem za mamę, dopóki nie wziął tego wszystkiego na siebie.

Było dobrze, naprawdę. Z wyjątkiem koszmarów. Czasami budziłem się z krzykiem, a wtedy tata przybiegał do mojego pokoju, mówił, że nie ma się czego bać, żebym spał dalej. Nie mogłem mu jednak wyznać, jakie potwory mnie prześladują. Udawałem, że nie pamiętam, co mi się takiego śniło. Pewnie myślał, że to wspomnienia: jak mama wychodzi, a ja zostaję sam w domu, uwięziony przez śnieg.

Tata i ja bardzo się staraliśmy, żeby było lepiej. Ale on od czasu do czasu milkł i szedł posiedzieć w schronie przeciwlotniczym w ogródku, a ja przypominałem sobie, jak kiedyś znalazłem go tam płaczącego. Dawałem mu spokój, gdy tam chodził. Pewnie myślał o wojnie, o której nigdy nie mówił, i o mamie, o której też rzadko wspominał.

Podszedłem do okna i wyjrzałem na dwór. Magnolia zaczęła wypuszczać maleńkie pączki. Widziałem przez jej gałęzie chodnik po drugiej stronie ogrodzenia. Leżały tam kwiaty i wieńce, żeby wieś widziała. Niektórzy z sąsiadów, w czerni, stali z szacunkiem w pewnej odległości. Zobaczyłem, że przyszła Jean Bainbridge, która przyjaźniła się z mamą, i położyła bukiet żonkili. Miała czarny kapelusz z woalką opuszczoną na twarz.

Mama nie żyła. I Jaś też. Czy to znaczyło, że są teraz razem?

– Twój Hans okazał się złym chłopcem – podjął wtedy komisarz Taylor. – Nie był tym, za

kogo się podawał.

Kiedy tak siedziałem przy stole w ogródku Royal Oak, zakręciło mi się w głowie, jakbym miał zemdleć.

– Jak to?

Komisarz się uśmiechał. Był zachwycony. Puścił do taty oko, chyba mnie podpuszczał.

– Uwielbiam, kiedy się okazuje, że miałem nosa – ciągnął. – Znając jego prawdziwe nazwisko, mogłem się dowiedzieć, kim rzeczywiście był.

– To... to... kim?

Odstawił piwo na stół i podniósł kopertę. Ale ja nagle poczułem, że nie chcę wiedzieć. Zastanawiałem się gorączkowo, jak nakłonić tatę, żeby przerwał komisarzowi. Wstałem, potrącając stół, aż moja filiżanka zabrzęczała na spodku, a z kufli ułało się trochę piwa, które przez dziury w stole pociekło mężczyznom na kolana.

– Danielu! – zawołał tata.

Chwyciłem zdjęcia Hansa drwala i Wilhelma ucznia, a potem wyrwałem komisarzowi kopertę z dłoni.

– Przepraszam – powiedziałem – lepiej, żeby się nie zalały.

On także wstał.

– Przykro mi, to był dla ciebie wstrząs. Mówiłeś, że był waszym... eee... przyjacielem. Powiniennem być...

– Nie, nie, w porządku. – Wsadziłem zdjęcia z powrotem do koperty. – To było niechcący. – Wszyscy się na mnie gapili. – Pójdę do środka po szmatę.

Wpadłem do pubu, który po pobycie na świeżym powietrzu wydał mi się ciemny i duszny. Zwinąłem kopertę i trzymałem ją w ręce jak pałkę. Minąłem bar i usiadłem w kącie przy pustym stole, starając się zapanować nad oddechem. Barman rzucił mi dziwne spojrzenie, ale weszła jakaś para, więc się odwrócił, żeby ją obsłużyć. Wiedziałem, że tata i komisarz czekają na mnie w ogródku, ale potrzebowałem chwili spokoju. Na stole stał pusty kufel, brudna popielniczka i pudełko z trzema zapalkami w środku.

Postanowiłem spalić kopertę.

W pubie na kominku płonął ogień, ale uznałem, że to będzie zbyt oczywiste, jeśli podejść i wrzucę kopertę w płomień. Zapalki jednak oferowały inną możliwość; wiedziałem, że w męskiej toalecie jest mały metalowy kubeł na śmieci – tam mogłem spalić kopertę. Już miałem wstać. Ale pod wpływem nagłego wspomnienia innych zapalek, w innym czasie i miejscu, zacząłem się wahać. I wtedy zebrało mi się na wymioty. To byłoby jak spalić Jasia. Więc pochyliłem się nad stołem, z głową w dłoniach.

To był głupi pomysł. Jak miałbym wyjaśnić zaginięcie koperty, gdybym ją spalił? Poza tym komisarz znał wszystkie zawarte w niej informacje; paląc ją, nie sprawiłbym, że by zniknęły. Moje serce w końcu się uspokoiło i zaczęło bić wolniej, więc się wyprostowałem. Koperta leżała na ławie obok.

Nie miałem zbyt wiele czasu. Pewnie zakładając, że stoję w kolejce, dadzą mi kilka minut, ale potem przyjdzie po mnie tata. Chyba nie był świadomy, że wziąłem ze sobą kopertę. To nie miało znaczenia: postanowiłem do niej nie zaglądać. Pomyślałem, że posiedzę jeszcze chwilę, złapię oddech, a potem pójdę po szmatę i wrócę do stołu, żeby powycierać piwo.

Jednak koperta i zawarte w niej informacje były dla mnie jak syreni śpiew dla żeglarza. Kryła się w niej pewna historia. I chciałem ją poznać.

Poszedłem więc do toalety, zamknąłem się w kabinie i wyjąłem raport komisarza. Zacząłem

czytać.

Część z tego, co mówił Jaś, okazało się prawdą. Ojciec Wilhelma Gerharda, Kurt, rzeczywiście był zamożnym producentem obuwia i przed wojną podróżował z rodziną po Europie. Był ważną postacią w miejscowej partii nazistowskiej i jego przystojny syn Wilhelm – chłopak ze zdjęcia w roczniku – wstąpił do Waffen-SS.

Nie trzeba mi było wyjaśniać, co to oznaczało. Wszyscy wiedzieli, że SS stanowiła policję partyjną i korzystała z takich sił bezpieczeństwa jak gestapo, żeby tłumić wszelki opór. A teraz, po wojnie, wychodziło na jaw, że SS prowadziła także niemieckie obozy koncentracyjne.

Opuściłem klapę i usiadłem na niej, ale na chwilę zamknąłem jeszcze oczy, żeby nie widzieć tekstu. Potem, świadom, że czas ucieka, szybko przejrzałem ostatnie kartki.

Zawierały suche fakty, zdawałem sobie z tego sprawę. Niewykluczone, że do wstąpienia w szeregi SS Wilhelm został zmuszony przez ojca. W głębi duszy mógł być przeciwny temu, co symbolizowała. Ale dlaczego nie ujawniał swojej tożsamości i wszystkich okłamywał? Dlaczego mówił, że ma na imię Hans?

Niemcy, przegrywając wojnę, pospiesznie niszczyli archiwa, więc mimo swoich wysiłków komisarz Taylor nie zdołał się dowiedzieć, co potem działo się z Wilhelmem. Ale, jak pisał w raporcie, do praktyki należało przenoszenie funkcjonariuszy SS z jednego obozu do drugiego. Zmieniano im przydział zależnie od stanu liczebnego wojsk albo żeby odpoczęli od walk na froncie. Każdy z nich wiedział o istnieniu obozów koncentracyjnych i co więcej, miał świadomość, co się w nich dzieje. Dlatego cała SS ponosiła odpowiedzialność za zbrodnie przeciwko ludzkości. I Hans nie tylko wiedział o eksterminacji Żydów (a także Cyganów, komunistów, upośledzonych i wszystkich innych uznanych za niegodnych, aby żyć), ale także brał w tych zbrodniach udział.

Koniec końców, pewnie jednak był nazistą.

Samochód dziadków zajechał przed dom; widziałem, jak sztywno kiwają głowami żałobnikom, a potem idą ścieżką w stronę drzwi. Babcia przywitała się ze wszystkimi w przedsionku. Wiedziałem, że zaraz będę musiał zejść. Przyjedzie karawan i odprowadzimy mamę do grobu.

Nie mogłem jednak otrząsnąć się z myśli o Jasiu. Duchem wciąż siedziałem w ubikacji o wysokich ścianach i usiłowałem dowiedzieć się jak najwięcej o człowieku, którego kiedyś uważałem za księcia zamienionego w drwala.

Komisarz Taylor nie zdołał odnaleźć rodziny Wilhelma. Podobno niektórzy jego dawni sąsiedzi zginęli podczas bombardowań, ale nie było wiadomo, czy to prawda. Wielu należało do partii; mogli uciec, zmienić nazwiska. Jeśli żyli, wciąż nie wiedzieli, co stało się z Wilhelmem.

Pod koniec raportu komisarz opisywał medalion mamy. Znaleziono go w zaciśniętych palcach jeńca. Łańcuszek był pęknięty, dlatego uznano, że zerwano go mamie z szyi. Komisarz musiał przepisać tę kartkę, bo wiedział ode mnie, że tak nie było. Raport będzie głosił, że mama zgubiła medalion któregoś dnia, będąc w sadzie, i jeniec go zabrał. Pomyślałem o przerwany łańcuszku. Małe ogniwa pewnie się z czasem wytarły. A może delikatne srebro pękło, gdy Hans, czekając na ratunek, trzymał medalion w dłoni. Myśl, że na niego patrzył, sprawiła mi przyjemność. Nie robiłby tego, gdyby jej nie kochał, prawda?

Czytając ostatnią stronę dokumentu, przeżyłem kolejny szok. W tydzień po odkryciu zwłok Hansa na posterunek policji w Densford zgłosił się pan Higgins. Zeznał, że szedł przez las, kiedy potknął się o kości ludzkie. Ciało zostało zakopane w płytkim grobie. Łamał sobie głowę, kto to mógł być – jak mówił na posterunku – i wreszcie przypomniał sobie starego włóczęgę, który krę-

cił się po wsi, ale zniknął mniej więcej w tym czasie, gdy zbiegł jeniec. Przypuszczał więc – według sierżanta, który przyjmował zgłoszenie i potem powiadomił o nim komisarza Taylora – że to uciekinier zabił trampa. Czy miał broń? Pistolet, nóż? Nie? Cóż, ale był młody i silny, no nie, przecież rąbał drewno. A może chwycił z ziemi konar i nim się posłużył. Żeby zatłuc tamtego. Pan Higgins, chociaż dowodził Home Guard w Bambury, sam nie był policjantem, więc zostawiał tę sprawę policji. Ale gdyby miał się założyć, dałby głowę, że zwłoki, które znalazł, mają coś wspólnego ze zbiegłym jeńcem. Musiały wyłonić się z ziemi po roztopach, dlatego na nie trafił. Szczęśliwy przypadek, śmieszny zbieg okoliczności. Ale także dowód, że istnieje na świecie sprawiedliwość. Teraz będzie wiadomo, że włóczęgę zabił jeniec, i cała ta smutna historia się zakończy.

Przyszła po mnie babcia.

– Jesteś gotowy, kochanie? Wyglądasz bardzo elegancko! – Prowadząc mnie na dół, położyła mi dłoń na ramieniu. – Od jutra będzie lepiej – powiedziała. – Musimy tylko przebrnąć przez dzisiejszy dzień.

Wszedłem z nią do salonu; druga babcia pocałowała mnie w policzek, a dziadek uściśnął mi rękę. A potem przyjechał karawan, mężczyźni w czarnych cylindrach wzięli kwiaty i wieńce do samochodu. Ruszyliśmy za nim w krótką drogę do kościoła, a za nami podążyła reszta żałobników.

Wyszło słońce i czułem ciepło na czarnej szkolnej marynarce; babcia uznała, że z białą koszulą i nową czarną muszką nada się na pogrzeb. Spojrzałem na dziadków; byli rodzicami mamy, więc zastanawiałem się, jak to znoszą. Ale żadne z nich nie płakało, tylko wyglądali na smutnych. Pewnie czuli to co ja. Przypomniałem sobie kłótnię mamy z babcią przed stacją kolejową. Nie wiedziałem, czy babcia myśli o tym samym, czy o czymś innym.

Proboszcz powiedział:

– Skoro Bóg Wszechmogący w swojej łasce powołał do siebie duszę naszej zmarłej siostry, składamy jej ciało do grobu. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz...

Potem przywołał historie z Biblii, bo nawet dorośli lubią słuchać takich opowieści, i mówił o życiu wiecznym. Byłem ciekaw, czy w tym nowym życiu, które się dla niej zaczęło, mama spotkała się już z Jasiem. Nie bardzo wiedziałem, co sądzić o Wilhelmie, ale podobała mi się myśl, że mama i on są znowu razem. Tata mi powiedział, że „jeniec” – to znaczy jego skremowane prochy – został należycie pochowany. Więc jednak doczekał się pogrzebu. Tak jak mama, pomyślałem.

Tata zaprowadził mnie do kopczyka ziemi obok grobu. Każdy z nas wziął jej garść i wrzucił do dołu, na trumnę.

Rozdział czterdziesty pierwszy

„A oni wzięli się za ręce i wywędrowali z wielkiego pałacu... wszędzie, gdzie przechodzili, układały się wiatry do spoczynku i układało się słońce”.
– z *Królowej Śniegu*

Pakowanie naszych rzeczy do pudeł miało w sobie coś przyjemnego. Każde pomieszczenie było zastawione drewnianymi skrzyniami. Resztki śmieci, które przeoczyła babcia, kiedy przyjechała wysprzątać dom po ciężkiej zimie, zostały wyrzucone. Rupiecie gromadzące się w kredensach i szufladach wyciekały nieprzerwanym strumieniem do kubłów na dworze, a ubrania mamy, tak samo jak te, z których wyrosłem, leciały jak ptaki do Czerwonego Krzyża, żeby potem trafić do uchodźców.

Następnego dnia miała przyjechać ciężarówka, żeby zawieźć mnie i tatę razem z naszymi rzeczami i meblami do Norfolk. Postanowiono, że zamieszkamy w domu odległym zaledwie dwie ulice od dziadków. Tata powiedział, że jego renta wojenna i pieniądze ze sprzedaży domu całkiem wystarczą nam na życie, choć myślał o tym, żeby podjąć pracę w banku w Great Yarmouth.

Miałem pójść do nowej szkoły. Straciłem większość semestru, ale Harry pisał w liście, że to żaden problem. Wychowawca jest w sumie porządnym gościem, twierdził, a poza tym niewiele mnie ominęło. A jego koledzy już nie mogą się doczekać, kiedy mnie poznają. Opowiedział im, jak przeżyłem sam w domu przez tyle tygodni, żywiąc się śniegiem. Chcieli poznać prawdziwego bohatera. I codziennie będziemy chodzić do szkoły razem, bo zostaniemy sąsiadami – dodawał swoim okropnym charakterem pisma.

Pójście do nowej szkoły budziło we mnie niepokój, bo prawie nikogo w niej nie znałem, ale może tak właśnie było najlepiej; mogłem zacząć od nowa. Tak czy owak poczułem ulgę, że nie wrócę do szkoły w Densford.

Rozejrzałem się po swoim pokoju, żeby sprawdzić, co jeszcze zostało mi do zrobienia. Szafka nocna miała być wystawiona do ogrodu, więc wyniosłem ją, wychodząc. Tata obiecał jednej z sąsiadek, że będzie mogła wybrać sobie coś z rzeczy, których nie zabieraliśmy ze sobą, więc pod magnolią powstał już mały skład. Postawiłem szafkę na trawniku usianym płatkami kwiatów, obok dwóch drewnianych krzeseł nie od kompletu.

– Co to wszystko ma być?

Odwróciłem się i zobaczyłem pana Higginsa, który zatrzymał się za ogrodzeniem. Położył grubą rękę na niskim ceglany murku; starałem się na nią nie patrzeć.

– A, dzień dobry, Higgins – powiedział tata, który wyszedł zza drzwi frontowych, wynosząc podnóżek.

– Patterson.

– Co pan tu robi?

– Idę odwiedzić Evelyn Moore... wdowę po moim kuzynie. Od czasu do czasu do niej zaglądam.

– A tak, to miłe. Proszę ją ode mnie pozdrowić.

– Mogę spytać o to samo... Co robicie?

Więc tata powiedział mi, że się wyprowadzamy. Spojrzałem na pana Higginsa i zobaczyłem, że wyraz jego ściągniętej twarzy stopniowo się zmienił. Jakby się wygładziła. Przyjął to z ulgą, pomyślałem. Zrzucając całą winę na Jasia, postarał się, żeby nikt nie dowiedział się prawdy o trollu i nie zaczął zadawać pytań. Teraz, kiedy mama i farmer Dawson nie żyli, a ja się wyprowadzałem, pozostało niewielu ludzi, którzy wiedzieli, co zrobili on i tamten miły pan. A ci mieli własne powody, żeby trzymać język za zębami.

Pan Higgins pogratulował tacie przeprowadzki, a potem zwrócił się do mnie.

– Hm... bądź grzecznym chłopcem. Nie sprawiaj ojcu kłopotów, obiecujesz?

Oczywiście usłyszałem kryjącą się w jego słowach groźbę; nie chciałem przytaknąć. Mimo to spojrzełem na stół pod drzewem, wcisnąłem paznokieć kciuka w miękkie drewno i odparłem:

– Tak, proszę pana. Będę greczny.

Czasami się zastanawiałem, czy powiedzieć tacie o tym, co się zdarzyło, byle tylko podzielić się z kimś tą wiedzą, nie być z nią samemu. Ale jak miałbym wyjaśnić sprawę trolla, nie mówiąc o Jasiu, mamie i tym wszystkim, co stało się tamtego lata? Może część z tego mógłbym zachować dla siebie, ale gdybym nawet powiedział mu jedynie o trollu, zasmuciłbym go, a myśl, że bym go zasmucił i poszedłby płakać do schronu, wiązała mi język. I prawda była taka, że nie chciałem, aby wiedział, co zrobiłem. Nie chciałem, aby myślał o mnie źle. Było tak dobrze, odkąd wrócił do domu, że wolałem nie robić nic, co by to zepsuło.

Znów poszedłem na górę, żeby dokończyć pakowanie. Dom wydawał się większy, ale jednocześnie bardziej pusty, pozbawiony wspomnień. Chociaż gdy się rozejrzałem, wciąż widziałem ją słuchającą radia w salonie, podchodzącą do telefonu, kiedy dzwoniła babcia, żeby sprawdzić, czy wszystko u nas dobrze, albo czytającą czasopismo i pogryzającą w kuchni krakersy.

I widziałem ją nadal leżącą na podłodze przed łazienką, popijającą gin, jakby to była chłodna woda, czy przeciskającą się przez szparę w drzwiach, żeby wydostać się na śnieg.

Wiedziałem, że w nowym domu nie będzie tych wspomnień czyhających na mnie po kątach albo za rogiem. Było to w pewnym sensie smutne. Ale, jeśli miałem być szczery, jednocześnie się z tego cieszyłem. Oznaczało to, że obraz mamy nie uderzy mnie nagle jak cios w brzuch od chłopaków w szkole. Będę bardziej panował nad wspomnieniami, które mnie nawiedzają. Jak tamten wieczór, kiedy piekliśmy razem ciasto, albo inne, gdy mama czytała mi bajki.

Wziąłem z półki książkę. Z okładki spoglądała na mnie kobieta w białym futrze i brylantach, które lśniły jak kryształki lodu; obok niej w saniach siedział opatulony chłopczyk. Włożyłem baśń do pustego pudła u moich stóp, oznaczonego: „Książki”. Czy nie było głupotą je zabierać? Nie zamierzałem już ich czytać. Ale ona trzymała je w dłoniach, kochała. I stanowiły dar, który ofiarowywała mi co dzień.

Musiałem zabrać je wszystkie.

Rozdział czterdziesty drugi

„Gerdo, kochana, mała Gerdo! Gdzieś była tak długo?
I gdzie ja byłem? – Rozejrzał się wokoło. – Jakże tu zimno!
Jak pusto i rozległe! – I przytulił się mocno do Gerdy...

Gdyby Królowa Śniegu nawet teraz wróciła, to i tak słowo wyzwajające Kaja wypisane było błyszczącymi kawałkami lodu”.

– z *Królowej Śniegu*

Tata mówił, że zamierzał przyjechać do Bambury wcześniej. Ale ostatnie miesiące były tak pełne wrażeń, z przeprowadzką, moją nową szkołą i jego nową pracą, że czas minął niewiarygodnie szybko. Więc znaleźliśmy się tu, na cmentarzu, przy grobie mamy, dopiero prawie pod koniec roku.

Idąc przez cmentarz, brnęliśmy w wilgotnym śniegu, który zapadał się pod stopami i twardniał; podeszwy butów miałem przemoczone. Nie przypominał wcale tego śniegu, który zeszedł zimy zasypał świat; miał tylko z dziesięć centymetrów głębokości. Dzień w zimowym słońcu był pogodny i rześki.

– To prawie rocznica – zauważyłem. – Może i lepiej, że teraz przyjechaliśmy.

– Tak – odparł. – Pewnie masz rację.

– Może zawsze powinniśmy przyjeżdżać o tej porze roku. No wiesz... raz na rok, ale regularnie.

– Uhm... – Spojrzał na mnie z przelotnym uśmiechem. – Dobrze. Niech tak będzie.

Znaleźliśmy grób i złożyliśmy w śniegu bukiet żółtego zimowego jaśminu. Płyta, która wznosiła się nad kwiatami, mówiła niewiele; mama została na niej nazwana córką, żoną i matką. Żadne z tych słów nie wyjaśniało, kim była naprawdę. Określały tylko jej relacje z innymi ludźmi. Nie myślałem o niej w taki sposób. Była po prostu sobą.

Kiedy poczuliśmy, że marzniemy, ruszyliśmy z powrotem w stronę High Street. Tata chciał wstąpić do pubu, żeby przed powrotem do Great Yarmouth pogadać ze starymi znajomymi.

Powiedziałem, że dołączę do niego później. Może uznał, że mam we wsi własnych kolegów, których chcę odwiedzić.

Ja jednak przeszedłem ulicą i zwolniwszy kroku, minąłem nasz stary dom. W oknach wisały nowe zasłony, ale nie dostrzegłem za nimi nikogo. Kiedy przesunąłem ręką po ogrodzeniu, ze zdziwieniem zauważyłem, że sięga mi do pasa; urosłem.

Szedłem dalej i wkroczyłem do lasu.

Początkowo zamierzałem dotrzeć do miejsca, w którym Jaś wpadł do dołu, bo wiedziałem, że niedaleko znaleziono mamę. Ale kiedy tylko zagłębiłem się w las, zdałem sobie sprawę, że nie muszę iść dalej. Oboje byli tu wszędzie. Mama nie leżała pod płytą nagrobną na cmentarzu; była tu od początku. Przypomniałem sobie, jak będąc mały, miałem wrażenie, że czuję i dostrzegam magię wśród tych drzew. Hm, to był rodzaj magii, no nie?

Ruszyłem dawną ścieżką do sadu. Ktoś obcy pewnie nie zauważyłby jej pod śniegiem, który wprawdzie w lesie leżał cieńszą warstwą, ale pokrywał ziemię.

Zwykle udawało mi się nie myśleć o tym miejscu ani o tych, którzy stracili tu życie. Ale tego dnia zamierzałem stawić temu czoło.

Jestem mordercą – myślałem. Zabiłem ich wszystkich.

Potwory już nie nawiedzały mnie nocami tak często jak dawniej – w Norfolk było inaczej. Mijały całe tygodnie, kiedy zapominałem. Ale tam, w tamtej chwili, myślałem o tych, którzy odeszli przeze mnie.

Myślałem o Jasiu drwału. Oczywiście tego nie było w raporcie komisarza Taylora, ale fakty z przeszłości Hansa tłumaczyły, dlaczego tak bardzo chciał uciec. Nie miałem pewności, ale domyślałem się, że w którymś momencie zdołał zamienić się mundurami z jakimś piechurem, albo zanim dostał się do niewoli, albo już później. Może rozkazał prawdziwemu Hansowi Müllerowi, żeby oddał mu swoją tożsamość. Często się zastanawiałem, co się stało z tamtym. Wysłano go zamiast Wilhelma do specjalnego obozu jenieckiego dla oficerów SS? Pewnie nie. Prawdziwy Hans Müller zacząłby mówić, prawda? Więc może po prostu zginął i Wilhelm dostrzegł okazję, żeby przejąć jego mundur i dokumenty. Miałem nadzieję, że tak to było. Kiedy jednak jesienią 1944 roku w Bambury usłyszał, że Niemcy przegrywają wojnę, zaczął się bać, że zostanie zdemaskowany. Pamiętam, jak mu mówiłem, o czym dowiadywałem się z radia: że wojna wkrótce się skończy. Na pewno bał się przesłuchania, a może nawet procesu przed trybunałem wojennym. Dlatego uciekł. Poza tym zaczęła krążyć petycja grożąca zaostreniem kontroli nad jeńcami.

Wciąż nie wiedziałem, dokąd by się udał. Czy rzeczywiście próbowałby przedostać się do Szwajcarii? Jak przebyłby kanał? Może popłynąłby do Irlandii, a stamtąd do Ameryki Południowej. To tam, jak mówiono, uciekali naziści.

Miałem go za dobrego, dzielnego drwała. I może nim był. To, że uciekł, nie znaczy od razu, że był winny, no nie? Mógł zbiec ze strachu, że zostanie ukarany za kradzież cudzej tożsamości, a nie za to, czego się dopuścił jako oficer SS. Bo naprawdę miał w sobie dobroć. Był dla mnie miły i tak pięknie całował mamę. To wszystko było szczere, nie miałem co do tego wątpliwości. Teraz jednak wiedziałem, że miał także mroczną stronę. Może to nie troll, ale Hans od początku był potworem.

Czasami człowiek, jeśli dobrze się nie przyjrzy, nie widzi tego, co ma pod nosem. Z tyłu głowy wciąż niewyraźnie słyszałem głos czytającej mi mamy: „Babciu, ależ masz wielkie zęby!”.

Trudno mi było myśleć o Hansie w ten sposób. Ukazał mi się w nowym świetle i zrozumiałem, że nie był taki, jakim go zapamiętałem. Ale w pewnym sensie wciąż przypominał mi postać z bajki.

To dziwne, że dopiero teraz odkrywałem, iż nie był wcale księciem zamienionym w drwała. Przypuszczam, że ludzie – wszyscy z nas – zawsze są bardziej skomplikowani niż czarno-biali bohaterowie dawnych opowieści. Prawdziwe życie jest o wiele bardziej powikłane, znacznie trudniejsze do zrozumienia.

Inaczej niż w bajkach. W świecie dobra i zła, który kiedyś tak uwielbiałem, życie jest szare niczym łąta na plecach Hansa. Zło być może często wynika z zatajenia czegoś, założenia rąk, odwrócenia wzroku. Każdy jest zdolny do potworności – wiedziałem to lepiej niż ktokolwiek inny.

Drogę blokowało przewrócone drzewo, więc nad nim przestąpiłem. Przypomniałem sobie, jak

mama i ja gorączkowo szukaliśmy tej ścieżki po spotkaniu z trollem w lesie.

Czy i on miał mroczną stronę? Na jakiś czas, gdy byłem starszy, zdołałem sobie wmówić, że polował na dzieci, bo pamiętałem, jak obserwował tamtych chłopców kąpiących się w rzece. Teraz jednak wiedziałem w głębi serca, że nie był potworem; czekał tylko, żeby odeszli, bo chciał się napić i umyć.

I nie był stworem, lecz człowiekiem; pora skończyć z tą dziecinadą. Musiałem przyznać sam przed sobą, że był istotą ludzką. Miał imię i nazwisko, choć nigdy ich nie poznałem. Jego też skremowano i pochowano skromnie jak Hansa.

Nagle do oczu napłynęły mi łzy, ale zbliżałem się już do sadu, więc przyspieszyłem. Przy każdym kroku śnieg skrzypiał mi pod stopami. Od lat tu nie byłem, ale rozpoznawałem poszczególne drzewa. Już niedaleko.

Czasami myślałem o ciemnym lustrze, tym zrobionym przez diabła, które się rozbiło i zostało w kawałkach rozniesione po świecie przez wiatr. Drobiny wpadały ludziom do oczu albo dostawały się do serc i stopniowo zamieniali się oni w lód.

To tak, jakby diabeł po prostu rozsiewał nasiona. Ziarna, które – jeśli nic z nimi nie zrobiono – wzrastały i pozbawiały człowieka ciepła. Ziarna śniegu i lodu.

To oczywiście bajka, ale jak większość bajek – prawdziwa. Pewnie jest wielu ludzi noszących w sobie takie ziarna. Ziarna, od których lodowacieją albo chorują. Za mało wiedziałem o życiu Hansa, aby się domyślać, skąd wzięło się w nim to ziarno – dlaczego wstąpił do SS i być może robił straszne rzeczy. W moim ojcu zasiała je wojna; widziałem tego skutek. A moje narodziny zasiały ziarno w mamie, która nigdy potem nie doszła do siebie. Kawałki lustra w jej sercu i oczach stały się tak duże, że nie widziała już radości na świecie ani w swoim na nim miejscu. Gdyby się nią w porę zajęto, może udałoby się wykopać te nasiona, zanim puściły korzenie. Tata w końcu jednak nie zamienił się w lód.

Ja także nosiłem w sobie takie ziarno. Ale byłem zimny, jeszcze zanim doprowadziłem do śmierci Hansa i trolla. To moja matka musiała je we mnie zasiać. Bo była z lodu. A ja stanowiłem jej twór. Jeśli ona była Królową Śniegu, to ja chłopcem ze śniegu.

Ścieżka się urywała i przede mną wznosił się nowy, nienaruszony drewniany płot otaczający dawny sad. Musiał go zbudować inny jeniec wojenny, którego tu sprowadzono, bo reszta jabłoni została ścięta. Teraz znajdowało się tam pole. Drewniana chatka – szopa – zniknęła. Przede mną rozciągała się tylko niezachęcająca gładka połać śniegu. Przeszedłem przez płot i skierowałem się do miejsca, gdzie była poręba. Ślady moich stóp prowadziły do miejsca, w którym dawniej stał dębowy pniak do rąbania.

Mama była zimna. Ale przyszło mi do głowy, że może nie chciała taka być. W końcu przez całe życie czekała na miłość. Była Królową Śniegu – zawsze to wiedziałem – ale może była także Gerdą. Dziewczynką, która wypowiedziała jej wojnę. Może toczyła ze sobą walkę i w końcu ją przegrała.

Chyba szukała spokoju. I dlatego poszła zasnąć w śniegu. Mam nadzieję, że znalazła to, czego potrzebowała.

Ale czy to mogło potoczyć się inaczej?

Zastanawiałem się, czy podjąć swoją walkę – z własnym zimnym sercem. Kaj w końcu uwolnił się od Królowej Śniegu i nurtowało mnie, jakie to byłoby uczucie skończyć z zimnem.

Co było, to było. Nic nie mogło tego zmienić. Mama nie żyła i nie mogła do nas wrócić. Hans, troll i nawet farmer Dawson odeszli. Ale ja nie umarłem. Wciąż żyłem.

Zagłębiając się w wycięty sad – zmierzając do polany porośniętej jabłoniami i zalanej słoń-

cem, którą tylko ja jeden mogłem zobaczyć – pomyślałem, że życie każdego człowieka to osobna historia.

Wiele bajek opowiada o ścieżkach i wędrówkach. I kiedy tak szedłem przez śnieg, zbliżając się do dawnej poręby, czułem się, jakbym dochodził do skrzyżowania dróg. Musiałem wybrać jedną z nich. I ważne było, żebym wybrał właściwą.

Dopuszczałem się tutaj zła. Kłamałem, patrzyłem, jak zabijają jednego człowieka, a drugiemu pozwoliłem umrzeć – i nic nie mówiłem.

Co by było, gdybym przestał milczeć? Co by się stało, gdybym opowiedział jeszcze jedną historię? Gdybym wyznał prawdę?

Na początek mogłem powiedzieć tacie. To byłoby trudne i bardzo by go zraniło. Ale już tak długo udawałem – jak mama – że może pora była z tym skończyć. Moglibyśmy pójść razem na posterunek policji w Densford.

Zastanawiałem się, co by ze mną zrobili, gdyby wysłuchali mojego wyznania. Mogliby mnie oskarżyć o wiele rzeczy – kiedyś sprawdziłem to w bibliotece szkolnej: o zabójstwo albo nieumyślne spowodowanie śmierci, utrudnianie działania wymiaru sprawiedliwości czy nawet uniemożliwienie pochówku dwóch ciał. Ale byłem wtedy małym chłopcem; miałem zaledwie dziewięć lat. Więc może uszłoby mi na sucho. Komisarz Taylor by mnie wysłuchał, a potem wysłał kilku ludzi po Higginsa i tamtego miłego pana.

Zabrały mnie do lasu, żebym pokazał mu te miejsca. Wprowadziły za ogrodzenie, które zbudowano wokół terenu kopalni. I w końcu dotarłbym do szybu, w którym przebywał Hans, teraz pustego. Zmusiłbym się, żeby spojrzeć w głąb ciemnej jamy, i miałbym wrażenie, że wreszcie po niego wróciłem.

I pokazałbym policji, gdzie członkowie Home Guard zabili trolla. Może policjanci by mi powiedzieli, jak się nazywał, i w końcu bym się dowiedział, kim był naprawdę.

Ciekawiło mnie, co jeszcze by się stało, gdybym zrobił to wszystko. Co z moimi koszmarami, gdyby ci zmarli ludzie przestali stanowić sekret, który znałem tylko ja? Żaden z nich nie spoczywał w ziemi, czekając na mnie – obaj zostali spaleni i obrócili się w popiół. Tylko mama leżała w tradycyjnym grobie. Zawsze sobie wyobrażałem, że ci dwaj po mnie przyjdą, ale może w końcu czekała na mnie tylko ona.

Moja Królowa Śniegu, moja Gerda.

Zapadając się w śniegu, czułem jej obecność tutaj i wszędzie wokół. I zacząłem płakać. Hans i troll także tu byli, w świeżym śniegu, który brałem w dłonie, w dalekich drzewach, w zimowym niebie.

Zdjąłem płaszcz; chciałem poczuć zimno. Chciałem znaleźć się blisko niej. Choćby tylko przez chwilę, zanim wyruszę w drogę powrotną. I postanowiłem, że jeśli nie zatrzyma mnie policja, wrócę tu następnej zimy. I następnej. I tak do końca życia.

Za każdym razem klęknę w śniegu, zagłębę w nim rękę, żeby poczuć twardy grunt i wbić w niego palce. W zamarzniętą ziemię, w której spoczywa moja matka. To będzie tak, jakbyśmy wzięli się za rękę.

„Jestem” – powiem coś w tym rodzaju.

A ona na moment wstanie i posiedzimy sobie razem. A pewnego dnia, kiedy będę stary, przyjdzie, żeby zabrać mnie do domu.

Z Królowej Śniegu:

„Wtedy zapłakała mała Gerda gorącymi łzami, które spłynęły na jego pierś, dostały się aż do jego serca, roztopiły kawałki lodu i wchłonęły okruszynę szkła... Wtedy Kaj wybuchnął płaczem i odłamek szkła wypadł mu z oka...

Wzięli się za ręce... spojrzeli sobie w oczy i nagle zrozumieli... Siedzieli więc oboje, dorośli, a jednak dzieci, dzieci w sercach, i było lato, gorące błogosławione lato”.

Od tłumaczki

W książce wykorzystano cytaty z baśni w następujących przekładach:

Czerwony Kapturek – przeł. Marcelli Tarnowski
Dwaj bracia – przeł. Jacek Fijołek
Gęsiareczka – przeł. Jacek Fijołek
Jak sobie sześciu zuchów radziło – przeł. Franciszek Mirandola
Jaś i Małgosia – przeł. Marcelli Tarnowski
Królowna Śnieżka – przeł. Jacek Fijołek
Królowa Śniegu – przeł. Franciszek Mirandola
O sześciu łabędziach – przeł. Marcelli Tarnowski
Roszpunka – przeł. Marcelli Tarnowski
Rumpelszyk – przeł. Tomasz Wyżyński
Sinobrody – przeł. Milena Kuztelska
Syrena – przeł. Cecylia Niewiadomska
Śpiąca Królowna – przeł. Emilia Bielicka
Trzy koziołki – przeł. Beata Mirecka
Trzy małe świnki – przeł. Arlena Sokalska
Woda życia – przeł. Jacek Fijołek

Przypisy końcowe

1. Wykaz tytułów wszystkich cytowanych baśni wraz z nazwiskami tłumaczy zamieszczono w nocie na końcu książki. ↵